

Anna Strońska

DOPÓKI MILCZY UKRAINA

Jerzemu Giedroycowi twórcy i redaktorowi KULTURY

Nad Smotrycz, za Zbrucz

Za ogromne pieniądze - sto osiemdziesiąt dolarów, tutaj to fortuna - wynajmuję ładę, która obwiezie mnie - na chybca, ale jednak - po podolskich krzemieniach i kamieniach. Kierowca, pan Władziu, jako rasowy syn Lyczakowa czy Zamarstynowa prowincją w życiu się nie interesował, trasy nie zna, mapy nie posiada, więc udostępniam własną, prezent z konsulatu. Po alfabecie i koślawej transkrypcji sądząc, mapa jest adresowana do niemieckich turystów, na wyrost, bo Niemcy za delikatni na przejażdżki po kraju bez moteli i stacji benzynowych.

Najwygodniej i najnudniej podróżuje się po autostradach. W wypadku Ukrainy należałoby raczej mówić o drogach szybkiego ruchu, ale każda z nich przynajmniej pod tym jednym względem spełnia warunki autostrady: smuży się bezbarwnie, płynie po płaszczyźnie, omija miejscowości, a na domiar złego obrasta w „posadki“, gęste, szczelne kordony drzew i krzewów odcinające asfalt od żywego świata. Oczywiście Polacy zaraz umyślili sobie, że to przez parszywą perfidię sowiecką, bo „Ruski“ nie chciały, żeby się rozglądać... Bzdura. „Posadki“ są od śniegów. Owszem, istniały trasy zakazane cudzoziemcom, samazostawiłam sobie na pamiątkę karteluszek z „Inturista“, jeszcze w siedemdziesiątych latach przestrzegający: „RigaMinsk tolko samolotom!“ To znów w drodze z Kiszyniowa do Wilna międzylądowanie mieliśmy we Lwowie, dwie godziny postoju, wyszli wszyscy, a mnie nie pozwolono. „Przecież ja tylko do toalety“ - molestowałam stewardessę. Usadziła mnie ostrym: „U was wizy niet. Inostrancom nie Izia“.

Nie te czasy. Droga wolna. Zabrał się z nami dziennikarz z polskiej „Gazety Lwowskiej“, Emil Legowicz, bezbłędny w trudnych sytuacjach. Wie, kiedy powoływać się na „Lwowską“ a kiedy na „Wysokij zamok“. Respekt przed prasą, nam to już zupełnie przeszło, im jeszcze nie.

Władziu opiekuńczy: ta trzeba okno przymknąć, żeby nam Legowicza nie wyduło. I dodaje przede wszystkim sobie ducha na wybojach: no nic, szorujemy.

Z tym szorowaniem nie tak prosto, zakrętów niemało, a za każdym może czaić się milicjant. Dopóki drogowskazy wskazywały Briest i Kijew, na stukilometrowym odcinku spotkaliśmy aż cztery patrole: pierwszy zaraz za Lwowem. Milicjant z pierwszego tylko sprawdził papiery kierowcy, milicjant z drugiego domagał się mandatu za przekroczenie szybkości aż o dwanaście kilometrów, ale pomogła elokwencja Legowicza i nie musieliśmy zapłacić.

- Dawaj do przodu - sam siebie zachęca pan Władziu, i natychmiast monituje: cicho, cicho. Co oznacza: tylko bez nerwów. Bez szaleństw na strzeżonej drodze.

Brody, obok Gródka Jagiellońskiego, Zbaraża czy Trembowli - jedno z tych miasteczek, w których uchował się koloryt kresów, mimo wyburzeń i naporu monottonnych bloków. Ale wszędzie jest świeższy akcent do legendy o Rzeczypospolitej co najmniej dwóch kochających się narodów. We Lwowie obok kościoła św. Elżbiety stanie pomnik Bandery. W Brodach oglądam pierwszy i nieostatni na wybranej trasie obelisk „Ofiarom stalinowskich represji“. Z tablicy wynika, że większość represjonowanych wojowała w UPA.

Zieleń i fiolet, to barwy Wołynia, migającego w nieczęstych przerwach między „posadkami“. Odbijamy od autostrady. Nadal nic ciekawego. Płaty, wertepy, fasolowe grządki. I nieoczekiwany na tej przypodolskiej, ale jeszcze wołyńskiej, przestrzennej, stołowatej

równinie Poczajów. Góra, dopiero gdy się patrzy z góry, wydaje się ogromna. W dole płaski, zmały Poczajów, poprzesywany zielenią, rozwleczone po ogródkach. Tak wysoko, tak nisko... Zdumiewająca sklejka krajobrazów.

Wokół Ławry staruszki. W tym straszliwym upale siedzą albo i leżą na ławkach zakutane jak na ciężki mróz, w szalach, szubach, walonkach. Może tak bezpieczniej. Co na sobie - nie zginie. Modlą się, oszczędnie żują chleb, patrzą w przestrzeń - jak której pasuje. One wiekowe, i jakaś porażająca odwieczność sytuacji. Tak jest i pewnie zawsze tak tu było, bez względu na potrzęsające światem huragany.

W Poczajowskiej śladu po folderach, osiągalny tylko jeden druczek, i to zajmujący się nie Ławrą, a świadkami Jehowy. Agitka nawet nie ukraińska, rosyjska - energicznie bierze się za przeciwnika. Jehowici już przywykli do łgarstwa i dobrocią z nimi nie poradzisz. Intencje tekstu wyartykułowane, powiedzieć można, szczerze i bez zahamowań. „Nienawiść świadków Jehowy do chrześcijaństwa tłumaczy się tym, że w założeniach swoich sekta opiera się na judaizmie...” No, tośmy w domu. Dalej wychodzi na to, iż przewrotni świadkowie lansują Antychrysta. Niby to wyczekując Mesjasza - spodziewają się „człowieka grzechu, syna ciemności”.

Krzemieniec - długa ulicówka, miasteczko na osnowie wsi. Od tej głównej, równinnej - odpryski bocznych ulic, stromych, dla mnie, oczywiście po przemysku. Za długo tu nie zabawimy, gdyż Krzemieniec jest tematem dyżurnym, pisze o nim kto może, tylko bez efektu.

Przed nocą - i całe szczęście, bo to nie są strony na nocne podróże - dobijamy do Zbaraża. Mój portfel prawie pusty. Gdzie by tu przenocować omijając hotel? Legowicz zawsze coś wymyśli, tym razem też nie zawiódł: jedziemy do księdza.

Samotny lokator zrujnowanego klasztoru mieszka w pokoju bez pieca. Kancelaria (duże słowo) też nie ogrzewana. Na dworze upał, tu przesywający chłód. Nawet w nieznośnie letni, przegrzany dzień majowy kamienna podłoga w refektarzu jakby świeżo myta: co tam myta, złana wodą. Sadržawka w lecie, a ślizgawka w zimie. Ksiądz przystojniak, na oko - siłacz, rosły, umięśniony, już ma w wyroku bolesny żywot reumatyka. A wita nas pogodnie. Przedstawivszy się: „ksiądz Żydowski jestem“, dorzuca: „takie nieładne nazwisko noszę, co robić...” Faktycznie. Żeby to choć: Jewrejski...

To jego szósty rok na Ukrainie, przed Zbarażem - na głębokiej Ukrainie, bliżej Odessy. Powiada, że tam praca była lżejsza, a Polaków więcej. Radził sobie, choć trafił do parafii od siedemdziesięciu lat pozbawionej księdza. Zamieszkał - jak to pogodnie określa - w chatce na cmentarzu. W dawniejszej przechowalni zwłok. „Wstawiłem łóżko, stolik, krzesło... Więcej i tak by się nie zmieściło. Wodę to szanowałem jak złoto. Kościół tam kiedyś był, długo był, bo postawiony w 1662 roku. Po rewolucji zamknięty, najpierw zamienili go na skład nawozów sztucznych, potem w prezbiterium porobili mieszkania, druga część poszła na kino, trzecia na salę tańca. Z kościoła został tylko obraz. Jeden, tak. Ogromnie zniszczony”.

W Zbarażu puste ściany, które jeszcze byłyby do odratowania. Nie gustuję w baroku, ale to uderzająco piękny kościół. Ksiądz nie przeoczył mojego zachwyty, wyczuł sojuszniczkę i agituje: „Gdyby nasze ministerstwo kultury i sztuki zainteresowało się, co z funduszami przysłanymi przez Kijów na kościół zbaraski, czemu one tu przepadły... na co poszły...” Kościół, nieopodal cerkiew prawosławna, w pobliżu grekokatolickiej, niedaleko od kaplicy baptystów. Może został ślad po synagodze, ale jakoś mi nieporęcznie pytać księdza

Żydowskiego. Niech najpierw Legowicz załatwi coś do spania. Udaje się nadspodziewanie łatwo. Mili, usłudzy ci tutejsi księża, co sobie później potwierdzą i w Kamieńcu Podolskim, i w Mościskach. Ta ich ufność, gotowość do pomocy, to aż zaskoczenie, to jak z zamierzczałej bajki. Myśmy w kraju dawno już odwykli... Poza tym, cóż on o nas wiedział? Jestem z Polski, mówię, wysiadając z wozu z ukraińską rejestracją, i my Polacy, dołączają się dwaj moi towarzysze, których akcent już nie daje gwarancji. A gdyby nawet? Przecież w Zbarażu (ksiądz się o tym nie zająknął, inni powiedzieli) już były z rodakami różne złe doświadczenia. „Mam oko“ powie ksiądz, któremu - ale dopiero nazajutrz, wyspani, wykąpani - wytykamy nieostrożność. „Mam oko, ja rozpoznam człowieka“. Tak się mówi, ale...

Otóż to. Córka Piechowej była mniejszą optymistką, rano zajrzała, czy ksiądz się nie pomylił i czy matka żyje.

Piechowa to Polka, matka Ukrainki, babka Ukrainca i Polaka. Dostaliśmy się jej na przenocowanie. Ksiądz rekomendował: kobieta poważna, starszawa, nie ubliży gościom, może i ucieszy się, zwłaszcza że dom do pochwały. Sami zobaczymy.

Parafia księdza Żydowskiego liczy piętnaście tysięcy Polaków (nie powie: wiernych. Na jedno wychodzi. Pielęgnowany kanon kresowy: wiara równa narodowości). Tak, będzie z piętnaście tysięcy, choć wielu już zniszczonych. Mimo to: wiernych? Różnie. Ksiądz żyje „w bardzo dobrej zgodzie“ ze swiaszczennikiem grekokatolickim, ale podejrzewam, że trochę taka to zażyłość jak prokuratora z adwokatem: nawet prywatni przyjaciele jednak wojują na sądowej sali. Toga obliuguje, sutanna też. U Piechowej od pierwszych chwil czujemy się po domowemu, bo i wino znalazło się domowe, nam wesoło, a ksiądz nie zasypia gruszek w popiele, pracuje nad Haliną. Zachęca, by zamiast do cerkwi chodziła do kościoła, lecz to twarda sztuka. Poznać, że nie ustąpi. Spierają się dyplomatycznie, ostrożnie, bez przeciągania struny. Ksiądz niby to półżartem: „U nas ładniej...“ Halina, już zniecierpliwiona: „Mnie wystarczy tamto“.

Ani się nie dogadają, ani nie pokłóca.

Z tą chwilą rozmowa już zdecydowanie świecka. Ksiądz namawia Piechowa na poprawę zdrowia i urody. „Czemu sobie zębów nie wstawisz?“ Władziu z Legowiczem też są za tym. I wcześniej dużo ludzi było, przyznaje Piechowa, a znowuż inni odradzali: „Nie wstawiaj, lepiej chodzić pusto“.

Nie wstawi.

W nocy długo nie śpimy: ja pewnie ze zmęczenia, Piechowa ze strachu, czy jej nie poderżniemy gardła, bo to ksiądz księdzem, paszport paszportem, a obcy obcym, jednak. Wobec czego rozmowa. Właśnie o strachu, ale tym tutejszym, mulistym, złym jak bagno, sączącym się na sowiecką Ukrainę przez dziesiątki lat. Piechowa oponuje. „Strachu nie było - powiada. - Strach był za Stalina, a potem to już nie“.

Cichutko smuży się rozmowa. O rodowodach. „Ja z domu Omawka, poślubiłam Piecha. Mąż był Ukrainiec, ale syn Polaka. On chodził do cerkwi, ja szłam do kościoła. Ludzie zaraz ciekawi: a czego wy się rozłączacie? To mówię: my się w niebie złączymy“.

Od córki Haliny Piechowa ma wnuków. Starszy w dwa wieczory polskiego ojca nasz wyuczył się, młodszy woli cerkiew. „Ja chcę słuchać po ukraińsku“. Babka nie oponuje. „Chcesz iść - idź do cerkwi. Tam choć ciepło“.

W czterdziestych latach Omawkowie chcieli uciekać przed banderowcami, powstrzymali ich ukraińscy sąsiedzi: „Zostańcie, nie damy krzywdy zrobić“.

Piechowa unika określenia „banderowcy“ i uchyla się od komentarzy. Dostyc typowe dla tutejszych: widać jeszcze dzisiaj bezpieczniej jest zmilczeć, czy nie mówić wprost. Są takie niedobre tematy. Lepiej od nich z daleka. „Była wojna, była. Przyszedł Żyd Brojda: panie Omawka, daj pan choć gorącej wody, żebym nie zmarzył na lód. Panie Brojda, idź pan stąd, bo będzie nieszczęście. Panie Omawka, niech ja choć przy krowach w stajni ogrzeję się, no przez godzinę. I co z nim było robić? Tak się jakoś przechował: trochę tu, trochę tam. Po wojnie przychodził dziękować...“ Tu było dużo Żydów, zgadza się Piechowa. A gdzie są? Powyjeżdżali. Czyżby? A dokąd? „Nie wiem. Pewno do siebie“.

Ryzykuję pytanie, czy „Brojda“ też wyjechał. O dziwo, tak. Piechowa ożywiła się, przez moment znowu jest na twardym gruncie. Uratował się, przed wyjazdem przychodził, kilka razy zaszedł i dziękował... Panie Brojda, mówi jemu ojciec, tylko Boże broń, żeby pan list przysłał. No to obiecał, że nie, i na tym się skończyło.

Poplątane byłyby korzenie i chromy pień drzewka tej sprawiedliwości.

Smuży się noc, kołysze się rozmowa. Zza ściany miarowe, zasłużone pochrapywanie Władzia. Wyczerpały go całodzienne dyrektywy. Więc co się stało z Żydami ze Zbaraża? Wyjechali, odpowiada Emilka. Ci ze Lwowa - z wcześniejszej opowieści Adamskiej - też powyjeżdżali. Porażająca jednomyślność. Zupełnie jakby nie było obozów śmierci i nikt nawet nie słyszał o rozstrzelanych nad pierwszym z brzegu jarem, wybitych, spalonych. Nie ma, to nie ma. Nikt ich nie szantażował, nie wydawał, nie likwidował niekiedy nawet bez udziału Niemców, rękami ukraińskiej policji.

O tym się milczy, to jest skażona strefa. Powyjeżdżali -łagodnie, pocziwie zapewnia mnie Piechowa. Wszyscy? No, dużo wyjechało. - Nie zabijali ich? - dociskam. Piechowa: Niemcy trochę wybili. Ja: Tylko Niemcy? Piechowa: Dlaczego? Dużo wyjechało. No, któryś mógł i przepaść.

Z wojny pamięta partyzantów. Przychodzili po nocy, tłukli w drzwi: chaziain, odkrywaj. Gospodar, widkryj. Raz Ruscy, a raz Ukraińcy. Jak im tam pasowało. A miejscowym co za różnica, kogo karmią: dawaj, choć sam nie dojesz, spróbowałbyś odmówić.

Tak to zeszło. Ojciec robił w polu, kiedy nadbiegła kobieta i rozkrzyczała się, że już koniec wojny. Piechowa, wtedy jeszcze Omawka, lat może trzynaście, pamięta mokrą od szczęśliwych łez twarz tamtej: „Tato nawet na chwileńkę zaniechał roboty i pyta się: a kto wygrał, Niemiec czy Ruski?“ Emilka koniecznie chciała na paradę zwycięstwa, ale się nie dało, robota nie puściła. „Tato mówi: zasiałem jęczmień, a to musisz poskradlić końmi wszystko... „Smuży się noc. Nie śpimy. Piechowa tylko wzdycha, gdy w sąsiednim pokoju zatrzeszczy łóżko (wstają? znaczy - po niej). Nawet mi się nie chce śmiać, bo w końcu tylko my troje wiemy, że wyżyje. Do zainteresowanej ta radosna pewność dotrze, kiedy jutro łąda wytoczy się z podwórka. A noc długa. Cóż można robić w tych warunkach? Opowiedzieć życie. Piechowa tutejsza, mąż był spawaczem, ona telefonistką. Najgorzej nie mieli,

poprowadzili się tak między 1956 a 1957 rokiem. „Wszystko my dwoje. Sami. Z tych dziesięć palców“. Sowieckie czasy? Manna z nieba nie leciała, ale można było się dorobić, można było żyć. „Nie bałeś się siwizny. Nie aż tak“.

Bieda przyszła z wolnością. Emerytka Piechowa pobiera cztery miliony papierków, na pieniądze licząc - dwadzieścia dolarów w miesiącu. „Pani, ja pracowałam od 1943 i co: mam na pół rachunku za gaz i na pół za światło, a jeszcze trzeba jeść“. Emerytura w dwóch ratach, rozumie się z opóźnieniami. Dobrze Piech przeczuwał! „Mąż zawsze prosił Boga, żeby on zmarł pierwszy, żeby to ja jego pochowała. U nas grabarzy nie ma, sami jąmy kopiemy“.

I znów ta niepokojąca, szczerza konstatacja: bieda przyszła z wolnością. „Pani, a przedtem cóż my takiego niedobrego mieli?“ Strach - podpowiadam. A spokojny głos z ciemności szemrze: „Nie, pani. Jego już nie było. Strach był za Stalina“.

Rano odjazd. Po obejrzeniu rozbudowanego, odmienionego wielopiętrowcami - rzeczywiście sporo ich. Część już z „ukraińskich“ czasów - Tarnopola wreszcie odbijamy od głównej ulicy. Co za ulga! Oczywiście nie dla lady, która trzęsie się i charczy, ale sunie jak czołg, pokonując pagóry wiejskiej drogi. Władziu aż się skurczył, ale milczy, wszak sto osiemdziesiąt dolarów piechotą nie chodzi, a ja nareszcie mam swój pejzaż, wielkie podole ciszy, jak je nazwał w wierszu poeta Olbromski, na co dzień kierownik wojewódzkiego wydziału kultury w Przemyślu. Corazpiękniej wspina się ta droga, zbacza, podrywa się i zniża, bokami - na wysokich skarpach - płoty i kolorowe futryny. Wieś ukraińska przynajmniej z wyglądu nie jest taka nędzna, jak sugeruje się w korespondencjach. Domy raczej zadbane, sporo nowych, nie brzydszych niż w Polsce. Jesteśmy pośrodku Iwanowki, na kałużastym majdanie, którego jedyną ozdobę stanowi sklepik z złotym szyldem, kiedy Legowicz podrywa się z siedzenia i wrzeszczy.

- Wracamy! Ale już!

- Ta co ty, zdumiał? - upewnia się pan Władziu. A tamten swoje:- Zawracaj! Zaraz zawracaj! Słyszysz, Władek? Aż wypieków dostał. Ki diabli, jak mawiali w mojej Galicji? Pan Władziu już nie protestuje, nawet mnie zatkało, choć to wielka rzadkość. Legowicz zdenerwowany, czerwony z przejęcia, dyryguje, pogania: dopiero na tamopolskiej szosie wyjaśni się, że jego zdaniem nadłożyliśmy sześćdziesiąt kilometrów. No, może trzydzieści. Pożalował Władzia (benzyna!) i tym sposobem znowu zażywam autostrady. Z której i tak trzeba będzie zjechać do Kamieńca. Droga z legowiczowego wyboru okazuje się równie kiepska, jak ta przez Iwanówkę, i już nieciekawą. Bajeczny pejzaż zostawiliśmy przy tamtych grudach i wybojach. Legowicz skruszony: nie chciał źle, samo tak wypadło. Co samo, jakie samo? Brnę w pracowitą pyskówkę, ale to bez sensu, przecież już słyszałam, że nie chciał źle, ta skąd...

Przed ostatnią wojną Kamieniec już nie był nasz, odpłynął w historię. Ależ tu wysoko! Gdzie to ja udawałam przed samą sobą, że nie mam lęku przestrzeni? W Bristolu. Tamten most nie był wyżej zawieszony od kamienieckiego, a widoki podobne. Tyle że w Bristolu nie ma rynku krzywego, jak z rysunku Schulza, i kamieniczek nieomal mniejszych od swych ciemnych bram, w których mieściły się kopiaste furmanki. Chcę zajrzeć na któreś podwórze, ale wyrasta przede mną młodzieniec z papieroskiem w kącie ust, i drugi, też w kaszkiecie. Nic nie mówią, patrzą. Zupełnie jak na Pradze.

To gdzieś tutaj mieszkał rabi Gutman, który w 1918 zarządził modły za pomyślność atamana, ale ze złym wynikiem. Pan Bóg czemuś nie chciał pośredniczyć między Gutmanem a Petlurą. Kurenie śmierci wymordowały prawie sto tysięcy Żydów.

W aktorze musi być tajemnica, jak mawiała Ryszarda Hanin. A w domach to nie? Choć slumsy były okropne, miały wyraz. Blokowiska nie mają. W sowieckiej Europie budowano dużo, tylko smutno. Przeróżne wrażenie wywarł na mnie Leningrad, miasto wtedy już chyba siedmiomilionowe, wyolbrzymione serią dzielnic - składek z dokładnie takich samych pięter, rozpoznawalnych jedynie po nazwach ulic i numerów domów: co najmniej przez godzinę miałam je po bokach samochodu, wydostającego się z blokowisk na rogatki. Koszmarne, wielopiętrowe, za wysokie, żeby je nazywać kamienicami, za niskie, żeby mówić o drapaczach chmur. Mrowiska. Dzień eksponuje ich brzydotę, a noc grozę. To też byłaby sceneria na „Staikera“.

Jestem ze wschodniej Galicji, zawsze mnie intrygowały podola, pokucia, zadniestrza, zadnieprza, zakarpacia. Przecież i tych sto osiemdziesiąt dolarów lekką ręką dałam na sprawdzenie, czy się gdzie nie znajdzie prowincja Rotha, Babla, Pruszyńskiego... Chyłkiem, bokiem coś się zawsze uchowa na wertepach świata. Bułgarzy wożą gości do Bałcziku, w którym minarecik biały jak koszula na niedzielę zadaje egzotyki w miasteczku głuchym i niedbałym, drewnianymi czeluściami sieni otwartym na niebrukowany rynek. „Jak w Berdyczowie albo w Żydaczowie“ - wykrzyknęłam z ogniem. Kijowianin Jura przytaknął mechanicznie, po czym zdumiał się: „To byłaś?“ Nie byłam, wtedy jeszcze nie.

W Kamieńcu wypada rzucić okiem, gdzie nam zginął pan Wołodyjowski... Swoją drogą ciekawe, co zostałyby do dzisiaj z zamku, gdybyśmy mieli słabsze poczucie honoru.

Nie za przyjemne wrażenie robią rozległe mury, sterczące nad urwiskiem jak białe kikuty. Między nimi snuje się wycieczka. Zatrzymuje mnie kobieta, której wieku nie umiałabym określić, dziwna osoba, jakaś nieprawdziwa w tym swoim, chciałoby się powiedzieć, przebraniu za proletariuszkę. Ręce zmacerowane pracą, twarz rasowej inteligentki. Zaczynamy rozmawiać. Jej polszczyzna jest słaba, co jeszcze nie przesądza o narodowości.

- Pani tutejsza? - nic oryginalniejszego nie przychodzi mi do głowy.

- Gdzieś się trzeba było urodzić.

- Polka?

Uśmiecha się. Nie odpowiada. Ja, znowu swoje: - Skąd pani pochodzi?

- A, już sama nie wiem.

Śmieje się. Widzi, że nie wierzę. I po chwili: - W Polsce już jest dobrze, prawda?

- No, rozmaicie.

- Ale da się żyć, proszę pani?

- To z pewnością.

- Aha... czyli macie dobrze. Chwała Bogu, chwała Bogu. Przynajmniej żyjecie.

- A tutaj?

- Tutaj: co? - udaje, że nie zrozumiała.

- Jakie pani miała życie?

- Nudne było.

- Czyżby?

- No tak. Za długie.

Uśmiezek. I pobłażliwy rozbawiony wzrok osoby, która dobrze wie, że nie dzieli się doświadczeń. Nie wytrzymałam, naciskam: - Nic mi pani o sobie nie opowie?

Zachmurzyła się. Od razu obca, nieprzyjemna.

- A idź, ty...

Gwałtownie wstaje, odchodzi potrącając mnie niby to nie naumyślnie.

Malowniczy, ale wściekle stromy ten Kamieniec. Zadyszana wracam z resztek posienkiewiczowskiej twierdzy. Chyba nikomu od nas inaczej tu się nie pomyśli. Ruiny nawet zadbane, lecz na to rady nie ma, że więcej z Kamieńca Podolskiego zachowało się w trylogii niż w kamieniu.

W ładzie cisza. Coś zaszło - naradzili się pod moją nieobecność? Bo zatroskany Emil wychodzi mi naprzeciw i komunikuje, że Władziu źle obliczał, tyle tych kilometrów narobiło się, a droga jaka szkodliwa dla maszyny... Ja, chłodno: o drogach Władziu wiedział, mapę dostał, źle nie płacę. Emil: źle to nie, tylko mało. Władziu czeka w ładzie, uroczysty, tragiczny. Nie odzywa się. I nagle: proszę bardzo, on może nie wziąć pieniędzy nawet za benzynę, on w ogóle nic nie musi, tak źle jeszcze nie jest... Podkłócamy się coraz mniej zobowiązujące, już tylko dla przyzwoitości. Konflikt zażegnany. - Fajno, zaiwaniamy - cieszy się Legowicz. Teraz on za szofera. Poklepuje kierownicę, jak strudzonego konia. Jedziemy. Władziu smutny, chyba przestraszył się, że wezmę serio jego pochopną deklarację w kwestii niepłacenia.

Im bardziej Podole, tym więcej pogórza. Podole... Przewrotna nazwa. Kulminacja pejzażu jeszcze ze trzysta kilometrów stąd, na Bukowinie, w Mołdawii, przypominającej Walię, ale piękniejszej, niemniej wyszłam na swoje, bo za Kamieńcem wyraźnie już ta ziemia, którą dobry Pan Bóg rozkołysał, rozhuśtał i zatrzymał w pół ruchu. Gdybyśmy nie zrezygnowali z Iwanowki... Legowicz pokomiotki, boży się, że on tylko mapy posłuchał, że chciał dobrze dla mnie. Mapa nas zmyliła. Nas!

Żał mi tamtej dzikiej, wspinającej się jarami drogi. Wyżej rozlewisko zbóż, przestrzeń, po horyzont olbrzymie strome łąki. Podole: ziemia jak znieruchomiałe morze. Z rzadka chutory, przykryte ręcznikami sadów. Całych dwadzieścia lat temu byłam na znacznie głębszym Podolu i coś niecoś wiem o wspaniałej urodzie Ukrainy. Z Mohylewa Podolskiego do

Kiszyniowa po drogach pięknie, ale bezskutecznie anonsowanych kierowcom jako „horde“, harde, dawno temu wiozł mnie do Kiszyniowa pan Sienkiewicz. Zawijał autobusem jak bryczką na weselu. Od razu przy wyjeździe były z nim kłopoty. My już w autobusie, on jeszcze u dyżurnego. - Zachoditje, Sienkiewicz - niecierpliwił się kontroler. Wreszcie wsiadł, duży, tłusty, w przepoconej gimnastorce. Jechaliśmy wzdłuż Dniestru. Wracalam z Jampola. Coś mi się jednak nie wydaje, żeby ten Sienkiewicz czytał Sienkiewicza.

Ależ to piękny kraj. I nieszczęśliwy, od zawsze. W kajdaniarskim „związku republik swobodnych“ zamorzony niechlujną fabrycznością, struty radiacją, wytrzebiony z czamoziemu. Ukraina: mocny przykład, ile potrafi przeciw sobie zdziałać człowiek. W potencjalnym spichrzu Europy zrujnowano rolnictwo. Podobno tę świetną ziemię, o której powiadało się: urodzi, byle nie przeszkadzać, nawet mniej zniszczył priorytet przemysłu, sobiepana depczącego wszystko co na drodze, niż orka, tak jest, traktorowa orka na głębokość morderczą dla lessowych gleb.

Tamtą odległą, pierwszą moją Ukrainę dzielę na kolory. Jasnopopielaty, biały na mglistej podszewce: Odessa. Do jaskrawości biały, wyelegantowany, z cerkiewną pozłotką: Kijów. Martwa wapienna schludność świątyn i zieleń grubym cieniem po cichoczamej Desnie: Czernihów. Ta wielka i wyglądająca na ospałą rzeka ma swoje ciemne drogi, maskuje ją widowiskowy bór. Półpolesie, północ Ukrainy. Zieleń nad Desną jest mroczna i puszysta, trochę boeklinowska. Zachwycała Dowżenkę, porównywanego z Eisensteinem, chociaż kto dzisiaj pamięta o Dowżence?

A w stronę Dniestru zupełnie inne lasy, klarowne, podszyte czystym światłem zagony pływów dębów.

Pobyć tutaj, nacieszyć się wielkim pięknem tej ziemi. Bo co my wiemy o Ukrainie? Z obszaru - dwie Polski, z ludności prawie że półtora. I tyle, tyle lat wspólnoty w nienawiści. Do poduszki Ogniem i mieczem, do zamyślenia się - Zarudzie.

Gdy z Rzeczpospolitą było źle - zwoływała Kozaków do wojska, miała nadziejami. Zagrożenie się kończyło, żołąd niewidzieli. I znów przychodziło być chłopami, cierpieć niebываły wyzysk. I odpłacać za krzywdy. W tym Polacy nie pozostawiali dłużni. Samoił Węlyczko opisuje Ukrainę po pacyfikacji w 1654 roku: „Widziałem wiele grodów i zamków bezludnych i pustych, schronisko dzikich zwierząt. Widziałem pola i szerokie doliny, lasy, sady, rzeki i stawy zapuszczone, mchem i trawą porośnięte. Widziałem po różnych miejscach ludzkie kości, suche i nagie“.

Mało co w ich historii obeszło się bez polskiej ręki. Pierwszą wspólnotę kozacką, pierwszą Sicz, zakładał książę Wiśniowiecki. Oczywiście nie Jeremi Wiśniowiecki, tylko Dymitr, w którym ostatni z Jagiellonów chciał widzieć obrońcę u k r a i n y, a który dał dobitny przykład sobiepaństwa. Politykował z Rzeczpospolitą, wysyłał posłów i do cara, i do własnego króla... To była postać! Zamierzał w sojuszu z Polską (!) oraz Rosją rozgromić Tatarów. Wreszcie, po nieudanej wyprawie na Mołdawię wydany sułtanowi przez swoich Kozaków (co nie przeszkodziło legendzie; śpiewali o nim pieśni) zginął z tureckiej ręki tak, jak ginęli później Kozacy z ręki Jaremy, i jak się umierało w tamtych strasznych czasach również z rozkazu siczowego atamana na Wyspie Monastyrskiej, na Małej Chortycy czy na Bazawłuku. Wbity na hak - powtarzam za Beauplainem - „... za żebro uwiązał i tak oczyma się obrócił ku górze, przeto był żyw do trzeciego dnia, gdy go Turcy zastrzelili z łuku...“ Nie z litości zresztą. Przeklinał Mahometa, co na jego szczęście poruszyło wyznawców proroka.

Rzeczpospolita właściwie nie miała wyraźnej wschodniej granicy - z tym bałaganem porządek zrobił dopiero pierwszy rozbiór. Na upartego można tamtej niegdysiejszej kolosalnej Polsce przypisywać ziemie - de facto - niczyje, bo bezludne. Przecież Kamieniec Podolski, Kaniów, Czerkasy - to już był koniec osiadłego życia, Zadnieprze urywało się za Czernihowem. Jeszcze w XVI stuleciu za u k r a i n ę uchodziły dwa województwa, kijowskie i braclawskie. W XVII doszło czernihowskie.

Na Dzikich Polach kryli się uciekinierzy, ludzie o temperamentach dalekich od franciszkańskiego. Pola były dzikie, a ludzienieczyi. Ten osobliwy, pełen nie zawsze w końcu złych niespodzianek i zaskoczeń, spięty rytm życia przytrzymywał. Zostawali na zawsze, spici i horylką, i stepem.

„Ludzie swawolni“, jak ich określa dziejopis, chadzali i na Tatarów, i na Turków pod magnacką komendą, z Potockimi, Zbarskimi, Koreckimi. Historia ówczesnego kozactwa jest burzliwa, zlaną krwią, ozłocona łupami. Już nie nadaliby się do zginania karku ci doskonali wojacy, którzy potrafili na czajkach dopłynąć do Konstantynopola, zburzyć latarnię morską i ująć tym łatwiej, że nie odważono się ich ściagać, mimo okrętów w porcie. Wrócili na Sicz czy rozbiegli się po stepie, przycichli w kryjówkach na słabo dostępnym rozlewisku Dniepru. Poniżej porohów starczyło miejsca dla dwustu sześćdziesięciu wysepek! Między nimi spore. Było się gdzie urządzać. Pisał Beauplain o siczy na Bazawłuku, następczyni zniszczonej Wyspy Klasztornej: „Dniepr może mieć tu milę szerokości. Cała potęga turecka nic z Kozakami w tym miejscu dokazać nie może“.

Czy porohy były do uratowania? Raczej nie, zwłaszcza w czasach barbarzyńskiej (i nie tylko w Związku Sowieckim) hegemonii gospodarki nad urodą świata. Z opisu pozostawionego przez Beauplaina, wynikałoby, że mieliśmy na Słowiańszczyźnie Niagarę. „[...] Trzeba sobie wyobrazić łańcuch skalistych kamieni, zagradzających w poprzek całą rzekę: niektóre z nich ukryte są pod wodą, inne sterczą nad nurtem [...] tak jak duże domy, i tak blisko siebie, iż zdają się być groblą [...] z niej to spada rzeka, z różnej wysokości [...]“. Ciekawe, czy na tej atrakcji turystycznej Ukraińcy nie zarobiliby lepiej, niż na ujarzmieniu Dniepru.

Kozactwo: dzikość i dyscyplina. Swoboda i musztra. Zaporozcy uczestniczyli w wojnach regularnych oraz w tych prowadzonych na własną rękę przez magnatów. Pod Chocimiem bezspornie przyczynili się do uratowania Polski. A potrafiono traktować ich haniebnie. Już pod berłem Zygmunta Starego -czyli w czasach względnej zgody - przecież nie wypłacono im żołdu. Co stało się nagminne. A już za silni byli i zbyt świadomiswej żołnierskiej wartości, by uginać kark. Do niepoliczonych w naszej polityce - i taktyce państwowej - błędów należy unia brzeska, która jedynie zaogniła wrogość. Przyszedł wiek XVII, a z nim potężniejsze nastroje antyszlacheckie, rebelia Nalewajki, Huni, wszystkie bezprawia walk o prawa czerni. Już otwarta - i na zawsze - wojna.

Historia Ukrainy jest widowiskowa, obfituje w akcje z filmów szpady i miecza. No, i z filmów grozy.

Pokora nie leży w tradycjach ukraińskich. Tutejsi chłopci stawali się chleborobami bardzo późno i nigdy bez oporów.

To jest plebejska historia, gwałtowna, malowana ostrymi kolorami. Na tej ziemi, jeśli chata przetrwała dziesięć lat, to już było długo. Pod koniec XVI wieku w nieprawdopodobnie

krótkim czasie - starczyło pięciu lat! - o jedną trzecią zmalała liczba wsi podolskich, zniesionych z powierzchni ziemi przez Tatarów. Mimo to zwiększał się dysonans społeczny, potężniało jaśniepaństwo. Nasz Sienkiewiczem uświęcony ulubieniec, Jeremi Wiśniowiecki, harówce dwustu trzydzieści tysięcy poddanych zawdzięczał sześćset tysięcy złotych rocznego dochodu. Ówczesnych złotych! W tym celu trzymał pod batogiem trzydzieści osiem tysięcy gospodarstw chłopskich i mieszczańskich. Majątki magnaterii niejednokrotnie były większe od królewskich. Można mówić o zawrotnych fortunach Ostrogskich, Zasławskich, Sanguszków, Czetwertyńskich. Tylko na jednym z podległych sobie obszarów, w samym Braclawskiem, sto siedemdziesiąt miast, siedemset czterdzieści wsi miał Stanisław Koniecpolski. Dobre nazwisko do już wtedy nieodległej sytuacji.

Minęły czasy, kiedy osiedlając się na Ukrainie chłop mógł liczyć nawet na kilkanaście lat wolnych od podatków. Między 1570 a 1630 rokiem wymiar pańszczyzny wzrósł dwukrotnie. Na pańskim przychodziło już pracować nawet przez pięć dni. Strach pisać o niesprawiedliwości społecznej, bo to dzisiaj niedobrze się kojarzy, ale pozostaje faktem, iż z tą kwestią autor Ogniem i mieczem obszedł się dość beztrąsko. Portret „Jaremy“ jest żelgany, akurat ten potentat jako wzorzec cnót polskich powinien ością w gardle stawać admirałom naszej arystokracji, do której na każdym kroku odprawia się dziś histeryczne nabożeństwo.

Posądzeń o komuchowatość wyraźnie nie bał się pewien raczej popularny u nas Francuz, na którego powołuje się w swym szkicu Rzeczpospolita obojga narodów: a gdzie wtedy był ten trzeci?, zamieszczonym w ukazującym się od kilku lat, bardzo ciekawym kijowskim periodyku „Polityczna Dumka“, Wołodymyr Skuratywskyj. Po sympatycznej (a nie jedynej pośród miłych polskiemu uchu) konstatacji: „Od okresu wczesnego baroku aż do czasów Młodej Polski, teatru Wyspiańskiego i muzyki Lutosławskiego, polska elita odnosiła sukcesy w tworzeniu jednej z najświetniejszych tradycji kulturalnych w Europie... - zimny prysznic - lecz nie powinno się zapomnieć, iż w 1944 roku Charles de Gaulle bardzo tolerancyjnie spoglądał na lubelski rząd komunistyczny, który według słów przywódcy „Wolnej Francji“ dokonał tego, co Francja przeprowadziła u schyłku XVIII wieku - ofiarował chłopom ziemię“. Cytat nawiązujący do opinii Skuratywskiego, że ta sama Polska, której elity za panowania Zygmunta III tak szybko i chętnie przyswoiły sobie idee libertynizmu na użytek własny - zupełnie inną miarą mierzyła sprawy położenia chłopstwa zarówno polskiego jak ukraińskiego, aprobując i kontynuując sytuacje dające się przyrównać do „kolorowego“ niewolnictwa w postkolumbijskiej Ameryce.

Przeszłość i tu zgrzyta. Autor na jednym oddechu wymienia jako dowody negatywnego stosunku Polski do ukraińskość i położenie Ukraińców w unii polskolitewskiej i... akcję „Wisła“. Obydwie te sprawy uważa za „nieomyślne znaki traktowania kwestii ukraińskiej jako drugorzędnego historycznie elementu“.

Wróć do tej nadal bardzo - aż za bardzo - żywej kwestii w rozdziale Lachy i rizuny. Pretensje ukraińskopolskie są efektem stuleci, i jeszcze wciąż zdarzają się podejrzliwości. Kiedyś popłynęłam do Kaniowa Dnieprem. Dwie, jeśli nie trzy, godziny ślizgawki po szerokiej wodzie. Sąsiadka w „rakiecie“, prowincjonalna nauczycielka, inteligentna i dosyć oschła, jakby czytała w myślach, bo pyta, czy już byłam w Humaniu. A dlaczego nie byłam? Przecież tam te ogrody, te polskie pamiątki.

Starsza pani nalega, czemu wybrałam się w stronę dla mnie obojętną (tak się wyraziła), a nie do Humania? Przy czym ten Humań, przez Rosjan Gumaniem nazywany, w jej ustach brzmiał jak Umań. Odparłam najzgodniej z prawdą, że gdyby czas pozwolił, popłynęłabym tym

statkiem i do Zaporozża, ponieważ interesuje mnie krajobraz Ukrainy. Popatrzyła nie przekonana.

- Ale o Potockim pani słyszała, prawda? Jego się tutaj pamięta.

Wzięci w krótkie cugle przez Katarzynę II, Zaporozcy wydali na siebie wyrok wspomagając rebelię. W rewanżu caryca zabroniła im nawet nazywania siebie zaporoskimi Kozakami. W 1775, po śmierci Pugaczowa - kres Siczy. Ale klamka zapadła wcześniej, już w Perejasławiu.

Za sowieckich czasów stał tam nieduży, niski, wręcz niepokazny na wszechobecnym tle monumentalizmu granit z informacją, że w tym miejscu w roku 1654 pojednały się narody ukraiński i rosyjski. Miejscowe (albo i nie miejscowe) władze dość powściągliwie obeszły się z tym faktem. Jakby go nie chciano nagłośnić. W historycznym Perejasławiu nie było nawet pomnika Chmielnickiego, z lepszym traktowaniem hetmań spotkał się dopiero w stolicy republiki, czyli pod wyjątkowo dobrze strzeżonym adresem. Tu wspiał się na cokół w postaci buńczuczego jeźdźca zdzierającego rumaka nad zagonem tulipanów, służąc do fotografowania gości. Nie stanowiłam wyjątku, i włączono nas na białoczarne zdjęcie: zbuntowanego szlachcica, konia w paradnym skoku, a z żywych - mnie i tulipany. Dostałam też prezent, album z reprezentacyjną informacją: „Bohdanu Chmelnyćkomu, jakyj oczoływ wyzwolnu wijnu (16481654) ukraińskoho narodu proty szlacheckoj Polszi i ruch za wozzjednannia Ukrainy z Rosijeju“. Niezamierzonego (choć, ktowie?) wdzięku dodawała pamiętce scena, odfotografowana w którąś z nielekkich rocznic pojednania. Chmielnickiego obtańcowywał krąg krasnoarmiejców, wirowali w prysiadach pod spiżowym kopytem.

Perejasław dla Ukraińców skończył się fatalnie, ale to ich wiedza późniejsza, wtedy - wybawieniem od Polski była tylko Moskwa.

Jedziemy przez Płoskirów, obecnie: Chmielnicki. Przez Jarmolińce. No tak, to już szlak Zagłoby. I gościniec, jak za jego czasów. Pokonanie piętnastu kilometrów zabiera pół godziny. Pomoc drogowa, tutaj? Przejechawszy kilkaset kilometrów, nie zauważyłam ani jednej stacji obsługi czy niechby budki telefonicznej. Na gościńcach - pustka, przez dwa dni nieomal bezustannej jazdy spotkaliśmy może pięćdziesiąt wozów, głównie ciężarówek. Gdzie indziej większość dawno poszłaby na złomowisko. Jak to się dzieje, że jeszcze jeżdżą - nie wiem. Kierowcy też nie wiedzą.

Wyboje jak krater, ale nie mniejszy problem stwarza brak znaków drogowych. Skrzyżowania, rozjazdy - bez tablic. Pewnie na zasadzie: a po co, swój i tak dojedzie. W każdej wsi parokrotnie zatrzymujemy się, by wysłuchać skomplikowanych objaśnień: přímo... i w prawo... i w liwo... i jeszcze přímo, přímo... a tam znowu spytacie...

Zaiwaniamy do Gródka Podolskiego. Tu - jak w dym - pod seminarium. Znow ta zachwycająca, niegdysiejsza gościnność. Panie Hermińska i Zagórska (z domu Zagorowska), działaczki Federacji, oczekują nas z kwiatami, z butelką dobrego wina i pudełkiem czekoladek. Polskich... Toż to majątek! Po długich i niełatwych pertraktacjach przyjmuję tylko kwiaty, ku gorzkiemu zawodowi Władzia oraz Legowicza. Już tego się nie spodziewali. Nawet po mnie.

Spóźniliśmy się haniebnie, panie czekają od wczoraj. A to nie było telefonu? Może i był, ale lepiej zaczekać. Jakby się co odmieniło, przyjeżdżamy... i co? Drzwi zamknięte?

Dobijalibyśmy się, uspokajam. Zresztą, noce już ciepłe... Panie ze zgrozą: Pod gołym niebem miały nas zostawić? Bez pierzynki? Bez kolacji? Chyba ja żartuję!

Rozmowa grzeczna, o niczym. Jak nam się jechało? Emil, szybko: mapa była niedokładna, błędziliśmy jak durni...

Przy smacznym obiadku uskarżamy się księdzu Franciszkowi, który zaraz pyta, czy wolno żarcik powiedzieć. Bo to teraz tak się porobiło, przedtem ludzie nie błędzili, przeciwnie, w każdej miejscowości Lenin z pomnika wskazywał kierunek: tędy, towarzysze... tędy...

W samym Gródku nie będziemy mieć kłopotów, trwa ulica Lenina, zdobna w jego pomnik. Wcałe świeży, sprzed ośmiu lat. Przy Leninie, ramię w ramię, ale na własnym podeście, Matka Boska, z uniwersyteciem w tle. Można odnieść wrażenie, że się pogodzili i tak sobie stoją, nie wadząc nikomu nad sennym Smotryczem.

Seminarium gródeckie, czynne od niespełna pięciu lat, kształci sześćdziesięciu ośmiu kleryków. Drugie rzymskokatolickie seminarium na Ukrainie - kijowskie - funkcjonuje od roku. Doszło trzecie, pod Lwowem.

Chmielnicka obłast', misto Horodok, Prowułek Pionerskyj nr 14: tak trzeba adresować pocztę do księdza Franciszka. „Nazwisko moje Harasiewicz, a znowuż ksiądz rektor seminarium tutejszego - Jan Ślepowroński. Tak to wygląda“.

Cichutki, drobny, uśmiechnięty. Maniery dyplomaty.

Lenin odegrał rolę w osobistym życiu księdza Franciszka. Gdy w 1972 władze chciały przenieść kapłana za Płoskirów, pod pomnikiem zebrał się kilkusetosobowy tłum, zagrzmiął krzyk: „Lenin, oddaj nam księdza“. I pomogło.

Wielu Leninów w środkowej, a co dopiero na wschodniej Ukrainie. Poprzedniego minęliśmy w Kołomnej, nieopodal niezapomnianej Iwanowki. Wjazd do jeszcze innej wsi przyozdabiał obelisk z sierpem i młotem. „Na zachodniej to już niemożliwe“, uspokajają księża. Też z tym różnie, choć generalnie „zachidnia“ przestawiła się na inny zegar, żyje własną pamięcią. Wątpię, czy się pogodzimy w jej ocenie.

Tak blisko, tak daleko. Ostatnia miejscowość przed dawną granicą - Skała Podolska. Tam jeszcze trwają rachityczne chałupki ze szparkami okien i brzuchate balkony na chudych kamieniczkach. Bardzo niegdysiejsza jest ta Skała, budowana bez ładu i składu, jak się komu w duszy grało, rozrzuciona, rozbałaganiona po skarpach, z drogą gwałtownie w dół, z nieoczekiwanym widokiem na polskie ruiny i ukraiński pomnik. Mam to w oczach: zakręt, ogromne, półrówninne pola i obok resztek po zamku, po pałacu, w każdym razie po czymś, co zanim przeinaczyło się w gruz, musiało być polskie - obelisk. „Wiczna pamiat“, ufundowana ofiarom bolszewizmu przez „Wseukrainśkie bractwo wojakiw UPA“.

Więc Skała Podolska, drugi wstrząs po Zbarażu. Tam wspaniały kościół w ruinie, tu szkielet świeckiej świetności. Już się z martwych nie podniesie. Na Ukrainie można się przekonać, jak wstrząsająca bywa śmierć kamieni. Szczególnie tych zabijanych nie z biedy. Z intencją. Lęk ogarnia, gdy naród - każdy! - wyzbywa się świadectwa wieków. Tak na dobrą sprawę - o czym świadczy strach przed „cudzą“ kulturą? Czyżby własna była tak niedoceniana, by się lękać porównań? Bolesnym przykładem Lwów. Ukraińcy jakby wciąż nie byli pewni swej drugiej

stolicy. Architektura mówi za siebie i nie po ukraińsku. Odpolszczyć Lwów - znaczyłoby: zburzyć go. Inny sposób nie istnieje. Zatrzymując miasto, Ukraińcy załatwili sobie cięższy kompleks niż we Lwowie przedwojennym. Gdyby rzeczywiście czuli się tu u siebie jak w Kijowie albo Żytomierzu, nie byłoby aż takiej koncentracji akcentów jednak stonowanych na wschodzie republiki. Siły nacjonalistyczne skoncentrowały się we Lwowie. Sporo ludzi przy władzy żyje złudzeniem, że te mury dadzą się zakrzyczeć.

Tak daleko, tak blisko... I już Zbrucz, leniwa, mała rzeczka. W tym miejscu - po drodze z Gródka Podolskiego do Trembowli - nieomal przeskoczyć można było tasiemkę ciemnej wody. Zbrucz między Kamieńcem a Trembowlą jest tak wąski, że żołnierz z KOPu z ich pohranicznikiem mogli sobie nad tą spokojną i powolną wodą podać rękę.

Nie podali.

Gorzka wolność

Od Trembowli wyraźne „przysiadanie“ terenu, znak, że zaczęliśmy się rozstawać z płytą podolską. Po prawej intensywniejący w krajobrazie Wołyń. Sześćdziesiąt kilometrów do Równego. Wczesny wieczór, a ja czuję senność. Obezwładniająca. Ziewam do bólu szczęk. Co się dzieje? Pewno skok ciśnienia. Legowicz z Władziem też nieswoi.

Rano, wychodząc z domu - już we Lwowie - słyszę, że sąsiad zagania synka do mieszkania. Przeziębiony? A nie, tylko w Równem znów coś się wydarzyło i przedszkola nieczynne. Syn sąsiada urodził się dobrych kilka lat po Czarnobylu, zęby ma bez szkliwa, nadzieja w tym, że mleczne, więc doktor kazał czekać. Wspominam o wieczorze. Sąsiad fachowo: senność, tak, zgadza się. Chrypę pani ma? Mówię do Legowicza: „Jak się dobrze ściemni, trzeba spojrzeć w lustro, czy świecimy“. Żart, ale ze strachem na dnie. Było coś w Równem czy nie było?

Przecież bezustannie coś się dzieje, wracza Adamska. Podobno właśnie takie ostre i rażące słońce jak dzisiejsze, oznacza wzrost radioaktywności.

Waham się, co robić. Oglądać Lwów czy zostać w domu? Młody Adamski wyczuł mój brak zdecydowania, podpowiada: „Na pani miejscu ja bym został. My to co innego, nam już mało przeszkadza“.

Słoneczko jakieś rdzawe, złe i nadal mam ten metaliczny posmak w ustach. „Żeby jak najszybciej do Przemyśla“ - wzdycha Robert, tamtejszy kierowca. Optymista. De może być z Równego do Przemyśla w linii prostej? „Zawsze trochę dalej niż z Równego do Lwowa“. No, jeśli niespełna sto kilometrów wystarczy mu na pocieszenie...

Robert regularnie przywozi i odwozi prelegentów, finansowanych przez przemyski wydział kultury, więc Adamscy musieli słyszeć więcej takich rozmów.

Wstyd mi przed Adamskimi, tylko dlatego wychodzę, zanurzam się w nieprzyjemny, duszny, rozprężony dzień nagłego lata, w wynaturzoną majową pogodę ciężką od słońca jak głęboki lipiec. Na lwowskim bazarze wypatrzyłam tryzub. Mosiężny, odpucowany. Chyba zdjęty z drzewca chorągwi. Ciekawe, kto ją dźwigał i przeciwko komu.

Kupuję tryzub za dwa i pół dolara - drogo. Sprzedawca podekscytowany, żegna mnie jowialnym: „Niech żyje wolna Polska“. Odwdzięczam się dyplomatycznym: „Życzę, szczęścia na wolnej Ukrainie“. Rozstajemy się w przekonaniu, że zrobiliśmy dobry interes. Oby w bilateralnych stosunkach polskoukraińskich działało się podobnie.

Byłam u nich kilkakrotnie o różnych politycznych porach, w różnych miejscach w głębi kraju, i nigdy nie spotkałam się z niechęcią jako Polka, ale teraz to Lwów, we Lwowie życzliwość dla nas liczy się podwójnie. Na tym orzechu zadrży jeszcze kilka plomb w ich i w naszych zębach.

Lwów świadectwem, jak wiele trwałych śladów zostawiliśmy na kresach, i tu nasz kompleks - historyczny - zderza się z ukraińskim. Żywym. Za młoda, za obolała jest ich państwowość, żeby się umieli zdobyć na tolerowanie niechby pamięci o naszej odstuleci dominacji. Polska zatraciła swoją wielką przecież niegdysiejszą rolę w przekazie na Wschód kultury europejskiej. Nowe czasy. Pośrednicy już zbyteczni. Czy to było do uniknięcia? Może - pomimo wszystko - było.

Lwów up to date. Na Łyczakowie ulica Krzywonośa z szyldem w bukwach: „Magazyn SecondHand“. No proszę, czyli nie pomyliłam się w mojej twardej tezie, że nie ma fikcji, która sprostałaby rzeczywistości.

W śródmieściu potworny kurz. Przy Serbskiej rozwalają trzypiętrową kamienicę. W zagładzie domu jest coś nieprzyjemnego, zawsze, ale nie w tym rzecz. Przy Serbskiej egzekucja przeprowadzana bez firanki, żadnych tam osłon, plastiku. Dookoła aż biało. Nie ma czym oddychać, kilogramy brudnego tynku fruują w przesłonecznionym powietrzu, a nieopodal na skwerku ludzie obsiedli ławki, wypoczywają sobie, im to nie przeszkadza.

Snuję się po Lwowie, mijam uniwersytet ojca, potem na byłej Akademickiej bez powodzenia - nikt z zagadniętych nie mieszkał tu przed wojną - szukam miejsca po cukierni Zaleskiego, niesiona przez tłum całkowicie, najzwyczajniej spokojny i codzienny. Stało się? Nie stało się?

Jednak była informacja w polskim radiu. Do konsulatu wiadomość nie dotarła, teraz sprawdzają, telefonują. No owszem, był pożar, lecz niegroźny. „Niepromieniujący“. Po kilku dniach we lwowskiej prasie lakoniczna wzmianka, że w Chmielnickim (więc nie w Równem?) doszło do niewielkiego wycieku radioaktywnego, nie ma mowy o jakimkolwiek zagrożeniu.

„Nic nie było“ - to już nieraz słyszeli. Ukraińskie media wykluczyły radiację, a jednak we Lwowie zajęcia w przedszkolach zawieszono na dwa dni, splukiwano podłogi.

Stało się? Nie stało się? Ulice wymiecione z dzieci, poza tym bez zmian, i z niczyjego zachowania nic mi nie wynika. Spacerują sobie ludzie? Spacerują. Widać panikę? Nie widać. Czyli życie toczy się po staremu i bez obaw, świat się nie zawali. Odrana nic nie jadłam, ale nie mam odwagi na hot doga z kiosku. Świeże w nim jest chyba tylko napromieniowanie. Dziwne, ale ten mankament jakby mi przestawał wadzić. Szybko się zasymilowałam. Nieomal jak w tym rosyjskim reportażowym dokumencie z Czarnobyli, jeszcze za Gorbaczowa pokazanym w telewizji. Otóż są dwie prawdy czarnobylskie. Jedna, nagłośniona, o dramacie śmierci, druga, cichsza, o przekorze życia.

W reportażu sowiecki day after. Strefa skażona, ale nie bezludna. Iluś tam mieszkańców albo przyczało się i nie dało się ewakuować, albo też - wróciło. Chwałą sobie, żyją - niczego sobie, w sklepiku bez tłoku... Kamera ukazuje rybaków nad potokiem: no jakże, wiedzą, nie można nie wiedzieć. Był ogień, był wypadek, od razu krzyk się zrobił, gadanie o zagładzie, a jaka to zagłada, kiedy ryba żywa i oni z niej żyją. Od kiedy już łowią, i co: świecą? Chichot. Oko do kamerzysty. Zaśmiewają się, rozweseleni, że tak wszystkich oszukali, i milicję, i całą naukę.

Władza pilnowała, ale niektórym się udało. Teraz dopiero jest dobrze, mówią, nikt nie stoi nad głową, nie pogania, żyjesz, jak chcesz... Teraz się oddycha.

Pamiętam te sekwencje. Czarnobyłscy śmieją się z naszego popłochu, pokazują rybę - zdrowa, wskazują na siebie - zdrowi, więc o co chodzi, o czym my mówimy, niby gdzie jest to niebezpieczeństwo. Nie widać go. I na co to wmawiać narodowi głupstwa różne. Nauka światowa, zwracanie głowy... dzisiaj wszyscy mądrzy. A czemu ci uczeni nie wymyślą co zrobić, żeby ludziom lżej było?

I zęby w rybę. I zdrowy śmiech.

Dawno. Jest rok 1996 i lwowianka, Polka, konstatuje spokojnie, bagatelizująco: Słoneczko jaskrawe. Znowu coś się dzieje. Jak jest awaria w Równem zawsze mamy takie słońce. No trudno. Nic nie poradzimy. Trzeba żyć, wykorzystać każdą sekundę tego życia.

Rejteruję do mojej kwatery u Adamskich na poboczu Gródeckiej. Sowietci zostawili im ten domek i nawet nikogo niedokwaterowali, hołubiąc profesora politechniki, który po wojnie jednak nie repatriował się ze Lwowa.

Z ogrodu witają mnie Rex i Zagraj (jakież to niegdysiejsze! Kto dziś nazywa psa Zagrajem?). Przychodzi młody Adamski, zięć gospodarzy. Zgaszony. Stało się coś? A owszem. Ukradli dzieciom rowery. Dwa. - Dużo kosztowały? - pytam głupio, jakbym nie wiedziała, że tu nie ma nic taniego. Macha ręką. Miliony. Dopiero w kraju, w którym większość cen albo sięga miliona, albo go przeskoczyła, takie stwierdzenie brzmi naprawdę tragicznie. Adamski

psioczy na psy - właściwie od czego są, jeśli nie szczekają - ale trochę jego własnej winy też tu jest, nie zamknął na noc sionki. „Przedtem w lecie nie kradli, bo złodzieje jechali na Krym, na wakacje“ - mruczy Adamska.

Jej nieodosobniony punkt widzenia: przez czterdzieści pięć lat komuniści budowali, w trzy lata demokraci rozchąpali. Czterdzieści pięć lat: zachodniogalicyski rachunek. W głębi kraju przyjemność trwała dłużej.

W 1996 średni miesięczny dochód Ukraińca wynosił sześć tysięcy czterysta dziewięćdziesiąt dziewięć karbowanów, to znaczy: trzydzieści siedem dolarów i czternaście centów.

Fizyk, zatrudniony na lwowskim uniwersytecie, zarabia równowartość stu pięćdziesięciu dolarów miesięcznie, więc dużo. Co z tego, jeśli grudniowe pobory wypłacono mu w marcu, w dwa miesiące później czekał na pięć zaległych pensji.

Rzeczywistość ukraińska 1996: sprzątaczką dostaje (jeżeli dostanie, bo płace docierają z kwartalnym opóźnieniem) milion osiemset tysięcy karbowanów miesięcznie. Starczy na dwa kilogramy kiełbasy.

A jak się żyje przedszkolance? Na rękę dziewięć milionów karbowanów (z czego za gaz - cztery i pół miliona, za przedszkole dla córek - dwa miliony sześćset tysięcy, reszta do przejedzenia). Kilogram ryb - sześćset tysięcy karbowanów. Kilogram kurczaka - pięćset tysięcy. Ziemniaków - dziewięćdziesiąt tysięcy. Cukru - osiemdziesiąt. Chleba - pięćdziesiąt tysięcy.

Były urzędnik na kierowniczym stanowisku utrzymuje się z pięciu milionów, czyli stać go aż na sto pięćdziesiąt bochenków. Narzekać nie może, skoro sąsiadka - też emerytka - pobiera miesięcznie dwa miliony, za gaz i elektryczność ma zapłacić... trzy. Samotnemu dobrze, lżej umiera, mówią ludzie.

Poza dziećmi z przedszkola Luba Lewak wychowuje własne. W maju dowiedziała się, że jeśli w ogóle otrzyma jeszcze jakąś pensję, to najwcześniej w październiku. Nie na pewno. Przedszkola, które w Związku Sowieckim funkcjonowały bez przerwy wakacyjnej, zamknięto na lato. Na trzy letnie miesiące, posyłając personel na urlopy, rozumie się - bezpłatnie. Co najmniej kwartał do przeżycia bez wynagrodzenia - bo się nie pracuje, bez zasiłku - bo przecież się pracuje...

Za kilogram „rąbarki“, czyli mięsa z kością - czterysta pięćdziesiąt tysięcy. Surowej polędwicy - sześćset tysięcy. Wędzonej - już dwa razy tyle, dokładnie tysiąc dwieście. Kiedy tu wrócę, ceny w „papierkach“ przejdą do historii, zacznie się przygoda z hrywną, walutą wyczekiwaną przez Ukrainę, lecz nie przez Ukraińców. Polakom już przechodzi monogamiczna miłość do „zielonych“, ale tutaj ufa się wyłącznie dolarowi. Przecież w wielu kasach brak nawet „papierków“! Jeśli zakład pracy produkuje pończochy - płaci pończochami. Jeśli cukier - cukrem. Tylko z kim i na co wymieniać te nylony, słodycze, gdy cała okolica pracowała pod jednym adresem?

We Lwowie stanęła fabryka autobusów. Zamarł „Elektron“, zakład, w którym zarabiała dwadzieścia pięć tysięcy miejscowych i przyjezdnych, choćby z Mościsk blisko trzy tysiące. Kiedy im przestano płacić? „Ojoj, proszę pani, to już ze dwa lata - żali się nauczycielka, Tetryczowa. - Mąż jak wypije sto gram, to płacze. Ja taki młody mężczyzna i żebym co robić

nie miał... „Elektron“ stoi, bo rozpad Związku Sowieckiego pozbawił go kooperantów. Czy uzależnienie ukraińskiej gospodarki - całej! - od innych republik było zamierzone? Chyba tak. Piszę „chyba“, bo przy gigantycznym bałaganie, jakiemu równała się tzw. planowa gospodarka, z rezerwą podchodziłabym do każdego „na pewno“. W każdym razie - wyglądało to tak, że jeśli np. pudła do obudowy telewizorów produkował Lwów, to ekrany - Estonia, kineskopy - Łotwa. Monstrualny, a niezborny organizm państwowy zaciął się, dźwigał nadmierne i zbyteczne koszty, ale załóg to nie obchodziło, spokojnie szły do kasy po swoje nikłe, jednak gwarantowane należności. Było gdzie pracować. Było co jeść. Było co na grzbiet włożyć. Na upartego było nawet co oszczędzić. Za bramą martwego „Elektronu“ tysiące ludzi zrozpaczonych, z umiarkowanego - w najgorszym razie - niedostatku zepchniętych w jawną nędzę. Typowa sytuacja. Inaczej to wygląda w ocenach polityków, inaczej w odczuciu społeczeństwa. Kraj wygrzebie się z dołka, ale to kwestia jutra, a ludzie chcą jeść. Beczka prochu ta młoda republika.

W Polsce (odpukać) nie ma tradycji krwawej łaźni: na Ukrainie, owszem, jest. Więc jeśli tutejsi mówią: „To nie może tak trwać. Tu krew popłynie“ - mogą wiedzieć, co mówią.

Lewakowa czyta w moich myślach: „Pani się zastanawia, jak to jest, że my jeszcze żyjemy“. Ano właśnie: jak to jest? „Zjada się zapasy... Jak nie mam dziesięć kilo cukru, trzech paczek margaryny, to sama sobie jestem winna...“ Kręcę głową: „No dobrze, cukier poleży, ale kasza? Mąka? Jak długo? Robaki zjedzą“. Luba z pobłażliwością: „Nic się nie zalegnie. Nie zdąży. W tym tygodniu jedliśmy pierogi, rozumie pani? Dzień po dniu. Przez okrągły tydzień. A nadejdzie jesień, jabłka się zaczną... Jabłka mogą sporo czasu przetrwać. I widzi pani? Zima z głowy“.

To samo usłyszę i w Zbarażu, i w Gródku Podolskim. Że w domu muszą być zapasy, zawsze. Ludzie już nauczeni. Pamiętają: kto się nie zabezpieczył, nie przeżyje.

Lewakowa opowiada o swojej pracy. W przedszkolu numer 32 dzieci z nadczynnością tarczycy (po Czamobylu? - tak sądzi). Wspomina o dziewczynce ze zrujnowanymi nerkami i o dziecku w bliźnach. Jak to: w bliźnach? Odrzuca krótko i niechętnie, że to rezultat napromieniowania. Słabego. Mała żyje.

Chciała tym dzieciom zorganizować dwa tygodnie pobytu na lepszym powietrzu, pod Truskawcem. Nie znalazła sponsora.

Polska jawi się tutejszym jako druga Ameryka. Prawie że już mnie to nie śmieszy. Teteryczowa ma córkę na KULu. Trzeci rok polonistyki. „Dają stypendium dwa miliony trzysta tysięcy złotych, to nie zje, bo się chce ubrać...“ No tak, polska ulica różni się od ukraińskiej.

Dwa miliony trzysta tysięcy złotych - z pewnością nie majątek, ale porównać tę kwotę z pięciuset tysiącami karbowanów, pobieranych przez stypendystów na Ukrainie... I żeby to pobieranych! „Od czerwca 1995 nasi studenci nic nie dostali, nic“ - słyszę w maju 1996.

Pół miliona „papierków“, piętnaście bochenków chleba.

Lwów, szkoła polska. Trafiłam na egzamin konkursowy, od którego wyników zależy dopuszczenie maturzysty na naszą uczelnię. Dopada mnie nieznajoma kobieta, całuje, rozpaczliwie płacze, błaga żebym się wstawiła... no, u kogoś, tutaj w konsulacie, czy u siebie

w Polsce, u kogokolwiek, kto by pomógł córce. Tłumaczę, że nic nie mogę zrobić. Przynajmniej, ale mi nie wierzy. Znowu płacze. Głośniej. Wszystko przyrzeknie, wszystko odda za szansę dla dziecka. Polska, kraj mlekiem i miodem płynący, oaza ładu, zamożności... A córka nie zdała, bo jej brakło słowa. Jednego? Jednego. Widać jakieś trudne. „Przecież ona tu chowana, pani, cóż dziecko winne, że mu słów nie dostaje, z nami tak nie można...” Już nie prosi, błaga. Tłumaczę, że żadne ciemne siły tutaj nie działały, w komisji sami Polacy, konsul przysłuchiwał się egzaminowi, decyzja była zbiorowa, jednogłówna, więc z kim i o co pertraktować? „A skąd mnie wiedzieć, pani, skąd mnie wiedzieć“...

Sołżenicyn w swoim tylko z zamierzenia triumfalnym touree po powrocie spotkał się z nieprzychylnością Rosji, ale i na Ukrainie można lepiej zrozumieć mechanizm jego klęski. Co komu po wolności, jeśli w domu głodno.

Wolność, dajmy na to - słowa? A kogo to obchodzi w Mościskach, gdzie bez pracy zostali żywiciela rodzin, co po niej w Zbarażach, Gródkach, Iwanowkach? Otworzyły się bramy monstrualnego tagru. Wypuszczeni z więzień nie mają dokąd iść.

Chorują. I coraz trudniej o podleczenie. Coraz większe pieniądze bierze personel bezpłatnej (jeszcze) służby zdrowia.

Liryka wspominkowa: za rosyjskich czasów litr mleka kosztował dwadzieścia kopiejek, teraz - pięćdziesiąt tysięcy karbowanów... Na mieszkanie, owszem, czekało się przez kilkanaście lat, ale dzięki kredytom, pożyczkom łatwo umarzanym przez zakłady pracy można sobie było na nie pozwolić. Czyny nie podnoszone, latami. Szpitale - niedoinwestowane, przeładowane chorymi - jednak były. Szkoły, przedszkola - były. Rozbudowany system świadczeń wypoczynkowych - był.

Niebezpieczne są te odniesienia do wczorajszego dnia. Ale słodkogorzkie, buninowskie, nostalgiczne „niegdyś“ to nie w tym temacie, jakby powiedział Wałęsa. Nic rozśmieszającego we wspominkach, że przecież - źle nie było. Rezultat wyborów na Ukrainie - gdy przyjdzie do wyborów - okaże się zależny od wspomnienia: „Przedtem ja mogła jeden dzień nie dostać pensji i to był krzyk...” - Wszystko mieliśmy. Wszystko! - żarliwie zapewnia mnie Adamska.

Kiedyś moim kolegom, zwiedzającym kołchoz ukraiński, zaproponowano, żeby wejść do mijanej właśnie chaty. „Popatrzymy, jak ludzie żyją...” Wewnątrz był wyłącznie stół, stół gigant, uginający się od wszelkiego dobra. Przyjęcie w weselnym chłopskim stylu: półmiski kiełbas i ogórków świeżych albo kwaśnych, piramidy pomidorów, marynowane dynie, jabłka, drób na zimno, drób na gorąco, butelki z czymś wytrawnym, z czymś słodkim...

I żywej duszy. Wiadomo, wszyscy w pracy, a to stoliczku nakryj się - z czystego przypadku. Działo się już za Chruszczowa, ale jeden z biesiadników zapłacił za gościnność ciężkim atakiem choroby, bo miał kłopoty z nerkami, więc rozpaczliwie bronił się przed wódką, ale po przeciągłym: „Aa, to nawet za pokój nie wypijecie?” - zaraz chwycił za szklankę. Potem przez pół nocy ryczał z bólu, ale bał się poprosić o lekarza. Już słyszę ripostę Adamskiej: a mógł, mógł, bo nie musiał jemu płacić! I lekarstwa nie kosztowały!

W Kijowie prowadzone są, i to na dużą skalę, sondaże socjologiczne. Na pytanie „Czy podług ciebie dawniej życie było łatwiejsze?” - jeszcze w listopadzie 1991 ponad dwie trzecie ankietowanych dało odpowiedź twierdzącą. I dzisiaj sądzą podobnie.

To jest społeczeństwo, w którym miesięczny dochód na rodzinę w 1994 wynosił jedenaście dolarów osiemdziesiąt trzy centy, w 1995 - siedemnaście dolarów siedemdziesiąt dwa centy. Jednak wśród Ukraińców w wieku produkcyjnym w 1995 było już czterdzieści dwa procent bezrobotnych, więcej niż przed rokiem. Prawie trzydzieści sześć procent rodzin obywateli żyło bez regularnie pracującego żywiciela. Na swoje szczęście Ukraińcy nie są wielodzietni. Przeciwnie. Na Ukrainie prawie nie widać takich rodzin (niespełna pięć procent). Przeważają małżeństwa z jednym dzieckiem, aczkolwiek najwięcej (blisko pięćdziesiąt dziewięć procent) nie ma potomstwa w wieku do piętnastu lat.

Z opinii tak zwanej ulicy: ktoś, kto za Breżniewa, i później, zarabiał sto pięćdziesiąt rubli, teraz bierze równowartość ówczesnych dwudziestu pięciu. No, trzydziestu. Sowiecka Ukraina miała wyższy poziom życia, niż sowiecka Rosja. Na wolności odwrotnie. Sporo ludzi jeździ popracować w Moskwie, bo jeśli tam wynagradza się ich stu pięćdziesięcioma dolarami, u siebie za to samo otrzymaliby może osiemdziesiąt. Jak jest w głębi Rosji -nie wiadomo, ale Moskwa sprawdzona.

Złe nie było. Osoba, której mąż przemęczył lata w łagrach, wpiera we mnie: „Kupowaliśmy. Żyliśmy. Było wszystko“. Inni przytakuja. W ich sytuacji pamięć nawet o sowieckich czasach sielanką trąci. Ileż to można było kupić... zaoszczędzić... Ówczesne nędzne sklepy jawią się jako składy wspaniałości. Na kąśliwą uwagę, że o papier toaletowy to jednak w rajach było raczej trudno, riposta: dzisiaj i tak zbyt drogi, nie ma po czym użyć. Jednym słowem, lepiej było w Związku Sowieckim? A że bym wiedziała. Dużo lepiej.

Inne są racje dysydenta, inne - prostego człowieka. Niewiara w zmianę, przygnębienie, apatia społeczna, to jest to, co jeszcze przeciwdziała ruchawkom. Ukraina nie podnosi głowy, bo ludzie nie widzą celu. Nie buntują się, gdyż nie wierzą, by mogło to coś zmienić. Na razie nie wierzą.

Tylko od czasu do czasu to spokojne, beznamiętne: „Krew się poleje. Prędzej czy później“.

Żadna tam euforia, konstatacja.

We Lwowie sporo imprez, chociaż nie dla wszystkich. Bilet do kina - dwadzieścia tysięcy karbowanów. Na koncert - od trzystu tysięcy do miliona. Jak ci młodzi sobie radzą? A jednak ulice są wesołe, wieczorami tłumy na eksAkademickiej. Pogodna masa źle ubranych ludzi. Lwów - uliczny Lwów - nie jest smutny. Jest niechlujny, zordynariał od złych tynków, ale smutny nie jest. To tylko takie nasze nostalgiczne wishfulthinking. Dla tych obecnych swoich Lwów, jak każdy Charków czy Żytomierz, obleci.

Przyjechałam do plebejskiego miasta. Dawna Akademicka trąci niedzielną wsią. Przy święcie ludzie - i nie tylko młodzi - przechadzają się, całymi rodzinami przesiadują na ławkach, w słoneczny dzionek pod niezmożoną zielenią bulwarów cieszą się nieświeżym powietrzem, oszczędnie żują pestki słonecznika, rzadziej hamburgery. Jest w tym coś z nastroju wiejskiej ulicy z jej rozleniwieniem, hałasem, muzyczką. Starzy na przyzbach, kawalerka przy opłotkach: święto. Na eksAkademickiej często odzywa się harmonia. Nowy Lwów celebrowa niedzielę, parzy się w słońcu jak w łaźni, wdycha gruby kurz. Tego tu nie brakuje, aż zgrzyta w zębach. A przecież Lwów - w porównaniu z wielomiamiastami po tej do wczoraj sowieckiej stronie świata - nie jest wyjątkowo zaniedbany, nawet zauważa się pewną dbałość o śródmieście, mizerną, bo mizerną. Licznym domom zagraża wyburzenie, mogą runąć w

każdej chwili, ale i tak nie ma porównania z katastrofalną, a dokładną rujnacją wszystkiego, co pałacowe, kościelne, więc po prostu: polskie na prowincjonalnej zachodniej Ukrainie.

Zatem Lwów nie jest smutny. Jest chłopski. Mój Boże, to akurat najmniej pasowało do Lwowa.

Zostałam ostrzeżona, by po zapadnięciu zmroku nie szwendać się po mieście. Milicja od dwóch miesięcy nie dostaje pensji. Tym wszystkiego bym nie usprawiedliwiła, amerykańska dostaje, a turystom na Times Square w biały dzień wydiera się portfele. No, ale na lwowskim dworcu kolejowym poczułam się jak na głębokim Bronxie. Tłumek niby to nie reagujący, senny, a spojrzenia aż pieką. Wszyscy tu wyglądają na podróżujących od tygodni, koczują tabunami, popatrują spod łba, taksują, znów drzemią wśród swoich tobołów. Czasem - nie za często - wrzask, szamotanina, bolesny płacz na dowód, że czyjś tłumoczek jeśli pojedzie do Polski, to z innym właścicielem. Zaciskam ręce na torebce, choć wątpię, czy by to pomogło. Bez kłopotu włączam się do rozmów. Nadia spod Borysławia ratuje się pracą w Polsce. Przyjeżdża na miesiące, zostawiając w domu dzieci. Chłopak ma piętnaście lat, córka o rok starsza. Radzą sobie, bo co mają robić. Dziewczyna już po szkole, nie pracuje, niby gdzie. Szkoły na razie nie zamknięto, chłopak jeszcze się uczy, a co później? Nic, odpowiada matka. Podsuwam: pójdzie na studia... albo jednak do pracy... Nadia zaprzecza ze spokojem, z całą naturalnością, jaką daje długotrwałe i nieodwracalne nieszczęście: nigdzie nie pójdzie. Nie będzie nauki, nie będzie posady. Tylko co - pytam trochę niespokojnie. Nie odpowiada.

Lachy i rizuny

Kiedyż to napisał Kisielewski (w „Kulturze“ paryskiej? chyba tam, bo gdzieżby indziej, wtedy), że Boże nie daj, jakie piekło zacznie się po rozpadzie Związku Sowieckiego, jaka sąsiedzka szarpanina o wszystkie sporne ziemie... a jak my wyglądalibyśmy, zatrzymując obszar dzisiejszej zachodniej Ukrainy? Czy nominalnie (bo nie etnicznie, zgódźmy się z tym wreszcie) polskie Podole, polski Wołyń nie zamieniłyby się w drugą Bośnię? Którą przecież - tyle że bez pogłosu w świecie - już przypominały w czterdziestych latach. Później doszły Bieszczady, Lubelszczyzna...

W powojennej Polsce zostało jakieś trzysta tysięcy Ukraińców. W dawnych granicach państwa zamieszkiwało sześć milionów, prawie sześciokrotnie więcej niż w ówczesnej Rumunii, prawie siedmiokrotnie więcej niż w Czechosłowacji.

Ukraina dla Ukraińców, Polska dla Polaków... tendencja do państwa jednolitego narodo-wo nie jest domeną prawicy. Realizowano ją również pod rządami komunistów. Przed Akcją „Wisła“, polegającą na deportacji Ukraińców z południowego wschodu na zachodnie i północne Ziemie Odzyskane, grubo wcześniej, już we wrześniu 1944, zdecydowano o przesiedleniu Polaków z Ukrainy do Polski - i vice versa. W przeciwieństwie do „Wisły“ ta przeprowadzka miała charakter w założeniu dobrowolny. Na sowiecką Ukrainę wyjechało ponad sto pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców wsi między Nowym Sączem, Przemyślem i Lublinem.

Ilu obywateli III Rzeczypospolitej przyznaje się do swej ukraińskości? Autor opracowania *Stereotyp Ukraińca w świadomości młodzieży Polski południowowschodniej* Jerzy Jestał z Instytutu Filozofii i Socjologii rzeszowskiej WSP konstatuje, że są wsie zamieszkiwane w połowie przez Ukraińców, z których w najlepszym razie co piąty nie ukrywa, że nie jest Polakiem.

W tych stronach religia automatycznie równała się narodowości. Katolik znaczyło zawsze: Polak. Stąd podczas Akcji „Wisła“ zdarzały się nawet masowe przejścia na obrządek rzymski, np. w Lesku proboszcz znieścacka pozyskał stu nowych wiernych...

Do dzisiaj nie wiadomo, ilu unitów zamieszkuje w województwie, ilu - w samym Przemyślu. Wiosną 1966 telewizja informowała, że Wielkanoc podług swojego kalendarza będzie obchodzić trzydzieści tysięcy grekokatolików. Metropolita nowo powstałej metropolii

przemyskowarszawskiej w dwa miesiące później mówił o stu tysiącach. „Polityka“ pisze o dwustu.

Dlaczego rzymscy katolicy tak ciężko dogadują się z grekokatolikami? Różnice głównie liturgiczne, w zasadzie tylko one, poza celibatem, bo spór o dogmaty to już z prawosławiem, rzadziej wyznawanym na południowym wschodzie Polski. Tymczasem walka unitów o własną świątynię w Przemyślu ma długą i przykrą tradycję. Władze peerelowskie - ponoć pod naciskiem Moskwy - proponowały przemyskim grekokatolikom cerkiew, ale prawosławną. Może strona sowiecka miała swoje widoki na poszerzenie strefy prawosławia jako wyznania w ówczesnych warunkach nie przeszkadzającego w tłumieniu świadomości narodowej Ukraińców, w ich rusyfikacji, podczas gdy grekokatolicyzm sprzyjał tendencji najdokładniej odwrotnej. Nie upierałabym się, że grekokatolikom brakło podstaw do podejrzeń, iż Episkopat stawia na sytuację, w której część unitów ulegnie i przychyli się ku prawosławiu, ale większość pozbawiona katolicyzmu greckiego - wybierze rzymski, po czym problem zgaśnie.

Nie zgaś.

Minęło trochę lat i w kraju, w którym jedynym niekwestionowanym autorytetem był papież - polski papież, w jednej z najstarszych polskich diecezji wybuchł skandal, owieczki pokazały zęby. Właśnie tu, w Przemyślu, w którym silne niegdyś lewicowe orientacje są już tylko historią, teraz i w gustach politycznych, i w lokalnych władzach dominuje prawica. Podczas wizyty papieskiej nasza telewizja robiła co mogła, by zatuszować nastroje, kamery starannie omijały tłum, wymachujący transparentami, skandujący hasła odległe od standardów brukselskich. To nie z przypadku papież nocował w odległym Lubaczowie, mając do dyspozycji cały pałac kurii przemyskiej. Chciał okazać dyzgust? Jemu chciano zaoszczędzić afrontów? Pewnie jedno i drugie. Tak czy siak w Przemyślu doszło do najmniej właśnie z tej okazji spodziewanego potwierdzenia, że w żadnym dzbanie ucho wieczne nie jest.

Daleko od „Zakierzonii“ i zagmatwań polskoukraińskich - w Sejnach - też okresami wybuchały, a bez przerwy ślimaczyły się zatargi o prawo nawet nie do własnej świątyni, tylko do własnych nabożeństw. Litwini chcieli się modlić i słuchać kazań po litewsku - Polacy nie ustępowali. Z tej okazji sejneńskie dewotki wykrzykiwały do swych sióstr w Chrystusie: „Wasza Matka Boska to szwenta krowa, a nie żadna Matka Boska“. Ujmujący przyczynek do bajd o polskiej tolerancji.

Rozkwita literatura nostalgiczna, mnożą się pamiętniki, mocno cukrujące prawdę o Kresach. Albumy, wystawy przyświadczać idylli, co to niegdyś... i zawsze... i na pewno... Spod piór i spod kamer niegdyś w ciepłych światłach zgody, tolerancji i poszanowania czyjejs odmienności. Czy tak było na pewno? Co o tym powiedzieliby jeszcze nie ukraińscy, tylkorusińscy posłowie, bezskutecznie dopominający się pod austriackim zaborem w lwowskim sejmie o swoje prawa językowe; i ukraińscy studenci, domagający się swojego uniwersytetu we Lwowie za II Rzeczypospolitej? Jak to wyglądało w odczuciu chłopów spod Śniatynia, mroźną zimą przepędzanych przez Zbrucz pod pałkami policji?

Polskie irracjonalizmy... Lata czterdzieste wykazały, jaką fikcją była rzekoma wspólnota. Miraż zgaś w potokach krwi, którą spłynął Wołyń i w zasadzie cała „Zakierzonia“.

Nie starczyło paruset wspólnych lat na zgodę, nie starczyło nienawiści na obcość. Baliśmy się ich i nie umieliśmy się bez nich obejść ani w polityce, ani w kulturze. Zadziwiająco

wymieszanie admiracji i pogardy. Nawet autor najdalszy od słabości do ryzunów, Sienkiewicz, nie ustrzegł się przed fascynacją, z którą chcąc nie chcąc wykreował Bohuna, o ileż ciekawszego niż nudny jak flaki z olejem jego aneks, Skrzetuski.

Kompleks ukraiński mruży do nas oko z literatury - od Słowackiego po Wierzyńskiego, od Yincenza po Kuśniewicza. W pisarstwie „wokółlitewskim“, może z zasługi historii, nie ma tych napięć, tych przemilczeń, zełgań, które wypełniają złoza minoderyjnych i megalomańskich wspomnień. Już i łyżeczki dziegciu pożałowano do beczki z miodem. Sztucznym. „Fascynacja ta bowiem trwa nawet u najbardziej zagorzałych antyUkraińców“ - zupełnie trafnie zauważa autor Atomami UPA, Edward Prus, którego zdaniem: „Nie zaszkodzi nikomu, jeśli obok zbrodni okrutnej będziemy mówić o dawnych kresach, o ich „ruskich“ mieszkańcach w kategoriach romantycznej, sentymentalnej zadumy, dumki i kolorowego obrazka folklorystycznego“. Zaszkozi, zaszkozi, bo ci „Rusini“ od dawna nie mieszczą się w obrazku.

Nigdy nie kochaliśmy sąsiadów - żadnych - ale to akurat jest powszechne zjawisko. Ma znaczenie intensywność niechęci, a w stosunku do Ukraińców daleko nam do obojętności. Badał tę sprawę doktor Henryk Pietrzak z rzeszowskiej WSP. Otóż przy wyborach negatywnych Polacy w pierwszej trójce - poCyganach i Rumunach - nieodmiennie lokują Ukraińców. To samo przy stereotypie „nieuczciwy“... „brudny“... „nie nadający się do kontaktów towarzyskich“... Ukraińcy też zaczynają od Cyganów i Rumunów, ale trzecie miejsce rezerwują dla Żydów.

„Straszy się dzieci Ukraińcom“ - konstatuje przemysłanin. Co mamy im do zarzucenia? Ze nacjonalisci. Nie lubiący Polaków. Niekulturalni. Skłonni do rozboju. Zaciekli. Mściwi. Zazdrośni. Fałszywi. Głupi. Materialisci. Ordynarni. Zaborczy. Pozytywne konstatacje prawie się nie zdarzają.

Ukraińcy też wyliczali głównie ujemne nasze cechy. Ich zdaniem: „Polak to człowiek wrogo nastawiony do Ukraińca, zadufany w sobie, nietolerancyjny, leniwy, przesadnie ceniący wartości narodowe...“Polacy dostrzegają ukraińską gościnność. Przywiązanie do tradycji. Solidarność narodową. Ukraińcy aprobują naszą zaradność.

Uderza brak przysłowia czy dowcipu o Ukraińcach, co wskazywałoby, że kształtowanie się stereotypu trwa. Również według socjologów wynika to w znacznej mierze „z zepchnięcia problematyki stosunków polskoukraińskich na margines życia publicznego“.

A tak, tu jest pies pogrzebany. Poza incydentami - z reguły niesympatycznymi incydentami - nie zauważamy Ukrainy, tak jak dawniej nie zauważaliśmy R u s i n ó w .

Opinie, które zacytuje, zostały ogłoszone na pierwszym posiedzeniu Sejmu krajowego galicyjskiego we Lwowie w kwietniu 1861 po formule: „Jako Marszałek krajowy dla królestwa Galicyi Lodomeryi wraz z Wielkim Księstwem Krakowskim, przyrzekam niniejszem w miejsce przysięgi Jego ces. król. Apostoła. Mości Cesarzowi wierność, posłuszeństwo, przestrzeganie praw i sumienne wykonywanie obowiązków moich. Tak mi Panie Boże dopomóż!“Ale już wtedy, po zachęcie biskupa Litwinowicza: „Panowie! wnoszę: niech żyje Najjaśniejszy Pan!! (Izba powstaje, następuje trzykrotny okrzyk: Niech żyje!!! Mnohaja lita!!!“ - wtrąca sprawozdawca) już wtedy, na tym pierwszym kwietniowym posiedzeniu pierwszego sejmu pod zaborem, pogłos niepogody. Obruszy się poseł ksiądz Pietruszewicz: „... słyszę, że tu się mówi tylko o jednym narodzie, ja zaś i ci, których tu

reprezentuję, widzimy naród polski i naród ruski...” (gwar i przerywanie - dorzuca sprawozdawca).

A choć poseł ksiądz Alexander Dobrzański apeluje: „Zastępcy ludu! [...] Adres ten obejmuje wynurzenie wdzięczności Najjaśniejszemu Panu oraz gorące żądania i życzenia nasze, które Monarsze przedłożyć trzeba. Taki adres powinien być jednomyślnie przyjęty. Nie targujmy się o słowa, nie bądźmy skąpi w wynurzeniu uczuć takich, bo nie możemy wątpić, że te spory dojdą do uszu Najj. Pana i cel adresu przeto chybionym będzie (oklaski)“. I chociaż na posiedzeniu po ostrej wymianie zdań -i złośliwości z naszej strony, to jest z ust polskich posłów w ripociście marszałkowi, który wzywa: „Kto jest za wnioskiem, aby protokoły posiedzeń sejmowych redagowano w obu językach, w polskim i ruskim, ten niechaj powstanie“, jednak rozum zwycięża, bo - powtarzam z książki adnotację przy stenogramie: „Wszyscy powstają. Okrzyk zgody i radości“ - to już na następnym posiedzeniu, prawie natychmiast, bo za cztery dni, 19 kwietnia, konflikt wraca tym razem pod pretekstem niezgody Polaków na odczytywanie protokołów z poprzedniego posiedzenia w obydwu językach.

Oliwy do ognia dolewa poseł Borkowski: „W ostatniej sesji było uchwalone, aby protokół prowadzić i w narzeczu ruskim -(głosy z prawej strony: w jazyku, w jazyku) - Powiedziałem w narzeczu i to jest wewnętrzne przekonanie moje“.

„Poseł xiądz Ginilewicz: To idę o toje, aby to samo szczo sia howoryt’ po ruski, buło w protokoli po polski i po ruski, i aby buło ohołszene.

Marszałek (przerywa): To jak już mówiono, przedwczesna kwestya, o tem dzisiaj obradować nie można!

(Głosy z prawej i z lewej): tak! tak! wezwać do porządku!“ „Po polsku...“ „Po ruski...“ Rozjątrzony wrzód. Prowokowaliśmy, obrażaliśmy, toteż demonstracja będzie się smużyć, wracać, jak w odezwaniu się „posła włościanina (z prawej) Laurynowicza Mikołaja: Choczu, abyście po ruski to skazały - bo po polsku ne rozumiju...“Rozumiał. Wszyscy oni tam wybornie rozumieli jedni drugich. Ale tu szło o dużo istotniejsze zrozumienie, o prawo do języka szło posądzonym za ledwie o narzecze.

Długie, burzliwe posiedzenie. Zajadłości narodowościowe, chucpa jaśniepańska, nienawiść klas. W dzisiejszej Polsce to niemodny temat, dzisiaj mamy passę tylko na krzywdy ze strony komunistów, więc oddaję głos notabłom innej ery. Wywodził w galicyjskim sejmie poseł Ziemiałkowski: „Skreślono tu bardzo wymownemi usty nędzę ludu wiejskiego, i nędzę tę przypisują jedni krzywdom przez większych właścicieli mniejszym wyrządzonym. (...) Panowie! jeżeli się działy nieprawości, jeżeli panowie robili krzywdę chłopom, to niech każdy z drugiej strony położy rękę na swem sercu i powie, czy chłopci panom swoim nigdy krzywdy nie wyrządzili?“ „Poseł xiążę Sanguszko: Chciałem to panowie powiedzieć, że słyszałem tu wiele głosów o biedzie i nędzy. Bieda być musi, jest to kara od Boga na ludzi rzucona: lecz jest sposób umknąć biedzie, a to jest praca. Kto chce pracować, będzie żyć bez biedy, a kto posiadając mało, koło tego starannie chodzi, będzie miał więcej, i lepiej na małym ruńcie wyjdzie, aniżeli ów, który posiada wiele, a z tem niedbale sobie postępuje...“ „Poseł Adam hrabia Potocki: „Panowie! I ja jestem posłem wybranym przez gminy wiejskie i mam sobie to za zaszczyt. Lecz wyznać powinienem, że inaczej rozumiem zadania posła. [...] Śmiem twierdzić że w całej Europie nie ma kraju, gdzie by przypuszczonem być mogło to, co tutaj wyrzeczonem było. Ciężka odpowiedzialność i kara

boża spadnie na to prawodawstwo pod którym tak monstrualna myśl rozsiewać się może, jak ta, którą poseł Szpunar wypowiedział. Poseł Szpunar uważałasy za własność publiczną. Czy wiecie, panowie, co to jest? To jest obalenie prawa własności, to jest obalenie tego, co jest podwaliną wszystkich społeczeństw...“Tenże poseł hrabia Adam Potocki: „[...] Od roku 1848 włościanie nasi uzyskali prawa obywatelskie, zostali postawieni na równi ze szlachtą, a następnie z woli Monarchy i imieniem kraju zniesiono wszelkie stosunki poddaństwa, jeżeli tedy rzecz sama już nie istnieje, i ani o powrocie tychże stosunków, ani o przywróceniu pańszczyzny mowy być już nie może, czegoż jeszcze chodzi po kraju jej mara, wywołana przez ludzi krajowi niechętnych, a chcących na jego szkodę utrzymywać rozbrat pomiędzy właścicielami większych posiadłości a włościanami? Panowie! Tę marę trzeba stanowczo i raz na zawsze pogrzebać [...]“.

Z kolei Rusin, poseł ksiądz Witwicki: „... my bolejemy nad losem naszym jak i Polacy, z tą różnicą, że wy od 100, a my już od 500 lat... To co was boli, to i nas boli - więc tylko równouprawnienie ludu, który na nas pracuje, pracował i pracować będzie (oklaski) trzeba popierać - a podstęp i sztuczki... (dla oklasków nie można słyszeć) jedność niech władza nami... (oklaski)“.

„Poseł xiądz Mogilnicki: Słowa popередnyka o myłosty sut nam dorohi, ale na słowach połahaty ne możem... my prosym szczyoby i skutki tej myłosty pereszły w czyn, bo sut szcze rany nezahojeni“.

„Xiążę Władysław Sanguszko: Żałuję bardzo, że nie mam tak wymownego głosu jak mój poprzednik, muszę tylko dodać, że jeżeliśmy w roku 1848 zrobili deklarację na korzyść włościan, żądamy w zamian za nasze dobre chęci: ażeby włościanie ze swej strony odpychali obmowców i niegodziwców, którzy obłudę sięją i lud bałamuca...“W ferworze sporu zapominali, że podobno się nie rozumieją. Ale pretensji nie dało się wygłuszyć, stary gwóźdź został w nowym sejmie, tkwił w każdym z nich, i kaleczył każdego. Cóż stąd, że sprawozdawca odnotowuje „huczne oklaski“ pokwestii posła Ziemiałkowskiego: „Przynajmniej tam, gdzie nam wolno, trzymajmy się razem bez różnicy stanów“.

Nie udało się stanom, nie udało się narodom.

Miły Boże, narzeczcie...

„Xiądz Ginilewicz [...] Panowie! naród ruskij bolszyj jak polskij, maje literaturu.

Marszałek: Do rzeczy, do rzeczy!“I później, mimo oznajmienia marszałka: „Dyskusya zamknięta“ - poseł Kazimierz Dzieduszycki zdąży wrzucić: „Im chodzi o język, chodzi o narodowość - dobrze, niech bronią ojczystego języka, niech bronią swej narodowości [...] atoli rzecz ta nienależy pod dyskusję Sejmu, jest to rzecz literatury i ludzi umiejętności, dyskusya o niej tu podjęta zabiera czas dla spraw żywotniejszych poświęcony - dla spraw, które każdego z nas zarówno obchodzą, i dla każdego zarówno są ważnymi - w ich własnym więc interesie upraszam, aby rzecz o narodowości i języku odłożyć na później, a teraz kiedy mamy radzić nad dobrem powszechnym nie trwoniąc czasu...“ I tak dalej, a im dalej tym niezręcznie.

Jakie to nasze, nieprawda? Polska nieuwaga, polska nonszalancja, krótkowzroczność...

„Dyskusja nie jest tu na swoim miejscu“. Gdyby była - i wcześniej, i wtedy, i później - może nie aż z taką siłą rozjątrzyłyby się wcale przecież nie zagojone jeszcze nastroje antypolskie.

Powtórzę za sobą z mojego Senni/ca galicyjskiego: „Nie było zgody polskoukraińskiej. Nigdy. Były pozory, iluzje, literackie bajki. Nienawiść smużyła się, eksplodowała, znowu cichła, przed kolejnym wybuchem. Konflikt przygasał, ale wracał, jak po unii brzeskiej, która doprowadziła w Przemyślu do pierwszego ostrego zwania rzymskich i greckich katolików. Grubo po unii, dopiero w 1687 roku, przemyscy unicy otrzymali swoją katedrę, ale spór powróci w naszych czasach, po ostatniej wojnie i nie przysporzy Rzymowi sympatii wśród miejscowych grekokatolików, rozpaczliwie a bezskutecznie dopominających się u kardynała Wyszyńskiego o pomoc w wyegzekwowaniu praw do swojej byłej świątyni. Kolejny ostry stan zapalny w roku 1991 z lekka uśmierzy papież“.

W roku 1996 stan zapalny trwa, gazety skoncentrowane na aferze - dla odmiany - z kościelną kopułą, usuniętą przez współautorów napięć z 1991 roku, mimo interdaktu obecnych i aktywnych oo karmelitów bosych. Hałas wywołany tym pomysłem słychać aż w Toronto. A w Przemyślu jedni tym bardziej (przypomnę wcześniejszą opinię socjologa) „skarżą się na zacieranie śladów ukraińskości“, drudzy tym mocniej „obawiają się ukraińskich żądań zwrotu ziemi i budynków opuszczonych po Akcji „Wisła“„.

Roszczenia są spore, są raczej bezsporne i nolens volens już realizowane. Grekokatolicy odzyskali swoje byłe seminarium duchowne oraz cerkiew na Zasaniu (taka Praga przemyska), gdzie niegdyś mieli siedzibę oo bazylianie, a po eksodusie Ukraińców obiekt zamieniono na Okręgowe Archiwum. Teraz papiery wywędrowały do dziewiętnastowiecznej łaźni miejskiej, przebudowanej dużym kosztem i ku ogólnemu niezadowoleniu. Mieczem wojujesz...

Szykowany zwrot kilku kamienic czy nawet działki budowlanej w śródmieściu to drobiazg, problemem - jakim! - jest obecna siedziba Oddziału Muzeum Narodowego, dawny pałac biskupi unitów. Korespondencja do grekokatolickiego hierarchy kierowana tylko pod stary adres. Arcybiskup Martyniuk potwierdził roszczenia, dorzucając, że większość zbiorów, to i tak ikony. No, niezupełnie.

Co będzie z muzeum, jeśli Ukraińcy nie pójda (a nie pójda) na ustępstwa? Przeniesienie zbiorów do zamku w Krasieczynie nierealne, choć jeszcze w 1975 roku konserwator zaprojektował podział na część muzealną oraz hotelową. Ta pierwsza w najlepszym razie nadaje się do sezonowych i to - ze względów bezpieczeństwa - pomniejszych ekspozycji. Rzeczywista ochrona zbiorów w dzisiejszym Krasieczynie wymagałaby zawrotnych pieniędzy. Armii ochroniarzy.

A w Przemyślu - ciurkiem o kopule. Przeor Gut nie przyjął pisma konserwatora generalnego z nakazem wstrzymania przeróbek. Nie odbierał poczty. Nie otwierano furty, klasztor zamknął się przed interweniującymi.

Mój rozmówca, karmelita, delegowany przez przeora, utyskuje, że z czystej sprawy architektonicznej (tak właśnie to ujął) robi się politykę. Póki co, walka trwa, zauważam. „Walka jak walka - opiera się ojciec Twardzik. - Jesteśmy u siebie“. A jeśli zapadnie decyzja - przywrócić kopułę? „Zobaczymy“. Proszę o konkretną odpowiedź. Ojciec z łagodnym uśmiechem: „Ja nie mogę jej udzielić“.

We Lwowie konsul generalny potwierdza, że przepychanka o kościelny dach, która akurat zbiegła się z czterystuleciem unii brzeskiej, nie ma lokalnego charakteru. Jeszcze podczas wizyty ówczesnego ministra Skubiszewskiego w Kijowie, z czterdziestominutowej jego rozmowy z szefem ukraińskiej dyplomacji dwadzieścia zajął temat - eufemistycznie nazwijmy go - przemyski. Polska była pierwszym państwem, które uznało niepodległość Ukrainy, ale na konferencji prasowej dziennikarze nie pytali o politykę. Pytali o deski, zjedzone przez komiki i przez grzyb:na pewno czy na niby?

Zgadza się: to był ich klasztor, ich kościół. Wrócili do swojego zespołu 1 czerwca 1946, po studwudziestoletniej przerwie, spowodowanej decyzją zaborcy: świątynia została przekazana unitom dopiero przez administratorów c.k. Galicji. Diuide et impera, znana reguła. Jest jednak pewien szkopuł, po stronie ukraińskiej powtarza się kłopotliwe pytanie: „Dlaczego nikt nie zgłaszał pretensji po I wojnie światowej? Dlaczego Polacy wcześniej nie upomnieli się o swoje?“ W obozie reklamującym się hasłem: „Polska nade wszystko“, poparcie dla likwidatorów kopuły. „Nie będzie nam cebula główką nad miastem...“ A nie jest to kopuła cerkiewna, tylko barokowa. Gdyby konsekwentnie upierać się przy czystości stylów - należałoby z wież kościołów romańskich strącić hełmy dostawione za renesansu czy baroku. I pousuwać z gotyckich katedr renesansowe kaplice, barokowe ołtarze. Tylko że w tej rzekomej przepychance gustów najmniej idzie o architekturę. Zawracanie głowy ze spekulacjami, czy Przemysł bez kopuły straci na urodzie, czy nie straci. Po interwencji telefonicznej ambasadora Ukrainy w Polsce i drugiej - mera Lwowa - zagrały ambicje. „Zarząd Miasta Przemyśla odczytuje te wystąpienia jako wyraźną ingerencję w wewnętrzne sprawy Polski...“ Zarząd poszedł za ciosem, wyrażając „stanowczy protest przeciw postępowaniu Generalnego Konserwatora Zabytków, który podejmując działania sprzeczne z prawem popiera naciski kół nacjonalistycznych po obu stronach granicy“. Protest powędrował do dziesięciu (!) adresatów, zaczynając od MSZ, na przeorze oo karmelitów kończąc. Rada Miejska podzieliła „oburzenie... z powodu koniunkturalnych i wasalnych działań generalnego konserwatora...“ I poooszło. Hej kto Polak na bagnety! Niby drobiazg wystarczył, żeby rozgorzało to, co się tliło po obydwu stronach granicy.

W Gródku (dawniej Jagiellońskim) na rynku - obecny Majdan Hajdamaków - tablica ogłoszeń z opublikowanym w lwowskiej prasie protestacyjnym listem otwartym do polskiego konsulatu. Nie doczytałam, czym. Jednym z wielu, rozwodzących się nad „polskim barbarzyństwem“.

W Mościskach, też na rynku, też na tablicy ogłoszeń, duży, z daleka widoczny napis: „Wandalizm XX wieku. P e r e m y ś l“. I sugestie szowinistycznej organizacji „Nadsanie“: wstrzymać przekazy pieniędzy z Polski na budowę kościoła, nie zezwolić na budowę polskiej szkoły.

Opinia miejscowej Polki: „W Przemyśle na każdym skrócie stoi kościół, to już by im mogli zostawić ten jeden, żeby się na nas nie skrupiało“. I po chwili, ciszej: „Ci z Przemyśla ani przez dzień nie byli w naszej skórze“. Dociskam: „Czy tu się pogorszyło od afery z kopułą?“ „Proszę panią, to nie do opowiedzenia! A my w rejonie mamy otwarte 22 kościoły, 8 fakultatywów [klas z językiem polskim - AS], dwie szkoły w budowie... Szło wytrzymać. My wszyscy mówimy: na co nam to było“.

Niezręczności polskie. W Oświęcimiu - po aferze „świętynnej“ z ss karmelitankami - znów wpuszczono słonia do składu porcelany. W awanturę o centrum handlowousługowe przy

muzeum zaangażowanych coraz więcej osób, a co persona - to zdanie, a co przepis - to interpretacja.

Oświęcimska niezręczność jest grubsza, przede wszystkim - jest nagłośniona w Stanach, a z tym to my się liczymy, więc dotarło do nas, pomalutku, że hot dogów i lodów a la Auschwitz nie da się wycenić tylko w prawnych kategoriach. Przewodniczący przemyskiej rady miejskiej - z profesji adwokat - też „nie dopatrywał się przesłanek prawnych“ w obronie kopuły. Jak gdyby szło akurat o to!

Herbowe, jednoznacznie polskie tablice z lwowskiego Arsenалу, wyrzucono w rewanżu za kopułę. Ze każdy pretekst dobry? Tym bardziej trzeba się wystrzegać pretekstów. Tamtego wieczoru konsul wydawał przyjęcie w hotelu „Dnipro“. Stawiło się niewiele z zaproszonych osób, nie pojawił się nikt z oficjeli, choć niektórzy przechadzali się w pobliżu. Tablic nie zniszczono, odnalazły się, oparte o drzewo, ale miejsce po nich zamurowano. Może w kościele oo Karmelitów Bosych przybędzie jeszcze jedna flaga z tej okazji.

Nastrój w świątyni trochę poza zegarem, poza kalendarzem. Symbole wyraziste jak w stanie wojennym. Ze sklepienia pęk flag papieskich oraz narodowych. Te białoczerwone wiszą zresztą i przed kościołem, aż pięć. Poniżej deklaracja: „Sercem kocham Jezusa“. Jakaś grzeszna ręka dopisała: „Jezus kochał darmo“. Było więcej przemyśleń, ale ktoś pozacierał teksty, z których jednak przebija nazwisko przeora.

Najulubiejsze przemyskie graffiti: hasło UPA plus tryzub wkomponowany w szubienicę. Wieść gminna niesie, że pod kościołem rozciągają się podziemne przejścia. Bardzo długie korytarze... Kiedy w 1991 zanosło się na sukces grekokatolików, ulica szemrała: „Tam są lochy, kazamaty, będą mieli gdzie spiskować i robić składy broni“.

Zakonnica oprowadza wycieczkę. „Kościół patriotów“ - rozrzuca się ktoś szeptem. Jedna ściana wyłożona kafelkami, na podobieństwo szpitalnej. Pośrodku - odcinająca się od tła, z daleka zauważalna mapa Polski. Jakiej? A jagiellońskiej. Bez słowa informacji, bo i po co. Do kogo mają przemówić i tak przemówią kontury granic - powtórzmy za Ksawerym Pruszyńskim- tego wielkiego mocarstwa, które się kiedyś nazywało Rzeczpospolita.

Kto pyta, nie błędzi. Ksiądz, zagadnięty przeze mnie: „Jaka to mapa“ - odpowiada pogodnie: „Przedwojenna“. Na moją uwagę, że przed II wojną światową Inflanty z pewnością już nie były nasze, uśmiecha się i napomyka o Piłsudskim, „który walczył w tych granicach...“ Z pewnością już nie w tych, ale oddajmy ojcom bosym sprawiedliwość: zadbali o pokrzepienie serc, przynajmniej na ich ścianie Zadnieprze znowu nasze.

Przed głównym ołtarzem transparent: „Bóg Honor Ojczyzna“. Kościół patriotów... jeśli sprawa istotnie jest poza nacjonalizmem, poza polityką, dlaczego akurat tu tak intensywnie eksponuje się treści z repertuaru „prawdziwych Polaków“?

Ile złej woli władawaliby w to i polscy, i ukraińscy ekstremiści- stulecia bliskości nie są do skreślenia. Nawet w tym przepolszczonym, przeładowanym polityką kościele oo karmelitów tablica - przypomnienie: „O. Makary od Najświętszego Sakramentu Demeski 1566 (?) We Włodzimierzu. Z pochodzenia Kozak. Do Karmelu wstąpił w Krakowie 1610. Podprzeor klasztoru w Przemyślu. Nawrócił wielu niewiernych oraz Rusinów schizmatyków, których pozyskał dla unii z kościołem katolickim...“ Na bocznym ołtarzu orzeł - koronowany - przykucnął u stóp Matki Boskiej. Drugi, bez korony, wtulił się w tablicę „Niewinnej ludności

polskiej bestialsko mordowanej przez bandy UPA na kresach południowowschodnich w latach 1942-1948“. I druga, z nazwiskami zmarłych karmelitów. Zwraca uwagę przerwa między latami 1783 a 1948. Rzekomo w ich efekcie rozgorzał spór. Czy rzeczywiście idzie tylko o ten kościół? Można rzucić żagiew na beton: nie zrobi szkody. W Przemysłu zapalka spada na bardzo suche siano.

Województwo jeszcze zwleka, ale miasto już wycofało się z Euroregionu „Karpaty“. Nie podając powodu. To, co tu zaszło - i co przecież trwa - to nie jest spór o wyznanie. Nigdy nie był.

Młoda, skądinąd niegłupia dziewczyna nie chce nawet słuchać. „Ja bym im nie dała żadnego z naszych kościołów. Chcą mieć własny, niech sobie postawią“. Korygując mój kwaśny komentarz: „Proszę pani, ja nie jestem nacjonalistką. Jestem szowinistką. Kiedy pojechałam do Odessy, to młodzi ludzie wpierali we mnie, że UPA zabijała tylko komunistów. Więc jestem i będę szowinistką, jak mój ojciec“.

Wbrew temu, co się dzisiaj wypisuje, władze peerelowskie -jeśli idzie o „antykościelność“ - zwłaszcza w latach siedemdziesiątych (ale i wcześniej) trzymały propagandę na krótkiej smyczy. To samo odnosi się do kwestii narodowościowych. Nacjonalizm? Antysemityzm, a już zwłaszcza, Boże uchojaj, antyirusycyzm?! Wszędzie, tylko nie u nas. Wykluczone.

Nawet w haniebnym roku 1968 przyznawali się tylko do „antysyjonizmu“.

Jeśli się o czymś nie mówi, to coś nie istnieje. Milczenie jako polityczny sposób bycia. Udawało się: niestety dzięki smyczy.

Szeptem, półgłosem - zanim zaczniesz się głoś podnosić, zanim pomruk przejdzie w ryk. Taki jest mechanizm. Zawsze..

Zauważalni na naszych pograniczach, niedostrzegani w granicach własnego kraju: oto status Ukraińców w polskiej świadomości. W „najbogatszej“ z zespołu polskich fobii narodowościowych - w antysemityzmie - dominowała niechęć, lęk przed spektakularną innością, ale nie tylko. W antysemityzmie rolę odgrywała zawiść. Ukraińcom nie było czego zazdrościć, o tej fobii przesądziła - obok strachu - pogarda.

Tegośmy im nie żalowali. Kim był Ukrainiec w polskich oczach? Zapiętkowanym rizinem. Ciemnym chamem. Podwładnym, którego możliwości intelektualne wyczerpywały się na stawianiu trzech krzyżyków. Stereotypu nie psuła nam ani znakomicie przecież zorganizowana spółdzielczość ukraińska w przedwojennej Polsce, ani intensywne, w nic dobrego Polakom nie wróżącym kierunku, intensywne życie polityczne „hajdamaków“. Oczywiście, jak w każdym ubogim i słabo rozwiniętym cywilizacyjnie kraju rozpiętość między masami chłopskimi a inteligencją była drastyczna, ale jeśli wspomnieć złogi analfabetyzmu na obszarach rdzennie polskich... Ukraińcy potrafili nas zaskoczyć. Cokolwiek mówić - UPA nie okazała się chaotyczną ruchawką, tylko wybornie zorganizowanym wojskiem. A te ich, kilkupiętrowe niekiedy, podziemne schrony, dowód imponującej sztuki inżynierskiej? W kryjówkach z powodzeniem mieściły się szpitale polowe, mogło w nich przebywać - i kpić z pościgu - po kilkadziesiąt osób!

Zasypie wszystko, zawieje... Może i tak. Na razie zbyt gorliwie odgarnia się te śniegi nie tylko po drugiej stronie granicy. Z tego, co dzisiaj słyszy się i czyta, wynikałoby, że na

wschód od Medyki mieszkają nasi: przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie. Telewizji czy prasy w zasadzie nie interesuje kraj przecież większy od Polski, w przyszłości - nie twierdzą, że od jutra - niestety może i atrakcyjniejszy dla Zachodu, jako karta w gospodarczopolitycznym pokerze. A nas niezmiennie absorbują byłe kresy polskie. Nasz czytelnik wie o fatalnej kondycji dworku po Słowackich w Krzemieńcu, nasz telewidz ogląda księżycowe pejzaże po zamkach i kościołach, zruderowanych często już nieodwracalnie, to prawda; tylko jak długo można patrzeć na kraj większy od własnego, na sąsiednie, dzielące nas od supermocarstwa państwo z perspektywy ruin i cmentarzy? Co my wiemy o kulturze ukraińskiej? O codzienności przecież nie sprowadzającej się do przemytu broni i rozrób w pociągach? O gospodarce, która - choćby w katastrofalnym stanie - jednak funkcjonuje, dąży do kontaktów z Zachodem, jest wspierana pożyczkami? Przy całej obecnej bezradności ekonomicznej, przy groźnym rozchwianiu społecznym, Ukraina dysponuje dużą armią, a po naszym wcieleniu do upragnionego NATO - jej atuty geopolityczne nie zmaleją. Może później niż prędzej, jednak i tu uładzą się porządki. A to duży rynek, w perspektywie - atrakcyjniejszy od polskiego.

Wierzę, iż po obydwu stronach do głosu dojdzie (oby w porę) pokolenie ludzi świadomych, jakim horrendalnym głupstwem jest traktowanie np. kultury w doraźnych kategoriach politycznych, sąsiedzka - jeśli nawet - nie wrogość, to separacja, nie wychylanie się poza chłodne dyplomatyczne powinności.

Prasa ukraińska, podobnie jak nasza, długo żyła Przemysłem. Pisano o zagarniętym przez Polaków „zabytku dziewiętnastowiecznej sakralnej architektury ukraińskiej“.

Cokolwiek myśleć o „kopulastej“ aferze w Przemysłu - a tu byłam i jestem po stronie grekokatolików - taka klasyfikacja kościoła, ufundowanego grubo wcześniej, bo w siedemnastym stuleciu przez polskiego arystokratę, jest śmieszna, zaświadcza o czymś, do czego Ukraińcy nie lubią się przyznawać. Dowodzi obolałości narodu, inicjującego swoją niepodległość państwową, ale nadal podległego sąsiedzkim kulturom.

W rok po opublikowaniu mojej korespondencji w paryskiej „Kulturze“ urzędnik z Przemysła wręczył mi spis byłych kościołów rzymskokatolickich na Ukrainie, zamienionych w cerkwie, którym w ostatnich latach dobudowano kopuły bizantyjskie. Naliczono osiem, z tego dwa we Lwowie, dwa w Trembowli i okolicy, jeden pod Gródkiem Jagiellońskim, jeden w Tarnopolu.

Wbrew nagłośnionym zapowiedziom kopuła nie wróciła na przemyski kościół. Zastąpiono ją smutną sygnaturką, wieżyczką, zubożającą wygląd świątyni i wygląd miasta.

Zapytany: kiedy było im lepiej w Polsce? - przewodniczący Oddziału Związku Ukraińców w Polsce, Jarosław Sidor, odpowiada, że za PRLu. „Bo ekstrema była tłumiona. Ta z jednej i ta z drugiej strony. Bo mieliśmy na sprzątaczkę“.

Polacy na Ukrainie są zobowiązani do zawieszania w swoich oddziałach, obok polskiej, flagi ukraińskiej oraz godła Ukrainy, tryzub. W Przemysłu u Ukraińców wisi tylko ich sztandar. Nie ma orła, jedynie duży okazały tryzub. I portret prezydenta Kuczmy. Nic nie przypomina, że jesteśmy w Polsce. Takie może drobiazgi też dają efekt społeczny niewspółmierny do przyczyny.

Po tamtej stronie granicy Polaków jest nieporównywalnie więcej: Federacja Organizacji Polskich na Ukrainie liczy czterdzieści oddziałów, przy czym warunki ich funkcjonowania są gorsze, nawet znacznie gorsze. W projekcie ukraińskiej konstytucji brak wzmianki o

reprezentacji mniejszości narodowych w parlamencie. Wprawdzie przedwojenna Polska odmówiła Ukraińcom prawa do własnego uniwersytetu, jednak działały ukraińskie szkoły średnie, w Przemyślu dwie: od 1895 oraz 1911 roku. Funkcjonują trzy katedry ukrainistyki (na UJ, UW, KUL). Na zachodniej Ukrainie - nie ma ani jednej. Fakultety polskie przy filologiach słowiańskich to nie to samo.

Ukraińcy w Polsce mieli swoją gazetę już w latach, w których na Ukrainie było to nie do pomyślenia. Zresztą i dzisiaj to głównie my finansujemy wychodzącą od niedawna „Gazetę Lwowską“, piśmko bynajmniej nie codzienne (dwutygodnik), bardzo niskonakładowe. Od jesieni 1992 roku rozgłośnia „Lwiwska Chwyla“ nadawała audycję polską. Nieodpłatnie. Po dwóch latach „Lwiwska“ wyprosiła gości. Polacy znaleźli przytulisko w rozgłośni „Niezależnist“, tyle że z niegdysiejszych siedmiu godzin tygodniowo pozostały dwie, opłacane, jakże by inaczej, w dolarach. Na szczęście znalazł się sponsor, lwowska filia LOTu. Znając te i podobne fakty łatwiej zrozumieć, dlaczego Ukraińcy w 1966 obchodzą w Polsce XIV Festiwal swej kultury, a my u nich - pierwszy. Chyba nie w rewanżu za to, że przemyscy chuligani nie przepalili okazji, wtargnęli do hotelu szukając awantury.

Niedźwiedzią przysługą jest bagatelizowanie agresywności narodowej, również na własnym podwórku. Jednak trzeba przyznać: wybryki w Przemyślu są incydentalne, hałasuje niechby i kilkaset osób, nastroje niekiedy trąca maglem, ale bazgranina na murach nie może być porównywana z natłokiem wydawnictw, z obfitą prasą szowinistyczną, w której gęsto od wystąpień antypolskich. Ekscesy zdarzają się po obydwu stronach, zorganizowane, zaprogramowane, rozpropagowane działanie ekstremistów narodowościowych -po jednej. To - zwłaszcza z kijowskiej perspektywy - nie jest nurt dominujący, ale krytyczna sytuacja gospodarcza państwa, katastrofalna w efekcie sytuacja społeczeństwa sprzyja szowinistom. Z Toronto przeprowadziła się do Kijowa „Suczarnist“, z Paryża - OUNowskie „Ukraińskie Słowo“. Nawet w umiarkowanej politycznie gazecie „Wysokij Zamok“ entuzjastyczny portret banderowca, a już lepiej nie wyliczać, co się wypisuje w takim „Nacjonalistcie“ czy „Hominie Ukrainy“. Mnożą się wydawnictwa, forsujące rehabilitowanie a to osób, a to formacji politycznych czy wojskowych, zaczynając od dywizji „Hałyczyna“ (SS Galizien). We Lwowie świeżo przemianowane ulice: Bandery (dawna Sapiehy, późniejsza: Pokoju), i Szuchewycza, i po raz drugi Szuchewycza, tym razem pod jego pseudonimem z UPA: Czupryni. Działają towarzystwa o wymownych nazwach: Chołmszczyzna... Lemkiszczyzna... Nadsanie... Jeszcze w marcu 1992 Ogólnokrajowa Konferencja Ukraińskich Nacjonalistów zażądała od prezydenta oraz Rady Najwyższej Ukrainy m.in. „ustalenia... w drodze ustawodawczej praw uczestników wojny 1941-1945...“ dla ounowców i upowców. Wszystko to - a ten rachunek jest muśnięciem czubka góry lodowej - niepokoi samych Ukraińców. Na konferencji naukowej (Master University, Hamilton, Kanada), gen. Piotr Hryhorenko oświadczył: „Nie chciałbym doczekać takiej Ukrainy, którą reprezentuje ukraińska myśl nacjonalistyczna... „I sobie, i Ukraińcom formatu Hryhorenki - których nie brakuje - robimy niedźwiedzią przysługę przemilczaniem publikacji z grubo szytym, skłamanym obrazem zdarzeń z nieodległej historii. Kardynalny błąd. Jeżeli dzisiaj „dla świętego spokoju“ zaakceptujemy kłamstwo w podręczniku szkolnym, jutro będzie ono praktycznie już nie do odwołania. Szokująca nonszalancja zwłaszcza co młodszych historyków w ocenie lat czterdziestych chyba w znacznej mierze wynika z ich niedokształcenia, w wyraźnej w peerelowskim systemie tendencji do tuszowania drastyczności o podtekście narodowościowym. Aż trudno w to dzisiaj uwierzyć, ale cenzura zdejmowała np. reportaże z procesu osławionego upowca „Żeleźniaka“. Sprawy niewygodne - a wiele da się upchać w tym pojęciu - raczej zbywano milczeniem. Miały pójść w niepamięć, jak akcja „Wisła“. Nie była ona łagodna, ale i nie była zbrodnicza. Bez wątplenia

ucierpieli również ludzie niewinni. Czy za lżejszą cenę można było zyskać spokój w Bieszczadach? Pewnie tak, o kilka lat później. I o setki wymordowanych więcej.

Niektórzy z przesiedleńców do dzisiaj myślą o powrocie, sporo już wróciło, niemniej ogół ma świadomość, że jednak zyskał na przeprowadzce do wsi ucywilizowanych, nieporównanie zamożniejszych niż bieszczadzkie.

Zwolennikom bezkompromisowego potępienia akcji „Wisła“ dedykuję opinię przewodniczącego Sidora: „Do samego sposobu przeprowadzenia akcji „Wisła“ i obchodzenia się z przesiedleńcami Ukraińcy nie mieli pretensji“. A ten sam Sidor zaciekle broni dobrego imienia UPA. Jego prawo, sęk w tym, czyja - i jak rozciągliwa - zgoda.

W roku 1995 ukazała się w Kanadzie przejmująca *Hirka prawda. Złoczyńca OUNUPA* (Gorzka prawda. Zbrodnicość OUNUPA). Autor, Wiktor Poliszczuk, zaopatrzył książkę znamionem dla treści podtytułem Spowiedź Ukraińca. Zadedykował ją ofiarom szowinizmu. Napisał: „Chcę siebie osobiście oraz moje dzieci oczyścić z hańby, która do nas przyłgnęła wskutek działania OUNUPA. Chcę, aby drogą tej prawdy zostały oczyszczone miliony Ukraińców, którzy nie wiedzieli...“Uczciwa i odważna książka. W Polsce też należałoby powtórzyć za cytowanym w Gorzkiej prawdzie Witalijem Korotyczem: „Wstydę się ludzi, którzy ze swej narodowości uczynili profesję“.

Rację ma Ukrainiec Poliszczuk. W ocenie zbrodni nie wolno iść na zbytne ustępstwa gwoli jakiejś przyszłej, choć z grubsza dogadanej i zbliżonej wersji zdarzeń, wpisanej do podręczników szkolnych nad Wisłą i nad Dnieprem. Jestem przeciwna zamazywaniu bestialstwa, z jakim upowcy traktowali swe ofiary. To nie były sporadyczne wypadki. Oślepienie, amputacja rąk, nóg, piersi, palenie żywcem - ówczesna norma traktowania Polaków na Wołyniu, w Bieszczadach. Norma, przy której rozstrzelanie albo powieszenie zakrawało na dar losu.

Może my, ale i wy... Nieprawda! Nie ma znaku równości. W tej sprawie jestem po stronie oponujących przeciwko pomnikom upowców we wsiach, które właśnie oni zamieniali w skrwawione cmentarze.

Akcja „Wisła“ była brutalna, lecz nie była bestialska, a to jednak różnica. Rozprawia się o skutku, milczy o przyczynie. Jest karygodną naiwnością uleganie naciskom na jak najszybsze odżegnanie się od spraw drażliwych. Potępiając w czambuł (jak sobie zażyczył nasz senat) akcję „Wisła“, siłą faktu zrehabilitowalibyśmy UPA, której działalność, to znaczy: eksterminacja Polaków również na terenach wchodzących w skład powojennego państwa i już bezspornie, zdawałoby się, polskich, nie doczekała się obiektywnej oceny na Ukrainie ani oficjalnego potępienia. Przeciwnie, weterani OUNUPA już podjęli starania o przyjęcie w poczet kombatantów II wojny światowej i prawa do stosownych przywilejów. Świadczeń. Skoro już przy tym jesteśmy - ciekawe, czy senatorowie, poza wszystkim, brali poduwagę, że wyrok na akcję „Wisła“ oznaczałby szerokie otwarcie furtki roszczeniowej? To oczywiste dla każdego prawnika, o tym głośno mówi się na Ukrainie. Byłyby więc prędzej czy później ekwiwalenty dla rolników, którzy przynajmniej ekonomicznie stracili na przymusowej przeprowadzce. Temat „towarzyszący“, więc gehenna Polaków, którzy zdołali ukryć się czy w porę zbiec przed rzezią i których nie przesiedlano, lecz wygnano z domów, pałac ich dobytek, jakoś nie istnieje. Powtarzam: żołnierze, którzy widywali kadłuby swoich storturowanych kolegów, z pewnością święci nie byli, akcji nie przeprowadzano w

rękawiczkach, ale w porównaniu z warunkami, w jakich ratowały się przed męczeńską śmiercią dziesiątki tysięcy Polaków na Wołyniu, były to działania salonowe.

Jeśli rzeczywiście mielibyśmy podjąć batalię na pomniki - to może należałoby pomyśleć o upamiętnieniu w Ostrówkach na Wołyniu, gdzie w sierpniu 1943 wymordowano tysiąc pięćset Polaków. Tak, półtora tysiąca. A to przecież tylko jeden z przykładów.

Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej Okręg Wołyń jest organizacją najdalszą od usprawiedliwiania komunistów, niemniej w styczniu 1997 ten właśnie związek wystosował do marszałka senatu list traktujący o różnicach „w akcjach wysiedlania chłopów ukraińskich z południowowschodnich powiatów PRL w 1947 roku i chłopów polskich np. z Wołynia, w 1943 roku“. Cytuję: „Chłopów ukraińskich objętych wysiedleniem było około 150 000. Wszystkich ich razem, z ruchomym majątkiem żywym i martwym, przewieziono koleją do bardzo nowoczesnych na owe czasy gospodarstw poniemieckich w północnej i zachodniej Polsce. To działanie Rządu Polskiego przyniosło radykalny skutek: krwawa, od lat prowadzona wojna z oddziałami UPA przybyłymi w 1944 roku zza Bugu i Sanu, natychmiast zakończyła się. Oddziały UPA pozbawione oparcia swych pobratymców, częściowo rozwiązały się, częściowo przeszły do Ukrainy Zachodniej, a reszta przebijała się do Strefy Amerykańskiej. Nie zastosowanie tego radykalnego środka, jakim było przesiedlenie, spowodowałoby przeciąganie się działalności UPA i śmierć następnych kilku tysięcy ludzi rocznie.

W 1943 roku na Wołyniu mieszkało ok. 250 000 chłopów polskich. W ciągu tego roku zabito często w sposób okrutny jedną piątą. Reszta musiała uciekać, często w bieliznie i boso. [...] A podajemy tu jako przykład tylko Wołyń. Pozostałe trzy województwa: lwowskie, tamopolskie i stanisławowskie spotkał podobny los“.

Niezgrabna i niepotrzebna była awantura o przemyską katedrę - jednak trzeba i na nią spojrzeć oczami ludzi, pamiętających lata alternatywy: „Abo budę Ukraina, abo łączka krów po kolina“.

Niepokój budzą próby lokowania na terenach krwawo doświadczonych przez banderowskie kurenie obelisków, pomników zaświadczyających o wymaganych prawach ukraińskich do terenów niekwestionowane polskich. I próby nobilitacji UPA, o której zrównanie z organizacjami kombatanckimi przecież prowadzone są starania coraz to intensywniejsze.

Trzeba trafu, że pochodzę z Przemyśla i sytuacje, które, jak to się uczenie określa, miały „wpływ na budowanie stereotypu i świadomości społecznej mieszkańców“ znam nie tylko ze słyszenia. Przysłuchiwałam się procesowi „Żeleźniaka“, na którym przykładali się do stereotypu tacy świadkowie, jak mężczyzna, w wieku dwunastu lat pozbawiony nogi - odrąbano ją siekierą - za to, że nie potrafił powiedzieć „Ojczyzna“ po ukraińsku, mimo iż chcąc się uratować, podał się za Ukraińca. Nie tylko w polskiej pamięci negatywnie zapisany powinien być ten rozdział. Zgadzałam się - i chyba dawałam temu wyraz w „Kulturze“ paryskiej - że dzisiejszych relacji polskoukraińskich nie wolno sprowadzać do rachunku krzywd, ale ich bagatelizowanie czy wręcz negacja faktów nie przyspieszy zmiany.

Dobra wola w każdej, ale to w każdej sprawie musi być dwustronna. Ukraińcy nie uczynili pół kroku w kwestii przyznania się do swojej winy, natomiast gwałtownie domagają się ekspiacji z naszej strony. Mogę zrozumieć intencję, w końcu to sprawa istotna chociażby dla

samopoczucia, dla prestiżu narodu, natomiast nie pojmuję naszej skwapliwości w szykowaniu się do niekonsekwentnego „przepraszam“.

Jak pisze w Gorzkiej prawdzie Poliszczuk, istotnie „zbiorowa pamięć Polaków zdominowana jest stereotypem Ukraińcarizuna, Ukraińca z OUNUPA“.

Afera z przemyską kopułą - to wierzchołek góry lodowej, a obiektywizm i spokój w ocenie win i długów konieczny jest doprawdy nie tylko ze strony polskiej.

Rzuca się w oczy, że im bardziej jakiś rejon ucierpiał od UPA - tym więcej uprzedzeń, przejmowanych przez młodzież. Najspokojniej wypowiadano się w Rzeszowie, już ostrzej w Lesku, najsurowiej w Przemyślu. Tym istotniejszy, pozwalający jednak optymistycznie oceniać perspektywy koegzystencji jest rezultat sondażu, przeprowadzonego wśród Polaków w Przemyskiem. Spośród zapytanych, jak zapatrują się na powroty Ukraińców w Bieszczady, nie odpowiedziało dwunastu, nie miało zdania stu siedmiu. Zdecydowanie przeciwnych było stu dwudziestu sześciu. Raczej przeciwnych - stu trzydziestu sześciu. Jednoznacznie zaaprobowało tę możliwość osiemdziesięciu pięciu. W zasadzie („raczej tak“) opowiedziało się za nią aż dwieście siedemdziesiąt osób. Optymistyczny obraz, zwłaszcza na tle świeżych incydentów.

Zdarza się - jak we wsi Luczyce - przejmowanie przez grekokatolików cmentarza, który nigdy do nich nie należał. Rzeczywistym problemem są jednak upamiętnienia (termin urzędowy). Nielegalne upamiętnienia. Jak obelisk ku czci UPA, wzniesiony w Monastyrze pod Horyńcem. To są praktyki nagminne. W dwóch Lublińcach - Starym i Nowym - zlekceważono negatywną opinię Rady Ochrony Pomników Walk i Męczeństwa. W Werchratej były potrzebne dwa uzgodnienia, pominięto obydwa. To samo w Małkowicach. Z trzech, podobnoobowiązujących - w Starym Dzikowie nie przejmowano się trzema. Rekord pobił Monastyr, w którym z czterech wymaganych uzgodnień nie uzyskano ani jednego, mimo to pomnik stanął na wpisanym w rejestr zabytków terenie po klasztorze Bazylianów.

Osobliwe dowody pamięci. Obelisk w Hruszowicach, wystawiony z dala od czyichkolwiek grobów, zaopatrzony w inskrypcję: „Chwała bohaterom UPA, którzy walczyli za wolną Ukrainę“, przybrany tablicami upamiętniającymi szczególnie bestialskie w postępowaniu z Polakami kurenie „Zelizniaka“ i Bajdy, przedstawia dwa rozdarte łuki, połączone tryzubem. Symbolika czytelna. Oczywiście idzie o ziemie polskie, do których roszczą sobie pretensje amatorzy „Zakierzonii“. Do Hruszowic - na uroczyste odsłonięcie obelisku - zmierzały dwa autokary z pasażerami w mundurach UPA. Wspominkarzy zawróciła z Medyki nawet nie nasza, tylko ukraińska straż graniczna, ale swąd pozostał. To właśnie wtedy ktoś podpalił drzwi w siedzibie Ukraińców, to wtedy Towarzystwo Orłąt Przemyskich, zawsze pierwsze w dolewaniu oliwy do ognia, zakomunikowało, że użyje siły (?) by zapobiec Festiwalowi Kultury Ukraińskiej: czternastemu w Polsce, ale pierwszemu w Przemyślu.

A pomników przybywa: nad Sanem, na Zamojszczyźnie... Tylko w samym przemyskim postawiono - jak na razie - osiem, przy każdej z tych ośmiu okazji naruszając przepisy. Możliwości przeciwdziałania? Prawnik konstataje: „Brak kompetencji władczych (egzekucyjnych), umożliwiających przywrócenie stanu poprzedniego“. W przekładzie z urzędowego na ludzki - ktoś tu kogoś w konia zrobił.

Co najmniej nieprzemysłana była propozycja, żeby na pomnikach („skoro niektórych Polaków drażni termin UPA“...) pisać: zginęli za wolność Ukrainy.

Zaraz, zaraz, gdzie za nią ginęli? W państwie polskim? Przecież już nie o Wołyniu i Podolu mówimy, tylko o Rzeszowszczyźnie oraz Lubelszczyźnie, czyli o terenach bezspornie naszych, również po II wojnie światowej należących do Polski. Po I nawet lord Curzon nie kwestionował ich polskości. A że ukraińscy nacjonaliści mieli inne plany, większe apetyty? Ustępując przed takim rozumieniem państwowości, można by stawiać pomniki hitlerowcom, którym też zdarzało się w dobrej wierze umierać za III Rzeszę o jakieś drobne dwa tysiące kilometrów od jej granic.

Walka o wolną Ukrainę - tu, na ziemiach polskich? Przecież UPA nie wyrzynała ludności w przemyskim czy w ustrzyckim dla samej frajdy zabijania, tylko w intencji przyłączenia tych regionów do przyszłej „samostijnej“. Przepychanka wokół pomników nie toczy się o spokój cmentarzy, to hałas polityczny. Grubo szyta, jednoznaczna machinacja, dostrzegana przez samych Ukraińców. Przykre i głupie, że nasze media przemilczały znaczące wystąpienie w kijowskim parlamencie stu sześćdziesięciu pięciu (niebagatelna liczba) posłów ukraińskiej lewicy, protestujących przeciw fałszerstwom historycznym, przeciw gloryfikacji UPA.

„Kto nie jest Ukraińcom na ziemi ukraińskiej, temu śmierć!“ - pouczano s t r i l c i w. Polskie placówki samoobrony na Wołyniu zaczęły powstawać dopiero wiosną 1943 roku, po napadach i morderstwach zainicjowanych przez OUN. Faktów można nie lubić, ale fakty to nie kreda na tablicy. Nawet zdecydowanie antypolsko usposobiony autor książki o Szeptyckim wydanej w Monachium w 1947 roku, Stefan Baran, konstatował: „Moralne zdziwienie części młodego pokolenia galicyjskiego. To przerażało wszystkich, którzy pragnęli lepszej przyszłości dla narodu ukraińskiego“. A przecież rzeź Polaków odbywała się nie tylko na kresach.

Działalność UPA w granicach - uznanych granicach - sąsiedniego państwa, wiązała się z nadziejami na III światową wojnę mającą przynieść uwolnienie „Zakierzonii“ spod polskiej okupacji. Niemcy wycofali się z tych terenów już w 1944, natomiast maksymalna intensywność działań UPA w Bieszczadach i na całym pogórzu zaczęła się dwa lata później. Akcję „Wisła“ przeprowadzono dopiero w 1947. W tym samym roku - 28 marca - w zasadzce między Baligrodem a Cisną zginął polski generał. Dużo spekulacji towarzyszyło tej śmierci (ein Kapitel fuer sich, sprawa Świerczewskiego). Można surowo patrzeć na deportację - tylko wypada zauważyć, że dopiero po niej wrócił spokój w Bieszczadach.

Po obydwu stronach niezręczności. Grubiaństwa. W Przemyślu - po wycofaniu miasta z Euroregionu Karpaty (województwo na ten idiotyzm nie poszło, ale i tak straciło; stolicę Euroregionu przeniesiono z Sanoka na Węgry), kolejny popis prezydenta miasta, który nie chce u siebie festiwalu kultury ukraińskiej, i jak podała prasa, wymusza na klubie sportowym termin meczu, blokujący stadion. Prezydent miasta sprowokował skandal polityczny w kilkanaście dni po deklaracji pojednania i porozumienia, sygnowanej przez prezydentów państw. Cóż, szlachcic na zagrodzie...

Podobno ojciec miasta zagroził cofnięciem dotacji na klub „Czuwaj“, gdyby gospodarz stadionu nie poszedł mu na rękę. Nieładnie. Ale nie słyhać, żeby świadkowie pchali się do sądu. Uciszyło się. Końce w wodę, nie ma sznura. Większość radnych ujęła się za prezydentem. Tyle, że prasa nagłośniła skandal, i obejrzelśmy w dzienniku telewizyjnym włodarza miasta, który ze swadą i swobodą mówił najdokładniej co innego, niż przed kilku dniami. Ale czy to takie zaskakujące? Giętkość poważniejszych polskich polityków

wyczerpuje się na sztuce kompletnej zmiany zdania w chwili zagrożenia. Tak więc wybraniec samorządu utrzymał się w krajowej normie.

Żeby było śmieszniej: niedawno Przemyśl otrzymał tak zwaną flagę europejską za otwarcie na świat.

Jednak festiwal się odbył. Stronę polską reprezentował premier rządu, ukraińską wiceminister kultury. Premier rządu nie podał ręki prezydentowi miasta, ale bratnia delegacja zabawiła u nas krócej niż się spodziewano, goście ulotnili się przed obiadem w Krasiczynie. Błąd. Miejscowy Wallenrod podrzucił mi menu, więc wiem: warto było zostać.

Media nadały festiwalowi rangę, na którą nie zasłużył. Nie było to żadne wydarzenie kulturalne, nawet nie spróbowano nam przedstawić ukraińskiej sceny czy muzyki współczesnej. Oglądaliśmy folklor, folklor i jeszcze raz folklor, w przeciętnym, amatorskim wykonaniu. Żeby tyle. Prasa ukrywała, co mogła i jak mogła, toteż i ukryła, że cerkiewny koncert w byłej grekokatolickiej świątyni na Zasaniu bardziej przypominał nabożeństwo żałobne ku czci ofiar akcji „Wisła“.

Poza Przemyśl nie wyszło, że festiwal miał, staraniem gości, charakter przede wszystkim polityczny, że zatracił o polityczną prowokację. Zaczynając od inauguracyjnej pieśni: Żegnajcie połoniny, Polacy je nam zabierają. Premier Cimoszewicz mógł nie znać ukraińskiego, ale w Przemyślu to jest bardzo zrozumiały język.

Na godzinę przed wystąpieniem premiera, który podkreślał, że festiwal przypada na okres rozstrzygający - po obydwu stronach - czy do władzy dojdą zwolennicy łagodzenia, czy też zaostrzania stosunków polskoukraińskich, przemyscy prawicowcy rozpoczęli wiec protestacyjny. Przeciw czemu i przeciw komu, za dokładnie wyjaśnione nie zostało. Jasny i bezsporny był jedynie brak frekwencji. Przyszło nie więcej niż dwadzieścia osób. Dowiedzieliśmy się, że w wiecu wezmą udział „wybitni działacze ruchu kresowego z Warszawy, Gliwic, Bytomia i Wrocławia“. Nawet po jednym na miasto licząc - działaczy w rachunku wypadło mi mniej niż miast. Mogłam się pomylić o jednego.

Wiec odbywał się, jak nam zakomunikowano, na tydzień przed Światowym Zjazdem Kresowian w Częstochowie. „Tam silniej zaprotestujemy“ - przyrzekł mówca, ale słowa nie dotrzymał. U stóp pomnika ufundowanego „Orłom przemyskim poległym za ojczyznę 19181921“ (dlaczego orłę przemyskie ma mongolską urodę, wie tylko artysta) mistrz ceremonii przysolił Aleksandrowi Małachowskiemu, że „przyznaje się do swoich ukraińskich korzeni“ (tu żywa reakcja publiczności. Z takiego domu, a rizun, mason, komunista. Wstyd!). Po melancholijnym zaopiniowaniu przez prezesa Zólkiewicza: „Moda zapanowała z tym dążeniem do Europy. Mniejszości hołubić... wywyższać?!“ wystąpili goście. Timbre przemówień nader osobisty, trochę reminiscencji („mieszkałem naprzeciw cmentarza na Pohulance we Lwowie... broniliśmy, jak to młodzi potrafią bronić...“), trochę aktualiów („większość władz w Polsce to nie są Polacy, taka jest prawda“).

Dowiedzieliśmy się, że Przemyśl jest w tej chwili ostatnią redutą polskości na wschodzie (co łatwo zauważyć - do granicy trzynaście kilometrów) i że naród polski, również w tej chwili, znajduje się w odwrocie, czego nie zauważyłam. „Nasze liczne pamiątki zostały na ziemiach, które nazywam ziemiami okupowanymi“ - grzmi mówca. Oklaski, zapewnienie, że nic a nic nas nie dzieli z narodem ukraińskim. To z ukraińskimi nacjonalistami nie będzie nam po drodze... A im z naszymi - będzie?

W krzakach dyskretnie nudziła się policja. Jedynym zauważalnym efektem wiecu był zdeptany trawnik. Zapowiedziany pochód nie wyruszył, dwadzieścia - a z upływem przemówień już nawet nie dwadzieścia - osób in their early eighties, jak mawiają Anglicy, to nie jest najlepszy materiał do marszów przy upale.

W cieniu „Orląt“ można było kupić sędziwe, a niestarzejące się, wypróbowane bestsellery, zatem Protokoły mędrców Syjonu, Żydów w dziejach Polski, Program światowej polityki żydowskiej. O tym prasa bębniła, natomiast poza Przemysł nie wyszło, że na festiwalu spotkały się dwie zajadłości. Nasza tromtadracja wzięła się za Ukraińców i jak zwykle za Żydów, goście zademonstrowali większą propagandową konsekwencję. Z okazji wizyty nie załatwiali porachunków z nikim prócz Polaków. Rosjan, Rumunów, Węgrów, Żydów zostawili sobie na inne okazje.

Podczas inauguracji festiwalu na stadionie sprzedawano -dla przykładu - Wspomnienia wojaków UPA, Śpiewnik UPA, Dzieje konfliktów polskoukraińskich, rozliczne tytuły takie jak My bez chaty. Nie powrócisz do mnie synu. Repatriacja czy deportacja. Komu przeszkadzała kopuła. Z wydanych w języku polskim P e r e m y ś l [podkr. - AS] i Ziemia peremyska na przestrzeni wieków. Dwa grube tomy Zakierzonii (Chełmszczyzna, Podlasie), a także Życie i śmierć pułkownika Konowalca. Obeszłam wszystkie stoiska i wypatryłam tylko jeden tytuł politycznie obojętny, Katechizm chrześcijańskiej wiary. Co prawda nie przejrzałam katechizmu, więc może nie powinnam się spieszyć z rozgrzeszeniem.

Festiwal wykorzystano do kolportażu treści jątrzących nastroje. Goście mogliby zareplikować, że nie są od zaglądania w toboły kramikarzy, skończyły się policyjne czasy, sprzedawał, kto chciał i co chciał. Nie ich wina. Zapewne, tylko co o n i zrobili, żeby zrównoważyć tamten impet? Jaką literaturę przywieźli, poza wymienionymi tytułami? Na festiwalu nie było innych książek. To są właśnie te zachowania, które nie usprawiedliwiają prezydenta miasta, lecz tłumaczą szaraczków. Prezydent (a nie wystarczyłoby, po staremu - burmistrz?) powinien wykazać się taktem politycznym, elementarną dyplomatyczną ogładać: ulica nie musi. W publikacjach „okołoprzemyskich“ nawet się nie zająknięto, że wart Pac pałaca, w całej prasie na niewygodny temat jak za starych złych czasów zapadła głucha cisza, ale chyba nie ja jedna miałam w rękach pamiętnik upowca, w przekładzie z ukraińskiego wydany przez TAKT w Lublinie. Na rewersie okładki zachęta: „Po latach agresywnej propagandy przedstawiającej żołnierzy UPA jako „bandytów“, polski czytelnik ma po raz pierwszy okazję spojrzeć na historię powojennych stosunków polskoukraińskich oczyma drugiej strony“.

Lepiej, żeby nie spoglądał.

Autorowi Dziewięciu lat w bunkrze mogą się mylić nazwy wsi bieszczadzkich (choć z jednej z nich pochodzi), ale odkryć Wielkopolskę pod Olsztynem, na to już trzeba dużej wyobraźni. Albo dużej wódki. Na Mazurach nijak nie mógł przechodzić obok „największego więzienia w Polsce, Wronek“. Wronki leżą nad Wartą, kilkaset kilometrów na zachód od Bartoszc. No, ale to są drobiazgi. Znaczenie ma intencja książki.

W Dziewięciu latach... o Polakach, dosłownie na każdej stronie, mówi się nie inaczej niż bandyci. Polacy mordują, kradną. Ukraińcy zawsze są w porządku. Omeijan Peczeń rozpamiętuje piękne czasy, w których póki się dało wiemy był cytowanemu przez siebie hasłu UPA: „Nie poddawać się! Bić Lacha!“ A jednocześnie, nolens volens, dostarcza tym

znieawidzonym Lachom świadectw niewinności, jak przy relacji o rekwizycjach, dokonywanych w ukraińskich domach na nasz rachunek, bo przez upowców w polskich mundurach. Sprytnie.

Wojak Peczeń sypie przykładami jakby z ust wyjętymi stronnikom akcji „Wisła“. „Chłopy z Bachowa, Berezki i Iskanii poprosili solennego Hromenkę, by pozwolił pójść do wsi i spalić gospodarstwa. Nie będzie wróg karmił się krwią i potem naszych ojców. Solenny dodał nam do pomocy jeszcze dwie czoty (...). Z pochodnią w ręku podszedłem do mojego domu, odbudowanego zaledwie dwa lata temu. W oczach miałem łzy. Przeżegnałem się i przytknąłem ogień do chaty. Nie chciała płonąć, jak gdyby prosiła - nie pal mnie! A ja całowałem ją ogniem pochodni i mówiłem: żegnaj. Niebawem w Iskanii zrobiło się jasno jak w dzień...“Zanim „najgorsza szowinistyczna banda polska“, czyli oddział wojska, podejździe do wsi, miejscowi goszczą s t r i l c i w. „Nasi bliscy cieszyli się, że jesteśmy z nimi... w którymś domu znalazła się zakąska i kieliszek wódki za nasze zdrowie. Zasedzieliśmy się do późnej nocy. Nagle rozległ się stuk kołatek [...]. Czujki dawały znać o niebezpieczeństwie [...]. W jednej chwili ci dobroduszni wujaszkwowie przemienili się w żołnierzy, w rękach każdego z nich zjawiała się «broń» - widły, kosy, łomy. Niektórzy pod hunią [gunią - AS] ukryli strzelby“.

Zgadza się, tak potrafiło to wyglądać, na tym polegała może i główna trudność w zwalczaniu czot, za dnia nierozpoznawalnych, bo „wojacy“ po akcji z łatwością przeistaczali się w „wujaszków“, w Bogu ducha winnych rolników. Upowcy mieli mocne oparcie w swoich wsiach, często najdosłowniej swoich. Rodzinnych.

Od publikacji, które nie mogą być odbierane inaczej niż jako antypolskie, roi się nie tylko na zachodniej Ukrainie. W roku 1992, w Łucku, wyszły dwa tomiki przeziąknięte takim szowinizmem, takim jadem nienawiści, że proszą się o prokuratora. „Za Wisłu prożenemo/proklatych polakiw (z małej litery, zawsze). My budemo strilatyi/ rizaty nożom“.

Tłumaczyć nie trzeba.

Część tekstów pochodzi z konspiracyjnego wydania Zbioru powstańczych pieśni UPA Po/noc z 1949. Serdeczne piosenki. / sypniem żelazem po Polsce i Moskwie, ogień - Rumunom, Węgrom... Nam - Kijów, Lwów, Przemyśl, San, A wrogom - Warszawa. Inne sposoby rozwiązania konfliktu już mniej ugodowe. Zapędzimy wszystkich Lachów do mogiły, ukraiński narodzie...

W tej sytuacji historyk z Kijowa, uczestnik dyskusji w polskiej telewizji, apeluje, byśmy się wyrzekli Ogniem i mieczem jako książki, która zdaniem uczonego „stanowi wyzwanie dla narodowego honoru Ukraińców“. Ciekawostka, czy gdybyśmy to potraktowali serio, sąsiedzi zdobyliby się na wzajemność, likwidując z kolei dla nas mało sympatyczne wersy w poezji klasyków Zadnieprza. To już może lepiej zostawić po staremu.

W przeszłości wyrządziliśmy wiele krzywd Ukraińcom, i myślę, że zafundowalibyśmy im jeszcze jedną, godząc się na zakłamywanie faktów, które skądinąd obciążają przecież tylko częśćkę dużego, liczebniejszego niż nasz narodu.

Nie pojmuję, dlaczego do przyjaznego, przede wszystkim gospodarczo aktywnego współistnienia naszych państw konieczny jest natychmiastowy werdykt w sprawie sprzed

kilkudziesięciu lat. Jeśli dogadanie się w tym względzie natrafia na wyjątkowe trudności - poczekajmy. Nie pali się. Już nie.

Pochopne decyzje mają to do siebie, że okazują się nie do odwołania. Za naciśnięciem tej klamki więcej drzwi może się zatrzasnąć.

Dlaczego akurat ta sprawa - ta jedna! - miałyby przesądzać o naszych relacjach? Skoro jesteśmy zainteresowani (a mam nadzieję, że jesteśmy; niezręczności kolejnych ministrów spraw zagranicznych muszą mieć granice) przynajmniej poprawnymi stosunkami z Rosją, dlaczego nie obawiamy się, że uporczywe nawroty do zbrodni katyńskiej w wystąpieniach urzędników, kazaniach księży i programach telewizji przekreślą szansę?

Rehabilitacja UPA... nie wierzę, aby unormowanie stosunków polskoukraińskich wymagało aż takiego kompromisu.

Nie zgadzam się z pańskimi poglądami, ale zrobię wszystko, by je pan mógł głosić. Taki był sens sławnych słów Woltera. Fenomenalna definicja demokracji. Z pewnością jednak nie jest kanonem wolności to, by w programie informacyjnym, w zasadzie - edukacyjnym, dominowały przemilczenia i zmyślenia. Przynajmniej polska telewizja powinna zadbać, by po tragedii widzowi - głównie młodemu widzowi - nie pozostało jedynie przeświadczenie, że w sielskie anielskie Bieszczady późnych lat czterdziestych ni stąd ni zowąd wyruszyło wojsko, zaś przebrzydłe komuchy bez dania racji, w bestialski sposób rozprawiły się z ludnością, zostawiając kilka minut na zebranie manatków i wywożąc dokądś tam. Na Solówki, nad Odrę... a kto by pamiętał.

Włos się jeży, gdy posłuchać bzdur z importowanych filmów dokumentalnych czy raczej pretendujących do rangi dokumentu. „Stepan Bandera, popularny działacz niepodległościowy...” - powtarza polski lektor za amerykańskim. Kropka, koniec. Tyle telewizyjnej wiedzy o kimś jeszcze w przedwojennej Polsce skazanym na karę śmierci za współdziałanie w zabójstwie ministra. Wyrok łagodziły kolejne instancje i w latach czterdziestych popularność Bandery rozplómiła się na Wołyniu, potem w Bieszczadach... Bez dopowiedzenia i bez sprostowania zostawia się przeinaczone fakty, skłamane komentarze. Przykładem program o metropolii Szeptyckim z maja 1997. Do dyskusji zaproszeniomalże wyłącznie przedstawiciele strony ukraińskiej. Szeptycki zaprezentowany jako zwolennik walki z niemieckim okupantem. Nie całkiem tak to wyglądało, gdyż metropolita, zanim zniechęcił się do III Rzeszy, wiązał z nią nieskrywane nadzieje, uroczystie witał wkraczających do Lwowa „pogromców bolszewizmu” (została nawet odprawiona msza na ich intencje). Dopiero z czasem - gdy Niemcy już na dobre zlekceważą OUNowskie zaloty - metropolita zauważył i ogłosił, że faszyzm jest złem większym nawet od komunizmu.

Zgadza się, powinniśmy poznać cudzy punkt widzenia, skrajności i poglądy kuriozalne zdarzają się po obydwu stronach, ale nie sądzę, by akurat w tak masowym jak telewizja środku przekazu należało kolportować - bez komentarza! - te czy inne co najmniej nieścisłości.

Za pośrednictwem własnej telewizji dowiedzieliśmy się, że szesnaście wydań Łun w Bieszczadach polscy czytelnicy zawdzięczają perfidii komunistów, książka kłamie, podobnie jak nakręcony na jej kanwie film Ogniomistrz Kaleń, i jak inny filmfałszywka, próba zohydzenia UPA w polskich oczach. Jestem z pokolenia świadków, w i e m, że o ścięciu toporem, jedyne de facto okrucieństwo opisane przez Gerharda, modliliby się ludzie

torturowani przez upowców. Topór, toż to była eutanazja w porównaniu z tym, co musieli przejść przed śmiercią Polacy: ci spod Łucka czy Stanisławowa, i ci spod Przemyśla. Czy w PRLu -jak to ujął jeden z dyskutantów - „przez wiele lat uczono nas wzajemnej nienawiści“? Niezupełnie. Furie nacjonalistyczne, z wyjątkiem antysemitckiego tajfunu lat 1968-1969 nie wybuchały, trzymano je pod pokrywką bardziej szczelną niż dzisiaj, jeśli już o to chodzi. Pamiętam drakońskie interwencje cenzury w reportażu o konfliktach z mniejszościami. Zakładam, że Gerhard miałby kłopoty z opublikowaniem Łun w wersji bliższej faktycznym proporcjom sił na południowym wschodzie. W przemyskim polska partyzantka była prawie niezauważalna, wszędzie, gdzie przeważały wsie ukraińskie, dominowała UPA.

Zaopatrzona podtytułem Spowiedź Ukraińca książka Poliszczuka wywołała burzę. Polemizowano z nią w siedemnastu kolejnych numerach ukazującej się w Nowym Jorku „Nacjonalnej Trybuny“. Jak utrzymuje profesor Wołodmyr Serkijczuk z kijowskiego uniwersytetu, w zarzucie, że Ukraińcy palili polskie wsie i gnębili ludność cywilną „... nie ma cienia prawdy, albowiem UPA [...] usiłowała przestrzegać wszystkich reguł prowadzenia wojny [...] i w stosunku do ludności cywilnej stosowała zasady największej tolerancji i humanizmu“. Profesor zdaje się zapomnieć, że już w 1929 uchwały założycielskiego zjazdu OUN przewidywały usunięcie okupantów z etnicznie niejednorodnych terytoriów i że np. w liście otwartym Tarasa Bułby-Borowca do banderowskiej OUN z 10 sierpnia 1943 *expressis verbis* zaanonsowany został warunek budowy państwa; eksterminacja mniejszości narodowych.

Wszystkich przebija historyk Wiktor Kowal w miesięczniku „Witczyzna“, w artykule z okazji pięćdziesięciolecia UPA, zatytułowanym z szokującą szczerością Pod czerwoczarnymi sztandarami. Cały tekst na miarę zdania „O okrucieństwach banderowców napisano już miliony stron. Jednakże te okrucieństwa skierowane były tylko przeciw tym, których OUN uważała za zdrajców narodu!“ Szokująca szczerość.

W takiej atmosferze Ogólnokrajowa Konferencja Ukraińskich Nacjonalistów 29 marca 1996 zażądała od prezydenta Kuczmy oraz Rady Najwyższej Ukrainy ustalenia w drodze ustawodawczej praw uczestników wojny lat 1941-1945 dla ludzi z OUNUPA.

Najostrzej poczyna sobie OUNb, która zaczęła organizować na Ukrainie regionalne konferencje. Na podolskiej żądano „odrodzenia dobrego imienia OUNUPA jako siły politycznej i wojskowej, która wytrwale dźwigała ciężar walki przeciwko zniewoleniu rodzinnego kraju, i uznania walki narodu ukraińskiego pod przewodem OLJN w latach czterdziestych i pięćdziesiątych za narodowowyzwoleńcze czy ruch przeciwko okupantom, zgodnie z konwencją wiedeńską z 1949 roku“... Również Zjazd Chrześcijańsko-Demokratycznej Partii Ukrainy wystąpił „o uznanie walki OUNUPA za narodowowyzwoleńczą“.

Adekwatna do cytowanych sądów szokująca uchwała Krajowego Prowidu Organizacji OUN z 22 czerwca 1990 zaniepokoiła polską emigrację (Koło Lwowian w Chicago, Przyjaciół Lwowa w Londynie). Tekst protestu został przekazany polskiemu MSZowi przez konsulat... lwowski.

22 sierpnia 1992 gazeta Przykarpackiego Okręgu Wojskowego „Armija Ukrainy“ z okazji pięćdziesięciolecia UPA opublikowała mapę terytoriów, które powinny stać się częścią państwa. W cztery miesiące później poeta Rotysław Brahuń oznajmia w wywiadzie dla „Robitnyczej Hazety“: „Nacjonalizm jest wyższą formą patriotyzmu“.

Gdy wybuchła sprawa ostatecznie nie zidentyfikowanego oprawcy z Trebinki, Demianiuka, „Wolne Słowo“ w Kanadzie piórem Stepana Rosochy alarmowało: „Żydzi zniesławiają Ukraińców“.

U nich też ginęły teczki. Kilka tysięcy dossier uległo „przypadkowemu“ zniszczeniu.

Nie zwalajmy wszystkiego na newralgiczny Lwów. Reprezentujący melnykowską frakcję OUN Mykoła Pławiuk doczekał się wysokiego odznaczenia z rąk prezydenta Kuczmy.

W kwietniu 1997 w Warszawie obradował Światowy Kongres Ukraińców z udziałem blisko trzystu delegatów. Da capo al fine rozwodzone się nad przebiegiem i skutkiem akcji „Wisła“, milczano o przyczynach.

Miesiąc później w Kanadzie odbył się wiec upamiętniający pięćdziesięciolecie deportacji. Pod torontowskim ratuszem zebrało się ponad dwieście osób. Przemyska minidemonstracja była irytująca, ale błaha. Zlekceważona przez młodzież. W Toronto nie było już tak śmiesznie. Wśród publiczności wcale nie przeważały roczniki dinozaurów. Zameldowało się sporo ludzi jeszcze młodych oraz całkiem młodych. Przyprawiono dzieci. Pojawili się weterani UPA w mundurach z orderami i poczty sztandarowe: wśród flag czamobrunatne, z dodatkiem purpury. To z pewnością nie były sztandary demokracji.

Przygrywała orkiestra, raczej ukostiumowana niż umundurowana, ale, jak słyszę, tak się noszono w armii za Petlury. Flagi przeplatały się z tablicami wyliczającymi miejsca masowych zbrodni polskich i zawrotne liczby ofiar. Średnio po tysiącu na wieś. Bieszczadzką! Poza wszystkim - to były małe wioski.

Długo i starannie wcześniej rekomendowany w ukraińskich mas mediach wiec w Toronto zorganizowało, umundurowało i radiofonizowało Stowarzyszenie „Zakierzonia“. Nagłośnienie działało bez zarzutu, przemówienia były wygłaszane po angielsku i nie przesłyszałam się, gdy padła konstatacja: „Niemcy przeprosili za wymordowanie Żydów, Gorbaczow przeprosił za Katyń, kiedyż Polacy przeproszą za akcję «Wisła»?“ I dalej w tym tonie: senat już przeprosił, a na co czeka sejm? Kiedy się zdecyduje? Dlaczego nie ma tu dzisiaj z nami przedstawiciela Kongresu Polonii, czemu nie przyszedł polski konsul?

Tak się ciekawie złożyło, że wiec pozostał niezauważony nie tylko przez anglojęzyczne media kanadyjskie, ale nawet przez emigracyjną prasę polską. Niewygodne nie istnieje: nas tego uczono, myśmy to ostro brali za peerelowskich czasów, ale że oni to wiedzą?...

Po Stanach Zjednoczonych siedzibą najsilniejszej i najlepiej zorganizowanej diaspory ukraińskiej jest Kanada. W Europie najaktywniejsi są niemieccy Ukraińcy. Był okres, kiedy w samym Monachium ukazywało się osiem (!) ukraińskich gazet. A placówki naukowe? Również w Monachium - Wolny Uniwersytet Ukraiński. Oddział Nowojorskiego Towarzystwa Naukowego im. Szewczenki. W nieodległym Augsburgu - Ukraińska Wolna Akademia Nauk, później przeniesiona do Nowego Jorku.

Zaraz po wojnie, w 1945, otwarto w Rzymie Ukraiński Uniwersytet i Ukraiński Instytut, obydwie katolickie.

W Nowym Jorku działa Free Ukrainian Academy of Arts and Sciences. W Han/ardzie - Center for Ukrainian Studies. Założono kilka oficyn wydawniczych, zaczęło wychodzić około stu tytułów prasowych. Ukraińcy w przeciwieństwie do nas nie obnoszą się z awanturami i potrafią konsekwentnie zadbać o swój image w świecie. Ukazuje się - oczywiście w przekładach, głównie (ale nie tylko) na angielski, obfita literatura historycznopolityczna. Bardziej polityczna, ale to zauważalne dla zorientowanych lepiej od zachodniego czytelnika.

Na ósmym piętrze biblioteki uniwersyteckiej w Toronto mieści się Centrum Badań nad Środkową i Wschodnią Europą. Powstało za pieniądze Petra Jacyka, torontońskiego człowieka interesu, ukraińskiego patrioty, mecenasa emigracyjnego szkolnictwa. Centrum, otwarte w 1993, już w 1994 dysponowało przeszło tysiącem tytułów, głównie dotyczących Ukrainy. Proporcja bardziej zgodna z intencjami fundatora niż z szyldem placówki.

Tylko że w tym akurat dużo naszej winy. Na półkach naliczyłam dwanaście gazet i periodyków ukraińskich, w tym neutralny „Ukrainę Bussines“ czy „Uriadowyj Kurier“, w tym faszyzujący „Homin Ukrainy“. Jedna gazeta serbska, dwa polskie tytuły. Rozkawałkowana „Wyborcza“ (zresztą stary numer) i też zdekompletowany egzemplarz „Tygodnika Powszechnego“. Śladu po „Kulturze“ paryskiej, piśmie tak autentycznie znaczącym na ścieżce pojednania. Z książek - jakaś spóźniona laurka dla Wałęsy. To bardzo wymowne. Znowu daje o sobie znać zdumiewające polskie niechlujstwo. Z jednej strony dąsy, fupy, biadolenie, że świat się na nas uwziął, nie zna prawdy, bo nie chce - z drugiej kompletna bierność. Zachowujemy się, jakbyśmy nie wiedzieli, że prawa rynku odnoszą się i do kultury, i do polityki, i nawet do historii.

Ukraińcy wiedzą: UPA Welfare in Ukrainę (Strategical, Tactical and organizational Problems of Ukrainian Resistance in World War II) po raz drugi ukazała się dzięki Stowarzyszeniu Weteranów UPA, które zastrzegło sobie copyright na dalsze edycje. Inną pracę, Political Thought of the Ukrainian Underground 1943-1951 wydał Canadian Institute of Ukrainian Studies University of Alberta, Edmonton. Książka musiała wzbudzić pewne zainteresowanie, skoro przełożono ją i na portugalski.

Światło na przeszłość tylko z jednego reflektora. Analizujący najnowszą historię Ukrainy Amerykanin Armstrong zaznacza, że nie korzystał ze źródeł polskich nie tylko ze względu na barierę językową. Chcąc poznać nasz punkt widzenia na UPA, doszukał się... trzydziestu quasidokumentów, głównie krótkich i bezwartościowych dla historyka raportów żołnierzy o starciach z UPA. Podobno tylko taki materiał uzyskał w kręgach emigracji. Od skorzystania ze źródeł krajowych powstrzymała go obawa przed niewiarygodnością historiografii, poddanej restrykcjom politycznym.

Nie wałkujemy potem pretensji, że świat pojęcia nie ma o walce i martyrologii Polaków. Nie trzeba aż tak daleko szukać winnych za fakt, że głowie sąsiedniego państwa powstanie w getcie pomyliło się z warszawskim, bo o tym pierwszym prezydent Niemiec słyszał mnóstwo, o tym drugim - wcale.

Polonez na pogorzelisku

Na Ukrainie, liczącej niespełna pięćdziesiąt dwa miliony mieszkańców, około czterdziestu milionów stanowią etniczni Ukraińcy. Byłoby ich znacznie więcej, gdyby aż osiem milionów nie trafiło - poza Rosją - głównie do republik azjatyckich; nie tylko do Kazachstanu po koszmarnych wywózkach z lat trzydziestych, ale i na Daleki Wschód, z tak zwanym zielonym klinem (dorzecze Amuru) włącznie.

Już carat popierał, i to od XVII wieku zaczynając, wędrowkę Ukraińców.

Żadna tam bolszewicka nowinka polityczna. Kontynuacja. W społeczności nomadów łatwiej poszła rozprawa z feudalną wierchuszką. Dołożyły się lata trzydzieste. Kazachów wybił głód. Dołożyła się intensywna słowiańska kolonizacja, nie taka znowu dobrowolna, przeciwnie - ale skutek pozostaje skutkiem. Dzisiejszy Kazachstan to półRosja, Kazachowie stanowią mniejszość w swoim kraju. Na Ukrainie też się sporo udało, chociaż nie aż tyle.

Wschodnia część państwa to ukraińskie być albo nie być. Na wschodzie skoncentrowane są wszystkie ważniejsze zasoby naturalne. Siły ekonomiczne. A właśnie w Doniecku, Lugańsku, Zaporozżu ogromny procent mieszkańców, jeśli poczuwa się do ukraińskości, to dopiero w drugim, jeśli nie w pierwszym pokoleniu. Zrusyfikowano - dokładnie - każdy region przemysłowy. W świetle takich przypomnień czytelny staje się nacisk Rosji na prawo do podwójnego obywatelstwa mieszkańców Ukrainy.

Krym, także beczka prochu. Ludność tylko w jednej czwartej ukraińska, przez lata pozbawiona własnych szkół, bibliotek.

Wynarodowienie Ukrainy odbywało się różnymi sposobami, dając efekty bezpośrednie i „towarzyszące“. Zaledwie sześć procent Ukraińców ma rodziny poza granicami byłego Związku Sowieckiego, przeszło jedna trzecia - ponad trzydzieści pięć procent! - w Rosji.

Robiono co się da, żeby ich realność narodową zmienić na formalność. Według spisu z roku 1970, prawie trzy i pół miliona Ukraińców zamieszkiwało w granicach państwa, ale poza granicami republiki, głównie w Kazachstanie (dziewięćset trzydzieści tysięcy) i w Mołdawii (przeszło pół miliona). Do sowieckich statystyk trzeba podchodzić ostrożnie, nie sądzę, by uwzględniały deportację na Syberię i Daleki Wschód ponad dwóch milionów ludzi z obszarów do wojny - polskich, a na tle pozostałych, od niepamięci rosyjskich (nie tylko sowieckich. Rosyjskich) regionów kraju wyróżniających się zwartością narodowościową. Znowu szło o coś więcej niż o rozbitcie środowisk powiązanych z OUN. W polityce Rosjanie mają talent, którego brak Polakom: umieją połączyć doraźną korzyść z perspektywiczną. Dawna Galicja wschodnia też uległa znacznej deukrainizacji, w miastach zwłaszcza, co nie było trudne, gdy w byłych województwach lwowskim, stanisławowskim i wołyńskim tylko na wsiach przeważali Ukraińcy.

Nie wszystkie przeprowadzki w republikach organizowała policja. Jak wynika z interesującego opracowania Ołeksandra Piskuna, Iryny Prybytkowej i Wołodymyra Wołkowycza, w rezultacie breżniewowskiej polityki ekonomicznej sprowadzonej głównie do tworzenia nowych miejsc pracy, ruszyła do miast siła robocza o bardzo mizernym przygotowaniu do nowych zajęć -i nowego życia. Tak nazywana „socjalistyczna urbanizacja“ czy „industrializacja“ w jakiś sposób kontynuowała proces, rozpoczęty ucieczką chłopstwa ze wsi w latach dwudziestych, a prowadzący do drastycznego podziału kraju na gęsto zaludnione i uprzemysłowione strefy miejskie i rozległe obszary ziemi niemalże niczyjej, praktycznie wyłączonej z gospodarki. Dlatego migracja znowu przechodzi w emigrację. Ukraińcy, zwłaszcza młodzi, masowo przeprowadzają się do Rosji i do Kazachstanu. Na Kaukaz. Ural. Na Syberię. Dobre zarobki daje praca w Magnitogorsku, Kuzniecku, Norylsku czy przy budowie linii kolejowej BajkałAmur. Atrakcyjne, bo najlepiej ucywilizowane, wciąż jeszcze nie obdarte z europejskości są kraje nadbałtyckie, więc Estonia, Łotwa, nawet Litwa.

Państwo liczy siedemnaście nominalnych republik, ale z żadnej nie wyprowadza się aż tylu ludzi. Ukraina niestety jest bezkonkurencyjna. Te legalne ucieczki, najintensywniejsze w trzydziestoleciu 1960-1990, słabną dopiero przed rozpadem Związku Sowieckiego. Jak na razie problem wolnej Ukrainy - rzeczywiście problem - znów stwarza emigracja. W ciągu trzech lat -milion obywateli przeprowadza się głównie na Zachód. Wyjeżdżają - podaję w statystycznej kolejności - Żydzi, Rosjanie, Ukraińcy, Niemcy, Grecy, Ormianie. Nowe adresy to - bezkonkurencyjny - Izrael, dalej Stany Zjednoczone, Niemcy i po staremu Rosja, która pozostaje głównym partnerem Ukrainy w wymianie migracyjnej, więc nie zanoszą się na zmniejszenie proporcji, czy raczej dysproporcji narodowościowych na wschodzie kraju.

Według oficjalnych ustaleń republikę zamieszkuje trzydzieści siedem milionów Ukraińców, jedenaście milionów czterysta tysięcy Rosjan, czterysta czterdzieści tysięcy Białorusinów, trzysta tysięcy Mołdawian, dwieście sześćdziesiąt tysięcy Tatarów, dwieście trzydzieści tysięcy Bułgarów, dwieście dwadzieścia tysięcy Polaków, sto sześćdziesiąt tysięcy Węgrów, sto pięćdziesiąt tysięcy Żydów. Dane różniące się, i to znacznie, od figurujących w spisie z 1970 roku; również w ówczesnym samwydawie mowa jest o siedmiuset siedemdziesięciu siedmiu tysiącach Żydów, trzysta osiemdziesięciu pięciu tysiącach Białorusinów i dwustu dziewięćdziesięciu pięciu tysiącach Polaków. Jedna statystyka nie wyklucza drugiej nie tylko z uwagi na przedział lat i procesy migracyjne. W tych sprawach nie można mieć pewności w

państwie, w którym przyznanie się do odrębności narodowej bywało aktem dużej odwagi cywilnej i mogło bardzo utrudnić egzystencję. Skomplikować przyszłość dzieci. Dlatego w rachunkach, ilu rzeczywiście jest Polaków na Ukrainie, nie trzeba się przesadnie sugerować statystyką, opartą tylko na zapisie w dowodzie osobistym. Na deklaracji, często zgłaszanej pod naciskiem rosyjskich władz - i pod presją ukraińskiego środowiska.

Powtarzam za samwydawem z 1970 roku: Żydzi, Białorusini, Polacy „... to poza Rosjanami są trzy najliczniejsze mniejszości. Niestety, nie mają one żadnych własnych szkół, ani jednej gazety, żadnego stowarzyszenia społecznego czy kulturalnego... Wyjątek stanowią Polacy. Na dwieście dziewięćdziesiąt pięć tysięcy - dwie szkoły i jeden amatorski teatr we Lwowie“.

W porównaniu z rokiem 1959 liczba ujawnionych Polaków drastycznie zmalała w latach sześćdziesiątych. Anonimowy autor twierdzi, iż w tym czasie zaledwie czternaście procent Polaków na Ukrainie wymieniło jako ojczysty - język polski.

Więc jak to jest - nie być na Ukrainie Ukraińcom, dzisiaj? Kijowski Instytut Socjologii badał sytuację z wcale pomyślnymi wynikami. Nie za wielu respondentów napomyka o incydentalnej - i tylko incydentalnej - dyskryminacji narodowościowej. Spośród zaproponowanych w ankietach przykładów, które zdaniem respondenta mogłoby przemówić za ewentualnym zamknięciem gazety czy przynajmniej zakazem określonych publikacji - najczęściej wybierano „obraźliwy stosunek do mniejszości narodowych“.

Optymistyczny sygnał. A tym tropem myślowym idzie Wiktor Poliszczuk. Autor Gorzkiej prawdy o skrajny, faszyzujący nacjonalizm oskarża tylko Ukraińców z byłych terenów polskich (czy nam to nic nie mówi?). Zdaniem Poliszczuka robi się niedźwiedzią przysługę narodowi, przemilczając zbrodnie, obciążające nie więcej niż dwa procent Ukraińców. A negacja faktów raczej tę liczbę wyolbrzymi niż pomniejszy.

Dodam od siebie: jakiegokolwiek byłyby - a były spore - winy polskie w stosunku do ukraińskiej mniejszości w latach dwudziestych i trzydziestych, to ukraiński ruch oporu, niewyobrażalny na wschód od linii Zbrucza, jednak mógł zaistnieć w II Rzeczypospolitej. Tylko tu. Potwierdziła się ta trochę kłopotliwa moralnie reguła, że o okno na świat można się dobijać nie wcześniej niż po uchyleniu okna przez totalitarny reżim, i że tolerancja zaczyna być osiągalna dopiero w warunkach niechby śladowej, niemniej - tolerancji.

Przeróżne motywacje - czasem układ rodzinny, czasem przywiązanie do tych a nie innych czterech ścian, do tego a nie innego drzewa - decydują o wyborze ojczyzny. Na Krymie ankietowani Rosjanie nierzadko opowiadali się za Ukrainą, a Ukraińcy -zwłaszcza ci starsi - za Rosją.

Już jakby inne, unowocześnione rozumienie patriotyzmu. Przy całej zawrotnej nieporównywalności ich społeczeństwa z amerykańskim - jednak zarysowuje się zbieżność. To, że najdalszy od wyrzeczenia się swego rodowodu Irlandczyk, Włoch, Japończyk może być jednocześnie patriotą Stanów Zjednoczonych jest bardziej zrozumiałe dla obywatela Ukrainy niż - daleko nie szukając - dla Polaka. Myśmy już odwykli od „mieszanego“ społeczeństwa.

Przez Ukrainę przetaczają się różne nieoczekiwane imigracje, jak w czasie konfliktu zbrojnego na Zadnieprzu, kiedy to z nagłą pojawiło się sześćdziesiąt tysięcy ludzi do

zakwaterowania i utrzymywania, w tym połowa dzieci. W mniejszych ilościach przewijali się przez republikę Tadzycy, Czeczeni. Podczas gdy Mołdawianie, Litwini, Łotysze i Azjaci (z wyjątkiem Tadzyców) chętnie wracają w swoje strony, to do republiki -obok Rosjan (na pierwszym miejscu - Rosjan!) i Ukraińców uprzednio zamieszkałych w Gruzji, Armenii czy Azerbejdżanie -napływają tamtejsi.

Znaczący fakt: pośród miliona imigrantów w latach 1992-1993 było tylko czterysta dwadzieścia pięć tysięcy rodowitych Ukraińców.

Przyjeżdżają i krymscy Tatarzy, deportowani w 1944. Dzisiejszy Krym - to obok dwustu pięćdziesięciu tysięcy Tatarów zamieszkujących również w innych częściach kraju - dom dla Ormian (cztery tysiące siedemset), Greków (trzy i pół tysiąca), Niemców (dwa i pół tysiąca). Również na południu Ukrainy zamieszkało dwa tysiące niemieckich przesiedleńców z półwyspu. Na Krymie i w całej republice sytuacja Tatarów jest trudna, nie mają pieniędzy nawet na wynajęcie mieszkania, nie mówiąc o budowie domu. Koszty wzrosły tak gwałtownie, że dwadzieścia jeden tysięcy krymskich Tatarów nie może dokończyć budowy, a co najmniej sto tysięcy jest bez pracy. Czy to nie doprowadzi do nowego konfliktu? Nie zanosi się na spełnienie snów Doncowa o monolitycznej narodowościowo ojczyźnie, ale też poza incydentami, które zdarzają się w każdym społeczeństwie, nic nie wskazuje, aby Ukraińcom miało to przeszkadzać.

Historia robi kawały. Jest ironia w tym, że właśnie Ukraińcy, kiedyś tak łakomi jedności nacjonalnej, z takim zapamiętaniem dobijający się państwa - tylko dla siebie, bez obcych - stanęli przed nieodwracalnym i, co istotniejsze, zaakceptowanym faktem ojczyzny wielu mniejszości. Z dużym optymizmem pisze o tym Amerykanin James Mace, naukowiec z kijowskiego Instytutu Filozofii.

„Oczywiście, stosunek do mniejszości na Ukrainie nie powinien być idealizowany, niemniej zarówno w okresie Ukraińskiej Ludowej Republiki [nie mylić z sowiecką - AS] jak i w czasach [...] względnej autonomii (1923-1933) Ukraina wykazała, że jest w stanie pomyślnie rozwiązywać problemy etniczne... Tolerancja dla mniejszości, poszanowanie innych narodów cechują ukraińską mentalność [...], radykalne trendy polityczne nie będą tu znajdować szerokiego poparcia, zwłaszcza gdy ustabilizuje się sytuacja gospodarcza“.

Autor słusznie zakłada, iż „celem i wyznacznikiem normalności powinien być taki stan rzeczy, że nie tylko kelnerka w Drohobyczu potrafi odpowiedzieć po rosyjsku mówiącym po rosyjsku, lecz również gdy urzędnik w mówiącym obecnie po rosyjsku Krzywym Rogu będzie władał ukraińskim“.

Zdawałoby się, że wyrazista polska obecność - to przedwojenne, a nie przedrozbiorowe kresy. Nic podobnego. Na zachodniej Ukrainie, czyli na obszarach utraconych przed pięćdziesięciu laty, pozostało nieporównanie mniej Polaków niż na tych, które nie są nasze od dwustu.

Duże, zwarte kolonie polskie - dopiero za Zbruczem. W samym Żytomierzu osiemdziesiąt tysięcy Polaków. W Gródku Podolskim spośród dwunastu tysięcy mieszkańców - większość polska. O dokładne rachunki trudno zwłaszcza we wschodniej części kraju, gdzie ludzie pochodzili w mieszane małżeństwa, w skomplikowane rodzinne - i wyznaniowe - powiązania. Córka zwyczajowo „szła za matką“, natomiast syn za ojcem. Też nie zawsze. Jak u Piechowej ze Zbaraża: „Mąż Ukrainiec, ale jego ojciec był Polak...“ Jedno małżeństwo, dwie narodowości. Dwa wyznania. Mąż modlił się w cerkwi. Piechowa w kościele. Sąsiedzi

nalegali: „Warto tak? Czemuż wy się rozłączacie?“ Odrzucała: „My się w niebie złączymy, a tu się rozłączamy“.

Powikłane rodowody, specjalność domu, jak Ukraina długa i szeroka. Do polskości poczuwa się, a ściślej: potwierdza ją w paszporcie, jakieś osiemset do dziewięciuset tysięcy obywateli Ukrainy. Calej! Polacy w pierwszej dziesiątce, lecz nie w pierwszej trójce grup narodowościowych w republice.

Konglomerat narodów źle wróży ukraińskiemu wyciszeniu politycznemu, już lepiej - ukraińskiej kulturze. Co prawda ksiądz Franciszek z Podola nie skarży się na kłopoty narodowościowe, przeciwnie: zapewnia, że za Zbruczem problem nie istnieje. „Nacjonalizm - to nie tu, to Lwów, Iwanofrankiwsk, Łuck... Na wschodniej Ukrainie zdecydowanie lepiej mamy. Tu Polak nie razi“.

Na zachodniej z pewnością tego nie usłyszę. Duża komplikacja, jak mówi ksiądz Franciszek. Polacy ustawieni na „nie“ i do Rosjan, i do Ukraińców, Ukraińcy w większości niechętni, jeśli nie wrodozy, i jednym, i drugim... Pretensje iskrzą się przede wszystkim we Lwowie, przystani ekstremistów. Tu zgrupowały się organizacje wrogie i Moskwie, i Warszawie.

Znamienne, jak procesy, którym chętniej przypisujemy działanie niweczące, potrafią wyostrzyć świadomość narodową. Za przykład obronnych postaw w diasporze stawia się przede wszystkim Żydów, nasz jest może skromny, niemniej tu, na ziemiach od dwustu lat odciętych od polskiego źródła, mnóstwo ludzi nie odstąpiło, nie zrezygnowało z rodowodu. To są nadal polskie środowiska. I wciąż żywa polszczyzna. Jeśli jakieś pojęcie uległo zapomnieniu, konstruuje się zastępcze. Jeśli trzeba słów dawniej nie istniejących, tutejsi je tworzą. „Oni mówią wyśnionym językiem“ - zauważa Mariusz Olbromski, poeta i urzędnik. Temat sam w sobie. Może uda mi się wrócić, pobyć i posłuchać? Wyśniony język... Godne to podziwu tym bardziej, że ci ludzie nie mają u nas bliskich. Na Ukrainie otwarto zaledwie kilka szkół polskich, dopiero co - i tylko po zachodnim brzegu państwa, przy granicy, bo w Mościskach, Strzelczyskach, Lwów ma raptem dwie. Może to się zmieni, w końcu uniknęliśmy powtórki niezręczności (nie pierwszej) w stosunku do Litwy. Nasze upieranie się przy organizacji uniwersytetu - całego uniwersytetu polskiego w Wilnie, równoznaczne z kompletną nieuwagą na dwa raczej istotne mankamenty projektu: antagonizując, drażniąc Litwinów, co zyskalibyśmy? Z nazwy wyższą uczelnię na poziomie średniej szkoły - szczęśliwie nie powtórzyło się we Lwowie, gdzie słyhać tylko o katedrze polonistyki. Jeśli strona ukraińska wyrazi zgodę, realizacja ma sens, i ma szansę, choć też do łatwych nie należy.

Według danych na rok 1996, Towarzystwo Kultury Ziemi Lwowskiej liczy tysiąc sześćset członków, piętnaście oddziałów, z czego aż dziesięć bez własnego kąta. Czytam w sprawozdaniach: „Siedziba - pomieszczenie bez okien, dawny szkolny pokój projekcyjny“ (Mościska), „Przy zakładzie pracy“ (Dobromil), „W szkole“ (Drohobycz), „W domu Proswita“ (Borysław). Przeważnie jednak: „Nie mają siedziby. Działają przy Kościele“. Kościół z dużej litery. Nieodmiennie. Tutejsi modlitwą bronią się przed wynarodowieniem: tak było za rozbiorów, i później. Tu wiara i ojczyzna w nierozłącznej trwają parze. W pełnej zgodzie z powszechnym zamówieniem duszpasterze kładą znak równania między Bogiem a patriotyzmem. Człowiek wychodzi z tych nabożeństw ze ściśniętym gardłem, ale do Lwowa, do Kijowa wędrują stosowne raporty.

Tutejsi księża miewają wspaniałe zyciorysy, jak Rafał Kiernicki, któremu przypisuje się uratowanie lwowskiej katedry („nie dał wypatroszyć“ - mówią wierni). O dziwo, nie wywieziono go, nawet znalazł pracę... Zamiatał ulice. W znakomitej działalności księdza Kiernickiego zasługuje na uwagę jego kapłańska pomoc dla unitów, źle widzianych „zdrajców prawosławia“. W Związku Sowieckim żadna religia nie była dobra, ale wśród złych wyróżniano jeszcze gorsze.

O bardzo nawet aktywnym duchowieństwie można mówić w Mościskach. W dekanacie pracuje aż dziesięciu księży, jest tu klasztor redemptorystów. Zakonnicy wrócili po długiej nieobecności, wywieziono ich - późno bo późno, w 1948, i raczej nietypowo, zaledwie do Sambora, skąd dwóch posłano na Sybir, a resztę zwolniono. Młodszych wiekiem duchownych reprezentuje ksiądz Józef Legowicz, brat lwowskiego dziennikarza. Urodzony w 1952, zatem czterdziestoczteroletni. Tutejszy. Piętnaście lat kapłaństwa. W Mościskach zdał maturę, we Lwowie skończył technikum kolejowe. Odслужиł swoje w Armii Czerwonej, przez pięć lat starał się o pozwolenie na naukę w seminarium duchownym. W tym czasie żył z pracy rąk, zarabiał jako tokarz, jako hydraulik... „Potem pracowałem strażakiem“. Uzyskawszy zgodę, wstąpił do seminarium w Rydze, bo choć bliższe miał na Litwie, to w kowieńskim mógł się kształcić tylko litewski obywatel.

„W 52 roku, gorącą letnią porą / lipcowy bocian przeleciał nad Legowiczów oborą / najmłodszy chłopiec na świat przyszedł w tej licznej rodzinie / ojciec na Chrzcie Świętym dał mu swoje imię“.

I tak - zwrotka po zwrotce, a zebrało się ich, nie wymawiając - dwadzieścia osiem, parafianka, pani Krystyna Husarz, spisuje curriculum vitae pracowniczego księdza Legowicza.

„... Złotymi literami oddania ludziom świątyn / do historii wchodzi rok - 89. / Sądowa Wisznia; Trzcieniec, Lipniki i Balice, / Husaków, Radochońce, Czystki i Czyżowice...“
Rachunek sumienny, przypomina jeszcze kościoły w Pnikucku, Dobromilu, Radenicach, Myślatycach, Złotkowicach, Zakościelu, Jordanówce.

Piętnaście lat kapłaństwa. Dorobek życia: sto trzy wsie pod opieką, siedemnaście kościołów otwartych po remoncie albo po wybudowaniu. „O, w Polsce to ja dużo razy byłem. Ze dwieście. Po dniu... po pół dnia...“ W 1989 udzielił sto dwanaście ślubów, odprawił osiemdziesiąt pogrzebów. Teraz z tym o niebo lepiej, ale były czasy kiedy z okazji kościelnego święta do dziesięciu tysięcy ludzi przychodziło do spowiedzi, a księża w konfesjonałach trzech, jeśli nie dwóch... I katechezę trzeba było poprowadzić, i na ukraińskie święta jeździło się wspierać grekokatolików. Tak to właśnie ujmuje; grekokatolików. Zgoda popsuła się od nominacji arcybiskupa Jaworskiego we Lwowie. „Pokazali rogi“.

W tych stronach religijność jest wyznaniem polskości, cichym, lecz jednoznacznym domaganiem się prawdziwej ojczyzny, co nas chwyta za serce, ale i tłumaczy podejrzliwość zestrony Ukraińców czy Białorusinów, dla których takie demonstracje samopoczucia narodowego stanowią mocny, toteż przywoływany, kiedy trzeba, dowód, że utratę kresów widzimy jako stan przejściowy. Dolewa oliwy do ognia polityka personalna Watykanu. Dla tutejszych władz każdy kolejny ksiądz Polak najpierw będzie Polakiem, bardziej Polakiem niż księdzem.

A na co dzień - bieda. W Mościskach, zimą, sporo dzieci przychodzi do szkoły w sandałkach. Latem chodzą bosy. Ukraińskie, polskie. Ksiądz Legowicz opowiada o matce dziewięciorga

dzieci, z których ani jedno nie ma butów. A to młoda kobieta, nie jest powiedziane, że dzieci nie przybędzie, wtrącam. Z pewnością nie jest, zgadza się ksiądz proboszcz. Cóż, różnimy się poglądem na antykoncepcję.

Od krajowej „Wspólnoty“ przysły do Mościsk paczki dla nauczycieli z klas polskich. W rejonie jest ich czterdziestu dwóch, ale wśród nich aż dwudziestu ośmiu Ukraińców. Choć przesyłka była przeznaczona wyłącznie dla rodaków, Polacy z Mościsk uznali, że ukraińskich kolegów też należałoby obdzielić. „Biedni ludzie, jak my, i przecież uczą w polskich klasach“. Działacze ze Lwowa byli odmiennego zdania. Te nasze polskie niezgrabności...

Zbaraż prosił o książki, no to dostał... Etos Solidarności. Tylko ten jeden tytuł, ale w ilu egzemplarzach. Całą skrzynię Etosu. Z Lublina. - Proszę pani, jakiś etos, tutaj... - wzrusza ramionami ksiądz Grzegorz. - Po co to żartować z ludzi.

Z darami są rozmaite kłopoty. „Solidarność“ z Nowej Huty przysłała żywność, odzież i zabawki o wartości nie przekraczającej dziewięciuset sześćdziesięciu dolarów. Ukraińcy zażądali czterystu dolarów cła, informując, że banany i pomarańcze z przesyłki wymagają dziesięciodniowej kwarantanny. Po czym władowano owoce nie do chłodni, lecz do magazynu. Skąd poszły na śmietnik, bo zgniły. Reszta prezentów dotarła do dzieci dopiero po interwencji konsulatu.

Koncentrujemy się na wspomaganiu Bośni, która i bez nas ma patronów w zamożnej Europie. Dbamy o Czeczenię. Nagłośniona, więc popularna, pomoc dla Polaków w Kazachstanie przesłoniła bliższe sytuacje. Ciężarówka z darami nie zatrzymują się w Mościskach, na które - z podzielonych pieniędzy (duże słowo!) „dla najbiedniejszych“ - przypadło 10 milionów karbowańców. Słownie: dziesięć. Kpina. Prezeska oddziału nie odważyła się na samodzielną decyzję. Powołała komisję, i po długim wahaniu, po dużym namyśle - rozdzielono między dwadzieścia rodzin gotówkę, wystarczającą na kilogram mięsa lub na chleb. Aż na piętnaście bochenków.

Zimą 1997 na telewizor w kraju spadła przygnębiająca informacja, że spośród trzystu tysięcy litewskich Polaków - co piąty żyje w skrajnej nędzy, wskutek czego mnóstwo rodzin oddaje dzieci do państwowej placówki opiekuńczej. Ze jest taki specjalnie, właśnie dla Polaków przewidziany dom dziecka. Pokazują nam młode małżeństwo, które tam umieściło swoje pierwsze i jedyne jak na razie dziecko. Poznaliśmy też ojca, który, jak dotąd, przekazał państwu siedmioro pociech. Pewnie na tym się nie skończy, bo i to młody jeszcze człowiek, a nie przypuszczam, by w akcji charytatywnej sterowanej przez Caritas uwzględniono środki antykoncepcyjne.

Mnóstwo osób momentalnie zareagowało na alarm z Litwy: „Jesteśmy w tej chwili zasypywani listami... ofiarami na rzecz rodaków...“ - już nazajutrz donosiła telewizja. W dwa dni później, z programu „W centrum uwagi“ dowiedzieliśmy się, że „od wczoraj trwa akcja pomocy“. Tempo imponujące, jak po trzęsieniu ziemi, tylko co byłoby, gdyby tak reporterzy „Wiadomości“ utknęli pod Ostrą Bramą, gdyby zamiast wychylić nos poza piękne Wilno - zasiedzieli się u dawnego George'a? Nadal -kompletna niewiedza?

Zaproszony do programu ksiądz, reprezentant Caritasu, krzepił serca: nawiązaliśmy kontakt z konsulem generalnym, zobowiązał się zgromadzić grono ludzi... Zaraz zaraz, a czy przypadkiem to nie konsul powinien informować o takich sytuacjach? Na Litwie są polscy księża. Dlaczego nie reagowali naniewyobrażalną (jak podkreślano w telewizji) biedę?

Caritas działa tam od roku. Dlaczego ta akcja rozpoczyna się dopiero teraz? - bardzo zasadnie spytała dziennikarka telewizji.

Sądząc chociażby z relacji w naszych mediach, na Litwie nie brak Polaków aktywnych politycznie, skłóconych - jakżeby inaczej - niemniej zorientowanych, jak się żyje ich elektoratowi. Trzeba było dopiero ekipy telewizyjnej z Warszawy, żeby nam otworzyć oczy?

Wiadomość wiadomości nierówna. Jednego wieczoru alarm: tuż za Suwałkami przymierają głodem nasi rodacy... kolejka oczekujących na miejsce w domu dziecka wydłuża się, choć i tam nie ma co jeść... A w dwa dni później nie jest aż tak źle, alarm był przesadny, biedują Litwini, biedują Polacy, do zakładów opieki społecznej trafiają dzieci z rodzin patologicznych, standard placówek nie jest zły, niemniej pomoc, jeśli już, powinna być kierowana właśnie do nich, a nie w jakieś nie za pewne ręce. Zaprezentowana jako szefowa polskiej akcji humanitarnej pani Ochojska oznajmia, iż taki, a nie inny stan rzeczy ustalili jej ludzie, specjalnie w tym celu wysłani na Litwę. Analiza zajęła im dwa dni. Brawo!

Albo kontrolerzy zmienili zdanie, albo ich zmieniono, gdyż - jak dowiedzieliśmy się znowu z telewizji - w sobotę 22 lutego wyruszył konwój z pomocą. „Do tych wsi jedziemy, w których państwo pokazywali tę okropną biedę...” - objaśnia uczestnik. Czyli jednak pomoc będzie bezpośrednia. Następny, już zapowiadany jako wielki, konwój humanitarny Caritasu i telewizyjnych „Wiadomości” dotrze na Litwę przed Wielkanocą. Jakiej ponurej sensacji, na odmianę z zachodnich obszarów Ukrainy, trzeba, abyśmy troskę o skądinąd regularnie wspomaganą przez zamożne społeczeństwa Bośnię przeadresowali za tę miedzę?

Przez niespełna dwie dekady lutego zdążono w kraju zebrać dla litewskich Polaków siedemdziesiąt tysięcy złotych. Oto dowód, jak wiele dobrego można załatwić z ludźmi - gdy się przemówi do ich wyobraźni, tym samym - do sumienia.

Dary, konwoje... to są zrywy. Stanowczo za wiele w naszym /ason d'etre z rodakami z byłych kresów trąci polonezem na pogorzelsku.

Najbardziej spektakularna emocjonalna reakcja nie zrekompensuje braku systematycznej pomocy, spokojnej, ale sensownej taktyki opiekuńczej, w miarę wolnej od akcentów politycznych.

Delegat Caritasu via telewizja podzielił się z nami przypuszczeniem, że „szansa jest duża, jeżeli włożymy w to dużo serca”. Pamiętając - a może wreszcie pora by i w Polsce o tym mówić - jak stronicze i zdominowane politycznymi motywacjami bywało rozdawnictwo darów, które spłynęły do Polski po 1981 roku, z jakim bałaganem, marnotrawstwem, a często i nieuczciwością łączyła się ta ogromna akcja, pozostaje życzyć, aby otwarcie serca nie prowadziło do zamykania oczu. Pozostaje wierzyć, że na Litwie nie powtórzy się sytuacja ze Zbaraża, do którego zamiast żywności i odzieży dojechała skrzynia z niechodliwym w Polsce nakładem Etosu Solidarności.

Tańczą zagończycy po ekslatoryfundiach. Tęsknimy. Gazety puchną od presentymentalizowanych wspomnień i naskórkowych obserwacji. Są wybrane kierunki peregrynowania. Jeździ się do Nowogródka - bo Mickiewicz, do Krzemieńca - bo Słowacki, do Drohobycza - bo Bruno Schulz. Do Wilna i Lwowa jeździ się do s i e b i e. W korespondencjach z Litwy zwracałam uwagę na pozorność kontaktów z rodakami z byłych ziem polskich. Koło Krzemieńczan... Towarzystwo Miłośników Lwowa... Towarzystwo

Miłośników Wołynia i Polesia... Federacja Organizacji Kresowych: już to mówi za siebie. Nie trzeba się sugerować liczbą stowarzyszeń, ugrupowań, związków. Wszystkie monotematyczne. De facto - skoncentrowane na tym, o co mieliśmy tęgie i z naszego punktu widzenia arcysłuszne pretensje do Niemców. Tak, tylko że Litwini, Ukraińcy i Białorusini też mają swój punkt widzenia. I swoje powody do rozdrażnień.

Zauważani są przede wszystkim Polacy zrzeszeni we Lwowie (robi swoje większa i cieplejsza uwaga Kraju na to wspaniałemiasto), choć tamtejsi nie czują się uprzywilejowani. „Na murach wam zależy, nie na ludziach. Kamieni żałujecie. Po nas nikt nie płacze“. Towarzystwa Kultury Polskiej działają również w Stanisławowie (dziś Iwanofrankiwsk), Tarnopolu, Krzemieńcu, Drohobyczu. Nie zdążyłam dojechać do Sambora, żeby sprawdzić, co oznacza to sprawozdawcze: „członków 600, obecnie około 200“. W Borysławiu - 180, w Stryju - 140. W Żółkwii - 127, w Chodorowie - 120, w Złoczowie - 110, w Żydaczowie - 104, w Sądowej Wiszni - 102, w Dobromilu - 85, podobnie jak w Rawie Ruskiej. A jeszcze te blisko siedemdziesięciosobowe skupiska w Sąsiadowicach przy Starym Samborze, w Truskawcu, w Szerzycu między Stryjem a Lwowem, gdzie urodził się generał Maczek. Rekord biją Mościska, z pododdziałami w sześciu wsiach, zrzeszającymi aż 660 rodaków. Funkcjonują również towarzystwa niezależne od Lwowa, więc Drohobyckie Polskie Stowarzyszenie KulturalnoOświatowe, więc Polskie KulturalnoOświatowe Towarzystwo w Tarnopolu i Towarzystwo Odrodzenia Kultury Polskiej im. Juliusza Słowackiego w Krzemieńcu. Mówimy o zachodniej Ukrainie, ale i w Kijowie podobna sytuacja, aż pięć polskich organizacji, jedna wśród sfederowanych, dwie w Związku Polaków, a dwie - niezależne.

Zorganizowani Polacy na Ukrainie są skłóceni, zgłaszają mnóstwo wzajemnych pretensji - nie powiem, że niesłusznych. Pracują w bardzo ciężkich warunkach, walą się na nich problemy, z którymi samodzielnie sobie nie poradzą, sytuacje, do których nie są przygotowani, konflikty może i bagatelne - ale dopiero po naszej stronie granicy. Z opinii o działaczach i patronach: „Jedni żyją dla Lwowa, drudzy żyją ze Lwowa“. Albo „Polski Lwów? Jak tak dalej pójdzie, to tylko mury zostaną. Młodzież odtrącana, szkoda gadać. Nic się nie robi, nic. Pełny s z t y l - jak na morzu. Żeby nie konsulatu, to by wszystko dawno poszło w pierony“ - orzeka Stanisław Durys, Iwówianin. Na spotkaniu autorskim kpiący głos z sali: „Opieka? No jakże! Senatorzy tu byli. Zapisali pytania“.

Potrzeby nie sprowadzają się do chleba i butów. Jak na razie nawet w polskich szkołach młodzież uczy się z ukraińskich podręczników. Podobno wystarczyłoby dziesięć tysięcy dolarów, by wydrukować je w przekładzie polskim. Wszystko załatwione, tylko brak sponsora. Czy to też zostało zapisane?

„Sejmikiem niespełnionych nadziei“ nazwał w „Gazecie Lwowskiej“ II Sejmik Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie prezes TKPZL, Stanisław Czerkas. I rzeczywiście: stu osiemdziesięciu reprezentantów czterdziestu polskich organizacji rozstawało się w umiarkowanej zgodzie. Główna pretensja: „Mieszkamy nie tylko we Lwowie“. I ten niepokojący leitmotiv w osądach: „Jedni żyją dla Lwowa, drudzy...“Oczekiwanym gościom z Polski wyręczyły telegramy, powiadamiające z kurtuazją, albo i bez, że czyjaś obecność na Sejmiku nie będzie, niestety, możliwa. Od prezesa Stowarzyszenia „Wspólnota Polska“, profesora Andrzeja Stelmachowskiego: „Obowiązki związane z procedurą zatwierdzenia budżetu naszego Stowarzyszenia zatrzymują mnie, podobnie jak i innych członków Zarządu Krajowego, na miejscu, w Warszawie“. Od wiceprezesa tegoż zarządu: „Moje zawodowo-naukowe sprawy nie pozwalają mi na wzięcie udziału“. Od konsula w Charkowie“

„...aktualne obowiązki służbowe - remont pomieszczeń Konsulatu Generalnego RP w Charkowie - nie pozwalają mi w tym czasie na wyjazd poza Charków“.

Jak to ujął w swojej depeszy prezes Związku Polaków na Ukrainie, też oczywiście życząc owocnej pracy: „Robimy wspólną sprawę i niech Pan Bóg napawa nas mądrością w rozwiązywaniu niełatwych czasem zadań, które stawia przed nami życie“. Czy jednak nie za wiele scedowano tu na Pana Boga?

We Lwowie ciekawa rozmowa z Teresą Dutkiewicz, redaktorką biuletynu Federacji, której prezesem jest Emilia Chmielowa. Obydwie reprezentują nurt „przyszłościowy“. Towarzystwa raczej skupiają się na wczorajszości, Federacja bardziej liczy się z dniem dzisiejszym. Trzeba się wyrwać z kredowego koła i rozmawiać nie tylko z Polakami. Zwłaszcza wśród młodych jest sporo Ukraińców sympatycznie usposobionych do zachodnich sąsiadów. To tragiczne, że wielokulturowy Lwów, miasto wspaniałych świadectw współistnienia, przerabia się na kocioł szowinizmu. Ale w tym samym Lwowie można znaleźć ludzi sensownych, gardzących fanatyzmem, otwartych na współpracę.

Bardzo dobre wrażenie zrobił na Polakach wystąpieniami w naszej telewizji prezydent Kuczma. Oczywiście, w polityce nie to ważne, co się mówi, tylko to, co się robi, w każdym razie pierwsze lody jakby przełamane. I gazety przypomniały sobie o sąsiadach. Z dnia na dzień, zniechęca (czyli bardzo po polsku) zaczęliśmy dostrzegać Ukrainę. Może się w końcu dogadamy. Na to konto trzeba by wyjaśnić - bo warto - jak było z polskim, podobno z naszej winy zaniechanym udziałem w zamierzonej edycji dziesięciotomowej historii kościołów na Ukrainie. Dziesięć tomów, nie bagatela... Podobno padła propozycja, by dwa z dziesięciu opracowali Polacy. Dlaczego KUL wycofał się ze znaczącego przedsięwzięcia?

Charakterystyczne zjawisko: literaturę „postkresową“, wariacje na tematy z Iwaszkiewicza, Kuśniewicza, Strykowski (choć jednocześnie w zapomnienie poszedł Wołoszynowski i jego znakomite Opoluiacfaniania podo/s/cie) robią ludzie znający te kresy z cudzych książek. Tęsknimy. Może to nieuniknione, może na zmianę trzeba liczyć dopiero po pełnej zmianie pokoleń, tylko ilu Polaków po tamtej stronie barykady zechce i potrafi na to czekać? Czy poza okazijną parą butów, tabliczką czekolady i ludowym festiwalem dużo mamy im do zaproponowania? Jeśli nawet bierzemy się za problemy, naszym zdaniem, na czasie, to zazwyczaj z gracją słonia w składzie porcelany. Najpierw upieraliśmy się przy polskim uniwersytecie w Wilnie - pomysł i niezręczny politycznie, i nierealny, ponieważ wyższe uczelnie mają to do siebie, że potrzebują i wykładowców, i studentów, potem przy współudziale Watykanu zaogniliśmy nastroje antypolskie po części na Ukrainie, głównie - na Białorusi, gdzie każdyksiądz katolicki w rezultacie swojej polonizacyjnej (może siłą faktu - to osobna kwestia) działalności postrzegany jest dokładnie tak, jak my przed wojną widzieliśmy nacjonalistów z naszych mniejszości narodowych.

A jednocześnie - ta nasza nieuwaga, ten ich żal, że „jedni żyją we Lwowie, drudzy żyją ze Lwowa“. Posłuchaliby posłowie, senatorowie, jak się ocenia ich wizyty. Doprawdy za często do Lwowa, Wilna, Grodna peregrynacje po własną młodość, po świat tym gładszy i mniej prawdziwy, im więcej lat nas od niego dzieli. Tamtejsi Polacy w przybliżeniu nie są tak zauważani jak materialne pamiątki, nasze więzi kresowe koncentrują się - i często wyczerpują - na ostatecznych pejzażu i resztkach kamieni.

Jak to w Odessie

Stało się. Mam za swoje. Już nie posłucham, jak bajeruje milicjanta Legowicz, jak pan Władziu bałaka. Obrażeni. Już mnie nie przewiozą do żadnej Iwanowki. A przeczuwałam, że to się źle skończy. Podkusiło mnie, żeby ujawnić w „Kulturze“ tajniki pertraktacji. Próbuję coś naprawić, wydzwaniam do Lwowa. Legowicz nieuchwytny. „Jest, ale śpi“ - odpowiada żona. Powinno mi wystarczyć. Któż z nich śpi, kiedy dzwonią z Polski? Pan Władziu Bez Nazwiska tym bardziej nie do odnalezienia. Nic się nie da zrobić, o kogo spytam - właśnie wyszedł, dopiero co wyjechał, teraz wakacje, a po nich też jak Bóg da, co tam można wiedzieć...

Ale w Przemyślu wiedzą. I nawet w Kijowie. Wprawdzie prezes Czerkas rżnie Greka, że nawet mu się o uszy nie obilo, jednak prawda wypływa. Emil z Władziem obchodzą mnie szerokim łukiem, ponieważ artykuł bardzo nieładny był, narobiłam im sztempu, kto widział, żeby tak obsmarować ludzi, ta jak, ta gdzie...

Na razie nie zagrażam, jadę do Kijowa.

Pociągiem dziewiętnaście godzin w jedną stronę, w tym pięć - na niespełna stukilometrową trasę Przemyśl-Lwów. Dodajmyco najmniej godzinę, którą przed odjazdem trzeba spędzić na dworcu w kolejce do odprawy celnej. Z bagażem czy bez, każdy wchodzi do budy skleconej na peronie - długa kiszka, brudnawy barak, w którym piętrzą się toboły bazarowców - i spowiada się ze swego posiadania. Mnie rewizja ominęła, miałam wizę służbową (latem 1997 roku jeszcze obowiązywały wizy, i to w dwóch odcieniach, dla równych i równiejszych), chociaż nie na tyle służbową, żeby zwalniała od czekania.

Wreszcie wsiadam. W trzech językach - własnym, niemieckim i rosyjskim - „WARS wita w swym wagonie. Herzlich willkommen! Dobro pożałował?! Konduktor odpowiednio przygotowuje dla państwa miejsca do spania...“ Odpowiednie przygotowanie polega na wrzuceniu przez uchylone drzwi kompletów pościeli. „Konduktor WARS o wskazanej porze bezpłatnie poda zestaw śniadaniowy wraz z kawą lub herbatą. Prosimy o uprzedzenie konduktora, o jakiej porze ma przygotować i podać zestaw...“ Obeszło się bez uprzedzania, dostaliśmy po kubku płynu i słodkim rogaliku. „Podczas podróży staramy się zapewnić

państwu maksimum wygody i bezpieczeństwa... Jednak we własnym interesie dodatkowo prosimy o zamykanie drzwi na łańcuszek...“O tym pociągu chodzą różne wieści, chociaż jeszcze gorsze chodzą o berlińskim. Na łańcuszek mam czas, jeszcze nic się nie dzieje. Rozmawiam z sąsiadkami z przedziału, panią doktor i panią inżynier. Obydwie aż z Lugańska. Obydwie handlarki. Same tak o sobie mówią, bez pretensji i bez minoderii. Młode, ale zdążyły zapomnieć jedna o stetoskopie, druga o rajbrecie. Żyją z tego, co zarobią na przemyskim bazarze. Przed rokiem pewnie spytałabym, czy nie czują się upokorzone sytuacją. Dzisiaj się nie ośmieszę. Mówić o degradacji społecznej, o zdeklasowaniu z ludźmi, w których ojczyźnie w tym czasie dochód najbogatszych trzydziestopięciokrotnie przerastał dochody najbiedniejszych? Dla wsi różnica była jeszcze bardziej drastyczna, pięćdziesięciokrotna.

Ukraińcy, na swoje szczęście, nie są wielodzietni. Wszystkiego pięć procent rodzin czteroosobowych! Co prawda, ubywa i tych z jednym dzieckiem. Ciekawe tylko, czy ubywa z zasługi antykoncepcji, czy z winy aborcji.

Pociąg staje. To już Ukraina, M o s t i s k a. Przedwojenne Mościska. Zdziwiająca, że po 1939 roku pozostawiono nazwę związaną przecież z nazwiskiem wroga, polskiego prezydenta. A nieodległy Gródek Jagielloński zznał amputacji, jest zaledwie Grodkiem, zwykłym Horodkom. Jagiellonowie okazali się (i trudno zaprzeczyć) groźniejszym przeciwnikiem niż Mościcki. No, ale nie wywołujemy wilka z lasu.

To tutaj pociałam się przed rokiem. Dowiedziałam się w ostatniej chwili, że wieczór autorski odprawię w kościele. U nas to było en uogue w swoim czasie, ale ja nie przesłam chrztu solidarnościowego, nie jestem przyzwyczajona do występów na bożych salonach. A tu już mikrofon czeka, i starowinki w ławkach, i dzieciarnia, natomiast śladu po rodzicach. „Kobieciny wychodziły z majówki no to zatrzymałem, im tam bez różnicy, krócej, dłużej, a dzieci szkoła przysłała“ - pocziwie tłumaczy ksiądz Legowicz i zachęca, bym sobie stanęła przed ołtarzem. O Jezu! Sama?

Nie wiem, co mówiłam, jak długo mówiłam... Staruszki popatrywały sennie i z ufnością, temat też nie robił im różnicy. Naszeptawszy się, dzieci wybiegły kopać piłkę. Poza wątpliwością był to mój najgorszy publiczny występ w życiu.

W Mościskach pierwszy nużący, martwy, nieuzasadniony postój. Do przedziału wchodzi dziecko. „Dajcie jeść“. Miejscowy, czy pasażer? Może mieć dziesięć lat, nie więcej. Chude to, nie czesane, w koszuli z dorosłego. Szorstko: „Dajcie jeść“. Odczekuje chwilę: „Nie ma? To dajcie pieniądze“. Pokorny, ale oczy czujne, jawnie taksujące nasze płaszcze i walizki. Nam też się przyjrzał, zanim znowu, nawet bez akcentu prośby wygłosi polecenie: „Jeść“. Nie ukrywa celofanu z zebranymi wcześniej kanapkami. Może komuś zanieś. Marszcząc brwi powtarzająco, bez emocji, jak wykutą lekcję: „Dajcie chleb...“ Po namyśle: „No to pieniądze...“ Głodny? pewnie tak, tylko te oczy, uważne, bardzo dorosłe, fachowo wędrujące po bagażach łypnięciami spod płowych rzęs... Cóż, złodzieje też bywają głodni.

Nie wiadomo, czy i kiedy wsiadł, bo stacja wymieciona z ludzi - tak to wyglądało i w sowieckich Mostiskach - ale nie napiszę, że „psa z kulawą nogą“, bo po peronie kuśtyka sparszywiały pies, który też żyje z zebraniny, i współpasażerka, młoda Ukrainka, odstąpiła mu swoje kanapki.

Pusto, cicho, przez kilka wstępnych minut pociąg niczyj, wreszcie z budynku wysypują się żołnierze. Niscy, ale jak! I jeszcze pomniejszeni przez ogromne czapki. Konus w konusa. A to nie pasuje do zadawnionej i trafnej pamięci o efektywnych urodach Ukraińców. Nie dziwota, że wyczuleni na fizyczność hitlerowcy ociągali się ze zorganizowaniem ukraińskiej dywizji SS Galizien; kandydatom nie dostawało wzrostu, a esesmanów obowiązywała postura godna Aryjczyka, czyli najmniej metr sześćdziesiąt pięć. Dla Ukraińców zdecydowano się obniżyć poprzeczkę. Wspomina o tym daleki od uszczypliwości amerykański historyk OUNUPA, Armstrong.

Niski wzrost, podobno, bierze się z braku białka, z biedy. Sądząc po przedwojennych polskich kronikach filmowych - i nasi żołnierze, wykarmieni kartoflami i kapustą, nie zakrawali na Goliatów.

Co się je na Ukrainie? Z zakupów wynikałoby, że przede wszystkim chleb, makaron. Mleko. Kartofle. Kasze i bób. Fasolę. Minimalna część wydatków idzie na owoce, soki. Sześciokrotnie większa - na alkohol. Mięso, wędliny - prawie że od święta.

Przypomina mi się lwowska rozmowa o zapasach: wtedy nie za bardzo mogłam zrozumieć, na czym to polega. Przeczytam w instytutowym kijowskim resume: dla ludności Ukrainy bardzo charakterystyczne i znaczące są zapasy żywności. Przeciętna trzyosobowa rodzina przechowuje w domu około stu kilogramów produktów, głównie kartofli, cukru, mąki - w tym i chleba.

Jeśli by brać pod uwagę normy ministerstwa zdrowia, to ogół Ukraińców odżywia się aż siedmiokrotnie poniżej ich dolnej granicy. W jadłospisie drastyczny (czterokrotny) niedobór ryb, nabiału, owoców.

Z badań prowadzonych latem 1995 na zlecenie Światowego Banku wynikałoby, że średni miesięczny dochód na r o d z i - n ę wynosił - w mieście - dwadzieścia pięć dolarów, na wsi jeszcze mniej, niecałe dwadzieścia cztery.

Cytuję „według oficjalnej statystyki groszowe dochody ludności w sierpniu 1996 w porównaniu z grudniem 1995 zmniejszyły się o blisko siedem procent, w porównaniu z grudniem 1996 - aż o dwanaście procent. Blisko dwie trzecie ludności nie może sobie zabezpieczyć zakupu najniezbędniejszych produktów“.

W 1992 poniżej progu ubóstwa wegetowało jedenaście procent społeczeństwa, w 1996 - już siedmiokrotnie więcej. Według danych Światowego Banku - co dwa lata na Ukrainie dwukrotnie wzrasta ilość biednych. W 1995 sześćdziesiąt procent Ukraińców żyło w ubóstwie, z tego połowa - w skrajnej biedzie.

O kondycji kraju jak najgorzej wypowiedziało się ponad czterdzieści procent zapytanych. Jak najlepiej - dwa promile. Warunki sprawiają, że nie ubywa tych „ohiadajuszczysia na swoje mynułe“. Zwolenników przeszłości. Od 1993 socjologowie uparcie mówią o „nastrojach apokaliptycznych“.

Wszechobecne, gigantyczne łapówkarstwo, którym słynie Rosja, to również specjalność ukraińska. Też nie jesteśmy święci, ale w Polsce przynajmniej nikt obcym się nie zwierza, a ci tutaj głośno, nie przejmując się świadkami, z całą naturalnością i swobodą rozprawiają o własnym przestępstwie.

Otwarcie i bez zahamowań. Z czym się tu kryć, skoro cały kraj jak nie daje, to bierze? Dziewczyna, która załatwiła sobie korzystny kontrakt w zagranicznym klubie sportowym, wspomina o swoich jednoczesnych studiach w kraju. Ja: „Wzięłaś urlop dziekański?” Ona: „Po co? Wszystko mam zaliczone...” Pokazuje indeks. Nie skłamała. Wyczuwając moje zaskoczenie mówi aż zdziwiona, że można nie rozumieć czegoś tak oczywistego: „Przecież płacę!” Nie jesteśmy same, wagon wybity ludźmi, wagon słucha i też dziwi się, szczerze mi się dziwi. Mnie, pierwszej naiwnej z bratniej Polski.

Rozmowa druga, ze studentem. Po uniwersytecie powinien pójść do wojska, ale nie pójdzie, koszary i koszmary nauki zabijania - nie dla niego. Więc co zrobi? Jak to, co. Zapłaci.

Giena (to męskie imię! I postura Gieny jak u kulturysty, myślę, że mu się nie nudzi na obczyźnie) wybrał się do swojego Charkowa na urlop, bo już blisko rok pracuje - podobno legalnie - pod Warszawą. Zostałby na stałe, tylko czy się uda? W Polsce dobrze zarabia i dużo nie wydaje. Zbiera na mieszkanie. Jeśli nie damy mu obywatelstwa, przeniesie się z Charkowa na dalszą wschodnią Ukrainę. Według Gieny dwupokojowe z kuchnią i łazienką w Doniecku teraz, latem 1997, kosztuje tysiąc pięćset dolarów, w Krzywym Rogu -jeszcze mniej, tysiąc dwieście. Nie do wiary, potakuje Giena, ale do kupienia, bez zachodów, od ręki. Nie ma chętnych. To nie okazja, ze znanstwem dorzuca kulturysta, to rynek mieszkaniowy. Przebierasz i wybierasz. Ludzie nie kupują, bo za co, i po co? Skoro nie jest się pewnym jutra... Giena jest, dlatego zafunduje sobie metraż w bloku. Jak nie sobie, to siostrze.

Wagon nie zakwestionował opowieści, przeszła na zasadzie „dzisiaj wszystko możliwe”. Dopiero Lubow z Mariupola nad Morzem Azowskim (iluż to Polaków wie, że Ukraina ma dostęp nie tylko do Czarnego?) wyśmieje rewelacje Gieny. Mieszkanie za tysiąc dwieście dolców? Niechby nawet za tysiąc pięćset?... Bzdura. Chyba że wyszukał jakąś norę w ruderze do rozbiórki. Bieda biedą, ale ceny cenami.

Jako przewodnicząca oddziału Czerwonego Krzyża Lubow zna się na nędzy. Za najtańsze buty trzeba dać pół emerytury. Z odzieżą mniejszy problem, tu podłatasz, tam zaszyjesz i nosisz, i nosisz, a z butami nie ma tak dobrze. W jednej parze od młodości do śmierci człowiek nie pochodzi.

Ona też uważa, co tam: uważa, wie, że ludzie ukrywają dochody. Państwo tak wyśrubowało podatki...

W Polsce, jak byście wybrzydźali, zaczęła się poprawa i stabilizacja, mówi Lubow Sonik. Życie jest lepsze, niż przed pięciu laty. Na Ukrainie przeciwnie. To była pięciolatka pogorszenia.

Noc. Wagonowi zbiera się na sen. Tylko my z Oksana nie umiemy spać w podróży. Dostyc tej polityki, mówmy o przyjemniejszych rzeczach. Chyba wierzę w miłość? Bo ona bardzo wierzy. Gdyby tak nie było, zostałyby w Połtawie. Mieszka w Polsce, bo cóż mogła zrobić, to nie wybór, to miłość.

Poślubiła Polaka, bardzo się kochają, chociaż przy pierwszym spotkaniu patrzeć na niego nie mogła, a poznali się w polskiej restauracji, znajomy znajomych, przylazł do stolika i strasznie jej się nie spodobał, na sobie łachy jakieś, naszyjniki, skóry, kolczyk w uchu, dobrze, że nie w nosie. I jaki niegrzeczny, rozczochrany, w ogóle dziwactwo. Później mu się przyznała, i cóż

się okazało? To było wzajemne, nie wywarła na nim wrażenia, ale powaga siedzi - tak pomyślał - nauczycielka, czy inna magister... Nawet na siebie nie patrzyli, nic się nie dało przeczuć. A następnego dnia zjawił się wymyty, ogolony, no i tak. Wyszła za Polaka.

- Miałam narzeczonego Ukraińca, on go spłoszył.

Pogwarzanie w ciemności. Oksana o sobie: najgorzej to tak po dwie połówki domu mieć, tu mąż z suką, tu rodzice, a chciałoby się, żeby wszyscy razem byli... Mąż z kim?! Chyba źle usłyszałam. Oksana poważnie: z suką. Mają bokserkę, Roxie. Bardzo kochana jest. Podaje łapę, a nie była uczona. Wystarczy zaszeptać: cyk pyk i przybiega. Ale to tylko między Roxie i Oksana taki szyfr działa.

Wiedział, co robi kozak ze Stalowej Woli, zrywając kolczyk z ucha. Dostało mu się za żonę miłą, delikatne dziecko. To Oksana w Mościskach nakarmiła kundla. A w Stalowej Woli sąsiadka nie cierpi psów i zapewnia: „Jakbym miała władzę, wszystkie bym wybiła“. Że jej sumienie nie ruszy? Oksana nie może dobrze myśleć o takim człowieku.

Nienawiść do zwierząt: tego nie rozumie. - Wróciłam i mężowi opowiadam: jak tak można myśleć?! Jeśli nie potraficie czegoś dobrego zrobić to przynajmniej nie róbcie krzywdy. Zęby bólu nie było.

Przykro jej, że nie umie wyrazić swoich myśli. - Tak biednie to wszystko wygląda, gdy się wezmę za list... Zaraz jakaś blokada.

Wygląda na siedemnaście lat, a już starość na karku, skończyła dwadzieścia. Przygląda się, jak notuje. - Niech pani nie pisze, bo ja się jakoś dziwnie czuję, że pani zapisuje moje życie.

Ale pozwala, wyczuła, że ją polubiłam.

Pociąg już wigoru nabrał, już się kołyszemy na rogatkach Galicji. Stąd po sam Kijów potoczy się Podole. Oksana jednak śpi, bardzo po dziecinnemu usnęła, tak bez przygotowania, śmiesznie, z rękami przyciśniętymi do policzków. Tkwią przy czarnym oknie i coś tam jednak widzę. Mijamy Kamieniec Podolski, Gródek... uderzająco mało stacji, rzadkie i skąpe światła na zamarych dworcach. Wreszcie jaśniej. Chyba Fastów. Tutaj rozgałęziają się tory do Kijowa i nad Morze Czarne. W Odessie zdarzyła mi się zabawostka, która zachwyciłaby Oksanę. Było tak. Wracam z kina. Ciemno, ciepło, ulica jeszcze dość ruchliwa, wodzą się odesitki ze swoimi chłopakami, przede mną kroczy dwoje takich bardzo zakochanych, przytulili się, milczą, on w mundurowym marynarskim trenczu z rozległymi pagonami, ona na letniaka, w białych szpilkach.

Nie spieszę się, stąd nie mam daleko, zaraz będzie skrzyżowanie i po prawej - hotel. Nagle patrzę: królik. Siedzi pod drzewem na krążku trawy, strzyże uszami, popatruje po nas, je. Najzwyklejszy biały królik. W środku wielkiego miasta. Skończył jeść, kica po chodniku, przenosi się na jezdnię, przeszkadzajamu samochody, potańczył między jednym a drugim żiguli, ustąpił miejsca wóldze, wraca. Już ma swoją publiczność, oprócz mnie przystanął ten oficer zakochany, owszem, ale w żonie, kto wie, czy nie własnej: obydwójce noszą obrączki dostatecznie szerokie, żeby je dostrzec i po ciemku. Im także żal królika, zgadzamy się, że z pewnością komuś uciekł, komuś, kto go lubił, poddaje oficera.

Owszem, to prawdopodobne, zważywszy łaskawość zwierzątka. Nie boi się ludzi, nic nie ma przeciwko nam i głaskać się daje, chociaż bez przesady.

Widzów przybywa, wreszcie jest niedziela i nikomu donikąd tak bardzo nie spieszy się o tej cieplej porze. Postanawiamy z marynarzową, że koniecznie trzeba znaleźć tego kogoś od królika, tylko jak? Oficer (daj mu, Boże, zdrowie) idzie do przeciwległej bramy, w której właśnie pojawił się, rozgląda się, jakby czegoś szukał, mały chłopiec.

- Twój królik, prawda?

Niestety, nie jego. On tylko wie, że z sąsiedztwa, i że go wieczorem wypuszczają na te trochę trawy.

- Przecież tu ruch! Niebezpiecznie - gorączkujemy się z marynarzową.

- Przyzwyczajony - przeciąga chłopaczysko.

Dalej go już ta sprawa nie interesuje. Odstał z nami swoje, znudził się i znika.

Przejeżdżają, choć nie za często - na królicze szczęście - samochody, przeredza się tłum spacerowiczów wracających z czarnomorskiego bulwaru, pachnie niedalekim morzem, stygnie z nasłonecznionego dnia Odessa, a królik ciągle bieli się tam, przy krawężniku, jak dowcip surrealistyczny. Zaczepiam starszą panią z pieskiem, po takich paniach chyba można się spodziewać serca dla stworzenia, ale jest spłoszona, mówi, że nie wie, nie zna, nie mieszka, nie może wziąć do domu. Marynarzostwo też skapitulowali i zostajemy z królikiem samotni pod odeskim niebem.

Nagle jacyś dwaj. Kaszkiety z czoła, cygaretki sterowane samym ruchem warg. Stają przy króliku.

- Co panowie chcą z nim zrobić? - zaczynam niepewnie.

- Coś dobrego - mówią grzecznie - szaszłyk.

Wtedy ja, że tak nie wolno. Wtedy oni, że bym poszła lulu. I znowu ja: królik nie wasz. Oni: że mój tym bardziej nie. I jeszcze ja, że zawołam milicjanta. I jeszcze oni, że bym jednak odeszła, zanim się zdenerwują.

Nie ma mojej oficerowej, nie ma chłopca z bramy, a niechby nawet już tej ostrożnej z pieskiem. Odchodzę zgnębiona, żal mi królika, żal mi siebie. Popsuty wieczór. Późno, winda śpi. Osowiała wchodzę na puszyste, pasowo drapowane schody.

A nazajutrz mniej więcej o tej samej porze mijam skrzyżowanie z trawką i co widzę? Królika. Kica sobie po zielonym krążku, zagląda na jezdnię i wraca, znowu trawkę skubie. Żaden tam szaszłyk, królik. Rozglądam się za facetami w kaszkietach. Nie ma ich. Znowu nikogo nie ma, kto by się przyznał, kto by mi pasował do królika.

Druga przygoda - w tamtych czasach - nie była zbyt śmieszna. Ciągnęło mnie do Odessy Beni Krzyka i z efektem, nie powiem. Już w pociągu poznałam reżysera, który chciał w mieście Mołdawanki wystawić Zmierzch, ale mu nie pozwolili. Nie od razu doszło do tych zwierzeń.

Reżyser wracał z Polski i w miarę zbliżania się do granicy w Brześciu wyglądał na coraz bardziej zdenerwowanego. Zwróciłam na to uwagę i ja, i współtowarzysze drogi, zacna para małżeńska szmuglująca do „Sojuza“ okazała ilość peruk, hit sowieckiej elegancji. Małżonkowie też się nie cieszyli na spotkanie z celnikami, ale ich melancholia nie umywała się do paniki reżysera. Co on takiego wiezie, że się aż tak boi? Pomalutku nabiera do nas zaufania i sprawa się wyjaśnia: szmugluje różaniec i książeczkę do nabożeństwa, dla babuszki, Polki zresztą. Przyjmujemy to jako prawidłowość. Ci krewni polscy, jak diabły z pudełka, gdziekolwiek się człowiek nie ruszy, od razu znajdzie się czyjś pradziadek, jeśli nie rodzice.

Babuszka jest sędziwa i już bardzo, ale to bardzo dawno nie modliła się z książeczki. A kiedy była ostatni raz w kościele? -wkracza perukarka. Reżyser macha ręką, zaznaczając bezmiar czasu, który dzieli nas od lat dwudziestych, i milknie, zaabsorbowany sobą, spięty, bo jeśli go przyłapią na tak karygodnym szmuglu, to może pożegnać się z teatrem.

Współczujemy... Ci od peruk zaaferowani, szepczą, kombinują, jak pomóc polskiej babci. Nawet widowisko w mijanej wsi schodzi na plan dalszy. Wszyscy, którzy przed chwilą gorączkowo zwoływali się do okna na oględziny świniobicia (od razu tłok się zrobił, zamieszanie, wesele: „Ojej, o rany, świniaka mordują“), solidarnie zachodzą do naszego przedziału i też radzą. Cały wagon zjednoczony w trosce o dobro wyższe, o szmugiel chrześcijański. Trzeba zadziałać, tylko jak? Trefnego towaru do własnych tobołów się nie weźmie, za duże ryzyko. Jeśliby przy okazji znaleźli, co tam jest do znalezienia... Wagon zaaferowany, mniejsza o świniobicie, komu teraz w głowie przyjemne widoki. Dalsze przedziały przepytują się o reżysera. Co za jeden? Ruski? No to co, że Ruski, niech będzie nawet Ruski, wszystko jedno. Katolik. A w domu u niego staruszka, trzy ćwierci do śmierci, płacze i rozpacza, Boże miły, tak myśli, Boże, czy ja na tym świecie jeszcze choć raz pomodłę się z książeczki... Sam reżyser słucha zainteresowany, bo to nie jego opowieść, to w tej od peruk zbudziła się poetka. Z urody sądząc - twarde, nieużyte babsko, banknot zamiast serca, tymczasem proszę, co potrafi w człowieku siedzieć pod peruką.

Nagle kogoś olśniło: schowamy w wygodce. Tam dużo kryjówek. Wypatrzą, to zabiorą, ale przynajmniej reżyser nam się nie zmarnuje. Jego nie wykryją. Pierwszorzędna myśl! Wszystkim się podoba. I z punktu delegacja rusza do wygodki. Nasz podopieczny jak nowo narodzony, odżył, rozpogodził się, powiada, że co polskie głowy to polskie. Nie przeczuwa, co się leszcze uległo w szczyrze polskich głowach. Ci od peruk chcą ;nu zrobić kawał. Po kontroli celnej, uprzedzając reżysera, wyjmie się skarb ze schowka i cichaczem wpakuje do jego c z e -m o d a n u. Będzie przekonany, że znaleźli, no trudno, powie sobie, grunt, że mnie nie nakryli, zasmuci się, a otwiera walizkę - i co widzi? Jest różaniec. Jest książeczka. Czyli cud? Tak, cud. Babuszka wymodliła.

Protestuję, mówię, że to dość okrutne. Dziwią się, ale ustępują.

Ileż to lat od tamtej podróży. Ciekawe, czy wystawił wreszcie Babla reżyser Bilećkyj.

Do sowieckiej Odessy przyjechałam w jesieni. Już się zaczynał chłód, stygnący wiatr rozrzucał chmury, worki z niżej. W bardzo jasny dzień, podszywający się pod letni, wsiadłam na mały statek, który od przystanku do przystanku ponad godzinę płynie wzdłuż Odessy. Niedaleka, ale piękna podróż, powolna, z solennymi ceremoniałami dobijania do białych pomostów, z widokiem na wypiełgnowane tarasy i ogrody, na niezmożoną pańskość Fontanki.

Drugie i jedyne po Petersburgu miasto w imperium, którego nie spłaszczyła Rosja. Czy to znaczy, że Odessa podda się zukrainizowaniu? Chyba tak. Na Ukrainie Greków, Żydów, Bułgarów, Rosjan i Polaków będzie to możliwe. Ale wtedy, w odległym roku 1977, nie zanosilo się na dzisiejszą Ukrainę.

Wracając do Babla: tamtego dnia zdążyłam już pochodzić po Słobódce i po Mołdawance. W Polsce nie ma takich przedmieść, tu dopiero ogląda się królestwo slumsów, bandyckie ojczyzny. Tu i na Peresypie, oraz Perekopie. Szokujący dystans od łagodnej elegancji Trzech Fontanek, od solidnej śródmiejskiej secesji.

W biograficznym rozumieniu Babel to outsider swoich fabuł. Z Odessy jego rodziców było daleko do portowej żulii. Jako dziecko mógł znać rzeczywistość Miszki Japończyka najwyżej z podsłuchania, jeśli istniał ten Miszka. Miał spokojne dzieciństwo. Pogromy rozkrwawiały ludzi i gołębnie w innym świecie.

Admiracji dla autora Opoluiadań odeskich zawdzięczam zainteresowanie kolegów po piórze, z których jeden przedstawił się jako prawnuk Arcybaszewa, a obydwu poznałam w sekretariacie związku literatów, dokąd wparowali za mną, ponieważ „chcieliby zaznajomić się z polską pisarką, która zdziwiła się, że w Odessie nie ma ulicy Babla“. Bo nie było.

Obydwaj panowie zaprosili mnie do eleganckiej hotelowej restauracji. Trzeba trafu, pojawiła się również przedstawicielka „Inturista“, której z bystrych oczu patrzyło, że ma dwie posady. Ładna dziewczyna, tylko zmijowata. Kliniczny okaz smutnej.

No i rozpoczęło się biesiadowanie. Co myśmy wtedy jedli do rozmowy? Nie pamiętam, chociaż jeśli ktoś w tej kompanii delektował się kuchnią, to na pewno ja, panowie głównie pili. Ponieważ alkohol nie lubi się z moimi lekarstwami, już po godzinie sytuacja wyglądała tak, że z czworga dwóch było urzęniętych, a dwie trzeźwe. Oczy „gajda“ jasne i efektowne jak półszlachetne kamienie, dowodziły dużej odporności na promile. Myślałam, że po zamknięciu restauracji odetchnę, ale gdzie tam. Zwolennicy Babla wciąż czuli się niedobawieni. Zostałam uprzejmie poinformowana, że na pożegnalną butelkę koniaku nie możemy pójść do nocnej knajpy, bo tych w Odessie nie ma, więc pójdziemy do mnie.

Zielone jak gąsienice, sterylnie wyprane z wyrazu oczy „gajda“ nie zareagowały na moją niemą prośbę. Cóż było robić? Zapewniłam, że się cholernie cieszę.

Mieszkałam cztery piętra wyżej, w hotelu nieopodal uliczki do rewolucji zwanej Polskij Spusk, renomowanego ośrodka kontrabandy. Do końca życia będę pamiętała ten „Krasnyj“ recte „Bristol“, cudowną secesyjną landarę pełną marmurów, żyrandoli, kariatyd, ze ślepym uśmiezkiem zapatrzonych w przestrzeń, wspierających światła w różowych staroświeckich kloszach nad pąsem chodników. Na każdym piętrze pyszniło się lustro w rozległych zwieńczeniach i złoceniach, a na marmurowych konsolach leżały i kusily przemówienia Breżniewa po rumuńsku, a po hiszpańsku - broszury o kołchozach. Z angielskich lektur wypatrzyłam jedynie dwie - jak tu się powiada - dysertacje: najwyższym piętrze o RWPG, na niższym - o strategii nuklearnej Pentagonu. Jedna ciekawsza od drugiej. Z czasów znacznie poprzedzających te czytadła została jeszcze winda, duża, cicha, przyjemnie przedrewolucyjna w swych pluszach, oszkleniach i pozłotkach. Kogo też ona nie woziła... również w nocy, jak sądzę. Który to obowiązek zdjęła z windy dopiero rewolucja. O północy portier w „Krasnym“ zawieszał tabliczkę: „Lift nie rabotajet“ - i nawet nie dawał się podkupić. „Nie pojedziesz. U

nas windy tak długo nie pracują“. Naiwnie dopytywałam się, dlaczego. Mam ten zwyczaj. Aż się kiedyś zirytował znajomy Żyd w Kijowie. „Dlaczego, zaraz: dlaczego... Dlaczego, to nie jest słowo na Związek Sowiecki“.

Poszliśmy piechotą.

Przy pożegnalnym gruzińskim panowie wdali się w dyskurs polityczny. Pochłoneły ich rozważania, czy zbrodniarzem był tylko Stalin, czy również Lenin, a jeżeli obydwa, to który większym. Nie koloryzuję!

W hotelu było cicho, głos niósł się jak po rannej rosie, wnuk Arcybaszewa z kolegą po duszom przerzucali się argumentami. Temperamenty mieli odeskie, a dykcję wyborną. Starszy z dwóch, partyjny, w czasie wojny żołnierz stalingradzkiego frontu, nie umiał się pogodzić z racjami przyjaciela. Stalingradczyk jednak chciał osłonić przynajmniej Lenina i było w tym coś przejmującego. Ten człowiek nie ujmował się tylko za idolem młodości, on w gruncie rzeczy bronił siebie. Czuło się, że był -może już nie jest, ale był - prawdziwie zaangażowany w ideę, która przemeblowała świat, jakkolwiek na to patrzeć. Nie ustępował. Walczył ostro, potem się zniechęcił, przygasł. Już nie zareagował na konkluzję przeciwnika: „Ten bandyta i ten bandyta. Obydwa warci siebie!“ Pokonany nie podniósł głowy, powiedział spokojnym, trzeźwym głosem: „Znaczy - przegraliśmy życie?“ i odstawił szklanę. „A żebyś wiedział“ - ucieszył się przyjaciel. O, to było rosyjskie! Powtórzył z mocą: „Załatwili nas. Obydwa!“ Obrońca Lenina ścichł, zapatrzył się w pustą jużbutelkę. Wszystko zostało wypite, wszystko zostało powiedziane. Milczałam, milczała również zimnooka opiekunka z „Inturista“.

Jest rok 1997 i już nie ta Odessa, do miasta wielkich kupieckich tradycji z Benią Krzykiem w tle kapitalizm wrócił jak po swoje, z dóbr zauważalnych przynosząc nowy, włoskiej roboty (Odessa zawsze sterowała ku południu) dworzec morski z rzeźbą z gołym, foremnym chłopaczkiem, na którego nie mówi się inaczej niż złoty malczyk. Ciepło. Polubili figurę. Maluch przyjął się w Odessie.

Otwieranie nowych sklepów, odkurzanie starych sentymentów. Więc co z ulicami? Jekatierinska już nie nazywa się -Lenina, Riszeliwska - Marksa, Preobrażenska - Armii Radzieckiej. Skoro otrzymał swoją odeski człowiek, biedny premier Rabin, to co z ulicą Babla?

Wszystko w porządku, uspokaja mnie dwudziestolatek Denis Kierekiesza, student, Ukrainiec urodzony na Kubie, której nie zna, bo wyjeżdżał w pieluchach. Nowe czasy, Babel dzisiaj en uogue. Wszystko w najlepszym porządku. Dostał, dostał ulicę. Jakżeby inaczej. Musiał dostać. Którą? No... tę, która wcześniej nazywała się Żydowska. A co z Żydowską? Przenieśli? Nie, aż tak to nie.

Cóż, Odessa. Gdzie ma być śmiesznie, jeśli nie w Odessie.

Pod tryzubem

Po placu Kredytowym śmigają samochody. Straszny los przechodnia na zebrze. Pieszcy ma uciekać przed kierowcą, pieszy od tego jest. Zebra, tutaj? Księżycowe pojęcie.

To się nie zmieniło. Zmieniła się dzielnica.

Nie potrafię odszukać drewnianych schodów, na które wychodziło się z opłotków Żytomierskiej. Zmizerowane czynszówki, pusty chaszczowaty pagór, parkany po nieczyich ogrodach, i znienacka - o kilkanaście piętér niżej - panorama Dniepru, po odległym drugim brzegu przykrojona szpetnym blokowiskiem. Rusaniwka?

Przymierzam się, przepytuję znajomych, obcych, i nie umiem trafić. Proszę, żebym uściśliła: którędy szłam, a jak dawno, bo czas w tych sprawach niestety ma znaczenie. Bez przesady, odrzucam poirytowana, wcale nie tak dawno... tu milknę, ponieważ rozmówczyni wyglądają nie na więcej niż na dwadzieścia lat, a ja tu byłam dokładnie przed dwudziestu.

Pamiętam zupełnie proste przejście - tyle że trzeba je znać - z wielkiego miasta na głucho odludzie. Jedna brama, trzeciepodwórko, i już wertepy, piach, dzikie ścieżki pościągane w niestaranne węzły. Stąd - przez wąwóz - widok na ostrą biel soboru, wieńczącego inną, jeszcze wyższą, skarpę. A dołem Podół.

Ogromnie w dole. Tu już naprawdę można mówić o przepaści. Z urwiska okrężne zejście, długie, po drewnianych schodach, nawet z ławkami dla tych, którzy mają nieszczęście iść pod górę. Wielopiętrowa „lestnica“ służy osobom o sercach wyczynowców.

Cały stok w zaułkach za wąskich, za pochyłych na swoje ciężkie, czynszowe kamienice. Kiedyś była to strona niespokojnego slumsowego folkloru i knajackich tradycji. Nasze Kawęczyńskie, Małe, Brzeskie, i nasze Nalewki. Za pierwszym zwiedzaniem przywiozłam fotografie, pamiątki po przepadającym. Stąd ostatnie pokolenia starozakonnych przeszły za swoim pogrzebem do Babiego Jaru. Jeszcze trwają ulice, z których szli: krzywe, krzywo brukowane, mozolne wysokości. I szkielety domów, ściemniała, wyżęta w ogień pamięć po żydowskim życiu. Jak wynika z dokumentu, na który powołuje się Amerykanin Armstrong,

za martwego Żyda ukraiński policjant dostawał litr wódki i kilogram tłuszczu. Nie wyobrażam sobie, żeby to dotyczyło egzekucji w Babim Jarze. Rozstrzelano tam i nie dobijając przysypano ziemią sto tysięcy ludzi. Chyba koszta byłyby nie do przyjęcia.

Tak jak przed dwudziestu laty, Podół w górnej, półmartwej swojej części zmusza do wywoływania cieni. Pod nawisem urwiska małe, czarne domy, w których już nikt nie zamieszka. I nawet nie wie się, jaki tu był kolor ścian, jacy ludzie rządzą.

Na tamtym pierwszym moim odległym Podole zaczepił nas lokator; czego tu, i na co zdjęcia. Nie był przeciwko nam, był przeciwko penetracji.

Dzielnica Podół, skazana dzielnica. Ja przyglądam się domom, a przechodnie mnie. Bez entuzjazmu. Z bramy stara kobieta ostro indaguje, czego szukam. Ludzie ze skazanej dzielnicy boją się oglądaczy, w każdym wietrzą architekta, historykaszuki czy innego wroga, który ogłosi ruderę za zabytek i odwoła rozbiórkę. Ale to popłatane sprawy. Część lokatorów żałuje, nie chce odejść. Były wypadki nieprzyjmowania nowych, lepszych mieszkań. Pokazywano mi na Podole domy zamieszkiwane przez przeciwników przeprowadzki. Niebezpieczne rudery. Tutejsi i za ich nowości nie mieli tu luksusów, tylko co z tego? Można przez całe życie czekać na zmianę pod warunkiem, żeby nie nadeszła.

Człowiek z Podolu twardo napierał, cośmy za jedni. Zdjęcia? A kto potrzebuje? Patrzył z ofensywną ironią na moich kijowskich przyjaciół, mierzył spojrzeniem i mnie, wszystkich nas nie lubił za wycieczkę w cudze. Wyśmiałyby za szczerość, że Podół jest piękny, zniechęciłby za szczerość, że Podół musi zniknąć.

Nad slumsem ramię szubienicy, rozkołysany dźwig. Jakie to łatwe: burzyć. Nie ma tamtego Podolu. Prawie nie ma. Buldożer zgarnia mur i bierze się za ściany, szczypiorkowate, bo w zielony drobny rzucik na ostrożółtym tle, nawet czyste, wyraźnie po niedawnym malowaniu.

Ruiny, gruz, rozbiórka, koniec czyjś świata, ale na skazanym murze trwa reklama Carisberg Beer. I gigantyczna plansza cocacoli. I na plakacie panienka z przymrużonym okiem oblizuje wargi. „Wpersze mentos, potem pocilunok“. To już ten nowy, skapitalizowany Kijów. Nieopodal - restauracja „Apołło“ zaprasza na delektowanie się „najlepszą włoską kuchnią w mieście... świeże frutti di mare, dostawa co tydzień z Francji... a c/asica/ atmosphere...“ (jak się dodaje - i koniecznie po zagranicznemu - w anonsach, my też na to chorujemy). Zrobiło mi się ciepło koło serca, gdy przeczytałam, że równie gatunkowa „Impressa“ przy Sahajdacznego („pięć minut drogi z Chreszczatyku w dół, na Podół“) serwuje drinki i zakąski od północy aż do odejścia ostatniego gościa.

No proszę. Gościa się nie wyrzuca, na gościa się czeka... i do tego doszli? Może nawet nie ma już - o najlepszej obiadowej porze - przerw na obiad dla kelnerów? Rewolucja.

Z powodu takiego „pererywu“ walczyłam kiedyś o swoje (myślałby kto) prawa w restauracji głównie cudzoziemcom służącego hotelu „Ukraina“. Wyleciałabym z hukiem, gdyby nie kelnerka, która wybroniła mnie od drugiej, bez ceregieli odpychającej mnie od drzwi z uwagą na zbliżającą się porę przerwy. „Zostaw, ona moja!...“ (bo jadłam raz przy jej stoliku). I opiekuńczo: „Chodź, słoneczko, ja pozwalam“. I bez pytania, co zamówię - talerz uchy, potem kotlet po kijowsku. I nawet nie na złość tamtej, bo w najlepsze dalej pytlowały.

Tak mnie urzekł Podół, no i proszę, wróciłam. Gospodarze ulokowali mnie przy placu Kredytowym, na wprost odmlodzonego, wykolorowanego Andrijśkoho Spusku, z jaskrawą cerkwią św. Andrzeja na ostrej górcie. Tu Kijów trochę przypomina Płowdiw i tamtejsze Trimoncjum. Niby daleko od współwłaścicieli Czarnego Morza, ale na Ukrainie Bułgarów nie brakuje i wyobrażam sobie, że i tutaj w starych domach kupieckich, obok przesadnie wypacykowanych gramofonów i lamp w połciach złocień, na tureckich rozległych otomanach pyszniły się poduchy do ospałej beczynności, do przesłodzonej gnuśnej sjęsty.

Dzielnica w liftingu, a po prowulkach chmary psów. Właśnie tak. Już nie stada. Chmary. Nie zagrozą człowiekowi. Przyuczone do niełaski i pokory, natychmiast schodzą z drogi. Patrzą, ale na nic nie liczą. Są tak głodne, że zlizują kurz. Niestety, i to bułgarski widok.

Mieszkam w MohylanskoKijowskiej Akademii, najstarszej uczelni wschodniej Słowiańszczyzny, nazwanej tak od założyciela. Metropolita Piotr Mohyła żył w XVI wieku, jego szkoła obok duchowieństwa po schyłek XVIII stulecia kształciła również ludzi świeckich. Uniwersytet Szewczenki jest większy, ale z mniejszymi tradycjami. Akademia, w Związku Sowieckim na długie lata przekształcona w Wyższą Szkołę Marynarki Wojennej, dzisiaj znowu kształci historyków, filozofów. Prowadzi kilka filologii, w tym polską. Można tu studiować ekonomię i politologię, socjologię oraz ekologię, trochę już respektowaną po katastrofie w Czamobylu.

Dobre, spokojne miejsce. Ten kąć Kijowa uporczywie kojarzy mi się z Wilnem. Kamienica - trzy drakońskie piętra, na których ostatni raz to się chyba świeciło przed Wielką Październikową, bo już żaden lokator nie pamięta żarówki nad schodami, ma swoje zalety. Nawet nie razi w zakolu Mohylanskiej, w stonowanej staroświeckiej scenerii białych murów i ciemnych kasztanów, nad jasną, szeroką, godzinami o tej wakacyjnej porze roku pustą, nasłonecznioną przestrzenią dziedzińca, w którego głębi tkwi szerniały krzyż w wianku nieśmiertelników długo już martwych, sądząc po kolorze.

Upatrzyłam sobie ławkę na wprost głównego budynku i co widzę. Fronton Akademii przyozdabia komiśna, jaskrawa mozaika. Wsparte sierpem i młotem, sppwite w zwyczajowe kłosa, podpisane imieniem, ojcostwem i nazwiskiem dwie sentencje. Pierwsza: uczyć się, uczyć się, uczyć się. Druga, też leninowska: że partia to rozum, chwala i już nie mogę doczytać, co jeszcze trzeciego od partii dla epoki.

Dołem - antysowieckość, górą - po staremu? Nie znoszę nachalnej symboliki, a jednak, jednak...

U nas taka pozostałość nie do pomyślenia, studenci by ją zmietli. Myślę, że i na zachodniej Ukrainie zostałaby z mozaiki kupa gruzu.

Ano tak, tyle że tu już nie zachodnia, a środkowa.

Po sześciu wolnych latach w stolicy państwa - wreszcie wolnego państwa - Ukraińców, oglądam nietknięte symbole sowieckiej państwowości. Pozostawiono tablice na budynkach parlamentu. Rządu. Oszczędzono pomniki. Nie trzeba telepać się po Gródkach Podolskich, by wypatrzeć Lenina. Iljicz niezachwiany, spizowy, wskazujący jedynie słuszny kierunek (jak w żarciku księdza Franciszka: „Prosto, towarzysze... prosto... i na lewo...“), tkwi w reprezentacyjnym punkcie miasta, na skrzyżowaniu Chreszczatyku z Bulwarem Szewczenki. Moja nowa znajoma, nauczycielka Ała Debeluk, broni honoru kijowian. Przedtem w mieście

było nawet dwóch Leninów, tego spod pocztu już wywieźli... Ja: Ale drugi został! Nie przeszkadza jej. - A toj póki szczo stoit - zgadza się pogodnie, chociaż działa w komisji „ukrainizującej“ szkolnictwo drastycznie zrusyfikowane. Poblążliwy stosunek do Iljicza wykazuje również jej córka, Mirosława, studentka pierwszego roku cybernetyki (dostało się sto siedemdziesiąt pięć osób, czyli połowa chętnych. Pierwszeństwo mieli „olimpijczycy“. Najpopularniejsza była filologia angielska, potem prawo, ekonomia).

Mirosława o sobie: Jak rozumiem demokrację? Powinny być różne partie, swoboda wypowiedzi... no i przede wszystkim niech nikt nie stoi za plecami, nie zapisuje, co usłyszał...

Pamięta, że płakała, gdy tłum po raz pierwszy poniósł niebiesko żółty sztandar spod sofijskiego soboru na Chreszczatyk. Setki ludzi płakały z radości. „Miałam czternaście lat, już nie byłam dzieckiem. Co nas obchodził pomnik?“ Nie mogę się w tym wyznać, nie umiem się pogodzić. Biorę w obroty Igora, studenta ostatniego roku ekonomii, „genetycznego“ inteligenta, w którego rodzinie system zapisał się dwiema egzekucjami na przestrzeni piętnastu lat. Pradziadka ze strony matki, głównego ekonomistę w Krasnodarskim Kraju, tytułowanego przez przyjaciół Piotrem Wielkim (miał na nazwisko Wielikij) rozstrzelano w trzydziestych latach. Igor nie precyzuje oskarżenia. Po co? Przecież już to zrobił wymieniając dekadę. W trzydziestych latach... I więcej nie trzeba.

Dopóki Związek Sowiecki trwał - karano. Częściej lub nieco rzadziej, ciężiej lub trochę lżej, ale bezustannie. Szły dekady śmierci. W kolejnej - czyli już w czterdziestych latach - zginął dziadek Igora ze strony ojca, rozstrzelany za to, że sam się nie zastrzelił. Podczas Wielkiej Ojczyźnianej, w okrażeniu, nie popełnił zalecanego samobójstwa, pozwolił wziąć się do niewoli.

Igor Lazarew jest nie tylko inteligentem. Jest inteligentny. No, myślę sobie, przynajmniej jemu nie trzeba tłumaczyć, co mam przeciwko drogowskazowi z Chreszczatyku. Pomyliłam się. Igorowi pomnik nie przeszkadza. Ani pomnik, ani inskrypcje na dachu Mohylańskiej. Serio? Oczywiście, że serio. Patrzę osłupiała. A chłopak z całą naturalnością: „To nasza historia“.

Krzysztof Czyżewski w paryskiej „Kulturze“ (6/97) artykułuje kapitalny, a niechętnie dziś zauważany pewnik. Otóż poprzedni system „[...] wprowadzie w sferze ideologii zwalczał tożsamość narodową, w praktyce jednak ugruntowywał dominację myślenia narodowopañstwowego“. Po mojemu to bardziej pasuje do satelitów Związku Sowieckiego, przede wszystkim do Polski. „Moczarowizna“ w 1968 dała przykład kulminacyjny. Na Ukrainie myślenie „narodowe“, wysupłane z folklorystycznej bibułki, znaczyło: rosyjskie.

Konstatacje Aleksandra Czyпки, publikowane w „Politycznej Dumce“, odnoszą się do Rosji, ale równie dobrze mogą dotyczyć Ukrainy.

„Od 1993 [...] antykomunizm i krytykę sowieckiego reżimu przyjmuje się jako oznaki krótkowzroczności politycznej. [...] Polityczny realista, Jelcyn, utrzymał wszystkie święta z czasów komunizmu, nie wyłączając obchodów rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej. Ostatnia decyzja Jelcyna w tej dziedzinie, rehabilitacja czerwonego sztandaru jako symbolu zwycięstwa ludzi radzieckich w II wojnie światowej, raz jeszcze poświadczyła, jak silna jest tendencja do rehabilitacji wartości i symboli sowieckiej historii...“ Z której to taktyki, dodaje autor, jak na ironię losu Jelcyn z Czemermerdinem zdążyli się wycofać.

Zdaniem Aleksandra Cypki: „Wszystkie demokratyczne rewolucje we wschodniej Europie 1989 bazowały na idei odbudowy. Brały początek z ludzkiego pragnienia powrotu do narodowych korzeni, do historii, przerwanej przez komunizm. Dla kontrastu - pierestrojka i zmiany zainicjowane przez załamanie się Związku Sowieckiego w grudniu 1991 były kontynuacją komunistycznej historii państwa sowieckiego, wspierały się na symbolach i wartościach uznanych przez sowieckie społeczeństwo. Ten szczególny fakt jest źródłem trudności ze zrozumieniem sytuacji w postsowieckiej Rosji“ - stwierdza autor. „Podobne, czy te same były tylko konsekwencje załamania się rosyjskiego totalitaryzmu: gwałtowny przyływ wolności, zniesienie cenzury politycznej [ja wolałabym mówić o instytucjonalnej - AS], wolność prasy, system wielopartyjny. Natomiast co do intencji zmiany, różnice są fundamentalne, mimo to nie dostrzegane na Zachodzie. Podczas gdy inne społeczności wschodnioeuropejskie były zainteresowane w powrocie do swojej narodowej tożsamości z okresu przedkomunistycznego, to Rosjanie jak gdyby chcieli - przynajmniej w pierwszym odruchu chcieli - odciąć się od kontynuacji, skreślić wszystko, co obciążało naród...“ Igor jest pierwszym spotkanym przeze mnie Ukraińcem, który nie odczuwa biedy, przeciwnie. Łączy studia z nie najgorszą posadą w zagranicznej firmie. Lubi pieniądze, ale nie modli się do nich. W tym chłopcu jest potrzeba lepszej wiary. Pouczający kontakt. Chłopak nie zgadza się z nastrojami totalnego potępienia, z prostacką antysowieckością. Urodzony już w bardzo złagodzonych czasach, jakoś odsunął od siebie cienie rozstrzelanych przodków.

Dzisiaj młodzież jest zdezorientowana, mówi Igor. Ludzie boją się uczuć, maskują się narkotykami, szukają wyjścia w zbrodni. Totalna samotność. Dawniej była idea. Myśleliśmy podobnie, nie wybierając, nie znaleźmy wyboru, ale to miało sens. Teraz dowiadujemy się, że nasze życie było szare, żmudne, kajdaniarskie. Skąd mogliśmy wiedzieć? Człowiek wie, jeżeli porówna. Nie, ja nie odczuwałem niewoli.

Pamięta, jak zadzierał nosa, jaki był ważny i wspaniały w chuście pioniera. Pamięta swoje dławiące przerażenie, czy nie wyrzucą go z organizacji, gdy ostrzeliwując ściany grochem, strącił portret Lenina.

I to nie był strach przed odpowiedzialnością, jeszcze nie. Po prostu miał osiem lat i po raz pierwszy wyobraził sobie samotność.

Tego orwellowskiego trzonu sprawy polscy autorzy raczej unikają, a w każdym razie lękliwie obchodzą się z tematem; w przeciwieństwie do Ukraińców. Jednak w swoim szkicu Epoka postkomunistyczna profesor filozofii, zamieszkały w Monachium Aleksander Zinowjew, wskazując na potrzebę rozróżniania pomiędzy komunizmem jako ideologią, teorią, a komunizmem - jako sposobem organizacji społeczeństwa - pisze: „Przyjęło się uważać, że wszystko, co zaszło w trakcie minionej dekady w Związku Sowieckim i krajach bloku sowieckiego, dowodzi bankructwa tego systemu społecznego. Uważam, że takie podejście jest fałszywe“.

Jego imiennik, profesor Cypko z Rosyjskiej Akademii Nauk, nazywa rzeczy po imieniu. „Ludzie nie byli głodni: mieli zatrudnienie. Ich podstawowe życiowe potrzeby były zaspokajane i zagwarantowane [...]. Brakowało praw i swobód demokratycznych, które propaganda zachodnia ogłosiła najwyższymi wartościami ludzkiej egzystencji. Początkowo, obywatelom krajów ekskomunistycznych wydawało się, że będą mogli [po zmianie systemu - AS] korzystać z tych dobrodziejstw, utrzymując wszystkie korzyści związane z dotychczasowym stanem posiadania. Jednakowoż z załamaniem się systemu komunistycznego stracili wszystko, co posiadali wcześniej. Doświadczyli gospodarczego

nieporządku, inflacji, upadku oświaty i kultury, ideologicznego chaosu, moralnej degradacji i wzrostu przestępczości. Głównych problemów dostarczyła troska o przetrwanie... W tych warunkach wspomniane walory demokracji po prostu straciły jakiegokolwiek praktyczne znaczenie“. Ten swój niezwykle interesujący wywód, spisany jeszcze w 1993 roku, autor kończy konkluzją, że epokę postkomunistyczną, równie dobrze można nazwać postdemokratyczną. Oba tytuły usprawiedliwione.

Komunizm, kapitalizm... Z badań zleconych przez Bank Światowy wynika, że połowa Ukraińców nie ma zdania, który ustrój gorszy, w drugiej - większość jednak wolałaby stare porządki (w sklepach mniejszy wybór, za to ceny niższe). Pozostali godzą się z drożyzną rekompensowaną brakiem ograniczeń i kolejek.

Ukraina: czas adaptacji. Temperatura zmiany tak przyjemnie odczuwalna w gabinetach intelektualistów - i niewzruszoność społeczna. Eseje, dysputy o epoce postkomunistycznej i nie poruszone jeszcze złoża komunistycznych obciążeń i nonsensów w codzienności kraju. Państwa!

Ukraina, kliniczny przykład społeczeństwa zaskoczonego przez historię. Jeżeli w „demoludach“, czyli w krajach satelitarnych, jednak trzymany przez Rosję na znacznie dłuższej smyczy i -zaczynając od Polski - w luźniejszej obroży, przygotowanie do zmiany, przemyślana, a nie tylko emocjonalna jej potrzeba, okazały się wątpliwe, to czego wymagać od narodu poza incydentami nie znającego państwowości, zniewolonego w stopniu niewyobrażalnym dla Polaków?

Dziewiętnastoletnia Marina Kuzniecowa jest Ukrainką nie tylko z urodzenia, ona poczuwa się do ukraińskości, ale muszą pamiętać, że niepodległość zastała nastolatkę, raczej zaciekawioną niż zainteresowaną zmianami. Tam u nich, w Zaporozżu, w Doniecku, trudno mówić o jednoznacznych reakcjach, wolność nie przyszła w atmosferze święta, właściwie to więcej było zaskoczenia niż radości. U wszystkich. Dopowiadam: u wszystkich nibyRosjan i prawie Ukraińców? Marina potwierdza. „Nastroje... Młodzież raczej chciała własnego państwa, na ogół tak. Z początku nie mogliśmy się połapać we wszystkim. Co do rodziców, u nas w domu głównym politykiem zawsze był ojciec, który uznał, że Ukraina może i powinna utrzymać zdobytą niepodległość, więc matka przyjęła jego punkt widzenia. Cóż jeszcze... Tak znów często to do tematu nie wracali“.

Wyczuwa, że chciałabym usłyszeć znacznie więcej, chce mi pomóc, biedaczka jakby się usprawiedliwiała ze swojej nieuważnej młodości. „Ja się może urodziłam za późno. Dłużej żyjąc w tamtym systemie z pewnością wiedziałabym więcej“. Na swoje szczęście nie wie.

Terror? Totalizm? Energicznie potrząsa głową. „Myśmy nie odczuwali“. Czy to możliwe? A łagry? Archipelag GULag? „Jeszcze nie czytałam“.

Jest ze mną szczerą, chce pomóc, nie chce zmyślać. O łagrach dawniej nie słyszała. Łagry... Może były rozmowy w rodzinach, w których to się zdarzyło. Nie w jej domu. Nigdy. Szuka słów, żeby mnie przekonać. „Proszę pani, ludzie u nas nie czuli się zniewoleni, niech pani w to nie wierzy. Była wiara, na pewno: jedna, głęboka wiara w partię. Ludzie ślepo wierzyli. To pamiętam“.

Córka dyrektora spółki akcyjnej i dispeczerki w tym samym przedsiębiorstwie, studiuje management. A nie można by powiedzieć: uprawlenije? Zdaniem Mariny nie można, bo to nie to samo.

Ma posadę, zarabia sto dziesięć dolarów miesięcznie, dwukrotnie więcej niż jej matka, ale na rękę dostaje połowę. Podatki!

Oczywiście, że pomagają jej rodzice, przecież z „tych stu dziesięciu zostało dziesięć, gdy kupiła dzinsy. Druga pensja poszła na buty z bazaru, czyli pomimo wszystko tańsze niż w sklepie. Rzecz prosta, mówimy o butach, które można włożyć jadąc do Polski i nie narazić się na politowanie.

Nie ma lekkiego życia. Czas wyliczony jak gotówka. Dzień między biurem i uniwersytetem. Powrót późnym wieczorem, nawet już się nie chce jeść kolacji, tylko upaść na łóżko i spać... spać...

To u nas rozrasta się irytująca tendencja do wyrzucania z życiorysów żenującego - dzisiaj! - epizodu. U nich jeszcze się w to nie gra. Starzejąca się oficersza z Mariupola, studenci z Zaporozża, Kijowa, Odessy z całą naturalnością mówią o idei. Nie czuli się niewolnikami. Ja, z niedowierzaniem: nie przeszkadzało wam, że żyjecie w totalitaryzmie? Marina, też z niedowierzaniem: „Dlaczego - w totalitaryzmie? Myśmy tego tak nie odbierali“.

System doskwierał jednostkom, które płaciły cenę tym dotkliwszą, że niezauważalną dla ogółu. I o tym nie trzeba milczeć, jeśli się chce unaocznić prawdę, a przynajmniej część prawdy, osiągalną dla patrzących z boku. Jeśli się próbuje zrozumieć, co rzeczywiście oznaczała tak lekko i przy naskórkowych okazjach anonsowana w naszej publicystyce sowietyzacja społeczeństwa.

Była jedna wiara... Dla nich to nie znaczy źle, dla nich to nadal w porządku. Okna na świat otwarte, drzwi do świata uchylone, widzi się, porównuje, wyciąga wnioski - i znowu w jakimś najmniej spodziewanym momencie wraca deklaracja, która jak infekcja pełźnie za mną od Mościsk, od pierwszego dnia we Lwowie, która powtarza się tym częściej, im głębiej na wschód, na południe kraju: było lepiej. Było z czego żyć, usłyszę w Zbarażu. Było w co wierzyć, dowiem się w Kijowie. Uporczywe, natrętne lepiej. Ze względu na talerz zupy i kawałek chleba. Ze względu na idee.

Wygodę jednej wiary reasumuje socjolog: „Rańsze ludy poczuwały się kraszczę, temu szczo kożen znaw, jak czynyty prawilno“. Według mnie ma rację Czytko zauważając, że nie można się oprzeć porównaniu utopii marksistowskiej „z nowym, demokratycznym mesjanizmem“. Zachód bardzo się pospieszył identyfikując rozpad państwa sowieckiego z zaistnieniem demokracji i obywatelskiego społeczeństwa w Rosji. „Obalenie represyjnych mechanizmów komunistycznych było utożsamiane z finałem komunizmu jako systemu społecznego...“ - pisze Rosjanin przypominając, że takie rozumowanie dało podstawę romantycznym oczekiwaniom... stop. To brzmi zbyt znajomo. Jak się okazuje, nie tylko u nas liczone, że z przestrzeni postsowieckiej niejako automatycznie wyrośnie republika prezydencka wzorowana na Stanach Zjednoczonych.

G ł a s n o s t' zaskoczyła Rosję. Inteligencja rosyjska w żadnej mierze nie była jeszcze przygotowana do rewolucji antykomunistycznej... A która była, chciałoby się dodać. Akademik wskazuje na przeszkody w przebudowie kraju, które stwarza właśnie inteligencja

wychowana na dziesięcioleciach sowieckości. Mówimy o szczególnym społeczeństwie. Inny świat. Przypominając nastroje posłuszeństwa, apatii społecznej, cichego godzenia się ze wszystkim co niesprawiedliwe, autor zauważa, że tak jak kiedyś „żadna zewnętrzna siła nie zmuszała Rosji do przyjęcia komunizmu. To był system wybrany [...] przez zwycięzców w wojnie domowej“, tak i współcześnie Rosjanie najzwyczajniej nie byli jeszcze przygotowani do tych lekcji historii, które wymogła na nich gorbaczowowska g ł a s n o s t'. Dekomunizację poprowadzoną metodą szokową, zatem wyidealizowany program prywatyzacji, zatem niekontrolowane poparcie dla postsowieckiego systemu parlamentarnego, uznano -również Zachód uznał! - za wystarczające gwarancje autentyzmu demokratycznych reform w Rosji.

Bardzo ciekawy szkic. Zdaniem autora „pieriestrojka była to typowa rosyjska, carska reforma z wysoka“. Przedstawiając kolejne jej etapy Czyżko konkluduje: „To, w czym Zachód widział fundamentalny ruch demokratyczny w Rosji [...] było, bardziej w gruncie rzeczy [...] rewoltą przeciwko władzom i państwu, niż dążeniem do demokracji i praworządności“. Autor szkicu przypomina, że zarówno w samej Rosji jak i na Zachodzie zignorowano fakt, iż ludność jest głęboko zawiedziona demokratycznymi reformami nieskutecznymi w pięć lat po rozpoczęciu pieriestrojki. „Ponieważ te reformy nie sprawiły, by życie stało się lepsze dla rosyjskich chłopów i robotników, Rosjanie w większości nie protestowali przeciwko zamachowi stanu w sierpniu 1991...“ Ogólnym rozczarowaniem można wytłumaczyć tak szeroką zgodę na odejście od władzy Gorbaczowa. A wracając do zamachu stanu - kraj uznał sprawę za rozgrywkę sił moskiewskich - i tylko moskiewskich. Korzyści ani strat dla społeczeństwa w tej grze nie wypatrzono.

Nie tylko z przyczyn „organizacyjnych“ (my jednak byliśmy państwem odrębnym, przy wszystkich zależnościach) ukraińskie wydostanie się z kolonializmu nie daje się porównać z ewenementem polskim. Zdaniem Zbigniewa Brzezińskiego, żadne wewnętrzne procesy nie wpłynęły na wyzwolenie Ukrainy. Kto tak twierdzi, sieje mit. Jak w „Politycznej Dumce“ napisał Brzeziński - to państwo powstawało bez jakiegokolwiek oparcia o własną przeszłość. Nie było cienia precedensu. Żadnej teorii. Pustka. Gospodarze sądzą, że oczekiwania po obydwu brzegach - w dawnych państwach komunistycznych i tak samo na Zachodzie -były za wysokie i raczej naiwne. Klimat nadziei na mannę z nieba, na powtórkę planu Marshalla, udzielił się i społeczeństwu.

Katapultą w niepodległość. Uwolnienie się od obcej dominacji - i co dalej?

Brzeziński postrzega Ukrainę jako kraj, którego niepodległość jest nadal zagrożona, dalszy bieg wypadków - jeszcze nieprzewidywalny.

Staraniem redaktora Giedroycia zaprosił mnie „Filozofskyj Fund“, wcześniej współorganizator - obok Instytutu Filozofii i redakcji „Politycznej Dumki“ - ciekawego, choć, jak się tu nie ukrywa, ciekawszego w zamiarze niż w werbalizacji ukraińskopolskiego sympozjum. Ujmujący był list, wysłany do inicjatora naprawy relacji polskoukraińskich i kontaktów, które po kilkudziesięciu latach od ich zainicjowania przez „Kulturę“ weszły w fazę rządowego porozumienia, państwowej współpracy.

„Wielce Szanowny panie Giedroyc!

Z wielką przyjemnością zawiadamiamy Szanownego Pana o pomyślnym przebiegu i zakończeniu sympozjum „Intelektualiści, kultura, polityka: doświadczenia Polski i Ukrainy“ (ku pięćdziesięcioleciu paryskiej „Kultury“). O sukcesie sympozjum świadczy chociaż by to,

że trzeciego dnia obrad, w słoneczną sobotę 7 czerwca, na sali było więcej osób (około 150) niż podczas pierwszego dnia. Wieść o sympozjum rozeszła się po Kijowie, a dialog na nim rozpoczęty zainspirował nowe poglądy i oceny. Można powiedzieć, że na naszych oczach ukraińskopolski dialog, zapoczątkowany w swoim czasie „Kulturą“, przekształca się w konkretną wspólną pracę nad rozwiązywaniem wspólnych problemów. Będzie miał Pan możliwość przekonać się o tym z wygłoszonych na sympozjum referatów, które będą przez nas wydane. Bardzo żałujemy, że nie był Pan obecny na sali razem z nami, chociaż od moralnej obecności wśród uczestników sympozjum nikt nie może Szanownego Pana uwolnić.

Mamy nadzieję, że dialog nasz będzie kontynuowany w Polsce, a później znów w Ukrainie, na nowym poziomie odpowiedzialności za przyszłość ukraińskopolskiego porozumienia.

Z najlepszymi życzeniami i wyrazami głębokiego szacunku, uczestnicy Sympozjum.

Przewodniczący komitetu organizacyjnego Jewhen Bystryckij: „Myślę, że Ukraińcy bardziej niż my doceniają inicjatywę dwóch wspaniałych ludzi „Kultury“, Giedroycia i Mieroszewskiego, podjętą w okresie najmniej sprzyjającym naszemu porozumieniu z Ukrainą i Litwą. Było to całkowite i zdawałoby się samobójcze pójście pod prąd, jeśli zważyć ówczesne nastroje, obolałości w kraju i na emigracji; przede wszystkim na emigracji, która mogła przecież zbankrutować tytuł. Szczęśliwie wygrał rozsądek.

W przeciwieństwie do swoich rodaków na emigracji redaktorzy „Politycznej Dumki“ nie stawiają znaku równania między „Kulturą“ a „Suczastnością“, akcentują nieporównywalność polskiego miesięcznika z jakimkolwiek innym tytułem, zgadzając się, że - jak to sformułowały „Wsechukrainśkyje Widomosti“ - „Jerzy Giedroyc stworzył nie zwyczajne pismo, lecz dzieło na miarę europejskiej kultury“.

Znamienne, że nie my, to Ukraińcy pierwsi tak rzeczowo uhonorowali pięćdziesięciolecie pisma, które przez cały ten po obu stronach daleki od gładkości, uprzedzeniami, niedomówieniami najeżony czas pracowało nad poprawą naszego sąsiedztwa. Była to polityka unikalna. Bezprecedensowa. Nie w Warszawie, w Kijowie - dopiero w Kijowie - omawiano casus Juliusza Mieroszewskiego, jednego z najwybitniejszych - choć jeśli idzie o walor myśli, porównywalnego jedynie do Giedroycia, polskich publicystów. Wolalabym nie sprawdzać, ilu też naszych dziennikarzy, nie tylko tych młodych, zna jego nazwisko.

Konstatacja Ukraińca: Giedroyc skupił wokół „Kultury“ najlepsze polskie umysły. To pismo było ewenementem i nadal pozostaje.

Nie z przypadku najlepszą frekwencją cieszył się trzeci dzień obrad, sesja prowadzona pod hasłem: „Ukraina i Polska. Historia i perspektywy dialogu między intelektualistami“ (w tym znaczący referat Ołeha Bitego o „Historycznej klęsce kulturowego mesjanizmu“. Fakt prawie nie przyjmowany do wiadomości w Polsce).

Mając do wyboru historię i perspektywę - strona polska wolała trzymać się historii, i to traktowanej bardzo osobiście, „literacko“. Jak na wieczorze autorskim. Gospodarze chyba mieli do nas cichy żal z powodu okazji, która znowu przeszła bokiem. Nie przemęczyliśmy się, szykując wystąpienia. Oczywiście nikt z organizatorów nie powiedział mi tego wprost, ale chyba znowu dało o sobie znać nasze wzmożone samopoczucie intelektualne. Już zupełnie poniewczasie, spóźnieni o mnóstwo lat, o multum politycznych nieodwracalności, znów próbowaliśmy szpanować przed ukraińskim lustrem.

Przez lata, przez sowieckie lata, intelektualiści rosyjscy, litewscy, ukraińscy poprzez Polskę - i poprzez język polski - docierali do wartości spoza o ileż w ich wypadku szczelniejszej żelaznej kurtyny. Warszawa była oknem na świat, drogowskazem, nie tylko przecież w kulturze. To się już zmieniło.

W „Politycznej Dumce“ szkic Włodzimierza Reprincewa o relacjach polskoukraińskich, szczęśliwie już nieporównywalnych z dawniejszymi. Weszliśmy w fazę „konstruktywnego, pragmatycznego i wzajemnie opłacalnego rozwoju. Obiektywne, strategiczne, narodowe interesy obydwu państw korespondują ze sobą, wolne od deformujących wpływów z zewnątrz“. To dużo jak na początek, ale...

W kasztanowym mieście

Tym razem kontakt z inną, szerszą Ukrainą. To już nie jest obolały od antypolskich i propolskich kompleksów Lwów, z neoficka przewrażliwiony i zajadły. To Kijów. Starcza odległości - nie w kilometrach, w historii - na wyczuwalnie inny klimat polityczny. Na zorientowanie się, jak wyolbrzymiliśmy Galicję, która z tutejszej perspektywy jest, czym jest: nie za dużą i słabą gospodarczo prowincją jednego z największych obszarem krajów europejskich.

„Dumka“ - jak każde chyba tej elitarnej rangi pismo - boryka się z kłopotami finansowymi. Bardzo ciekawy periodyk, skupiający intelektualistów przynajmniej formalnie nie związanych z żadną opcją polityczną, co akurat wydaje mi się mało możliwe w naszych ostrych czasach. Kontakt z tą redakcją bardzo pomaga w kulejącej jeszcze u nas orientacji, że mimo polityki wynaradawiającej i deformującej ocalała z czystek inteligencję ukraińską, ich kraj dysponuje ciekawymi umysłami, ma autentycznie intelektualne środowiska, co podkreślam z intencją - choć nie bez zażenowania. Nie powinno się pisać o oczywistościach, tylko jak tu nie pisać, kiedy stereotyp Ukraińca -fizycznie dorodnego, to na pewno, ale prostaka, ciemnego szowinisty, jak rzep trzyma się naszej wyobraźni.

Pytanie, dla mnie, najistotniejsze przy zamyśle książki: jak widzą swoje jutro Ukraińcy? Bardziej przy Rosji, czy przy Polsce?

„I ne tut, i ne tam“ - brzmi odpowiedź usłyszana w Instytucie Socjologii na zajmującym spotkaniu z naukowcami.

Z odesitą Denisem Kierekieszą (czwarty rok matematyki połączonej z psychologią) rozmawiam o czym by, jak nie po polityce. On też uważa, że Ukraina nie powinna się ponownie uzależniać ani od Moskwy, ani od Warszawy. „Odważmy się na własną drogę“.

Odesitą, dla mnie to brzmi dziwnie, jak kosmita, no ale i nazwisko ma chłopak zadziwiające dla polskiego ucha. Denis, ładny brunecik, nieskazitelnie ułożony - manier to cała Wspólnota Niepodległych Państw mogłaby się od niego uczyć, otóż Denis powiada, że jego kraj bywał

skazany na Polskę lub na Rosję, tymczasem jest jeszcze trzeci wybór, najważniejszy - Europa.

Syn Ukrainca i Rosjanki przyznaje się do czegoś, za co wcale nie tak dawno jechało się do łagru. „Ja w dusze czuwstwujus' kosmopolitom“.

Zależy mu na zarobkach, ale nie poprzestanie na pieniądzu. „Nie jestem prymitywem“. Ma ambicje, chce być kimś, pracować naukowo, najchętniej tu, w Odessie. W każdym razie - nie wyemigruje z Ukrainy.

Profesor Bystryćkyj przysłała mi swoją doktorantkę, żeby ze mną pospacerowała po Kijowie.

Natalia, historyk, żona historyka, robi doktorat z dziejów cerkwi na prawobrzeżnej Ukrainie od połowy XVI do połowy XVIII stulecia. Przed czterystu laty w tekstach ruskich posługiwano się łacińskim alfabetem, język starocerkiewny mocno przypomina staropolski. „Byliście kulturą dominującą, a my - przejmującą“ - konstatuje Natalia.

Zaczyna się drażliwy temat, odchodzenie Ukraińców do kultur z sąsiedztwa. Tych silniejszych. O ile pamiętam, żadne z dużych nazwisk w literaturze ukraińskiej nie zrobiło światowej kariery. Gogol był Ukraińcem, niemniej... Tu Natalia, żarliwie: Gogol myślał i czuł po ukraińsku, jego wszystkie reakcje... Tak, wy to wiecie, ale reszta świata? Gogol należy do Rosji. Natalia, już kapitulując: „Dla Gogola nie było innego wyjścia“. Czyżby? Robię perskie oko. Obydwie się śmiejemy. Ja chyba szczerzej.

Ukraińcy ciężko zapłacili za Perejasław. Ekspozuje się przede wszystkim cierpienia sowieckiej Ukrainy, ale przecież prośba Szewczenki: „Daj Boże, żeby kaci ukrzyżowali carów, tych katów ludzkości“ - nie wzięła się z fantazji, rzekome pojednanie dwóch narodów zaowocowało na przykład obowiązującym od roku 1864 zakazem drukowania literatury w języku ukraińskim. Pisarze, którzy oparli się rusyfikacji, wydawali pod zaborem austriackim, głównie w polskim Lwowie. Blokada językowa, odcięcie narodu od własnych ksiązek, przy równoległym - zastraszająco masowym - analfabetyzmie, to był sztych bezbłędny. Ukraina stała się ziemią de iure pozaliteracką.

Pogląd na ich pisarstwo wyraziłam w mojej pierwszej książce o Ukrainie, Motyw wschodni, wydanej w 1981. Myślę, że się nie zdezaktualizował.

Literatura ciągle w cieniu rosyjskiej.

Dramat Ukrainca na przełomie dwóch imperialnych epok -carskiej i sowieckiej - w autobiograficznym tekście Dowżenki: „Absolutny brak elementarnej, zdrowej oświaty politycznej [...] nie mówiąc już o marksizmie, o którym nie miałem zielonego pojęcia [...] i radość z powodu rewolucji, radość wywołana uwolnieniem się od caratu, i Ukraina, o której zabraniano czytać [...], i nieumiejętność odróżnienia wielkiej, długo oczekiwanej prawdy od długo wpajanego w nas kłamstwa - wszystko to oślepiło nas jak ludzi, którzy wyszli z ciemnej piwnicy. Wykrzykiwałem na wiecach jakieś tam ogólnikowe frazesy i radowałem się jak pies, który zerwał się z łańcucha, wierząc szczerze, że wszyscy ludzie stali się już braćmi, że wszystko stało się już jasne, że ziemia dla chłopów, fabryki dla robotników, szkoły dla nauczycieli, szpitale dla lekarzy, Ukraina dla Ukraińców, Rosja dla Rosjan [...]. Cieszyło mnie szczególnie to, że car Mikołaj II był nie Ukraińcem, lecz Rosjaninem, i że cały jego ród też nie był ukraiński [...]. W tych czasach wszyscy Ukraińcy wydawali mi się ludźmi

szczególnie sympatycznymi. Tyle już lat byli uciskani przez tych przeklętych Moskali, zapomnieli już nawet mówić po ukraińsku, rozmawiali kaleczonym żargonem ukraińskorosyjskim“.

Rozpowszechnione - również u nas - przekonania, że Ukraińców utrzymuje przy życiu głównie wieś, nie można brać serio. Lepiej czy gorzej radzą sobie i ci, którzy nie mają za miastem ani działek, ani krewnych. Szara strefa w ukraińskiej gospodarce jest nieogarniona, uniemożliwia doprowadzenie do równowagi wielu podstawowych dziedzin gospodarki.

Częściej niż z pensji Ukraińcy utrzymują się z emerytur, stypendiów. Dopiero na trzecim miejscu - a to już ustalenie rozmijające się z powszechnym przekonaniem - dochody z pracy na własnym kawałku ziemi. Kapusta czy ziemniaki z działki docierają do garstki ludzi, ale ogół uparcie wierzy, że zgodnie z powiedzonkiem Chmielowej: „To wielka łaska boża krewnych na wsi mieć“.

Jak wynika z badań, prowadzonych latem 1992, co trzeci mieszkaniec miasta chętnie przeniósłby się na wieś. Zimą następnego roku - potwierdził tę gotowość co czwarty. Przypuszczalnie zainteresowanie spadło w rezultacie drastycznych kłopotów, z którymi boryka się rolnictwo. Ludzie niezbyt spieszą się do działań, które wymagają pieniędzy, zanim zaczną je przynosić. Za prywatyzacją rolnictwa jest niespełna połowa badanych. Wielu wręcz sprzeciwia się „rynkowi ziemi“. Pocieszające, że potencjalnymi kandydatami na farmerów bywają ludzie poniżej czterdziestki.

Ucieczka z miast osłabła, ale nie zanikła. Występuje na całej Ukrainie z wyjątkiem Tarnopola. Dlaczego akurat Tarnopola?

Powód nie wyjaśniony. „Za wcześnie na socjologię“ - uśmiecha się Natalia.

Nowe nie wzbudza entuzjazmu. W Polsce ludzie też boją się kapitalizmu, ale mniej. Polska bieda jest mniejsza.

Jeszcze w 1994 sektor prywatny stanowił wszystkiego pięć procent całej ukraińskiej gospodarki, chociaż, po decyzji rządu, prywatyzacja na dobre powinna była ruszyć już w sierpniu 1992. W tym czasie miała objąć drobną jeszcze, wycenioną co najwyżej na dziesięć miliardów dolarów część własności państwowej, a więc niczyjej w odczuciu wystarczająco powszechnym, by przyczyniło się do rozkładu Związku Sowieckiego.

Tymczasem społeczeństwu się nie spieszy. Aż czterdzieści dziewięć procent respondentów chce, by duże przedsiębiorstwa pozostały własnością państwa. Niespełna dwadzieścia procent ludności domaga się ich prywatyzacji. Bardzo wielu Ukraińców w ogóle uchyliło się od odpowiedzi.

Badaniami zajmuje się Ośrodek Badawczy Demokratycznych Inicjatyw oraz Centrum Edukacyjne przy Instytucie Socjologii Narodowej Akademii Wiedzy w Kijowie (bardzo to skomplikowane, ale niech czytelnik zna źródła). Analizy podejmowane w szerokim programie „Społeczeństwo ukraińskie u progu XXI wieku“ są rzetelne, przeprowadzane dwukrotnie - rok po roku, za każdym razem na blisko dwutysięcznej reprezentacji mieszkańców wszystkich regionów Ukrainy, od Lwowa po Krym. Co zaobserwowano porównując wyniki? Zwiększa się nostalgia za dawnym porządkiem. Na zasadzie „z dwojga złego“ - ludzie opowiadają się za gospodarką sprzed pieriestrojki.

Niepokojący szczegół. Dopiero na ostatnim miejscu między najistotniejszymi w odczuciu Ukraińców warunkami poprawy -rozwój demokracji.

Dużo takich dzwonek alarmowych w kraju, który dopiero co wyzwolił się od Rosji. Niezawisimost'... może. Zwycięstwo? Z tym wolą być ostrożni. Niepodległość to zaledwie pierwszy krok. O usatysfakcjonowaniu wolnością pomówimy, gdy Ukraina doczeka się demokratycznego rządu, bo demokracji jeszcze u nas nie ma, zaistniała dopiero jej możliwość, powiada Bystryckij. Dodając: i państwa jeszcze nie ma. Jest prototyp.

Trzeźwo o sobie: nie mamy żadnych doświadczeń w państwowości. Ukraina była zdominowana przez Moskwę, wielkorządców z importu wspierała lokalna nomenklatura wątpliwej jakości. I jak myśleć o porządku społecznym w państwie, w którym (dane oficjalne) zarobki najzamożniejszych Ukraińców trzydziestopięciokrotnie przerastają dochód najbiedniejszych w mieście, a czterdziestosiedmiokrotnie - na wsi.

I znów leitmotiv ukraiński, dylemat wracający jak bumerang: "Proszę sobie przedstawić armię, której nie płacą, proszę tylko pomyśleć o rozmiarach konfliktu socjalnego, który przecież nie słabnie, wręcz przeciwnie".

Wniosek z dyskusji przewodniczących klubów parlamentarnych w 1994: nie naśladujmy ślepo Francji, Niemiec czy Stanów Zjednoczonych, państw, które budowały swój dobrobyt przez trzy, jeśli nie pięć stuleci... Taki wniosek przydałby się i Polakom.

Biedna Natalia, przyszła, żeby mnie oprowadzić po starej słowiańskiej stolicy, tymczasem nie ruszając się z pokoju brniemy w obliczenia na razie niestety dalekie od historii. W Kijowie najtańszy bilet na popularnego Zaporozca za Dunajem kosztował o hrywnę więcej niż dwa kilogramy najtańszego mięsa, o hrywnę mniej niż kilogram schabu, o pół hrywny mniej niż kilogram serdelków. Za dobre miejsce trzeba było dać już dwadzieścia hrywien, równowartość dwudziestu kilogramów cukru. No, ale za bilet na występ krakowskiej operetki płaciło się nawet czterokrotnie drożej.

Tak się tutaj żyje. Poprawa? Ja chyba żartuję.

W Instytucie Historii Natalia zarabia sto pięćdziesiąt hrywien, tyle samo, ile jej mąż w Instytucie Filozofii. Można już znośnie żyć za trzysta, zapewnia. Cóż, ona wie lepiej. A zatem: podejrzujmy jej dostatek. Czysz, w tym światło, gaz, kaloryfery- siedemdziesiąt hrywien. Telefon: dwie i pół. Jak za darmo! Jak za sowieckich czasów, poprawia Natalia.

Co jedzą... Teraz, w lecie, pomidory po półtora hrywny za kilogram, ogórki po sześćdziesiątosiemdziesiąt kopiejek, młode ziemniaki też po osiemdziesiąt, stare kupisz nawet po trzydzieści... Masło - sześćdziesiąt kopiejek za kostkę. Ryż drogi, to prawda. Powyżej dwóch hrywien za kilogram. A co jest już bardzo drogie? Kawa. Do dziesięciu hrywien za paczkę ziarnistej. Neska tańsza, trafia się po sześć.

Przekonała mnie. Potakuję. Czyli da się wyżyć we dwójkę -za trzysta? Dałoby się, poprawia Natalia. Dałoby się, gdyby tylko płacili. Ostatnią pensję, za marzec, odebrała w maju, a jest połowa lipca. I tak nieźle w porównaniu z zeszłym rokiem. W październiku 1996 wzięło się pensję za kwiecień, i na tym koniec. W Instytucie Filozofii nikt nie dostał kopiejki za osiem zeszłorocznych miesięcy.

Mieszkają z mężem w szesnastopiętrowcu. Czterdzieści osiem metrów kwadratowych na dwoje, luksus. Na Ukrainie (w mieście i na wsi) jeden pokój mieści trzech lokatorów. Tylko połowa mieszkań z wodą, niespełna osiemdziesiąt procent - z zimną, tylko w sześćdziesięciu trzech procentach mieszkań - ubikacje! Natomiast prawie wszyscy lokatorzy dysponują lodówkami, znaczna większość - korzysta z kolorowej telewizji.

Dwadzieścia dwa procent Ukraińców dorobiło się własnego samochodu, mniej, tylko piętnaście procent, aparatury stereo i wideo. Nowe, a przynajmniej w dobrym stanie meble ma dwadzieścia procent obywateli Ukrainy. Bibliotekę z ponad setką książek - o trzy procent więcej. Papiery wartościowe, akcje- niecałe trzy procent.

To, co po naszym brzegu przez czterdzieści lat - u nich znacznie dłużej - uchodziło za wystarczające świadectwo zamożności (mieszkanie w bloku, telewizor, pralka, już nie mówiąc o takich zbytkach, jak motocykl, domek letniskowy), to na Ukrainie w znacznym stopniu są pozostałości po sowieckich czasach. Kapitalizm ozłocił jednostki, ogół bieduje w sposób nawet dla nas niewyobrażalny.

Tu ludzie nie wyskakują z pracy na lunch i nie przynoszą do pracy buttersznytów ani hamburgerów, przynoszą kartofle w mundurkach, słoninę...

Socjologia, teraz? Natalia jest sceptyczna: z tym trzeba poczekać. Na moim miejscu nie przeceniałaby sondaży. Ludzie mówią jedno, a później... Z badań wynikało, że prezydentem będzie Krawczuk, a nie Kuczma- Ukraina jest nieprzewidywalna.

Spełnił się ukraiński sen: niepodległość. Tylko ilu z nich -jak intelektualista Bystryckij - chce wolności rozumianej szerzej, niż zależność od Rosji? A i od nas?

W Polsce, znacznie przecież lepiej (bo dłużej) obytej z państwowością osadzoną w realiach politycznych i społecznych, już, ale tylko trochę, obytej z demokracją, wolność przede wszystkim tłumaczy się na niepodległość. U nich - częściej - na głód.

Natalia o Polsce: kraj bardziej europejski od naszego. Bliżej świata.

Jej zdaniem „ludzie w Polsce byli psychicznie gotowi do zmiany. Polaków tak nie zszokowała wolność“.

W architekturze Kijowa nie ma śladów polskich, są rosyjskie. To już miasto z tej drugiej strefy wpływów, dominującej i przesądzającej o Ukrainie nowszych czasów, jakby to nie pasowało patrzącym z galicyjskiej perspektywy.

Stary, białocerkiewny Kijów. Pod ręką Stalina zburzono blisko trzydzieści świątyń, w tym dwunastowieczną. Terror wyciszył cerkwie, ale ich nie zsolidaryzował. To, że zarówno autokefaliczna, jak i grekokatolicka za sowieckich czasów funkcjonowały w podziemiu, nie oznacza, że kwapią się do zgody. Liczono na ich pojednanie pod patriarchatem Włodzimierza, który - po ćwierćwieczu w łagrze - stanął na czele kijowskiego prawosławia. Gdy zmarł, zastąpił go metropolita Filaret, bojkotowany przez autokefaliczną cerkiew jako agent KGB, domniemany konfident. Skrupiło się na nieboszczyku, który lubił i popierał Filareta. Zgodnie z funkcją i tradycją - Włodzimierz powinien być zostać pochowany w Sofijskim Monasterze, tyle że ów monastyr to już nie świątynia, lecz muzeum, i władze miejskie odmówiły zgody.

Zostawałaby Peczerska Ławra, którą na odmianę zarządza moskiewski patriarchat, a ten zaoponował. Z braku wyboru zdecydowano, że metropolita spocznie na Bajkowym Kładowyszczu (co za nazwa cmentarza! oczywiście to nie od bajki, tylko od nazwiska). Nikt się nie sprzeciwił, dopiero gdy rozpoczęły się uroczystości pogrzebowe, tłum przechwycił trumnę i poniósł pod Sofijski. Wbrew pozorom - za spontaniczne to nie było, gdyż przed eksmonastylem, obok bramy muzeum, czekał przygotowany grób. Raczej dziwne, że władze dały się postawić przed faktem dokonany, milicja nie interweniowała, widząc, co się święci, to jest udając, że nie widzi. Grób wykopano bez przeszkód, metropolitę pochowano bez zakłóceń, mogiła nie uległa dewastacji. Jak tam było z Filaretem, tak było, a Włodzimierz przeważnie ma na grobie świeże kwiaty. Od kogo i przeciw komu? Trudno orzec. Ukraińcy w zasadzie nie są religijni. Nieomal co trzeci deklaruje obojętność w sprawach wiary, co piąty waha się przy wyborze odpowiedzi. Jeszcze z innego sondażu wynika, że tutejsi najmocniej ufają... samym sobie. Potem rodzicom. Po nich - własnej rodzinie, wreszcie - zresztą już z wielkim spadkiem głosów - Bogu, bynajmniej nie utożsamianemu z żadnym kościołem ani z klerem. To kwestia osobnej rubryki i znowu bardzo umiarkowanej akceptacji.

Kijów bywa płaski, nudny, do zbrzydzenia nijaki jak Akademmisteczko albo Rusaniwka, tyle że to obrzeża, długa droga od stromych parków, górzystych secesyjnych ulic i świątyń w kopułach barwy rozslonecznionego złota lub grynszpanu.

Pasjonuje mnie muzyczna cerkiew. Wokaliza we wnętrzach roziluminowanych mrówczym światłem świec, tych cieniutkich, gęstych łądzynek prawosławnej wiary, które żółtym skrętnym ciepłkiem rozlewają się z rąk wiernych. Niestety, w cerkwiach nie ma ławek, poza krótką grzędą dla najsłabszych, więc nigdy nie zdołałam przestać całego nabożeństwa i sprawdzić, przez ile godzin trwa to melancholijne, lecz stanowcze nawoływanie Boga, dzwoniące dzikimi sopranami.

Ogień nieugaszony, czerw nienasycony... W Kijowie w dawnej Kiryłowskiej cerkwi kiedyś długo patrzyłam na ten obraz. Nie jest najlepszy, dziwny jest. Na brunatnoczerwonym tle cztery kwadraty. W każdym po cztery twarze. Na każdej grymas bólu. Nie jest to najlepsze malarstwo, ale obraz przyciąga. Oczy złe, opętane. Może przerażone. W ciemnych ściągniętych strachem twarzach coś jawnie schizofrenicznego.

W czasach, kiedy szpital psychiatryczny imienia akademika Pawłowa nazywał się Kiryłowskim Szpitalem, była to cerkiew dla chorych. Pewnie któryś malował. Za dużo człowieczego w obrazie z Kiryłowskiej, by go nazwać ikoną z rygorystycznej szkoły prawosławia.

Do pewnej granicy malarze ikon spotykają się z łacinnikami, zdarzały się im wspólne schematy - w obydwu kościołach obowiązywała woda różana do rozrabiania farb na twarz Madonny - ale podczas gdy łacinnika cieszyło, że Madonna uśmiecha się, wodzi za nim oczami, że jest ludzka, to u twórcy prawosławnego byłoby to nie do pomyślenia.

Jednak jest coś, czego Zachód nigdy nie przełamał w ikonie. To zdumiewające odrzeczywistnienie. Nieobecność bólu. Łamana kołem, miażdżona, palona, strzałami przeszywana świętość kwituje uśmiechem drobną fatygę doczesności. Nierealne w tym malarstwie są sprawy fizyczne. Gdzieś się podziały wszystkie niepokoje, całe ciepło świata. Rzecz wynika z samej filozofii ikonopisania, w którego intencji nigdy nie leżała fabulamość. Obecność ikony w liturgii była inna niż w kościele łacińskim. Podczas gdy na Zachodzie

obraz święty, ta biblia ubogich, miał przerażać, napominać, wzruszać, ikona jest bardziej po mistycznej, ideowej stronie religijnego spektaklu.

Próbuję się rozeznac w porządkach rządzących skrzydłami serafina. Sześcioskrzydłowy jest, to wiemy. Po cóż mu aż takie natury ptasiej prześcignięcie? Z sześciu dwa zawieszono, suto białą się spoza wątych pleców. Inne dwa, najdłuższe, podpłynięto czerwonym blaskiem, po to są, żeby fruwały nimi się nakrywał.

Nic tkliwego w tym malarstwie. Żadnej pozy czy nadmiernego ożywienia. I żadnej dramaturgii. Anatomia tutaj nic nie znaczy. Ikonopisanie było sztuką całkowicie nieczułą na materię świata. Dlatego tak pilnie, tak uważnie święty Dymitr na czerwonym koniku wybija cieniusięnką włócznią oko dziewczynce, bez bólu, bez zdziwienia przyjmującej zabieg. Krwawi to oko jak w Ojcu chrzestnym, ale obydwójce - święty i ofiara - mają spokojne twarze, pogodne i dalekie. Na zielonej trawie we wstążeczkach krwi leży sobie dziecko, z roztertaniem uśmiecha się zabójca w swoim złotym krążku.

Świętość obwarowana hierogramami, musztrą kontrapostów. Kontrapost to zasada przejęta chyba z rzeźby klasycznej. Idzie o pozycję, w której ciężar ciała spoczywa na jednej nodze, lewej. Druga luźno odstawiona. Błogosławiący gest ręki. Podczas gdy znak błogosławieństwa w kościele łacińskim polegał na wzniesieniu ku górze dwóch palców - wskazującego i środkowego, przy odchylonym kciuku, to w prawosławiu - na odchyleniu małego i przygięciu serdecznego palca w kierunku kciuka.

Wszystko ma uzasadnienie w ikonie. Oczy nierealnie wielkie, bo widzące poza realnością. Wąskie małe usta symbolizujące całkowitą obojętność dla zmysłowych uciech. Duże, nieproporcjonalnie duże czoło - przybytek siły najcenniejszej: myśli. Twarz jest ciemna, chroniona ciemnym kolorytem przed zbytkiem realizmu. Pozycja świętych - zawsze frontalna, akcentująca ich nieruchomość i spokój. Grzesznych ludzików czy demony przewrotne - o tak, tych przedstawia się z profilu jako niespokojnych.

Obawa przed zmaterializowaniem wiary występuje zresztą w całym chrześcijaństwie. Za sztukę nazbyt ludzką upominany był Yeronese. Z nader niechętnym przyjęciem spotkała się Madonna Sykstyńska: Sobór Trydencki opowiadał się za ograniczeniem liczby obrazów, upoważniał biskupów do usuwania tych, które wydadzą się im wątpliwe w intencji. Luter, a zwłaszcza Kalwin okazali się w tych sprawach wręcz rygorystyczni, ale w jakimś sensie bezkonkurencyjne pozostaje prawosławie.

„Biada tym, którzy by wielbili obrazy!“ Prawosławie: religia niewyrażalnej tajemnicy Boga. Autor, z którego książki wiele można się dowiedzieć, Pał Evdokimow, nazywa ikonę ewangelią widzialną, malarskim ewangelii objaśnieniem. Malarstwo ikon mianuje funkcją wiary.

Ikona: więcej niż symbol, nigdy - fotografia. Generalnie rzecz biorąc Wschód nie uznawał portretu bóstwa, przykładem judaizm czy islam. Ikony są starannie pozbawione cech naturalistycznych, które zawsze występują w malarstwie łacińskim. Stąd ten szczególnie klimat ikon, to ich odrzeczywistnienie, obce łacinnikom. Jeśli fabuła i nawet technika klejmu zostawiała twórcom nieco - nie za dużo! - swobody, to w odniesieniu do postaci głównych już obowiązywały nienaruszalne rygory. Kompozycja ikony musiała dokładnie odpowiadać pewnemu wytworzonemu przez wieki wzorcowi. Namalowanie ikony było aktem religijnym, obwarowanym przepisami, drobiazgowymi jak recepty. Pierwsi twórcy - przeważnie mnisi -

przygotowywali się do pracy poprzez kontemplację, posty. Ikonopisanie: sztuka bezkonkurencyjna jeśli idzie o ilość okazji na konflikt z sumieniem. A przecież prawosławie nie jest chłodną religią.

Kijów zwodzi. Można do niego nabrać awersji po obejrzeniu Chreszczatyku, a wystarczy wspiąć się w którąkolwiek z ulic nad wąwozem, w którym rozpanoszył się ten zmonstrualniony MDM, żeby odkryć, jakie to pańskie, skąpane w secesjach i przestrzeniach miasto.

Reprezentacyjna aleja Lesi Ukrainki. Nowoczesność i srebrne topole. Poetce, której nazwisko wiele znaczy na Ukrainie, pośmiertnie dostał się adres dużo efektowniejszy od wszystkich, które zdarzały się jej w życiu. A przy Saksahańskiego (znany kiedyś aktor) monumentalna, wyomamentowana secesja.

Dużo miejsc w Kijowie - Szewczenko. Na przykład Teatr Opery i Baletu, piękny budynek, bardzo z czasów, które przesądziły o nastroju architektonicznym miasta. Czy uniwersytet, klasycyzujący budynek, zepsuty brutalnym tynkiem. Brzydka, spełzła czerwień. W tych nie za dużych korytarzach z wysokimi oknami, w zapaszkach drewna, książek, pasty do podłóg, jest coś ze starego liceum. Uczelnia robi wrażenie kameralne, ma preżencję skromniejszą od zasług. To miłe.

Jedna z bardzo pięknych partii miasta. Szpalery kasztanów. Kursował wtedy cichy tramwaj, mozolnie wspinający się po niepokonywalnej, zdawałoby się, stromiznie ulicy Uniwersyteckiej. Jak ten tramwaj dawał sobie radę - jego sekret, u nas taksówkarze przed niższymi ulicami stają dęba. W każdym razie nie było z nim kłopotów, i czort wie, komu mógł przeszkadzać. Czy jest, gdziekolwiek, miasto, w którym radni nie decydują głupio?

Nieopodal zestarzały ogród botaniczny w nie pielęgnowanych drzewach i altanach, dawno nie ogród, park, bo z nowym uniwersytetem wyprowadził się na wysoki brzeg Dniepru. W parku zostawiono tabliczki na wypukłych białych tłach, opowiadające o roślinach w języku z science fiction, po łacinie.

Szewczenko z pomnika przed uniwersytetem za statyczny. I zbyt refleksyjny.

W Polsce nic się nie wie o jego malarstwie, a nie było złe. Umiał patrzeć. Porównywał rzekę z „cudowną kojącą dekoracją“. Obchodził stare kremie nie lubianej Rosji, „jak lis winogronami lubując się okoliczną panoramą, widokiem starych stożkowatych dzwonnicy“.

Ciekawa rzecz: na sentymenciki pozwalał sobie dopiero w malowaniu Azji. Akurat tamten świat bardziej niejednoznaczny i okrutny przedstawiał w nastroju pastelowym, złagodzone.

Azja Szewczenki: mdłe pejzażyki i mocne ciała Kazachów.

Malarstwo - jako satysfakcja i jako źródło utrzymania, w jego wypadku pewniejsze od literatury.

W 1851 namalował Szewczenkę pośród towarzyszy. Siedzą po domowemu, jeden na podłodze przy samowarze, drugi - rozzuty - coś szyje. Sam Szewczenko półnagi, w osuwających się z bielizny szarawarach, w miękkich cholewach, mimo książki w ręce

ustylizowany na Kozaka. Lubił te nastroje, nawet zewnętrznością chętnie afirmował swoją ukraińskość.

Zatrzymywanie Ukrainy. Czumaki sered mohyl, Poczajiwka ławra zi schodu, to znów Z piwdnia. Chutor na Ukraini, Chata nad wodoju. Zauważał podwórza wiejskie, powodzie, topole, pustki, kąty cementarne, niepoliczone wiejskie monastiry.

Nie umiał sobie radzić ze śmiercią. Zawsze teatralność, sztuczność. A ciekawiła go, to widać po Śmierci Sokratesa... Śmierci księcia chłopskiego, Ofeha... Śmierci Bohdana Chmielnickiego... Ktoś z temperamentem witalnym Szewczenki powinien dotkliwiej, bardziej intuicyjnie obchodzić się z tematem. A tu nieporadność i naiwność, jak w oleodrukowej klejnie. Witalista Szewczenko...

W listach miłosnych mniej emfatyczny niż w rozmowach z ojczyzną.

„Kocham panią i mówię to pani wprost, bez żadnych wykrzykników i zachwyków“...

Kobieciarz, polityk, birbant. Ten, który dokądś wstępuje „przez ciekawość, a także przez wściekły apetyt“, i lubi urządzać sobie „uczty prawdziwie plebejskie“ - leszcz, szynka, razowy chleb, główka czosnku.

Nie martwi się, że zasmrodził tym czosnkiem „nie tylko kapitański pokoik, lecz całego Kniazia Pożarskiego“, przeplaszając towarzyszy podróży.

Na ascetę to on się nie urodził. Wprawdzie potrafi siebie objechać: „[...] dziś jeszcze drży mi prawica od przedwczorajszego pijackiego wybryku, tak że niby rysuję, ale co to za robota! Nawet tła nie mogłem zagruntować. Ot, aby tylko zbyć“. Ale już rychło znowu zanotuje: „W klubie wspaniały obiad przy akompaniamencie muzyki i ogólne homeryczne pijaństwo“.

Pamięta wszystkie „czarki cytrynowki“ i „nowopietrowskie wędliny“.

Bardzo alternatywny w stosunku do rzeczywistości. Albo „żyć jak trzeba“ - albo „świat podpalić“. Tertium non datur.

Akcentowany strach przed najgorszym u człowieka, przed obojętnością (nic po sobie nie zostawić, obojętnie, czyś ty żyw, czyś w grobie...), przed nijakim życiem (Cisza... nie ma doli.../ Jeśli dobrej żal Ci, Boże,/ Daj taką, co boli!).

Zacząpnym, gotów asekurować naród jak samica małe. W poezji Szewczenki ogień i niepohamowanie, buzują tam wszystkie pasje ukraińskie. A proza już racjonalna, reporterska.

Nie obchodziła go uroda Petersburga, Ukrainiec pamiętał, że bajeczne miasto wyrosło z niewolniczej pracy i że okiełznanie gruntu pod stolicę kosztowało kilkaset tysięcy istnień ludzkich.

Newski Prospekt posądzał o pretensjonalność. Był spostrzegawczy, potrafił być złośliwy jak w opisanu Samary, „tej przesadnej młodej kupcowej“. Znajduje miasto „równe, gładkie, monotonne i uszmkowane do obrzydliwości“. Oczywiście nie byłby sobą, gdyby sobie odmówił pointy: „Żywe odbicie panowania niezapomnianego Mikołaja Hamulca“. Na okrasę cytata z Puszkina Rusłana i Ludmiły: „Tu duch rosyjski: tu Rosją pachnie“.

Pisał o Szewczenko nasz Orkan: „Poeta wielki, wielostronny, od szerokiego patosu historycznego do najsubtelniejszej liryki. Jego ballady są bezsprzecznie najpiękniejsze, najmniej kłamane z tych, jakie ówczesnie w Europie pisano: mają bezpośredniość wrażeń i odczucie głębokie przyrody. W tym rodzaju może stanąć obok największych poetów“ (przedmowa do Anto/ogii współczesnych poetów ukraińskich, Lwów 1911).

Podejrzewam, że dla ukraińskiego czytelnika znaczenie miały całkiem inne walory w pisarstwie Szewczenki.

Rosyjski krytyk zauważył cechę, która niewątpliwie determinuje tę niesforną osobowość: „Szewczenko obce jest słowo zgoda“.

Twardy człowiek. Na ciekawość pisarza: „Jak długo będą nami rządzić kaci?“, Aleksander II zareplikował skreśleniem go z listy zesłańców politycznych, proponowanych do amnestionowania.

Przez dwa lata Orsk, twierdza w stepie, i batalion karny. Na wypadek niesubordynacji miał zapowiedzianą chłostę, bodajże bieg pod szpalerami różg. Póki co, nie zanosilo się na spełnienie prorocstwa o czasach, kiedy to „zabudef sia sramotnia, dawniaja hodyna i ożywe dobra sława Ukrainy“.

Samodzierzawiu życzył jak w swojej Modlitwie: Daj Boże, żeby kaci ukrzyżowali Carów, tych katów ludzkości!

W przedmowie do polskiego (Czytelnik 1952) wydania pamiętnika przedruk wstępu do pierwszej edycji rosyjskiej - nakładem Ukraińskiej Akademii Nauk z roku 1927. Komentuje A. Starczakow: „Szewczenko mówi o carobójstwie jako o czymś nieuchronnym, o czymś zupełnie zwykłym [...]. Ludzie cicho, bez wszelkiego «łychoho łycha» cara do kata powiodą“.

Tenże Rosjanin określa poezję Szewczenki jako „zemstę za niewolnictwo milionów «krepakiw», za narodowy ucisk kraju rodzinnego“. Można w to nie wątpić.

Jak to egzotycznie brzmi: był synem niewolnika. A był. Za wolność poddanego Szewczenki dziedzic wziął dwa i pół tysiąca rubli. Ogromne wówczas pieniądze.

Przykłada Rosjanom i Polakom przy każdej sposobności. „O biednej, cudownej Ukrainie“ myśli mu się do obsesji. Choć nawet Szewczenko, twardy, ekstremalny Szewczenko, były czumak, pastuch, też zdawał się nie wykluczać pojednania.

Podajże rękę Kozakowi I serce swe do niego przychyl, I razem w imię Chrystusowe odbudujemy raj nasz cichy!

- pisał w wierszu Do Polaków. Ale już w to nie wierzył.

A panowie nic nie widzą, Nie słyszą, nie czują, Wymieniają swe kajdany prawdą handlują, [...] orzą biedę, Biedę sięją w ziemię...

A co wzejdzie? Zobaczycie, Jakie będą żniwa!

I grzmocił jak cepami: Podnóżki, raby, Moskwy śmiecie, Warszawski gnój - te wasze pany [...] I wypominał: Po cośmy bi/i się z Lachami? Po cośmy Ordeę wyrzynali? Po co łamaliśmy spisami Moskiewskie żebra? Szabel stałą Bronowali ziemię miłą[...] Niespokojny, że:[...] martwym snem śpi Ukraina. Fanatyk ojczyzny: Przyjdzie sąd, przemawia góry, Dniepr przemów!, górze!

Wspomnienia? Wróżby? Wszystko to tak mieszało się na Ukrainie.

Dziwni jesteście ludzie, w tej liczbie i ja.

Smutki Szewczenkowskie wezbrały na sokach pysznej Ukrainy, step je wykołysał, limik wygrał, wraża szabla siekła. Domrodzinny, poglądy, losy, nawet aparycja: nic poniżej symbolu (choć te wąsiska, ten mars jak u szlachciury, pomyślało się niepoprawnej Polce). Kim on byłby, gdyby nie był pisarzem? Materiał na rizuna, materiał na limika. Może zrobiłaby historia hetmana z pariasa, jak zrobiła poetę.

Chłopski aż po demonstrację, ale bez kokieterii. On się w swój rodowód nie przebierał na niedzielę.

W tim haju, u tij chatyni, u raj, ja baczyw pękło [...] Szewczenko, pisarz chłopskich bied i niespokojności, poeta zdeterminowany Ukrainą, jako malarz bywa spokojniejszym świadkiem.

W kijowskim muzeum (blisko trzydzieści sal, w których znalazły się również polskie przekłady autora Hajdamaków, wydane we Lwowie w latach 1870, 1894, 1913) oglądam ciekawe jego malarstwo. Jest tu Święty Sebastian mocny, męski, tak niechętnie ginący od strzał wszywających się w jego wspaniałe mięśnie. Kazaszka Katia - złotawa, ciepła. Ostrożnie pokazany, szary, chowający się za mgiełką, kijowski Wydubeckij monastyr w dwóch, z lat 1843 i 1844, akwarelowych wersjach, których nastrój wyraźnie kojarzy mi się z Noakowskim. Bo Portret chłopca z psem w lesie bliżej Malczewskiego.

Rozmaite techniki: tempera jak Kobieta w pościeli, ołówek jak Kozacki bankiet, sepia jak Koszary, olej jak nie najlepszy zresztą portret Katarzyny.

Zastanawiające różna twórczość. Obok delikatnego kolorystycznie Pożaru w stepie, obok ciemnych, ciężkich Koszar ten śmiały portret dwóch walczących nagich mężczyzn, kto wie, czy nie najlepszy z obrazów Szewczenki, dowodzący doskonałej znajomości anatomii, zmysłowy i gwałtowny.

U Szewczenki jest krew i kość. Przy całym swoim osadzeniu w życiu - szewczenkowski człowiek może być zgaszony czy przegrany, ale nie będzie iluzoryczny, to nigdy.

Szewczenko żył, łąpczywą garścią wygarniał miód i sól. Jeden z tych nie do zmożenia nawet w kazamatach. Z życiowych nieudań zbierał się jak chłop po bitce: popluje krwią, pokołysze się na nogach, ale wstanie.

Szewczenki nie było stać na umiar. Bagatelizował granice i jako birbant, i jako polityk. Specyficzne nieszczęście Ukrainy pchało pasjonata Szewczenkę ku konkluzjom, na które już nie pozwoliłby sobie pisarz skądinąd wcale nie mniej zgnębiony sytuacją narodu, Kociubynskij.

Z wywodami o cechach narodowych zawsze lepiej ostrożnie, niż omylniejszego niż te łatwe zabawy, ale olbrzymia popularność pisarza w pierwszym rządzie idzie z tego, że autor Hajdamaków był tak niepoohamowanie ukraiński.

„Czcimy dwóch Tarasów - Szewczenkę i «Czuprynkę»,» - ogłosił Walentyn Moroz w wywiadzie dla ukraińskiej telewizji w Toronto. I dalej: „Bandera - to Szewczenko XX stulecia!“

Chwała i niesława

Nacjonalizm ukraiński ma twarde korzenie. Uzasadnia to historia. Kilkudziesięciomilionowy naród przez stulecia nie mógł się pozbyć polskiej dominacji, wydzwignąć się spod rosyjskiego buta. W 1914 we Lwowie powstaje Związek Wyzwolenia Ukrainy. W trzy lata później Petlura jest już na czele sił, które, zgodnie z wolą przeważającej części ludności, odrzucają bolszewizm.

U schyłku listopada 1917, w wyborach do konstytuancy, na Ukrainie bolszewicy zdobyli wszystkiego dziesięć procent głosów, partie ukraińskie - aż siedemdziesiąt pięć procent. Nie bez kozery w grudniu 1917 Rada Komisarzy Ludowych ogłasza ugodowy Manifest do Narodu Ukraińskiego. „Wszystko, co należy do zakresu praw narodowych i narodowej niepodległości, Rada uznaje natychmiast, bez ograniczeń i bezwarunkowo“.

Nie wystarczyło. Ukraina nie chciała cugli.

16 grudnia 1917 roku ogłoszona zostaje autonomia, w cztery dni później poparta proklamacją Ukraińskiej Republiki Ludowej (nie mylić z sowiecką). Bolszewicy uznają nowe państwo, na które uderzą też po czterech dniach.

To, że z początkiem stycznia 1918 państwo ukraińskie uznało kilka najbardziej znaczących rządów europejskich, zaczynając od Francji, Anglii, miało wpływ tylko co najwyżej na jedno. Na odwołanie klęski.

Wiosną 1918 Ukraiński Zjazd Chłopski wybiera hetmana. Skoropadskyj znowu ogłasza utworzenie państwa. Z jego pomocą Niemcy odbiorą Kijów bolszewikom. Czy nie przegrałby - gdyby nie zezwolił na cofnięcie wszystkich korzyści socjalnych, takich jak skrócenie dnia pracy, rozparcelowanie ziemi?

Po niespełna półrocznych rządach Skoropadskiego wybucha przeciw niemu powstanie, którym dowodzi Petlura. Ukraina tworzy Dyrektoriat, zorientowany na ententę, czyli na Anglię i Francję. Bolszewicy w marcu 1919 replikują ogłaszając konstytucję, gwarantującą pełną suwerenność Ukrainy, jej prawa do samodzielnej polityki zagranicznej (łącznie z wypowiedaniem wojen i zawieraniem pokoju). Dokument obiecujący - notabene nie pierwszy i nie ostatni dowód, że nie należy za wielkich nadziei pokładać w dokumentach, z konstytucjami łącznie. Dla Ukraińców „suwerenność“ skończy się koszmarem obowiązkowych dostaw i kolektywizacji. Ziemię mierzono w dziesięcinach: jedna nie

przekraczała dwóch hektarów. Za kułackie uznane będą wszystkie gospodarstwa powyżej dziesięciu uprawnych dziesięcin!

To nastąpi. Na razie - pora atamanów. Najhałaśliwszy, Machno, był rodem - nomen omen - z Hulajpola. Przesiadał się z idei na ideę. Czuł się anarchistą, znudziło mu się, zebrawszy jakieś dwadzieścia tysięcy ludzi podparł bolszewików. Nie na długo. Po dezercji współdziała z Denikinem, ale i jemu pokazuje zęby. Kunktatorem to już na pewno nie urodził się ten Nestor Machno, może nie tylko z własnej hajdamackiej winy nieudany „bafko“.

Z perspektywy jeszcze ostrzej widać karygodne błędy ówczesnych „białych“. Denikin na Ukrainie zachował się wręcz głupio.

Wyrzucił z Kijowa Petlurę, domagającego się niepodległości kraju. Tak idiotyczne posunięcia Denikina, jak zakaz (znowu!) publikacji w języku ukraińskim czy zburzenie pomnika Szewczenki, mocno ochłodziły antybolszewików. Biali tracą poparcie Ukrainy dokładnie w okresie, gdy zaczynali zwyciężać.

Schyłek gry o niepodległość. W finale z 1920 następuje podział Ukrainy między cztery kraje: Rosję, Polskę, Rumunię i Czechy. Tak to widzą ich historycy. Potraktowanie sprawy dla nas nie za sympatyczne, lecz właściwe.

Nie za wiele było tych okazji na ukraińską niepodległość -ale zdarzały się. Czasami. O różnych porach historii, w odmiennych konfiguracjach politycznych - już w punkcie wyjścia wątpliwe, jak pakt perejasławski, w założeniu możliwe, jak układ z Piłsudskim. Wybierając między młotem a kowadłem, w trakcie II wojny światowej Ukraińcy ratunku przed Stalinem szukali u Hitlera. Skończyło się dokładnie tak, jak musiało się skończyć, na całe szczęście Słowiańszczyzny, która miała przed sobą kambodżańską perspektywę, gdyby fuehrer nie wpechnął swojej świetnej armii w pułapkę dwóch frontów.

Jakkolwiek patrzeć na ukraińskie próby - wszystkie skończyły się fiaskiem, ale żadna nie skończyła się fiaskiem z nadmiernej winy Ukraińców. Perejasław też w jakimś sensie był wyborem z braku wyboru: Ukraińcy wówczas mieli serdecznie dość „ojczyzny dwojga narodów“, w której Polacy niczego się nie nauczyli przed swym skrwawionym lustrem. My zdążyliśmy się zaprezentować od najgorszej strony, Rosja - jeszcze nie. Ale zdąży to nadrobić.

Czy za Skoropadskiego, za Petlury, czy tym bardziej za Stečki - szansa była iluzoryczna. A tak na marginesie: czy Ukraińcy są świadomi, że podejmując decyzję na jakiś kolejny, zmodyfikowany Perejasław - dzisiaj, znowu znaleźliby się w feudalnej zależności? Może nie od razu. Zapewne już bez represyjnych konsekwencji, i oczywiście bez dosłownego niewolnictwa, w końcu to już nie są czasy feudałów polskich, carskich i sowieckich. Chyba nie. Ale czy to dosyć na samouspokojenie?

Swoją drogą, jak ironicznie brzmi, jakim bumerangiem wróciłaby w tym kontekście do rodaków Doncowa jego teza: „Silniejsze narody powinny zwalczyć słabsze i narzucić im swój sposób życia“.

Dmytro Doncow (1883-1973), publicysta i krytyk literacki: polityczny teoretyk ukraińskiego nacjonalizmu pod wyraźnym wpływem autora Ziemi i krwi, Darrego: główny ideolog Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Głosił darwinizm społeczny i „rasoagraryzm“.

Wierzył, i to w każdej dziedzinie produkcji, od przemysłu po rolnictwo, tylko w indywidualny warsztat pracy. Jego koncepcja wroga: ja i ty jesteśmy różnej krwi. Zatem antyrosyjskość. Antywęgierskość. Antyżydowskość. Antypolskość.

Nietzscheanizm: silna, ale nie wyłączna inspiracja „głównego - jak go określa Biłyj i Bystryckij - teoretyka integralnego nacjonalizmu“. Ukraińscy autorzy przyznają, że nacjonalizm Doncowa oparty był na klasycznej doktrynie faszystowskiej.

W swojej popularnej na Zachodzie (III wydanie w 1990) książce Nacjonalizm ukraiński Amerykanin John A. Armstrong pisze: „Teoria i nauki nacjonalistów [ukraińskich - AS] były bardzo zbliżone do faszystowskiej i pod pewnymi względami, takimi jak nacisk na „czystość rasową“, posuwały się nawet dalej niż wcześniejsze doktryny faszystowskie“.

Doncow był głównym, ale nie pierwszym ideologiem ukraińskiego nacjonalizmu. W początkach naszego wieku prawnik z Charkowa, Mykoła Iwanowicz Michnowskij, wskazując na kolonialny status Ukrainy w imperium, oskarża: „Jakim prawem na naszej własnej ziemi carskie rządy traktują nas jak niewolników“. Politolog Horełow przyznaje, że „radikalizm tego zwolennika niepodległej Ukrainy „niekiedy zahacza o szowinizm, co blokuje szeroką akceptację jego poglądów“, i przytacza credo Michnowskiego: „Ukraina jest dla Ukraińców i tak długo, dopóki choćby jeden obcy pozostawał na naszym terytorium, nie wolno nam odkładać broni“.

Pisze dalej Horełow: „W połowie lat dwudziestych idea ukraińskiej państwowości przechodziła poważny kryzys. W opinii Doncowa model demokratyczny przegrał. Potrzebne były nowe impulsy...“ Co nie okazało się trudne w epoce rosyjskiego bolszewizmu, włoskiego faszystowskiego, niemieckiego nazizmu. Doncow uznał, że „wprowadzenie głównych postulatów tych radykalnych ruchów do strategii każdej idei nacjonalistycznej musi dać wyniki“. I rzeczywiście, dało. Tak bywa, kiedy demagogia okaże się dobrana do narodu (nadal tylko cytuję Horełowa) „z kompleksem wynarodowienia, z kompleksem «świtki» i «horyłki». Kiedy przerabia się obrażone uczucia narodowe na program polityczny“.

I bez Michnowskiego Doncow nie byłby osamotniony. Inny ideolog OUN, Mykoła Ściborski, w swoim czasie - jeśli idzie o skalę ważności w organizacji - numer jeden po Jewhenie Konowalcu, w 1935 opublikował w Paryżu Etnokrację, minorowo oceniając dotychczasowe systemy - od monarchicznego i demokratycznego po komunistyczny. Jak zauważa Horełow: „Dla Ściborskiego faszystowskie przede wszystkim jest nacjonalizmem-miłością do ojczyzny i uczuciami patriotycznymi doprowadzonymi do gotowości samopoświęcenia...“ Ściborski, zwolennik „uświęconego fanatyzmu“, nie owija w bawełnę: „Przez etnokrację rozumiemy rządy narodu panującego w swoim własnym kraju...“ Wyłączne rządy. Dopiero po nieudaniach lat czterdziestych wczorajsi apologety zaczęli mieć za złe wczorajszym entuzjastom.

Pisze Horełow: „Nigdy formalnie nie należąc do OUN, Doncow stał się jej przewodnim ideologiem. Podczas gdy polityczny aspekt integralnego nacjonalizmu Doncowa bazował na klasycznej doktrynie faszystowskiej, Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów bliższa była podobnym formacjom w krajach wschodniej Europy. Nieżyjący ukraiński emigracyjny historyk, Iwan LysakRudnicki był zdania, że koncepcji najbliższych ukraińskiemu nacjonalizmowi trzeba upatrywać nie w niemieckim nazizmie czy włoskim faszystowskim, w utworach społeczeństw uprzemysłowionych i zurbanizowanych, lecz raczej pomiędzy partiami tegotypu w rolniczych, ekonomicznie zacofanych narodach wschodniej Europy,

między chorwackimi ustaszami, rumuńską „Żelazną Gwardią“, słowackimi hlinkowcami, polskim ONR...” (Iwan Lysak Rudnicki, Między historią i polityką, Monachium 1973). Autor jakby przeoczył, że ONR w przeciwieństwie do wszystkich innych wymienionych ruchów - nie kolaborował z III Rzeszą, przeciwnie. Zwalczał okupanta. Więc jest różnica.

To, iż w okresie II wojny światowej zginęło (przede wszystkim w szeregach Armii Czerwonej) kilka milionów Ukraińców, nie przekreśla faktu, iż ukraińska dywizja SS Galizien bynajmniej nie ograniczała się do wart w koszarach. To że nacjonaści ukraińscy widzieli w Niemczech, ergo w III Rzeszy, jedyną szansę na własne państwo, na uniezależnienie się od Rosji - i od Polski, wytłumaczyć można, taka tendencja ma tradycję w ukraińskim życiu politycznym, natomiast cena, którą hitlerowcy egzekwowali od swoich „poputczyków“ doprawdy nie upoważnia do kwitowania tematu bagatelizującym: „A czy u was nie było kolaborantów? Też byli“. Czyżby? Nie mylmy szmalcowników z formacjami wojskowymi i administracją. Podziemie polskie oglądało się na Londyn, w nikłym stopniu na Moskwę, ale nie na Berlin.

Zebrane pisma Doncowa wyszły w 1967 roku w Toronto pod tytułem Krzyżem i mieczem. Szkoda, że nie mieli o tym pojęcia milczący polscy uczestnicy dyskusji w naszej publicznej telewizji, od których zażądano, by Polacy zrezygnowali z Ogniem i mieczem jako książki obrażającej uczucia Ukraińców.

W eseju Zjednoczenie albo rozdział Doncow domaga się odrzucenia dotychczasowych reguł moralnych, wyzbycia się „starych aksjomatów i dogmatów we wszystkich dziedzinach życia“. Wzywa by bezkompromisowo „głosić własną prawdę“. „[...] Młotem wbijać [...] do głów skołowanych przez niepewne czasy i obce rządy, bezlitośnie deptać niedowiarków [...]“. I dalej: żadna tam partia, żadne stowarzyszenie: porządek!: „Karzący porządek poprowadzi masę“. Jak uściśla Andrij Biłynskij, „doncowizm został przez OUN okrzyknięty jej polityczną religią [...] bezkrytycznie przyjmowaną co najmniej do roku 1943“.

I kosztował ją drogo, podkreśla Biłynskij.

Zdaniem Horełowa - a więc już nie Poliszczuka, uparcie oskarżanego o szkalowanie własnego narodu - „Doncow lokował fanatyzm oraz moralność wśród podstawowych zadań, które aktywny nacjonalizm stawia swym stronnikom. [...] Idea nacjonalistyczna, jego zdaniem, powinna być «amoralna», to znaczy nie trzeba się kierować zasadami uniwersalnych ludzkich wartości“. Doncow uzależniał skuteczność „tej amoralnej polityki od fanatyzmu, który powinien być publiczny“. Głośny. Powszechny i akceptowany. Stąd - niezbędna „agresja i nietolerancja w stosunku do innych poglądów“.

Szkic umieszczony w poważnym, bardzo rzetelnie redagowanym periodyku ukraińskim - a doprawdy, tylko wyjątkowy dureń zarzuci „Dumce“ antyukraińskość - powinien ochłodzić naszych egzaltowanych obtłukiwaczy własnych, i tylko własnych piersi w żalach nad banderowską krzywdą. Powinien ich skłonić do namysłu, jak mogły wyglądać takie idee w realizacji słabopiśmiennych „wojaków“, indoktrynowanych przez ounowskich politruków, zdziaczałych od nienawiści zachwalanej nawet przez duchowieństwo.

Ciekawostka, rzucająca światło na niejednoznaczność spraw mniejszości - i swobód obywatelskich - w międzywojennej Polsce. Otóż Doncow od 1921 mieszkał we Lwowie i tu ukazał się jego Nacjonalizm.

Pisząc o „drastycznym i krwawym“ ucisku polskim, określając rządy Polski, Rumunii, z czasem i Węgier, jako „ultranacjonalistyczne“, Armstrong widzi narastające zaognienie sytuacji „w tendencji do szowinizmu w państwie polskim, w gwałtownym obaleniu demokratycznych pryncypiów w latach trzydziestych i w atmosferze militarizmu...“ Czym wymysłem tego nie nazwiemy. Naiwność Amerykanina żyjącego w międzyplanetarnej odległości od realiów europejskich jednak ujawnia się przy konstatacji z rozdziału Ukraińcy i katastrofa polska. Cytuje: „Kiedy wybuchła wojna, dziesiątki ukraińskich oficerów wiernie służyło w przegranej armii polskiej. W rewanżu rząd polski poświęcił zadziwiająco mało uwagi bezpieczeństwu działaczy UNR (OUN) w Warszawie. Pomimo to, Lewyckyj w końcu zdołał opuścić miasto i dotrzeć na etnicznie ukraiński obszar Polski“. Od takich paradoksalnych głupstw na tematy polskie roi się nie u jednego autora.

Okres solidarności z III Rzeszą w 1941 Armstrong nazywa miodowym miesiącem ukraińskoniemieckim. Owszem, Berlin od pierwszej chwili otrzymywał raporty o tendencjach niepodległościowych, sterowanych przez Banderę. Pierwszym dotkliwym dla ounowców skutkiem tych zbyt hałaśliwych (jak proklamacja rządu Stećki, nagłośniona komunikatem radia L w i w o wolnym państwie ukraińskim) nadziei na niezależność był areszt - domowy, bo domowy, ale jednak areszt, zaaplikowany Banderze. Niemniej ounowcy nawet wtedy podkreślali konieczność współdziałania z Niemcami. Stosunki ukraińskoniemieckie zaczęły się psuć, gdy zaczęli je psuć Niemcy. Nie odwrotnie! Jeszcze 25 września 1942 szef SD z Krakowa anonsuje Berlinowi przechwyconą ulotkę, określającą stosunek banderowców do ruchów partyzanckich. „Działania wojenne Polaków czy bolszewików nie interesują nas... dopóki nie są skierowane bezpośrednio przeciw nam. [...] Stalin i Sikorski chcieliby ubić dwa ptaki jednym kamieniem: zaszkodzić Niemcom i zadać cios Ukraińcom przy pomocy Niemców. Ukraińcy nie mieli zamiaru i nadal nie zamierzają uczestniczyć w partyzanckiej wojnie...“ Natomiast planują - to wyraźnie artykułowane - usunięcie „obcych“. W sierpniu 1941 na Polesiu pojawia się ulotka: „Precz z niemiecką okupacją! Chcemy wolnej Ukrainy bez Niemców, Polaków, Rosjan!“ Bardzo już późny, bo z lutego 1944 raport policyjny donosił, że „banderowski ruch oporu rozszerza się na Galicję... siły UPA oblicza się na 80 tysięcy... Głównym wrogiem w Galicji obok niemieckiej administracji są Polacy. Na wypadek wycofania się Niemców z Galicji UPA przygotowuje się do bezpardonowej eliminacji Polaków“. Obiektywny ukraiński obserwator - historyk Jarosław Peleńskyj - przyznaje: „Istnieją przekonujące dowody, że ukraińskie podziemie nacjonalistyczne zamierzało «zdepolonizować» zachodnie terytoria Ukrainy, szczególnie poprzez wymuszoną deportację ludności polskiej i selektywne akcje eksterminacyjne...“ Nie jest niestety prawdą - i to jasno wynika również z książki, powtórzmy, dalekiego od niechęci do Ukraińców Armstronga - że Hitlera popierała tylko garstka ukraińskich „radykałów“. Latem 1941 we Lwowie biskup Josyf Slipyj w imieniu metropolity Andrzeja Szeptyckiego zapewniał, że hierarcha greckokatolicki „z całego serca i z całej duszy wita te historyczne wydarzenia“. Później zmienił zdanie, ale to nie zmienia faktów.

A fakty są dotkliwe. Zaczynając od tych w niekwestionowanych dokumentach. „Natchnieni hitlerowskimi ideałami nacjonałści w myślach łączą się z niemieckimi przyjaciółmi...“ - oznajmiał Stećko, szef lwowskiego rządu. Pisał do Hitlera: „W tym wielkim momencie zasyłamy Ci najgłębsze uczucia. Tobie, niezachwianemu bohaterowi narodowej rewolucji...“ Tak to wyglądało we wczesnym, sielankowym okresie. Wprawdzie metropolita Szeptycki z czasem zmienił zdanie i późno bo późno, dopiero w 1943 roku, uznał nazizm za system gorszy nawet od komunizmu, niemniej - dwa lata wcześniej witał hitlerowców jako wyzwolicieli od komuny, pochwalał zorganizowanie dywizji SSGalizien. Powstającej - zauważa Armstrong - z dużymi oporami ze strony Niemców, którzy tu bynajmniej nie

powodowali się niewiarą w lojalność sprzymierzeńców, natomiast w niesmak im była ich nienordyckość... Pisząc o SS Galizien, Armstrong powołuje się na przesłany Himmlerowi raport Berga (z maja 1943), iż do dywizji zgłosiło się osiemdziesiąt tysięcy ochotników, spośród których warunkowo przyjęto pięćdziesiąt tysięcy, choć tylko dwadzieścia pięć tysięcy „spełniało podstawowe warunki“, reszta nie nadawała się głównie z prozaicznej winy wzrostu. Kandydaci byli za niscy, nie sięgali wymaganego minimum, czyli metra sześćdziesięciu pięciu centymetrów.

„Stoimy na stanowisku pełnego, nieodzownego dla Niemiec, gospodarczego ich poparcia wszystkimi zasobami Ukrainy“ - zapewniał Stećko. Na tamtym triumfalnym etapie III Rzeszy miała te zasoby w garści bez jego pomocy. Owszem, początkowo usłużność kolaborantów była Niemcom na rękę, ułatwiała dominację nad zajęтым krajem, niemniej ten wyczekiwany przez ounowców „nowy faszystowski ład“, o który dopominali się w telegramie do Fuehrera, przyniósł im sporo rozczarowań.

Niebo chmurzy się od pierwszych dni, niemniej Biuro Polityczne OUN, funkcjonujące - nadal - w Berlinie, ogłasza 21 lipca 1941, że „proklamacja państwa ukraińskiego jest już faktem dokonany... rząd natychmiast rozpoczął organizację życia... zorganizował administrację, gospodarkę, milicję, służbę zdrowia... zorganizował wszystko, czego potrzebują zarówno Ukraińcy, jak i niemieckie siły okupacyjne...“ „Polityka zadufków: czy my tego nie znamy? Zdumiewa naiwność „premiera“ et consortes, ta i śmieszna, i żalсна buta.

Ukraina nie okazała się wygodnym sojusznikiem. Za duże to były apetyty i nadzieje jak na państewko satelitarne w intencji III Rzeszy, powielające model Słowacji czy Chorwacji. Od momentu proklamowania we Lwowie „państwa ukraińskiego“ (w dokumencie z 30 czerwca 1941 mowa jest o odrodzeniu i u państwa) policja starannie informuje Berlin o przejawach nadmiernej samodzielności stronników Stećki i Bandery. Dla których - jak komentuje Armstrong - nadal jest to okres złudzeń, że wystarczy stawiać Niemców przed faktami dokonanymi, takimi jak - bagatela! - ogłoszenie republiki ukraińskiej, organizacja milicji... Wielki faszystowski brat marszczy brwi, niemniej jeszcze traktuje niesfornych po ojcowsku. Raport policyjny nr 11 donosi Berlinowi, że „różni prominentni działacze ukraińscy szczególnie w Generalnym Gubernatorstwie - włączając Banderę - znaleźli się w areszcie domowym „na słowo honoru“. Ukraińcom przebywającym w GG, lecz nie tam zamieszkałym, nakazano powrót pod groźbą aresztu, jeśli się nie zastosują“. Od tego jeszcze daleko do martyrologii pod niemieckim butem.

W sierpniu 1941 do Berlina wędruje kolejny raport z doniesieniem, że banderowcy zaczynają się czuć oszukani, gorzej- zdradzeni przez Niemców. A prasa sowiecka pokpiwa, że „pies nie usatysfakcjonował swego pana“ i dostanie baty. Jednak OUN nadal buduje zamki z piasku i w uroczystym memorandum zapewnia Berlin, że formuła obecnego rządu ukraińskiego byłaby do dyskusji (!), „gdyby Niemcy ogłosiły odrodzenie państwa ukraińskiego lub restrukturyzację wschodniej Europy na bazie państw narodowych jako swój cel wojny z bolszewizmem“. Śmiało.

„Tak czy inaczej - odbudowa państwowości Ukrainy ustanowi fundament przyjaźni ukraińsko-niemieckiej“ - zachęca Stećko. A przy innej okazji: „Jeśli Niemcy pragną mieć szczerych i wiarygodnych aliantów, Ukraińcy zgodzą się nimi zostać, lecz tylko jako niepodległe państwo“. To się nazywa - kozackie podejście.

Niemieckie niechęci - bo jeszcze trudno mówić o represjach- w stosunku do kandydatów na aliantów zaczynają się pod koniec 1941. Koniec sielanki. W protokole narady w berlińskim Ministerstwie Oświaty zalecenie: „Ukraińcy mają być traktowani nie inaczej jak Polacy i Rosjanie“. Napływają policyjne meldunki, że „początkowy entuzjazm po wkroczeniu Niemców do Kijowa słabnie... Ukraińcy wierzyli, że Niemcy oswobodzą ich [...] jako przyjaciół“.

Umówmy się, że wspólnego punktu wyjścia do zabiegów OUN o prawa kombatanckie równo np. polskim dopatrzeć się tu trudno.

Zakaz fraternizacji z Ukrainkami ogłoszono w Wehrmachcie dopiero w 1942. W tym czasie na wschód i zachód od Kijowa działy się rzeczy gorsze niż przytaczane z powagą takie dowody prześladowań, jak ograniczenie działalności Ukraińskiej Akademii Nauk w Kijowie czy kontrola prasy: w Kownem na Wołyniu zniszczony został legalny nakład gazety! Zgroza.

Dopiero z końcem 1942 - nie wcześniej - na Ukrainie zarządzone zamknięcie teatrów, likwidację szkół - poza czteroklasowymi. Niemniej nadal funkcjonują, tyle że pod uważniejszym okiem policji, organizacje młodzieży, więc „Junactwo“, „Proswita“.

Tak czy siak - romans wędnie. Od ulotki wydanej 30 czerwca 1942 zajeżdża melancholią. „To było rok temu, gdy flagi przodków dumnie powiały z wież Lwowa, starożytnego miasta książąt, i radio ogłosiło całemu światu odrodzenie państwa ukraińskiego...“ Ale sporo się zmieniło w „mieście książąt“ oraz okolicy od tamtego czasu. Nawet w głowach „rządu“. Tym razem dowiadujemy się, że „Ukraińcy wystąpią przeciw każdemu, kto chce obrócić ich kraj w kolonię...“, a co ciekawsze, że „walczyli, walczą i będą walczyć o swoje własne państwo, a nie o nową Europę“. Zatem duża zmiana frontu. Komunałów. Teraz - dopiero teraz, a nie wcześniej - posypią się agitki wzywające do oporu, do samoobrony. Wczorajszy patron i sojusznik w roli okupanta. Co prawda, dla Polaka raczej komicznie zabrzmie gromadzenie takich dowodów okrutnych prześladowań, jak przymknięcie piątki ukraińskich policjantów podejrzewanych o współpracę z banderowcami. I bicie na alarm: dwie osoby aresztowane... osiem osób... nawet piętnaście! Stećko odkrywa Amerykę: „Jesteśmy zdani na siebie“. Niegłupia konkluzja. Coraz mniej nadziei na Wielką Ukrainę, coraz większa nieuwaga Niemców na pozory w traktowaniu samozwańczego sojusznika. Jak przypomina Horełow; powołując się na powojenny tekst w chicagowskiej „Samostijnoj Ukrainie“, obecny przy ogłaszaniu niepodległości 30 czerwca 1941 we Lwowie przedstawiciel III Rzeszy miał powiedzieć: „Będziecie robili, co wam każe rząd niemiecki“. W niespełna dwa tygodnie po swojej proklamacji gabinet Stećki rzeczywiście przestał istnieć. Jak pokpiwa Horełow: „Taki był smutny koniec walki o państwowość uczniów Doncowa“. Nie wcześniej niż dopiero w sierpniu 1943, kiedy banderowcy na własnej skórze odczuli, że ich orientacja na hitlerowski faszyzm poniosła klęskę, „banderowskie skrzydło OUN przyjęło nowy program zdecydowanie różniący się od postulatów Doncowa“. Teraz mówi się już o uniwersalnych ludzkich prawach i wolnościach, choćby i narodowych. W tej partii tekstu jednak nie zgodziłabym się z Horełowem, uznającym, że większość uczniów Doncowa poszła inną, właściwą ścieżką - i że nie wolno w czambuł potępiać ideologa, który wyniósł na zasłużony piedestał prawa narodowe. Horełow zdaje się odróżniać od nacjonalizmu faszyzującego ten drugi, „słuszny“, czyli nacjonalizm z ludzką twarzą. Podobny do bośniackiego? Rzeczywistość wykazała, że OUN jako organizacja „walcząca o wolność prasy, wystąpień publicznych, religii, poglądów na świat, OUN przeciwna jakimkolwiek przymusom ideologicznym, a broniąca równości wszystkich obywateli Ukrainy bez względu na ich

narodowość“, to tragikomiczna fikcja lansowana z tym większym impetem, im dalej w czasie od faktów. No, ale wracajmy do naszych baranów.

Rok 1942. Sielanka zmałona, niemniej tego, że w Białej Cerkwii zatrzymano cztery osoby, w Chersoniu trafił do więzienia podejrzany o kradzież sześciu tysięcy reichsmarek „zwolennik Bandery“ - terrorem jeszcze bym nie nazywała. Charakterystyczny szczegół. Ponad dwustu zatrzymanych w tym czasie działaczy OUN aresztowano nie na Ukrainie, tylko - powtarzam za komunikatem: „W Lipsku, Berlinie, Hanowerze, Hamburgu, Wiedniu, Pradze, Wrocławiu, Poczdamie, Gdańsku, w obydwu Frankfurtach, Bremie, Chemnitz, Dusseldorfie, Kassel“. Wszyscy zamieszkiwali w Niemczech. Przecież nie znaleźli się tam uciekając przed nazizmem?

OUN miała powiązania z Abwehrą. Jak pisze Armstrong, latem 1939 w Wiener Neustadt płk Suszko „ściśle współpracował z Niemcami, szykując grupę około dwustu ludzi do włączenia do Wehrmachtu i wejścia z nim do Polski“. Sporo Ukraińców emigrowało do protektoratu BohemiaMorawia po inwazji na Czechosłowację.

Sięgnijmy do źródeł ukraińskich. The Third Reich and the Ukrainian Question (documents 1934-1944) praca Wołodymyra Kosyka, wydana w Londynie przez Ukrainian Central Information Service z finansową pomocą - pięć tysięcy dolarów - Anonima, nazwanego Mr. M.B., musiała być dla autora ciężkim orzechem do zgryzienia; jak pogodzić prawdy o okupacji i kolaboracji, jak wybrnąć z niewygodnych dat? Kosyk stara się zbagatelizować wieloletnie, grubo przed V. wojną światową utrwalone koneksje OUN z hitleryzmem. Przypomina antyniemieckie nastroje i publikacje, które wzmogły się, gdy - cytuję - „Niemcy wydali polskiej policji kilku członków OUN, podejrzanych o udział w zabójstwie polskiego ministra spraw wewnętrznych, Pierackiego [...]. Z tej okazji prasa OUN krytykowała nazistowskie rasowe teorie i adorację ich sukcesu w Niemczech. W rewanżu biuro prasowe Rosenberga wytknęło żydowskie pochodzenie kilku żonom ounowców“.

Kolejne „głosy krytyczne“, już u schyłku 1939, wyrażały -na łamach „Ukraińskiego Słowa“ ukazującego się w Paryżu -oburzenie wcale nie na cały nazizm jako taki, tylko na fakt, że Hitler oddał bolszewikom zachodnią Ukrainę i zatrzymał się na linii Sanu. To z tego i tylko z tego powodu pomstowano na „oburzającą zbrodnię przeciwko Ukrainie“.

W rezolucji z kwietnia 1941 OUN deklarowała, że walczy „przeciw komunistycznej ideologii, przeciw intemacjonalizmowi i kapitalizmowi...“, że jest „za zniesieniem wszystkich przywilejów i różnic klasowych“. Ale to właśnie głosił faszyzm!

Historycy czy publicyści ze szkoły Kosyka zapewniają, że leader OUN, Konowalec, nie był zainteresowany zbliżeniem przede wszystkim z Niemcami, że w identycznym stopniu stawił na Francję, Włochy... Bzdura. Ukraińcy - może i logicznie- widzieli realnego sojusznika w najbliższym liczącym się i (do czasu) niezainteresowanym ich zniewoleniem państwie. Francja była trochę za daleko, zresztą, była w tradycyjnym już układzie z Polską. Pozostawały Niemcy. Nawet Niemcy hitlerowskie.

Czy to się komuś podoba, czy nie, faszyzm ukraiński, którego główny ideolog - Doncow - szedł łeb w łeb z prekursorami hitleryzmu, był po komunizmie jedyną dostrzegalną i realizowaną doktryną polityczną na Ukrainie, inne trendy pozostawały w tle. Powtórzę: jakkolwiek wyraźne i na upartego dające się logicznie uzasadnić byłyby przyczyny, mówimy o skutkach jednoznacznych, już w latach międzywojennych, w wyniku zabójstw, zamachów i

podpaleń odczuwalnych w Polsce, jako państwie - przy wszystkich swoich mankamentach - jednak pozwalającym na działania niewyobrażalne na sterroryzowanej sowieckiej Ukrainie.

Planowane (tyle, że bez niemieckiej akceptacji) imperium ukraińskie od Morza Czarnego miało sięgać nie tylko po Karpaty, objęłoby i Nowosądecczyznę, przypuszczalnie i Kraków, już nie mówiąc o „Zakierzonii“ czy znacznych połaciach Lubelszczyzny. Równoległe roszczenia lwowski rząd zgłasza do Rumunii i do Czechosłowacji. „Szybciej do naszej ukraińskiej stolicy“ zachęcał samozwańczy premier. Jak sobie OUN wyobrażała zgodę i poparcie Niemiec dla spodziewanej „Wielkiej Ukrainy“, z jakiego tytułu III Rzesza miałaby być zainteresowana partnerstwem w dysponowaniu Europą? Na to nie ma logicznej odpowiedzi, ale akurat my też nie należymy do narodów, które w poszukiwaniu rozwiązań historycznych najchętniej kierowały się logiką. Skończyło się tym, że dawne polskie województwa włączono do Generalnego Gubernatorstwa. Południe kraju, od Bukowiny po Odesę, przejęła Rumunia. Zagłębie Donieckie zamieniono w tzw. strefę wojenną, podległą wojsku. Z tak okrojonej nadziei na imperium pozostał Reichskommissariat Ukrainę, oczywiście zarządzany przez Niemców.

Nie rezygnując z antysowieckiej, za jednym zamachem i antyrosyjskiej retoryki („Ukraina została na zawsze oddzielona od Moskwy górą ciał i morzem krwi...“) nacjonaliści z wolna przestają wdzięczyc się do Niemców. Wreszcie pojawia się motyw „brutalnej polityki kolonizacyjnej [...] Podczas krótkiego okresu rządów niemieckich... tylko popioły pozostały z naszych nadziei...“ Niemniej „największy wróg Ukrainy - rosyjski imperializm - wykrwawia się śmiertelnie. Im dłużej, tym lepiej. Zatem: wolność Ukrainie! Śmierć Moskwie!“ - zachęca ulotka.

Rosja - sowiecka i nie tylko. Rosja, zawsze Rosja - na czele listy wrogów. Nawet przed Polską. Nawet przed Żydami.

Agitują również Niemcy. „Ludu Ukrainy, posłuchaj! Moskwa wydaje rozkazy OUN! To OUN jest narzędziem żydowskiego bolszewizmu! Pamiętajcie o cierpieniach i torturach narodu w minionych dwudziestu latach! O zamordowanych ojcach i synach! O milionach wywiezionych na stepy Syberii! O znieważonych i pomordowanych księżach! Zbeshczeszczonych świątyniach i skarbach kultury!“ Po inwokacjach konkluzja: „OUN i bolszewizm to jedno i to samo, dlatego muszą być zniszczone“. Równoległe pojawia się ulotka sowiecka, przypominająca, że „Bandera przybył na Ukrainę w niemieckim wozie pancernym... jeszcze niedawno składał uroczystą wizytę Niemcom w specjalnym pociągu... w rejonie Równego stawiano krzyże upamiętniające „wyzwolenie Ukrainy“ z autografami Hitlera i Bandery.“ Propaganda - już na dwie orkiestry, jedna dudni o żydokomunie, druga - o kryptohitlerystyce, ale nawet w okresie stygnącego entuzjazmu nieopodal Krzywego Rogu powstaje „Regiment Wolnych Kozaków“. Wprawdzie „już“ w 1943 po Ukrainie krążą teksty przypominające, że ukraińscy kołchoźnicy za nędzne kopiejki harują dla „wyzwoliciele“, że rzucona jak psu ochłap nagroda ma zamydlić oczy Ukraińcom i nakłonić ich do wyniszczenia własnych braci i sióstr drogą denuncjacji... Warto zwrócić uwagę na ten tekst, wiele mówiący o ówczesnej codzienności.

Armstrong zauważa nowinkę, pewną elastyczność w traktowaniu kwestii, źle postrzeganych na Zachodzie. Sytuacja wymaga od OUN ustępstw „nawet“ w antysemityzmie. „Bez względu na negatywne nastawienie do Żydów jako narzędzia moskiewskobolszewickiego imperializmu uważamy za niewskazane w obecnej sytuacji międzynarodowej uczestniczenie

w akcjach antyżydowskich“, przestrzega instrukcja banderowska. Idzie o to, żeby „nie stać się ślepym narzędziem w obcych rękach, nie odwracać uwagi mas od głównych wrogów“.

Z zapewnień podziemnej prasy ukraińskiej z lat siedemdziesiątych w Związku Sowieckim: „OUN prowadziła ukraiński opór narodowościowy przeciwko niemieckiej okupacji na zachodniej Ukrainie podczas II wojny światowej, poprzez swoją sieć podziemną - od 1943, Ukraińską Powstańczą Armię. UPA zwalczała również sowieckich partyzantów i kontynuowała opór przeciwko sowieckiej okupacji zachodniej Ukrainy aż do roku 1950“. Tu konkluzja: „Banderowcy - termin przyszywany dzisiaj każdemu, kto wykaże się ukraińską narodową świadomością... Sowiecka propaganda, wykorzystując fakt, że Ukraińcy ze wschodniej Ukrainy - «wschodniacy» - nie znali ruchu OUN ani jego uczestników, portretowała ich jako terrorystów i gangsterów“.

Podkreślając w „samwydawie“, że ostatnie starcie bitewne między UPA a Wehrmachtem miało miejsce 1 września 1944, stwarza się wrażenie, że sojusz - również mundurowy sojusz - nigdy nie zaistniał. A gdzie dywizja SSGalizien? Gdzie batalion Nachtigall?

„W Polsce jednym z mitów jest opinia, że Ukraińcy byli bardzo wiernymi sojusznikami Niemców... że byli kolaborantami...“ - zżyma się ich historyk, uczestnik dyskusji w naszej telewizji. Jak to się ma do wydarzenia z 30 czerwca 1941, kiedy we Lwowie, „...z woli narodu ukraińskiego, Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów pod przewodnictwem Stefana Bandery ogłasza wskrzeszenie państwa ukraińskiego, za które pokolenia najlepszych synów Ukrainy oddały życie (...). Ukraińska narodoworewolucyjna armia, która powstaje na ukraińskiej ziemi, będzie toczyć walkę z rosyjską okupacją [...] i za nowy porządek na całym świecie“. Cytowane Oświadczenie podpisał przewodniczący Zgromadzenia Narodowego, Jarosław Stećko.

Rzecz doprawdy nie w tym, czy Konowalec lub jego następca kiedykolwiek rozmawiał z Hitlerem, czy wznosił toast za jego zdrowie. Nie idzie o drobiazgi.

Kolaboracja niewiele dała, jeśli wśród ponad dwu milionów obywateli Związku Sowieckiego, wywiezionych do robót przymusowych w Reichu, przeważali Ukraińcy. A przecież jeszcze w 1943 na byłych ziemiach polskich odbywa się kongres OUN, w tym samym roku - obraduje na Ukrainie prohitlerowska Konferencja Uciskanych Narodów Wschodniej Europy i Azji.

Pisząc o pewnej równoległej do represji kokieterii Sowietów w stosunku do Galicji zachodniej po 1945, Armstrong zauważa znaczącą i „wybiegającą w przyszłość sowiecką aprobatę polityki usuwania mniejszości polskiej [...]. Równoległą akcją przeprowadził rząd polski z początkiem 1945. Były to decyzje sprzyjające „etnicznie czystej“ Ukrainie“.

Nacjonalizm to więcej i dużo gorzej, niż chce Serhij Płaczynda, autor artykułu Współczesny nacjonalizm ukraiński jako ideologia w „Literatumej Ukrainie“. Zdaniem Płaczyndy, to zaledwie „naturalny, zgodny z prawami rozwoju społecznego, ruch narodu w obronie i utrwalaniu swojej tożsamości“.

Notuję mądrą uwagę Reprincewa: „Do nacjonalistów nie przyciąga ludzi program. Przyciąga przeszłość“.

My nie mamy potrzeb

Badania w latach 1992-1993, prowadzone na zamówienie jednego z amerykańskich uniwersytetów, miały naświetlić kilka istotnych kwestii związanych z bezpieczeństwem Europy, w tym - nacjonalizmu. Ukraińcy już nie obawiają się naszej zaborczości. Ich zdaniem w Polsce, która tak drastycznie zmieniła granice w wyniku drugiej wojny światowej, napięcia emocjonalne już opadły i nie wchodzi w grę czyjejkolwiek liczące się zainteresowanie korektą granic, powrotem na kresy. „Naturalnie, istnieją sentymenty do straconych terytoriów. Jednak nawet ludzie, którzy czują się związani z tymi ziemiami, zazwyczaj nie myślą serio o ich odzyskaniu i uważają, że jakiegokolwiek kroki w tym kierunku, nawet rozmowy na rządowym szczeblu, byłyby błędem“ - czytam w komentarzu.

Tyle o nas. Co się natomiast tyczy sąsiedztwa z Rosją, na Ukrainie istnieje silne choć raczej skrywane poczucie d o r a ż n o ś c i granicznych ustaleń, lęk przed brakiem ich legalizacji. W niektórych regionach podnoszą się głosy za wcieleniem republiki do Rosji lub - jak w wypadku Tatarów krymskich - „żądania odrębnej niepodległości“. Nie są to niepokoje spektakularne, nie przybrały impetu Zadniestrza, ale komplikacji wykluczyć nie można z uwagi na - znów powtarzam za raportem - „etnicznych Rosjan, którzy są ukraińskimi nacjonalistami, oraz prorosyjskich etnicznych Ukraińców“. Na Ukrainie mieszka kilkanaście milionów Rosjan i jeśli problem jeszcze pozostaje marginalny, to nie jest powiedziane, że tak będzie i jutro. Rosyjskie mniejszości na Białorusi, w krajach bałtyckich - przede wszystkim są przez miejscowych postrzegane jako załączki przyszłych interwencji. Natomiast obecne werbalne wystąpienia rządu rosyjskiego w tych sprawach uchodzą tylko za posunięcia defensywne, stwierdza raport.

Na Ukrainie lat dziewięćdziesiątych partie centrystyczne są słabiotkie, ale i UNOUNSO - jak mnie zapewniano - w takim np. Tarnopolu ma niedostrzegalną garstkę zwolenników. A Iwanofrankiwsk, a przede wszystkim Lwów? Moi rozmówcy jakby bagatelizowali sprawę. „Nacjonałiści są zauważalni tam, gdzie była UPA...“ A właśnie. Boję się pytań w rodzaju postawionego na konferencji w lubelskim Instytucie Europy ŚrodkowoWschodniej: „Czyż historia ma się bardziej podobać sąsiadom niż własnemu narodowi...?“ „Czy istotnie przeceniamy wątek kolaboracyjny?“ Można to tak widzieć dopiero z perspektywy przemilczenia.

Chciałabym, aby to nie Poliszczuk ze swoją katastroficzną wizją ukraińskiego jutra, lecz spokojny Reprincew miał rację, opiniując: nacjonałiści serwują tak nieporadny program ekonomiczny, że wyborcy nie mogą brać ich serio.

Cóż, pewnie i wyolbrzymiliśmy Galicję, po dzień dzisiejszy w Polsce z uporem traktowaną jako wyłączny i bez reszty miarodajny projektor dylematów, nastrojów, zamierzeń Ukrainy. Siłą rzeczy bardziej liczą się nastroje w regionach wschodnich. Obecny marazm polityczny, a i społeczny w głębi kraju poza wątpliwością przeważa nad zajadłościami, które w dawnych województwach lwowskim, stanisławowskim czy wołyńskim incydentalnie dają o sobie znać - na przykład - znieważaniem cudzych sztandarów, w tym polskiego, przez bardzo młodych i jednakzorganizowanych ludzi. Reprincew wykazuje talent dyplomaty, bagatelizujące odnosi się do incydentu. „Dwa lata temu deptali flagę rosyjską i nie było hałasu“. Decydowały gazety, z różnych powodów wybierające pomiędzy nagłośnieniem sprawy a ciszą wokół niej... no, my to dobrze znamy.

W roku 1997 (akcentowanie dat może nużyć czytelnika, ale jest konieczne, gdy mówimy o państwie - jednak - nieprzewidywalnym) najliczniej reprezentowana w parlamencie była Komunistyczna Partia Ukrainy. Uderzająco słabiej partia socjalistyczna. Przewodniczący, Aleksander Moroz, zmierza do jej przekształcenia w socjaldemokrację typu szwedzkiego. Ciekawe, czy na Ukrainie nie podzieli wyborczego losu naszej Unii Pracy.

Prawie wszystkie zauważalne partie czy bloki partyjne, zatem komuniści, socjaliści, socjaldemokraci, narodowcy, narodowi demokraci, chrześcijańscy demokraci, a także liberałowie, anarchiści, anarchosyndykaliści, fundamentaliści religijni - mają śladowe notowania. Tracą na popularności. Wzrósł odsetek respondentów, którzy nie są po niczyjej stronie, gdyż „nie rozumieją żadnej z tych tendencji“. Lepiej powiodło się tylko komunistom. Również dawne związki zawodowe cieszą się większym zaufaniem niż nowo utworzone. Mniej więcej tylu Ukraińców akceptuje system wielopartyjny, ilu go odrzuca. Istotne - i dla nas - że popularność zorganizowanego nacjonalizmu jest mizerna, choć można by się zastanowić, czy w sprzyjającej nastrojom ekstremalnym biedzie rzeczywiście tylko nikła, jak wynikałoby z sondaży, częśćka społeczeństwa popiera skrajną prawicę. Brak legitymacji partyjnej jeszcze o niczym nie przesądza. Akurat tego tropu bym nie przeceniała.

Ukraińcy nie chcą się angażować politycznie i na razie istotnie są apolityczni. Tylko cztery promile respondentów należy do jakiegokolwiek partii czy stronnictwa. Więcej jest zaangażowanych w ruch ekologiczny, zapisujących się do klubów sportowych i organizacji religijnych. Przycerkiewnych. Tak czy inaczej, mówimy zaledwie o części społeczeństwa. Prawie dziewięćdziesiąt procent Ukraińców nie miesza się do publicznego życia.

Nawet zauważalne partie miewają do jedenastu procent zwolenników. A to już bardzo wysokie poparcie. W 1997 tak wyjątkowymi względami cieszyli się tylko komuniści, aż połową głosów wyprzedzając socjalistów i jeszcze wyraźniej - socjaldemokratów. „Budowa kapitalizmu“ spotkała się z bardzo umiarkowanym zrozumieniem, nowy ustrój akceptowała jedna dziesiąta zapytanych. Z biuletynu wydawanego przez fundację wspierającą Instytut Socjologii przepisuję najczęstsze konstatacje. „Pidtrymuju i tych, i tych, aby ne konfliktowały“ (Jestem i za lewicą, i za prawicą, byle się nie zwalczały). Przeszło jedna czwarta jest przeciwna „i tym, i tym“. Prawie jedna czwarta chroni się w ostrożne „ważko widpowisty“ (ciężko odpowiedzieć).

Tyle - tak zwani szarzy ludzie. A intelektualiści?

W redakcyjnych pańciach „Dumki“ bierze udział czołówka ukraińskich historyków, ekonomistów, socjologów. Ciekawy był „okrągły stół“ na temat poszukiwanej trzeciej drogi. Jedno ze znamienych pytań: czy aby od komunistycznie totalitarnej Ukrainy nie przejdziemy

do państwa neototalitarnego? (naczelný redaktor „Dumki“, Wołodymyr Połochało). Jaki model socjalnego bezpieczeñstwa i gospodarczej równowagi byłby lepszy, co wybierze Ukraina: czy oprze się - jak większość krajów Wspólnoty Europejskiej - na wzorcach wartości socjalistycznych, nawet przy wszystkich wadach tego modelu, czy też będzie ciążyła ku systemowi kapitalistycznemu, wzorowanemu na Stanach Zjednoczonych? (Wasyl Tkaczenko, historyk).

Mówiąc o gospodarczej katastrofie, do której doprowadziły Ukrainę i poprzednie, i obecne rządy, przypomina o swoistym kredowym kole: wprawdzie opinia publiczna jest przychylna rynkowej gospodarce, niemniej sytuacja, jak na razie, wygląda tak, że posiadacze własnego biznesu stanowią bardzo niski procent społeczeństwa, dwadzieścianrzydzieści procent zaś dopiero nosi się z zamiarem otwarcia przedsiębiorstwa.

Zdaniem autorów „Dumki“ wyobraźnia społeczna zatrzymała się na kapitalizmie sprzed rewolucji. Trzy czwarte ukraińskich robotników trwa w przekonaniu, że państwowa własność przejdzie w ręce garstki reprezentantów jakiejś społecznej wierzchołki, zaledwie co dziesiąta zakłada, że właścicielami stanie się <większa część ludności (Wołodymyr Wołowycz, Serhij Maki ej ew, socjolodzy).

Dlaczego Ukraińcy tolerują władzę, której tak nie lubią? - zatytułował swój tekst Mykoła Horełow, ekonomista, politolog. „Przeciętny Ukrainiec polityką się nie interesuje. Może to reakcja na czasy, kiedy była ona aplikowana obywatelom inwazyjnie, wdzierając się jak pocisk w każde prywatne życie. Lata władzy sowieckiej zniszczyły fizycznie dziesiątki milionów najaktywniejszych grup społecznych i wprowadziły do genetycznego kodu pozostałych obywateli wirusa zrezygnowanego posłuszeństwa. Powstaje pytanie - pisze dalej Horełow - czy na Ukrainie, przy jej braku społeczeństwa obywatelskiego, jest możliwe odsunięcie od steru państwa skorumpowanej rządzącej elity?“Ukraina 1997. Notuję ciekawe spostrzeżenie Brzezińskiego: głosują na postkomunistów, żeby nie głosować na nowobogackich.

W takiej temperaturze politycznej lęgną się najdziwniejsze pomysły. Horełow przypomina, że w zamierzchłej przeszłości -ratując złe rządzone, zachwiane księstwo ruskie - „przodkowie zaprosili na tron książęcy Waregów. Ci nie marnowali czasu... i po raz pierwszy w swej historii Ukraina osiągnęła rzeczywistą państwowość. Kto wie - zastanawia się Horełow - czy nie warto by powtórzyć doświadczenia“. Chociaż paradoksalny, pomysł nie jest świeży. Już w latach dwudziestych Waczesław Lipyński proponował, by zaprosić potomka jakiejś starej europejskiej dynastii na stanowisko „hetmana Kijowa“. Horełow też byłby za powierzeniem rządów politykom z diaspory, od których zwykle się oczekiwać wyłącznie materialnego wsparcia, a przecież są to ludzie obcy z cywilizowaną gospodarką rynkową, z państwowością opartą na praworządności. Horełow zamyka swój wywód przypomnieniem - znowu - opinii Lipyńskiego o grzechach głównych Ukraińców, czyli anarchii i podatności na przekupstwo. Ratunek widzi tylko w „cywilizowanych siłach“. W rodakach z zagranicy.

Z Włodzimierzem Reprincewem spacerujemy po wysoko położonych Lipkach, solidnych, dziewiętnastowiecznych i nietkniętych wojną. Tak imponującej secesji jak przy Saksohańskiego tu nie widać, niemniej jest to efektowna dzielnica, wolna od akcentów melancholijnej rosyjskiej prowincji. Za caratu, za bolszewików, za kapitalistów najlepszy adres w mieście. I siedziba władz. Ktokolwiek rządzi Ukrainą, rządzi z tego wzgórza.

W każdym politycznym układzie kwartał dla wybranych. Przepisuję z tablicy „W tym budynku mieszkała w latach 1957-1964 sławna córka polskiego narodu, wybitna radziecka pisarka i działaczka społeczna, Wanda Wasilewska“.

Intrygująca, ale nie z zasługi swoich książek. Dziwny człowiek, zagmatwane życie. Jak to możliwe, że nie domyśliła się, kto sprzątnął jej polskiego męża? Przy ukraińskim też nie najadła się miodu. Komiejczuk nie uchodził za „odnolubca“, jak o takim niebywale rzadkim gatunku powiadają Rosjanie, i musiał jej dać zdrowo w kość swoimi romansami. Którą to opinię podważa pan Włodzimierz. Nie było aż tak źle... Kwestia gustu. Tak czy owak dla obywatelki radzieckiej towarzyski Wandy Komiejczukowej nie było już odwrotu.

Poprzedni mąż pisarki, wtedy jeszcze polskiej, Bogatko, prosty robotnik, do czasu komunista, zginął w okupowanym przez Sowieców Lwowie w okolicznościach raczej jednoznacznych. Stał się kłopotliwy dla rozgrywających kartą Wasilewskiej. Zważył w czerwone niebo. Rozejrzawszy się po faktach, komunista Bogatko przygasł, a że introwertykiem nie był, dosyć głośno wyrażał swoje wątpliwości. To nie nadawało się do tolerowania. I któregoś wieczoru zadzwoniono do drzwi. Gdy Bogatko otworzył, dwóch panów w skórzanych płaszczach (a może kurtkach, w każdym razie mówiło się o skórze) wygarnęło do niego z rewolwerów. Zginął na miejscu. Sprawców nigdy nie ujęto. Wasilewska przyjęła do wiadomości, że był to „napad rabunkowy“. A podobno go kochała.

Dla mnie interesujące byłoby pytanie: czy jeszcze go kochała, a jeśli tak - to czy nie jest to dobitny przykład, jaką niewyobrażalną dla przeciętnego człowieka cenę za ideę płać fanatycy.

Wasilewska - to też kuriozum, ale z innej beczki - była ulubienicą Stalina. Uchowaj Boże, żaden tam łóżkowy związek. Chyba miał do niej zaufanie, co mu się nie zdarzało. W każdym razie, ona jedna z późniejszego Związku Patriotów uchodziła za osobę zdolną załatwić sprawy trudne, a co ciekawsze - nie ponoszącą konsekwencji odmowy, jeśli taka się zdarzyła. Niebagatelny przywilej.

Te dwie sprawy - pierwsza przerwana kulą w piersi Bogatki, druga - uwięczona ślubem z Komiejczukiem, którego wielbiła, z jej strony uczucie było poza wątpliwością - rzeczywiście są ciekawe w poplątanym, bardzo niejednoznacznym życiu Wasilewskiej.

„Sławna córka...“ Nie za bardzo. W Polsce już się jej nie czyta. Zapomniane nazwisko. Swoją ulicę ma w Kijowie.

Przy Bankowej dom z chimerami, zbudowany przez znanego architekta, ojca schizofreniczki. Może była to sprawa zbyt osobista, mniej udane dzieło, w każdym razie dom wydał mi się ciężkawy, chimery wyzbyte tajemnicą, bez której te zastanawiające stworki upodobniają się co najwyżej do straszdeł ze sklepu z zabawkami. Córka architekta popełniła samobójstwo. Biedak, czemuś chciał utrwalić jej koszmary i niechcący dowiódł - nie on pierwszy - że nie powinno się nagłaśniać intymności. Chimery zwały się jak Godzilla z japońskiego filmu pływając po dachu visavis byłego KC partii, obecnej siedziby prezydenta. Trwa remont, w przeciwieństwie do lwowskich, prowadzony higienicznie. Budynek spowito zasłonami, co prawda bardziej nadającymi się na sztandar Ukrainy. Wszystkie w barwach narodowych. Gorączkują się: niebieskożółta kurtyna nad rusztowaniami, przecież to idiotyzm... Reprincew, łagodnie: nie pierwszy, nie ostatni.

Ale to nie przez sztandar remontowe hobby prezydenta nie spotyka się z aplauzem. Bardzo zimno została przyjęta emfaza, z jaką zakomunikował, iż wcześniejsza odnowa Pałacu Kultury, wyszykowanego na pięciolecie niepodległości, to symbol nowej Ukrainy. Lifting pałacu kosztował sześćdziesiąt milionów dolarów, z tego czterdzieści - podobno - na dokumentację. Wydatek nie był z najpilniejszych, jeśli w ogóle był potrzebny. W Kijowie przez sześć lat niepodległości nie wybudowano nic nowoczesnego, nic o rzeczywiście funkcjonalnym przeznaczeniu (przez sześć lat i za trzech kolejnych merów, uściśla Reprincew). Nic dziwnego, że dobre samopoczucie prezydenta to „horka“ (gorzka) ironia dla tutejszych. Leonid Kuczma jest lepiej postrzegany za granicą, zaczynając od Polski, niż we własnym kraju. Zarzuca mu się szastanie pieniędzmi na cele co najmniej drugorzędne. Lubi efekty, ale ich nie kontroluje.

Polityka polityką, a mnie ciągle w głowie ten remont -całkiem po nowoczesnemu, w pokrowcu, tyle że z flagą narodową w charakterze szmaty do zbierania kurzu. Na ile to koresponduje z happeningiem, który latem 1997 wycięli młodzi lwowscy szowiniści, czyszcząc sobie buty sztandarami Rosji, Polski i Rumunii?

Teraz wszystko narodowe, pokpiwa Reprincew. Park... sklep... uniwersytet... sauna...

Opowiada, jak na rynek trafiły piłeczki pingpongowe z dwoma wizerunkami. Pół piłki pod oblicze Lesi Ukrainki, drugie pół dla Szewczenki. Czyli raz ją po łbie, a raz jego.

Żeby było jeszcze śmieszniej, właśnie mijamy Piereułek Czekistow. Znowu nazwa, która nie przeszkadza, skoro jej nikt nie zmienił.

W tym społeczeństwie po raz pierwszy już nie tylko na tygodnie, jak bywało za Skoropadskiego, za Petlury, zalegalizowany patriotyzm, prawo do państwowości, duma - ale i zajadłość narodowa - uderzająco miesza się z marazmem.

Jak to określą socjologowie, Ołeksandr Derbaczew i Serhij Makiejew - Ukraina katapultowała się w niepodległość. I pociągnęło to za sobą nieuniknione skutki, najróżniejsze postaci kryzysu. Społeczeństwo poza kontrolą. Totalną dezorganizację.

Kładąc nacisk na opinie Brzezińskiego o Rosji zmacerowanej przez komunizm w takim stopniu, że proces ozdrowienia będzie długi i bolesny, z wynikiem gorzej niż wątpliwym, inny autor, Hryszczenko, zauważa, że to samo, najdokładniej to samo, można by rzec o Ukrainie.

Maleje i wcześniej niewygórowana wiara w państwowotwórczą efektywną rolę inteligencji. Opinie o modelowaniu państwowości są porażające. Pierwszą lokatę Ukraińcy, pod naporem faktów, przyznają mafii i jej kryminalnej okolicy. Bezkonkurencyjnie pierwszą! Druga w sondażowej kolejności ocen tzw. grupa wpływów - administratorzy, biurokraci - zyskała znacznie mniej głosów. Jeszcze mniej - ludzie interesu, choć i tak widziani jako formacja dwukrotnie efektywniejsza niż inteligenci.

Inflacja, masowa pauperyzacja, wzrost przestępczości - to można zmienić dopiero siłami całego społeczeństwa. Ba!... Łatwo powiedzieć. U podstaw współczesnego folkloru - mafia, zorganizowana zbrodnia, zauważa w interesującym szkicu („Polityczna Dumka“ 1/97) Ołeh Biłyj. Kłania się stary rosyjski nawyk, „bitwa z prawem“. To carat uczył gotowości na

późniejsze usprawiedliwienie przemocy bolszewizmu. Carat, utopijnie idealizowany, z jego rządami opartymi na prawie boskim.

A w końcu żaden z ruchów niepodległościowych nie uczył porządku, jak słusznie zauważa Biłyj. Idea niepodległości czy suwerenności, pojętej jako wola większości i zorganizowanej w generalny system prawny, była lekceważona przez Skoropadskiego, i przez Petlurę, a co dopiero - przez anarchistę Machnę czy Białą Ruch Denikina.

Ukraina lat dziewięćdziesiątych. Totalne poczucie zagrożenia -a na tym tle szybkie formowanie się kasty rozkwitającej w warunkach socjalnego i ekonomicznego kryzysu. Polaryzacja grup społecznych systemem „w górę - w dół“, „bogatybiedny“, „zwycięzcyprzegranici“. O ile za sowieckich czasów, zwłaszcza na ich progu strach dławiał posiadających, to obecnie sytuacja odwróciła się, teraz biedni obawiają się, że stanowią zawadę dla mocnych finansowo, więc górujących i pod każdym innym względem. I że zostaną bez pardonu usunięci z drogi. „Rosnący niepokój, poczucie społecznej degradacji [...] charakteryzują tę kategorię ukraińskiego społeczeństwa“ - stwierdzają autorzy raportu zleconego przez Bank Światowy. Jak zauważają obserwatorzy ukraińskiej gospodarki - a to fundamentalna pretensja -operacje giełdowe nuworyszów nie mogą być identyfikowane z inwestycjami, których brak. Nawet robiąc zawrotne pieniądze, robi się je bez programu. I bez wizji. W 1992 tylko pięć procent eksportu (niespełna pięć!) wróciło do państwowego budżetu w postaci twardej waluty. „Reszta, czyli dziewięćdziesiąt pięć procent pozostało za granicą“ - stwierdza raport. Drastyczna ucieczka kapitału odstrasza potencjalnych inwestorów. A na Ukrainie słaba jest nawet opcja orientujących się na rynkową gospodarkę. Czego chce większość? Trudno powiedzieć. Nikt nie wie. To wynika jasno z badań, a konsekwencje? Autorzy raportu ostrzegają, iż społeczeństwo dezorientowane - i nieprzekonane do żadnego z wyłonionych już obozów - może łatwo poddać się demagogom, poczuć się zainteresowane w formowaniu jakiegoś kolejnego modelu państwa totalitarnego.

Autorzy raportu oceniają powszechną apatię jako „obiektywny powód zwłoki w kształtowaniu się politycznego pluralizmu. Ludność przeważnie jeszcze się nie odnalazła w nowych orientacjach, jeszcze nie wie, czego chce. Nic nie jest pewne [...]“. I tu mamy klucz do fenomenu milczącej większości“ w politycznym życiu Ukrainy.

Bardzo znamienita uwaga Bystryckiego, który mówi o zbyt małych wymaganiach ze strony społeczeństwa. „My jeszcze nie mamy potrzeb“. Administracja nie czuje się kontrolowana, trwa i tyje, wolna od zobowiązań. „Nie będzie harmonii ani równowagi pomiędzy społeczeństwem a państwem, dopóki nie zmienią się systemy urzędnicze“.

Do wszystkich bied ukraińskich doliczmy dysproporcje społeczne. Za słaba na rzeczywiste wpływy pozostaje elita intelektualna, w dodatku rozbita na obozy, koterie, daleka od konsolidacji. Porządek socjalny Ukrainy, jakaś jej genetyka społeczna zostały zrujnowane głodem w 1933. Później - wojną, ale najbardziej - pustką po klasowych czystkach. Z brakiem kadr inteligencji wiąże się też dezorientacja polityczna Ukraińców, ich zagubienie w nowej rzeczywistości.

Jest źle i nie będzie lepiej. To przekonanie ogółu. Tylko co dwudziesty z zapytanych zgadza się z sugestią, że odpowiedzialność za materialny stan społeczeństwa to kwestia własnych sił, indywidualnych poczynań i rostrzygnięć. Ogół składa odpowiedzialność na państwo.

W hotelu „Kijów“ sto trzydzieści siedem dolarów za pokój jednoosobowy, sto sześćdziesiąt cztery - za podwójny. W hotelu „Dnipro“ jak i w czterogwiazdkowej, podobno rzeczywiście zasługującej na te gwiazdki, a to rzadkość, „Rusi II“ doba kosztuje sto osiemdziesiąt dolarów. W „Chreszczatyku“ za pierwszą dobę -sto trzydzieści, za następne - po sto dziesięć. Mówimy o cenach dla cudzoziemców, swoi płacą mniej, tylko ilu tych swoich, których stać na hotel. Dla przeciętnego obywatela to są niebotyczne rachunki. Żona robotnika i matka studentki, nauczycielka Ała, ze zgrozą załamuje ręce. Zżyma się „Če nasz bafko w misiac' ne prynosyt' „. Ała zarabia miesięcznie trzydzieści siedem hrywien, to znaczy: szesnaście dolarów. Mąż dostaje za miesiąc osiemdziesiąt hrywien, niekiedy nawet sto, choć bywały miesiące, że zarabiał dwadzieścia. Komentarz Ały: „W fabryce pracuje czterdzieści lat, a nie może utrzymać trzyosobowej rodziny. On, robotnik!“W tym „On, robotnik“ wymowna nostalgia. Robotnik, to brzmiało dumnie. Jak werbalne, iluzoryczne byłyby walory proletariackości - mit trwał, bardzo starannie podtrzymywany w propagandzie. A teraz spada dobre notowanie robotników na liście wpływowych grup społecznych. Równolegle maleje już i wcześniej niewygórowana wiara w państwowotwórczą rolę inteligencji. Równolegle - ale bardziej drastycznie. Więcej respondentów stawia na robotników (19,2 proc.) i chłopów (15,9 proc.) niż na inteligentów (9,9 proc.).

Skoro mówimy o robotnikach... Na Ukrainie występuje zjawisko kuriozalne, jak na zachodnioeuropejskie pojęcia: praca w fabryce bynajmniej nie musi stanowić głównego źródła dochodu, w bardzo licznych wypadkach jest ubocznym. Skomponowanym nie tylko z zajęciami na działce. No, ale to wynika - niezależnie nawet od niskich pensji - z katastrofy gospodarczej kraju, z zamykania fabryk czy z braku gotówki na robotnicze pensje w tych fabrykach, które jeszcze nie stoją. Tak czy inaczej - w 1996 tylko piętnaście procent proletariuszy otrzymywało wynagrodzenie, za które mogliby wyżywić siebie i rodzinę przez trzydzieści dni.

Jedne firmy płacą w gwoździach, inne w kławkach, kołatkach. Jadąc do Białej Cerkwii, zobaczyłabym sprzedawców opon samochodowych. Dostali te opony w dniu wypłaty, znów zamiast pieniędzy. Więc ustawiają się przy szosie w oczekiwaniu na niemożliwe, na klienta. Brat Chmielowej, kowalstwo artystyczne, bierze w cukrze.

Płaci się w cukrze, w kiełbasie. Przechodniów z wieńcami parówek na ramionach, na szyi spotkam i w Kijowie. Dawniej tak się nosiło cudem kupione delikatesy, rolki toaletnej бумаги. Teraz już osiągalnej pod warunkiem, że masz czym zapłacić. Za komunizmu naród ratował się gazetą, dzisiaj i ona kosztuje. Od dwudziestu do pięćdziesięciu kopiejek. „Niektórzy kupują“.

Natalia ma znajomego internistę w Tarnopolu, którego pensja w przychodni wynosi około stu dwudziestu hrywien; powinna wynosić, gdyby była wypłacana, ale nie jest. Żona internisty „uszła w dekret“ (kollokwializm rosyjski, bo i przywilej z sowieckich czasów), czyli jest na urlopie macierzyńskim i dostaje po piętnaście hrywien miesięcznie. Przez rok. „Ale on pomimo wszystko nie bierze od pacjentów - upiera się Natalia - to wiem na pewno“. I na pewno: żyje? Z czego? Z piętnastu hrywien żony? Natalia spokojnie: „A jednak“.

Ukraina u schyłku XX wieku: ponad trzydzieści procent rodzin bez jednego pracującego, a przynajmniej - pracującego jawnie. Potwierdzona badaniami osobliwość dzisiejszej Ukrainy: wynagrodzenia za pracę stanowią niespełna jedną trzecią dochodów społeczeństwa! Czyli dają ludziom mniej pieniędzy niż emerytury i stypendia.

Jakie są rzeczywiste dochody Ukraińców? Nie wiadomo. Można mówić tylko o deklarowanych. Gdyby ludzie na nich poprzestali, pół kraju wymarłoby z głodu.

Porzekadło Chmielowej: jak się nie ma lekarstwa, to się szuka sposobu.

Można sobie poradzić, mówi przewodnicząca polskiej federacji. Można robić sałatki z pokrzywy, która jest bogata w białko, szczególnie górne liście, albo z marchewki, pietruszki... Moja mama to głównie kaszą żyje. Przeważnie każdy znajduje sposób na przeżycie.

Ukraina 1997: czarny rynek nie płaci podatków, państwowy nie wypłaca wynagrodzeń. Ukraina - fenomen setek tysięcy, jeśli nie milionów ludzi, pozbawionych środków do życia. Wszystko wskazywałoby, że kompletnie pozbawionych, a umiających przetrwać.

To jest kraj, w którym - według oficjalnych danych - prywatny sektor zatrudnia tylko pięć procent Ukraińców, czterdzieści procent pracuje w państwowym, ale czterdzieści dziewięć procent nie pracuje nigdzie.

Czy to możliwe? Raczej nie.

Szara strefa nie tylko staraniem gangsterów finansowych jest potężna, dokładają się do niej zgrzebne hrywny biedoty. Pozorne niemożliwości (z ustaleń wynikałoby, że wydatki najbiedniejszych już pięciokrotnie przewyższyły ich dochody) biorą się z lęku przed wierzycielem groźniejszym niż państwo. Przed sprawniej od urzędów działającym kryminalnym podziemiem. Mówi o tym oficjalna konstatacja Banku Światowego. „Trzeci sektor“ ekonomiki na Ukrainie, przepływ nieoficjalnych pieniędzy poza siecią legalnych finansowych instytucji, jest ustalonym zjawiskiem.

Prawda szczyrzy zęby. Wszystko razem wzięte to już nawet nie szarzyzna życia, to czerń, maskowana jaskrawością szyldów, reklam, ogłoszeń. Może i ma rację Natalia ze swoim „za wcześnie na socjologię w naszym kraju“.

Sushi po kijowsku

Nie wiem, jaką reputacją cieszy się ukraińskie lotnictwo pasażerskie (bo rosyjskie - fatalną). Tak czy siak MAU mimo trochę jak na mój gust niepokojącej autoreklamy „Harmonia w niebie“ ma klientelę, dowozi wycieczki do Paryża („from just US \$ 549!“) i do Amsterdamu („from just US \$ 599!“). Wystarczy mieć te dolary.

Mniejszymi literami ogłaszają się amatorzy drogi tylko w jedną stronę. Sporo młodzieży chce wyemigrować i wśród matrymonialnych można znaleźć ogłoszenie: „Poznam młodą sympatyczną Żydówkę celem późniejszego wspólnego wyjazdu do Izraela“. Cel przejrzysty.

Kijów wytapetowany anonsami. Wszystkie monotematyczne. Sprzedam mieszkanie. Wynajmę mieszkanie... Znów jedna z zagadek zmiany. Jak to możliwe, że w państwach, w których ludzie tak przeraźliwie odczuwali brak własnego kąta, w których przychodziło czekać na przydział po osiemnaście lat (jak u nas w dolnośląskim Brzegu) - nagle ujawnia się duży rynek mieszkaniowy? Można wybierać, jeśli można płacić. Na tle szarej powszechności, namysłów nad każdą hrywną, bylejakim wydatkiem, to aż niewiarygodne. Czwarty wymiar. O tak, dziwny jest ten neokapitalizm po wschodnioeuropejsku.

W ogłoszeniach naklejanych na murach i przystankach nie podaje się cen (z ostrożności?). A zatem: jak się mieszka w Kijowie.

Można sobie kupić lub wynająć (przy większości ofert obydwa warianty do przyjęcia) dziesięciopokojowy apartament w śródmieściu. Trzysta czterdzieści metrów kwadratowych. Cztery tarasy. Cztery łazienki. Jacuzzi. Trzy linie telefoniczne. Owa kominki. Ochroniarz.

Nie odpowiada? To może jeden z dwóch apartamentów po pięć pokoi każdy. Jedno mieszkanie liczy sto siedemdziesiąt pięć metrów, drugie o dziesięć metrów mniej. Gdyby ktoś miał ochotę na obszerniejsze locum, to apartamenty nadają się do połączenia. A może wystarczy luksusowe mieszkanie do nabycia za sto trzydzieści tysięcy e.u., do wynajęcia - za trzy tysiące siedemset. Trzy pokoje, siedemdziesiąt pięć metrów, kominek...

Było nie było, to też są korytarze codzienności.

Mieszkania do wynajęcia na krótko i na długo. Mnóstwo biur pośredniczących. Na karteluszkach przyklejanych do murów i przystanków ogłasza się biedota, do wczoraj zwana inteligencją pracującą. Cena, rozumie się, w znacznej mierze zależy od adresu. Cztery pokoje przy Luteriańskiej (za mojego pierwszego Kijowa - przy Engelsa. Zeszłowieczne, piękne, wściekle strome zaplecze Chreszczatyku) wynajmowane za cztery tysiące dolarów miesięcznie. Czteropokojowe (sto metrów) przy samym Chreszczatyku - też za cztery tysiące. Dwupokojowe (siedemdziesiąt siedem metrów) za dwa i pół tysiąca dolarów.

Przy Skwerze Tołstoja można się urządzić w pięciu pokojach (sto trzydzieści metrów) już za sześć tysięcy. Uwaga: mówimy tylko o wynajmowaniu! Tyle samo za pięciopokojowe, ale o dwadzieścia metrów większe płaci się przy Ronedyńskiej. No, ale w lepszym punkcie, przy Puszkina, trzy pokoje, co prawda bardzo duże (sto dziesięć metrów) kosztują pięć tysięcy miesięcznie.

Średnio czterdzieści pięć dolarów za metr kwadratowy. Anonse z zaznaczeniem: „West apt... Westhouse“... Wybór wystarczający, co najwyżej trzeba pieniędzy. Apartament, przy którym nie podano adresu, jedynie powściągliwą informację „centrum“, liczący sobie, przy pięciu pokojach - dwieście pięćdziesiąt metrów kwadratowych, mogłabym wynająć za dziewięć tysięcy dolarów miesięcznie. Czepucha, jak powiadają u starszego brata.

Są i tańsze okazje, chociażby przy Stratyńskiej. Trzypokojowe (siedemdziesiąt pięć metrów kwadratowych) za sześćset pięćdziesiąt dolarów, jednopokojowe, także przy Stratyńskiej - za sześćset pięćdziesiąt.

Najkrótsze z ogłoszeń: złoto. Kupują, sprzedają? Nie wiadomo. pewnie jedno i drugie. Oferta sprowadzona do jednego słowa. Złoto. Z numerem telefonu. Swoją drogą, odważnie. No, ale oni wiedzą lepiej.

Do muru z ofertą przylgnął człowiek, którego nazwałam sobie: lakoniczny żebrak z Chreszczatyku. Stoi zapatrzony w chodnik. Nie porusza się, nie patrzy. Stoi. Przy nodze tabliczka: „Rak. Zbieram na lekarstwo“.

Nawet nie napisał: „Mam raka“. Może chce się odciąć od sprawy, zobiektywizować nieszczęście. Może nawet nie on sam jest chory, chociaż wygląda na to, co komunikuje, i po prostu zależało mu na informacji klarownej, skorespondowanej również z cudzym pośpiechem. „Rak... zbieram...“ Tyle przeczytasz nawet w biegu. Zdawałoby się. Bo nikt się przy nim nie zatrzymał, a tego dnia i w następne widywałam go na stałym miejscu, zawsze nad pustą czapką.

Po kijowskich proszakach nie zauważa się profesjonalizmu. Tutejsi prawie nie stosują sztuczek, brak im pomysłowości rumuńskich Cyganek rozpanoszonych na naszych chodnikach. Nieagresywni. Żebrzą byle jak, bez powołania. Z głodu. Groźni są jedynie postukujący kulami Afgańcy. Nasłuchałam się o nich na przystanku. Oho, Afgańcy! Wyjdzie taki na jezdnię - i kierowca nie ma wyboru, musi się zatrzymać i sięgnąć do portfela. Z nimi trzeba tylko po dobremu. W razie czego świadkowie się nie zgłoszą, do końca życia szukaj, a nie znajdziesz. Obląkanego trzeba, żeby liczyć na świadka. Trudno. Afgańcy to Afgańcy.

Na Chreszczatyku zebrze sporo kobiet. Jedna mnie zaintrygowała. Aż się boję wymówić, ale było w niej coś pańskiego. Szczególna twarz. O nie, to nie prostytutka.

Bardzo spokojna. Ludzie w jej położeniu nasiakają zgryzotą, nienawiścią, tymczasem nie wyglądała na pogniewaną ze światem, przeciwnie, patrzyła na niezauważających jej przechodniów z wyrazem wyrozumiałości.

Mogła być ładna, kiedyś, i musiała być inteligentna. Jakiś mocny wir ściągnął ją z powierzchni wczoraj czy przed dziesiątkami lat; tego się nie dowiem.

Nie podeszłam. I nic ode mnie nie dostała. Jednej kopiejki. Nic. Spieszyłam się, miałam zajęte ręce... mój Boże, jakiej to prawie prawdy człowiek sobie nie wymyśli, gdy się siebie wstydzi.

A w tym samym dniu, w kilka godzin później, jechałyśmy jednym nabitym ludźmi autobusem. Zauważyłam ją dopiero na przystanku, gdy usiłowała wysiąść i to okazało się za trudne, nie mogła pokonać odległości od stopnia do chodnika, i ludzie jej pomogli: milcząco, cierpliwie, znieśli ją z wozu na Chreszczatyk.

Cały ten niekrótki zabieg odbył się w całkowitej ciszy. Nikt się nie odezwał. Ona też nie dziękowała. Postawili ją na chodniku, zdawało się, że nie utrzyma równowagi i upadnie, ale jakoś sobie ze sobą poradziła i mogliśmy odjechać.

Razem ze mną patrzyło kilka kobiet, młodych i niemłodych, spoważniałych z żalu. „Ach Boże“ - powiedziała któraś i to już było wszystko. Autobus ruszył.

Udawałam przed sobą, że obserwuję blokikolosy na kremowym paskudnym Chreszczatyku, udzielałam się towarzysko wszystkim od razu chętnym do rozmowy, gdy rozpoznali we mnie Polkę, zagadywałam sama siebie, byle już nie myśleć o tej twarzy - czy rzeczywiście pańskiej? Urody są tak mylące - w obramowaniu zetlałych koronek, w rekwizycie po zgasłym buninowskim niegdyś, czarnym szalu, przytrzymywanym wąską, dygoczącą ręką.

Zwiedzam Kijów podrasowany, w reklamach, nowoczesnych wozach, McDonaldsach już od kiedy to bez kolejek. Cudzoziemszczyzna, przed którą plackiem legły wszystkie kraje ze skażonej strefy, runęła i na Kijów.

„Kwintesencją kultury zachodniej jest Magna Charta, a nie: Magna Mac“ - ironizuje Huntington. Ale i modernizacja nie równa się „uzachodnieniu“, gdyż „picie cocacoli nie powoduje, że Rosjanin zaczyna myśleć jak Amerykanin, a i jedzenie sushi nie upodabnia amerykańskiego myślenia do japońskiego“.

Łatwo powiedzieć w kraju, w którym mało kogo stać na cocacolę, nie mówiąc o sushi.

Ubrany z przemyślaną niedbałością (dobre dżinsy, prawie prawdziwe adidas, nawet zabawna koszulka z reklamą klubu nie wyda Słowianina. Pół młodej Europy tak się nosi) dwudziestoczteroletni Stepan Jurko opowiada o swoich rzekomych bajecznych zarobkach w zachodniej fundacji, angażującej studentów do sondażu społecznych. Stepan upiera się, że dostaje pięć tysięcy dolarów miesięcznie. Bzdura. Chłopak szpanuje. Od razu przypomina mi się kawał o polskim człowieku interesu, który w bardzo kosztownej (nie mylić z elegancką)

restauracji zamawia ślimaki, golonkę i Napoleona. Przysuwa do ucha popiskujący telefon komórkowy: No słucham. To ty, Jadźka? A skąd wiedziałaś, gdzie jestem?

Polski dowcip. Wymyśliliśmy go pierwsi, ponieważ na nas w pierwszej kolejności spadła inwazja komórkowców i większą kupą dorwaliśmy się do bezprzewodowej gadki. Młodzi Ukraińcy na razie noszą się na bizneschłopa rzadziej, bo za cięższe pieniądze. Ale już i po Kijowie śmigają nie tyle te najdroższe, ile droższe wozy, a czamobiała męska elegancja poparta dyplomatką przykutą do nadgarstka ujednocila mocnych tego świata, upodabniając goryla do podopiecznego, komplikując rozróżnienie między policjantem a złodziejem.

Z Bystryckym idziemy do Niezależnej Agencji Informacyjnej. Już wiem, że przez pierwsze dwa niepodległe lata na Ukrainie nieomal dwukrotnie wzrosła popularność gazet regionalnych i lokalnych, uderzająco - z przeszło czterdziestu na pięć procent ukazujących się tytułów - spadła poczytność rosyjskich, wydawanych w Moskwie. Tytuły, eksponujące zagadnienia państwowości i niepodległości, głównie gazety o zabarwieniu nacjonalistycznym, czytane na zachodniej Ukrainie - i na Krymie. Spadła liczba tytułów centralnych, co nie oznacza, że mówimy już o prasie niezależnej. Cytuję za autorami zbiorowego opracowania Ukraińskie mass media a swoboda informacji. Faktycznie niezależne gazety oraz magazyny, periodyki, redagowane przez związki zawodowe, wydawnictwa, stowarzyszenia dziennikarzy i pisarzy są bardzo nieliczne. Stanowią jakieś siedem procent i trzy promile gazet i tylko cztery procent periodyków“. Zabrzmiało znajomo.

Nie zapowiedzieliśmy się, a już popołudnie, w Niezależnej pusto. Przyjmuje nas woźny, którego bez wahań wzięliśmy za redaktora, a on wiele robił, by nas nie wyprowadzać z błędu. Po woźnym - młodzianka i ładna dziennikarka zaniepokojona wizytą. Wyczuła, że niekiedy wolę woźnych, więc nie rozmawia nam się gładko. Do kogo należy agencja, jak przeczytałam, niezależna? Ona: do spółki... Ja: do jakiej? Ona: nie odpowiem, bo to tajemnica. Ja: która nie przeszkadza wierzyć w niezależność firmy? Ona, protekcyjnie: a widziała pani gdziekolwiek w świecie niezależną prasę?

Smarkuła wyjdzie na swoje w życiu, bez wątpienia.

Odrzucam, że widziałam. Miesięcznik. Polski, ale redagowany we Francji. Nazywa się „KULTURA“.

W odpowiedzi wzruszenie ramion. Ma znaczyć: nie wiem, zresztą co mnie to obchodzi.

Zdenerwowana, bo powie coś nie tak i dostanie po uchu od nie ujawnionego pracodawcy. Boi się. Ma czego bronić. Posada na wagę złota, pewniejszego niż anonsowane na murach śródmieścia. Ukraińcy dzisiaj prawie nie zmieniają posad, jeśli już jakaś jest. Jakakolwiek. Zadowolenie z pracy, to osobna kwestia. Jeżeli za dobrze prosperujących uznało się 0,3 procent...

Podglądam Kijów wezbrany handlem. Biednym.

Kramy, stragany, tak obrzydliwie zwane szczęki, to jest to, w co porasta kapitalizm świeżo urodzony. Kramikarstwo rozkołysane między nędzą i szmalem.

Na ulicy - zaczynając od zagraconego towarem Chreszczatyku - można kupić cukier, majtki, grzechotkę, nasz proszek do prania i nasz groszek z Kwidzyna. Są i lektury. Śladu golizny.

Pornografia polityki, a nie seksu. Na ładach stopy wynurzeń, wspomnień, zmyśleń, obwołut z Trockim, Bułganinem. Rozumie się Beria, Mołotow. Jest Ordżonikidze, jest Bucharin. Obok pamiętników Kaganowicza Nieczysta siła, rzecz o Rasputinie. Gdzieżby się bez niego mogło obejść.

Hossa demaskacji. Na okładkach ONI, pozornie ci sami, niezmiennie tacy sami ONI z kronik filmowych, plakatów i pomników, tymczasem jest różnica. Przyjrzyjmy się, jak porażająco łatwo umiera iluzja. Te skryte w cień kaszkietu wąskie, mongolskie szparki oczu są zwyczajnie sprytnie, tamta dziobata twarz, zaledwie uśmiechająca się spod wąsa i znad nieodłącznej fajki przestała być ojcowska, zionie zjadliwością. Już nie patrzymy na bogów, oglądamy ludzi z gruntu złych, przewrotnych i znów -obawiam się - skłamanych w nowej wersji, zdemonizowanych z taką samą pasją, a nieraz i przez tych samych żarliwców, którym zawdzięczali anielskie skrzydła za swojego carstwa.

Nieprzyjemny incydent. W trolejbusie skasowałam bilet na autobus. Cena identyczna, trzydzieści kopiejek, ale trzydzieści autobusowych kopiejek to nie to samo co trzydzieści w trolejbusie. Inne wzorki na biletach. Nie wiedziałam, zapomniano mnie uprzedzić.

Wsiada dwóch kontrolerów, jeden starszy, tęgawy, z wyglądu dobroduszny, drugi bardzo młody. Niby nic, nijaki, z tych nie do zauważenia, a jednak z punktu wiedziało się, z którym trzebaprzegrać. Nie ma wyjścia. Trzeba. Starszy nie popisuje się, robi, za co mu płacą, i na tym koniec. Młody jest przy władzy. Lodowate oczy. Ogląda mnie, bilet, znowu mnie. „Wysiadacie“. A nie mogłabym - po prostu - zapłacić i zostać? On, niegłośno: „Wysiadacie!“ W głosie noże. Trolejbus milczący, cisza jak makiem zasiał. U nas już obydwójce mielibyśmy swoje partie, ja większą - bo przeciwko władzy - ale tu nie Polska. Trolejbus nie chce się ujawnić. Ręka egzekutora już na moim łokciu. Wstaję zrezygnowana, ale starszy już się do nas przedziera z głębi wozu i bagatelizującym gestem zawraca mnie od drzwi. „Siadajcie, zostajecie“. Zlitował się nad człowiekiem czy nad cudzoziemką? Oczy młodego aż zbieleły z pasji. On się marnuje po tych trolejbusach. Sąsiadka z wyrozumiałością: „Ne pereżywajcie“. Ale to dopiero, gdy dwóch zostanie na przystanku, nie wcześniej.

Z Bystryckym i Reprincewem w kawiarni. Rozmowa o kondycji państwa, o rządzeniu. Obydwaj bardzo krytycznie oceniają prezydenta. Za mało wiem, żeby się zgadzać czy nie zgadzać, fascynuje mnie sam fakt rozmowy publicznej i bezpiecznej. Przecież ja pamiętam to miasto z czasów, kiedy własny cień mógł donieść na człowieka.

Mieszkam wygodnie, w dwu obszernych pokojach, jest telewizor, jest elektryczny czajnik i patelnia w kuchni, jest łazienka... tylko wody brakuje. Pękła rura. Gdzie pękła? A, to jeszcze nie wiadomo. Jutro się okaże.

W kompletnej ciemności, w czerni nieskalanej jednym przebłyskiem światła, domyślając się pięter, obmacując korytarz, odnajduję drzwi, za którymi słychać ludzi. Wody mi nie odstąpią, sami noszą, ale dostanę butelki po mineralnej, żebym sobie nabrała w mieszkaniu piętro niżej, tam jeszcze dochodzi. I nikt mnie nie obsobaczy, że późno, że zawracam głowę? Skądże. To normalne. A dlaczego światło się nie świeci? No, nie świeci się. Normalnie. Swoi nie pobiłdzą.

Wracam z pełnymi butelkami - piętro niżej wszyscy dawno spali, wywlekłam półprzytomnych z łóżek - ale mam się nie przejmować, to nic, mówią, to normalne.

Sympatyczni ludzie. Dobrze to kiedyś ujął sąsiad w czernihowskim autobusie: naród u nas udany, przeważnie nie pozwolą ci zginąć.

Bystryckij z Reprincewem poradzili, żebym wieczorami nie szwendała się po mieście, wobec czego włączam telewizor. Kilka niezłych audycji, na przykład miniraport o wydarzeniach w Kijowie. „Poprzedniej doby odnotowano sześć rozbojów, piętnaście wybryków chuligańskich...“ Można wytrzymać. Tylko sześć i tylko piętnaście w przeszło trzymilionowym mieście? Co prawda, nie wiem, jaka jest pojemność terminu „wybryk“. U nas bywa za duża.

W telewizorze na moim drugim piętrze zespół OY, jak również zespół Gold Cut, a na parterze w stołówce dudni czyjeś święto. Żenią się? Obchodzą imieniny? dosyć, że górą rap, a dołem czastuszki. Z sieni pod kasztany przemieszcza się krępy, bryłowaty jegomość bez efektu mocujący się z krawatem. Pierś jak taran, pięści atamańskie. Wyszedł się przewietrzyć. Stąpa sztywno, krępuje go garnitur. Strąca z siebie marynarkę, podkasuje rękawy koszuli - już dobrze. Ochłodził się, rozpogodził się, ożył. Podbiega wnuk, może sześciolatek. Chce się bawić w mężczyznę. Wielki napina mięśnie brzucha, czeka: ano bij. Moocnoo! Mniejszy doskoczył, grzmoci ile sił, bębni po żołądku, a duży ani drgnie. Smarkacz rozfuriaczony, z dwu bawi się już tylko duży. - Zaczekaj - monituje. - Raz ty mnie, a raz ja ciebie. Tak będzie sprawiedliwie.

Gadanie. Co smarkowi po sprawiedliwości, kiedy on chce wygrać. Doskakuje znienacka, kopie i ucieka. Pomyślał, wraca. Znow kopie, obtłukuje kolana przeciwnika, tak się stara, chce żeby bolało, i nic. Aż płacze z nienawiści. Ryczy na pół Podolu. Wielki wniebowzięty, tkwi pod kasztanem jak strzelnicza tarcza i raduje się, że ma sprytnego wnuka.

Wracam do telewizora. Skąd ta rewia mody, z Moskwy czy z Paryża? Choć może to i po kijowskiej scenie maszerują ślicznotki udziwnione jadowitym makijażem. „Zinkiwampiry“ - śpiewnie anonsuje sprawozdawca. Nawet trupia zieleń graffiti na czołach i policzkach nie zaszkodziła bajecznym urodom.

„Gdzie ty byłeś, kiedy zaważyła się łaźnia Isakowicza“ - mówią w Odessie, gdy chcą komuś powiedzieć: za młody, bratku, jesteś, żeby nas pouczać. O łaźni Isakowicza (przy Kuzniecznej, róg Preobrażenskiej) pisał Babel. Natomiast o Sandunowskich Baniach w Kijowie dowiaduję się z „Telekuriera“. Humor w „Telekurierze“ zawieszony jak ukraiński barszcz, może raczej jak ucha, zważywszy, że gazetka z programami wychodzi po rosyjsku.

Zatem: rozsiedli się, zażywają parówki, pocą się dobrzy ludzie w Sandunowskich Baniach. Sąsiad do sąsiada: „Ruryk Salomonowicz, albo niech pan zdejmie krzyżyk z szyi, albo niech pan wciągnie gacie“.

Żarciki dobroduszne, i nie tylko. W niektórych pobrzmiwa stara nutka. Spotykają się Żydówki: - Sara, wiesz co, wzięłam sobie kotka. - Co ty powiesz. A jak się nazywa? - Izio. - No coś podobnego, ludzkie imię dla kota... Trzeba go było nazwać Wąska.

Nazajutrz Reprincew, filozof z poczuciem humoru, uspokaja mnie, okiem nie mrugnawszy, że skoro już nie ma antysemityzmu - to znowu wolno pożartować.

Tymczasem zabawa już się wyniosła ze stołówki pod kasztany i tu słabnie. Rozebrało tancerzy powietrze. „Chody do chaty, chody do chaty“ - wabią damy. Panowie powracają z

cienia, niespiesznie, statecznie dopinając spodnie. A w telewizorze -teraz w amerykańskim filmie - już komuś przestrelili krtań, więc znowu zmieniam kanał. Słaba różnica, i tu ktoś suto zakrwawiony jęczy: „Ja ne chcuzu wmyraty“, czym zniecierpliwiał partnerkę. „O Boże, Fransła! [miało być Francois - AS]. Pokazy, szczo ty mužczyna...“ Łatwo żądać.

Pod kasztanami cicho, słychać tylko nieodległy szmer miasta i wizg rozszalałych wozów, przelatujących przez dawny plac Czerwony. Panie jednak zagoniły panów do trepaka w stołówce, bo na parterze znowu łomot butów. Pracowite odbębnianie czeczotki. Piski. Szczodry śmiech. I w telewizorze już po domowemu. „Bułeczko ty moja, ja daw tobi imia i proszu, ne serdysia myła na mienia“. Śpiewak miesza ukraiński z rosyjskim. Tutaj to nagminne. Usypia mnie żwawe jak konik w lunaparku disco polo.

Rano walenie w drzwi. - Tu sąsiad z numeru 3... Ja zaspana, on stanowczy. „Dawajcie telewizor“. Od razu przytomnieję. „Telewidenije? Warn?... A poczemu?“ „A potomu“ - odrzuca twardo. O, nie. Mowy nie ma. Bo kto później będzie płacił za ten telewizor? Może redaktor Giedroyc? Ogłaszam twardo: „Nie dam“. Zza drzwi, surowo, choć już mniej inwazyjnie: „Przyjdzie Filipowna...“ Ale nie przychodzi.

W portierni zagaduję rozłożystą dyżurną: - Wy Filipowna?

- No, ja.

- Co z tym telewizorem?

- Z jakim telewizorem? Ja nic nie wiem.

W Mohylańskiej mamy instytucję na wzór konsjerżki. Sroga baba czatuje na wchodzących, wpuszcza według uznania, co nie przeszkadza, że na tak pilnie strzeżone terytorium ciężarówką można wjechać przez nie ogrodzony placik visavis strażnicy. Konsekwencją z czasów majoliki pod propozycją: „uczyć się... uczyć się... uczyć...“ Spotkany rankiem (także szedł na krótsze) zmiennik baby bardzo serdecznie pociesza, że woda będzie. „Pracują“ - mówi wesoło. Aha. Dobrze. To kiedy będzie woda? „Jest awaria“. Tak, normalnie, ale kiedy naprawią? Klepie mnie po łopacie. „Starają się“. Kwestia jak do zakładowej gazetki. Odchodzi uśmiechnięty, a mógł obsobaczyć.

W uniwersytecie osobno płaci się za plastikową torbę (w wielu sklepach i płacenie nie pomoże. Brak opakowań, podobno). Bezpłatnie tylko „Kyiv Post“, wydawany po angielsku, dwudziestoczterostronicowy tygodnik z wiadomościami ze świata i z Kijowa. W rubryce „168 godzin“ trzy kategorie restauracji. Kosztowne. Umiarkowane w cenach. Tanie. Akurat w to wierzyć nie radzę. „Bonbon“, „Boston Burger“, „Maxim“, „Papa Carlo“, „Chateau de Fleur“, „Exquisite“, „Karambol“, „Chicot“, „Pantagruel“, „Red Fort“, „Taifun“... Z klubów: „Max Power“... „Hollywood“... „Night Mask“... „Las Vegas“... A chociażby „Peczerska Tawema“, „Obołon“ (od dzielnicy), „Uzwis“, „Czortowa Dłużyna“...

Stołówka przy Mohylańskiej zamknięta (odsypiają przyjęcie?), więc w poszukiwaniu czegoś bardziej na moją kieszeń niż lokale, co to „do ostatniego gościa...“ chytrenkie „Maximy“ i „Bonbony“, idę w stronę metra.

Za placem Kontraktowym Podół spada w rozlewisko ciężkich, dużych, czynszowych magistrali, w dziewiętnastowieczną wielopiętrowość dla półbiednych. Dalej jest już - przed

blokowiskami - Kijów peryferii, przasný, po wczorajszemu podmiejski, rozklekotany tramwajami, niski, mało zmienny. Prowincja podolska, małe skwery z nieruchawą publicznością, baby w aksamitnych kaftanach, kaloszach, zawitkach. W tle partery i domowość, szyk klecony z gipsów, fajansów i doniczek w oknach, i krzesłek wynoszonych przed bramy na ciepłe godziny. Ciepło nie ciepło, o zmroku jednak wołałabym wracać na Lipki czy Chreszczatyk. Już przy samej Mohylańskiej okolica trochę niewyraźna, przytulisko głośnych jak dyskoteki kawiarenek i niewyraźnych barków. Trochę desek, papy, tu światelko, tam ekspres do kawy, i gotowy lokal, w którym świeży jest na pewno szyld, a co do reszty - zobaczymy. Buda przy budzie, nie wybieram, wszystkie wnętrza ciemnawe, w każdym po kilku smagłych dżentelmenów w nie za świeżych garniturach szeptem ubija interesy. Nadmiar konspiracji przy ryczącym radiu. No, mogą mieć powody. Kelnerki (po co aż trzy do czterech stolików?) przekrzykujące się z amerykańskim rapem, zajęte. Lakierują paznokcie. Przyglądam się, jak mój kurczak... za dużopowiedziane. Mój ułamek kurczaka stygnie na barku, już dawno wystawiony z kuchni. Kelnerkom nie przeszkadza. Żadna się nie ruszy.

Cóż robić. Słucham rapu i czekam. Któraś wreszcie obeschła, bo przynosi papierową tackę - ostrożnie niesie, w rozstawionych palcach, żeby nie zepsuć roboty. Nawet grzeczna, towarzyska, bez poczucia winy. Po wymianie kilku niezobowiązujących, zdawałoby się, uprzejmości, wraca i dokłada bibułkową serwetkę. Niedobrze. Wyglądam na dolary?

Za strzęp kurczaka, frytki i sałatkę z pomidorów - trzynaście hrywien. O połowę drożej niż w Polsce, która też jest droga, dla Polaków.

Pod barakiem pies. Już wiem, że za mną pójdzie. Już mnie raz odprowadzał. Spod stacji metra, przez skwer, aż do kasztanów na białym dziedzińcu. W pewnej odległości, bez zaufania, jednak szedł. Młody kundel. Żebra rozpychające skórę. Choć trochę sierści jeszcze na sobie miał, i tak dokładnie widać było jego szkielet. Niejednemu psu patrzyłam w oczy, ale w tych było coś bardzo szczególnego. Pomyślałam, że natychmiast przywiązałyby się do swojego człowieka, tylko już nie umiałyby dowierzać.

Szliśmy tak, ja udająca, że go nie ma, on nienatarczywy.

Młody pies. Gdyby go odkarmić i podleczyć, byłby ślicznym kundlem, jelonkowatym z kształtu i koloru. Nawet oczy miał płowe.

Ktoś napisał o mnie z dobrą intencją, chociaż nieostrożnie, że wolę zwierzęta od ludzi. To nie całkiem prawda, ja tylko jestem po stronie tych, którym trudniej się bronić.

Dominujące wrażenie z ulic Lwowa - chłopski tłum - w Kijowie już się nie powtarza. Może mam rację, a może - po prostu - w Kijowie łatwiej mi o obiektywizm?

Każda warstwa społeczna ma swoją specyfikę, tyle że w starych i biologicznie niezachwianych mieszczańskich kulturach jest ona mniej rozpoznawalna. Ludzi zrównuje nie tylko ubiór.

Ucywilizowanie koryguje twarz. Moje pierwsze wrażenie po przyjeździe na Zachód: mniej prostackich twarzy. Odwrotnie niż w krajach, w których - nie wyłączając Polski - biologicznie wyeliminowano inteligencję. Potrwa, zanim to się zmieni.

Na placu Niepodległości, przy fontannach przedobrzonych jak kijowskie torty, babina zakutana w chusty - j ij już i w upał zimno - tkwi nad kobiałką. Przydźwigła może z dziesięć ziemniaków, ze dwie główki cebuli, cztery pomidory. Czeka, apatycznie przygląda się przechodniom. To nie tak, że właśnie kończy sprzedaż, ona jej nawet nie zaczęła. Z Bystryckym wypyujemy, co po czemu. Starowinka objaśnia, ja notuję. Cytryny - trzy i pół, winogrona - pięć i pół, pomidory - półtora - szemrze babcia. Zorientowała się, oznajmia przytakując sobie ruchem głowy: „To wy nic nie kupicie“. Zauważone bez pretensji i bez zaskoczenia. Mało co ją zdziwi.

Płoszcza jak całe śródmieście w barykadach skrzynek, pudeł, paczek, worków. Na tle tych nadmiernych, rozrzutnych wodotrysków - gadżetów z sowieckiej szkoły dekoracji, zabawnostka. Świat opowiedziany w kilometrach na przykładzie kilkudziesięciu stolic. Nazwy przykute do stożkowatej bryły. Nie pożałowano spizu. Smukły i smutnawy archanioł Michał patronuje odległościom z Kijowa do Kiszyniowa (399 km), Kinszasy (6281), Kabulu (3572), nawet Watykanu (1674). Waszyngton bardzo daleki, 17 600 kilometrów, Moskwa tuż tuż (771).

Kilku starszawych panów, obchodząc spis pod sandałami archanioła, wypatruje miast, w których kiedyś służyli. Jeden szuka Buchary, drugi rozgląda się za Archangielskiem. Panowie, z pogaduszek sądząc, nie są wrodzy czasom, w których było się oficerem w jednej szóstej świata, na dwóch kontynentach, a tylko w jednym państwie.

Ten motyw, z inną trochę pointą, wróci w rozmowie z żoną emerytowanego pułkownika. Nie wyjeżdżając z państwa, Sonikowie też przeprowadzali się z Europy do Azji, zmieniali adresy, a to na obrzeże Kręgu Polarnego, a to na brzeg Pacyfiku... Cóż, duża była ojczyzna.

Za granicę po raz pierwszy w życiu pułkownikowa wyjechała zupełnie niedawno - mąż mógł otrzymać paszport dopiero w pięć lat po odejściu z czynnej służby. Wybrali się do Polski, gdzie mają groby bliskich, aż trzy: brata, szwagra i teścia, sowieckich żołnierzy. Brat poległ pod Sandomierzem i tę mogiłkę udało się odnaleźć.

Obydwoje z mężem są Rosjanami, ale nie chcieliby porzucać Ukrainy. W Mariupolu ludzie nie skaczą sobie do oczu z racji niepodległości, i Grecy tu spokojnie żyją, i Bułgarzy...

A Mariupol - podług niej - jest ładny? Tak, mówi zdziwiona. Chyba tak. Zaskoczyłam ją. Nad tym się nie zastanawiała.

Żona pułkownika, matka majora, któremu nie najlepiej się powodzi, już nie dostaje pensji wystarczającej, by żyć jak przystało oficerowi. „Dostojne oficeru“ - powtarza Lubow.

W tym sformułowaniu także jest nostalgia. Chociaż pułkownikostwo ze swoich oszczędności sprawili mu mieszkanie i na pewno zadbają o duży telewizor, pralkę i meble na wysoki połysk, nie mają złudzeń, że dzisiejszy major osiągnie pozycję wczorajszego.

„Nie chcemy, aby Ukraina pozostawała potęgą nuklearną. Chcemy możliwie jak najszybszej eliminacji głowic nuklearnych, a nie - ich akumulacji“ (prezydent Leonid Krawczuk w lipcu 1993).

„Prędzej oddalibyśmy dziesięciu naszych prezydentów niż jedną bombę atomową!“ (Stepan Chmara, lider Ukraińskiej Republikańskiej Konserwatywnej Partii w październiku 1993).

Przeważała racja ówczesnego prezydenta, ale zdania pozostały podzielone. Jak pisał Dmytro Wydryn, zagranicznych -ale tylko zagranicznych - korespondentów zaskoczyło, że w maju 1993 pod budynkiem Werchownej Rady Ukrainy demonstrował tłum domagający się pozostawienia „raketek“. Zaledwie kilka lat wcześniej w tym samym miejscu tłum żądał usunięcia z Ukrainy broni atomowej, jakakolwiek by była. Spór, zdawałoby się nie najistotniejszy dla szarych obywateli, zbulwersował opinię. Znamienne, że podział zdań - i jaki! - wystąpił nawet w wojsku. Jak wykazał wiarygodny sondaż socjologiczny w 1992, aż sześćdziesiąt procent oficerów uważało, że ukraińska armia powinna obyć się bez broni atomowej. Gdy w rok później zasięgnięto opinii cywilów, broń nuklearna miała wśród nich prawie o dziesięć procent mniej oponentów niż w armii. Kwestia słabszej orientacji w skutkach takiej unowocześnionej wojaczki? Może.

Badania były ponawiane. Z biegiem czasu, pod naporem zdarzeń (zaostrzył się spór o Krym, o Donbas), w powietrzu zawisło pytanie: co będzie z Ukrainą, jeśli w Moskwie dojdą do głosu siły zdecydowanie proimperialne? Na Ukrainie strach przed Rosją wcale nie wyklucza lęku przed Ameryką. W Kijowie sporo ludzi ma świadomość, której zdaje się brakować u nas, że tym w pierwszym rządzie liczącym się partnerem dla Stanów jest i pozostanie Rosja.

Różnie tłumaczyło się przed samymi sobą nuklearne rozbrojenie Ukrainy. Głównie - jak pisał Dmytro Wydryn - „potrzebą liczenia każdej kopiejki, każdego dolara... A przecież potrzebna suma [...] jest większa niż tych 175 milionów dolarów zaofiarowanych przez Stany Zjednoczone“. Nie znaleziono ekspertów, którzy byliby w stanie określić, ile właściwie musi kosztować rozbrojenie. Wymieniano różne kwoty, i to podług jak najbardziej oficjalnych źródeł. Raz mówiło się o niespełna trzech miliardach dolarów, potem o sześciu, ośmiu...

Wytoczyło swoje armatki Ministerstwo Ochrony Środowiska, zachęczone faktem, że jak obliczono (czyli jednak dało się obliczyć?), program nuklearny już na wstępie kosztowałby ponad czterdzieści miliardów dolarów, a to doprawdy wysiłek nie na budżet Ukrainy. Z uzbrojeniem nuklearnym łączą się kwestie infrastruktury i ekologicznych zabezpieczeń. Niemniej - zwolennicy utrzymania „raketek“ przypominają, że nawet Górna Wolta z rakietami może odgrywać w świecie większą rolę niż dobrze rozwinięty kraj nie uzbrojony nuklearnie. Więc problem i w odczuciach społeczeństwa. Ukraińcy nie mają złudzeń, że eliminując ich z nuklearnej ligi, Amerykanie zrobili dużą grzeczność Rosji.

Czy Ukraina posiada elitę militarną? Interesujące odpowiedzi przyniósł sondaż. Wolna Ukraina odziedziczyła po sowieckiej dużą, a nawet bardzo dużą armię i wszystkie związane z tym problemy, które gwałtownie zaostrzyły się w państwie drastycznie zubożałym. Dawniej prymat armii był odczuwalny w najmniej spodziewanych dziedzinach. Co wspólnego z wojskiem mają maszyny rolnicze? A jednak! Traktorykolosy produkowano z myślą o transporcie - w razie czego - armat. Rakiet. Model całego społeczeństwa, zaczynając od wychowania dzieci w szkołach, nawet w przedszkolach, był mniej czy bardziej podporządkowany wojskowości. Mundur cieszył się prestiżem, ambicje szły w gładkiej parze z finansami. Stąd duża skuteczność armii jako sposobu „na rusyfikowanie młodszych braci“. Notabene, prawie nie spotykało się oficerów Azjatów. Ukraińców - owszem. Oni mogli się wspinać, chociaż z większym wysiłkiem niż Rosjanie.

Dzisiaj już cicho o elitarności, czasy prestiżu armii odpłynęły w przeszłość. Żołnierze chodzą głodni, biedują i oficerowie. Raptownie wzrasta w wojsku przestępczość. Co dziesiąte naruszenie prawa łączy się z naruszeniem własności państwowej. Czy tylko - cytuję za

autorami analizy - „dramatyczne załamanie się warunków bytu i standardów“ spowodowało ten stan rzeczy? Chyba przyczyn jest więcej. Po uzyskaniu niepodległości zdarzało się, że awansowano, i to wysoko awansowano, ludzi bez podstawowej wiedzy i doświadczeń w służbie. Skąd my to znamy...

Motywacje wyboru kijowskich szkół wojskowych przez kadetów, dzisiaj? Chęć otrzymania dobrego wykształcenia bez oficjalnych opłat oraz bez łapówek... Co dalej? Według oficjalnych źródeł, cztery piąte kadetów szykuje się do służby poza krajem lub nie miałyby oporów przed wojaczką w charakterze najemników gdzieś w świecie. Większość sądzi, że współczesnej Ukrainie nie zagraża żadna siła zewnętrzna i tym samym kwestionuje *raison d'être* armii, jak twierdzą eksperci. Dziewięćdziesiąt procent przebadanych bez pretensji utożsamia prewencyjne funkcje wojska z policyjnymi. Na eksowieterytoriach armia prawdopodobnie jeszcze długo będzie postrzegana jako asekuracja nie tylko przed wojnami. A to nie jest zachodnie myślenie... Jednak są większe osobliwości. Czytelnika skłonnego po staremu identyfikować wojsko - każde wojsko - z bezdyskusyjną, twardą dyscypliną, w osłupienie wprawia wiadomość, że zaledwie trzydzieści procent tej potencjalnej elity militarnej wyraziło gotowość podporządkowania się rozkazom przełożonych na wypadek jakiegś destabilizacji układów politycznych w kraju. Gdy do tego dojdzie, siedemdziesiąt procent będzie się kierowało „własnymi preferencjami moralnymi“, przy czym pięć procent czuje się na siłach do jawnego nieposłuszeństwa, czyli do odmowy wykonania rozkazów, które kolidowałyby z ich zasadami.

Szokujące, prawda? Nie spiesząc się z konkluzją, obserwatorzy (opieram się na tekście z „Politycznej Dumki“) proponują, by poprzedzić ją pytaniem: czy na Ukrainie istnieje jakakolwiek wojskowa tradycja? Czy - na przykład - chłopska armia Machny albo i luźne oddziały Armii Czerwonej w latach dwudziestych mogą być traktowane jako wojsko, i to wojsko ukraińskie? A tak naprawdę, to kiedy Ukraina włączyła się do II wojny światowej? 17 września 1939, czy 22 czerwca 1941? Czytam: „Niektórzy nawet sugerują marzec 1939 roku, kiedy to Węgry admirała Horthy'ego zaatakowały Ukrainę Zakarpacką“... Gruba przesada, ale rozumiała w sytuacji, kiedy - znów cytuję - „nie ma [...] odpowiedzi w następującej kwestii: po czyjej stronie Ukraina uczestniczyła w II wojnie światowej? Podchodząc z pozycji niektórych skrajnie prawicowych publikacji, możemy nawet dojść do przekonania, że Ukraina walczyła po stronie Niemiec...“ Otóż to.

Podglądam Kijów piętorny i nowobogacki, wynędzniały, ale ironiczny, jak na Andrijskim Spusku, prześlicznej ulicy, postarannym (przynajmniej na oko starannym) liftingu, zbiegającej od Starej Zytomierskiej na Podół. Jest tu tak stromo, że schodząc ze Spusku, po narciarsku przygina się kolana. Zjazd trwa, bo Spusk długi i jest na co patrzeć. Chodniki w towarach jak w jaskrawych grządkach. Tu sprzedaje się matroszki i paciorki, drzewka szczęścia, słomkowe kapelusze, naszyjniki z agatów i bursztyny w srebrze, ręczniki haftowane fabryczną maszyną, lniane soroczki po cenach z butików. Na Andrijskim Kijów podeuropeizowany, w umizgach do świata, w chichach śmichach z przeszłości. Ulica ma nos do interesu, momentalnie zwęszy nowy zysk, zahandluje z wyobraźnią. Z tupetem. Młody człowiek sprzedający nowiusienką, dopiero co uszytą budionówkę, cedzi bez zmużenia oka: sto czterdzieści pięć dolarów. Nie przesłyszałam się. Dolarów! Przecież to i w hrywnach byłaby absurdalna cena. A cwaniaczek z pogardą dla mego niedouctwa: to jest czapka sławna. Historyczna.

Nawet się łobuz nie uśmiechnie.

Trwa wyprzedaż sowieckiego siedemdziesięcioletnia: do wyboru albumy, portrety, ordery, transparenty. Wszystko to byle jak, na murku, na bruku, przemieszane z ciuchami, z całkiem niezłą biżuterią. Zapatrzona w jakiś znakomicie półszlachetny kamień w srebrze, potknęłam się o Lenina. Na moje szczęście - przetrzymał. Nieoszlifowanego sprzedawali.

Przeprowadza mnie specyficzny, omalże dobrotliwy, do wyrozumiałości sarkastyczny półśmiech i wąskie, a do tego jeszcze zmrużone, rozumne, wyraźnie kpiące oko wodza. Siedem dziesięcioleci monarchii absolutnej, adoracji bez zahamowania, ścielili mu się pod nogi, a teraz go zdeptają. Bywa.

Na Andrijskim bryluje młody tętniak w ciasnym podkoszulku i spodniach jeszcze spod sowieckiej igły, tak otchłannie szerokich, że trzymają się na właścicielu tylko z zasługi żołnierskiego pasa. Człowiek interesu wymachuje drugim, gatunkowo lepszym, z troskliwie wypucowaną inskrypcją „Gott mit uns“ na mosiężnej klamrze. Do kupienia sporo wojennych pamiątek, mapy, dystynkcje, medale i baretki. Zauważyłam nawet książeczkę orderową. Po nieboszczyku? Po żywym? Różnie to może być, gdy na emeryturę czeka się przez dziesięć miesięcy, i dłużej.

Na Andrijskim do wytargowania nieomal wszystkie kiedyś wysokie, bardzo wysokie odznaczenia. Ktoś się zawstydził czy kogoś zmógł głód? Nie wiem, jak daleko zaszła w Kijowie sztuka fałszyfikatu, ale bez obaw, tego uczymy się w try miga, jak mawiano we Lwowie. Na razie chyba starczy autentycznych blaszek. Ciekawostka, które idą: te z Wielkiej Ojczyźnianej czy z afgańskiej? W Moskwie pewnie już się da zarobić na czeczeńskiej.

Polaków tu nie widać. Niemcy, Amerykanie - chyba głównie Niemcy - przymierzają szpiczaste czapki, cienie po konarmii i ostrożnie obchodzą purpurowy, złoto wyszywany na mięsistej tkaninie transparent: „Pod sztandarami marksizmulenizmu, pod wodzą Partii naprzód do zwycięstwa, ku komunizmowi!“ To nasza historia, osadziłby mnie Igor. Wniosek bardzo skorespondowany z gogolowskim: „Z kogo się śmiejecie? Z siebie się śmiejecie“.

Dziwaczna scenka na Andrijskim. Chłopak od budionówek ni stąd, ni zowąd podrywa się, wali pięściami w mur. Z daleka wygląda to na rozprawę z czymś żywym. Znajomy skurcz w sercu: co on tam ma? Katuje szczura? Kota? Boję się widoku, ale podchodzę. Cóż za ulga: pusto. Nic nie cierpi. Goły mur, pod którym chłopak miota się, wygina, pracuje jak na ringu. Wspaniale umięśniony. Roznosi go siła. Tacy nie są do niemrawego handlu. Marnuje się biedaczek. Potulna bezczynność nad chłamek z rzadka tkniętym rozgrymaszoną ręką cudzoziemca, to przerasta mołojca z Podolu czy Pietrowki.

Kapitalistyczna Ukraina, kapitalistyczna Polska: żaden tam strumień kultury, chlusty cywilizacji. „Concord“ albo „Tenerife“ serwują kuchnię europejską. „Studio“ - międzynarodową. „Hostynny Dwir“ - słowiańską. „Kniazij Hrad“ - ukraińską. „Złota Rybka“ - włoską. „Vienna“ - „autentyczną austriacką“. „Zaporoska“ - francuską. „Cantina Baza“ - teksaskomeksykańską. „Haifa Restaurant“ - żydowską. „Kitajski Smak“ - też w zgodzie z szyldem, karmi po chińsku. Tak jak „Golden Dragon“. Ciekawe, że spośród tych najlepszych, a i tych tylko dobrych restauracji, zaledwie jedna proponuje znakomitą przecież kuchnię rosyjską, a żadna - równie dobrej ukraińskiej. Z innych do wyboru kaukaska. Środkowoazjatycka. Hinduska. Arabska. Amerykańska. Bawarska. Grecka. A w „szczękach“ albo z łóżek polowych rozstawionych na chodniku czy z płachty na murku garść bobu, garnuszek fasoli, ulegalki dla tych, którzy nie stołują się w „Butterfly Cafe“, „Sławucie“, w „Alcatrazie“.

W stolicy zawsze drożej, więc w Kijowie za kilogram ryb, które we Lwowie kosztowałyby ze sześć hrywien, płaci się siedem i pół. Za chleb - w okolicach hrywny, i więcej. Za paczkę angielskiej (ale nienajlepszej) herbaty - cztery osiemdziesiąt. Za puszkę neski - nawet dziewięć. W przeliczeniu na dolary - znośnie, ale przy ich dochodach - piekło.

Hrywna: dawnych dziesięć tysięcy karbowanów. W lipcu 1997 za dolara dostawało się jedną hrywnę osiemdziesiąt dwie kopiejki. Chmielowa ma sto hrywien pensji, czyli równowartość dwudziestu pięciu, no, niech będzie, że trzydziestu rubli z czasów, kiedy zarabiała sto pięćdziesiąt. W sklepach nie bywa. Na bazarach też nie. Za drogie. „Ja kupuję tanio i w galopie“. Uliczny sprzedawca biegnie, bo się boi milicji, i ona biegnie, bo się spieszy. Do pracy. Do domu.

Nie trzeba, jak to niegdyś z lubością pokazywano w filmach o złym kapitalizmie, wystawać z nosem przyklejonym do witryny sklepu: pyszności ze „szczęk“ i płacht też nie są dla wszystkich. Ludzie patrzą, milczą, odchodzą. Chciałoby się wybrać dziecku bajkę ze sterty przyniszczonych książek - a za co? Nie mają hrywien czytelnicy, nie mają wydawnictwa. „Naukowa Dumka“ nie może dokończyć edycji dzieł wszystkich Szewczenki.

Kijów nie jest chłopski. Przechodnie prezentują się lepiej niż we Lwowie, chociaż uderzająco dobrze ubranych ludzi nie spotkałam, przy mnie nie wysiadali z samochodów.

Jeszcze w Związku Sowieckim przypadkowy sąsiad w restauracji (kelnerzy dyrygowali ruchem przy stolikach nie pytając o zgodę) zauważył, że jestem Polką. Wywiązał się dialog.

- Wy po udarenju uznali?

- Niet. Po gordosti.

Obserwuję staruszkę, ubraną w ciasne dzinsy. Jest bardzo drobna, szczuplutka, mimo to wiele trudu musiała sobie zadać, żeby wbić się w te spodnie, zdaje się dziecinne. Wnuk z nich wyrósł, to dostała od córki. W pierwszej chwili sprawia śmieszne wrażenie, ale tylko w pierwszej.

Zauważyła mój wzrok i zrozumiała, bo prostuje się, podnosi głowę. To w niej teraz jest gordost', a nie we mnie.

Wszędzie ogłoszenia. Drukowane na komputerze. Koślawione ołówkiem. Dzięki nim można kupić szczenięta po championach i zaryzykować masaż. „Zadzwoń. Czeka Lina“.

Reklamuje się biuro matrymonialne. „Katalog do wglądu. Dwieście pań, pragnących poślubić cudzoziemca...“ „We can help! We are your answer!“ - zachęcają anonsy. Można się zatrudnić, na przykład - w charakterze radcy prawnego w zagranicznym przedsiębiorstwie. Trzeba jedynie spełniać kilka prostych warunków: mieć nie mniej niż od trzech do pięciu lat praktyki w transakcjach finansowych, związanych z własnością prywatną. Przydałoby się „pewne doświadczenie nabyte w pracy za granicą“... no proszę, jakie umiarkowane wymagania. Wystarczy przecież „niechby podstawowa znajomość angielskiego“. Gdyby tylko niepodległość Ukrainy zaczęła się nie przed sześciu, a przed dziesięciu laty, kandydaci staliby w kolejce. Również: „Anglojęzyczna agencja nowości poszukuje reportera dobrze

orientującego się w sprawach ukraińskich, który pisywałby dla zagranicznych czytelników...
Przyślij życiorys, napisz co sprawiło, że masz ochotę na tę pracę...“ Co sprawiło, mój Boże!

Kijów 1997: English oniy. Anonsuje się nawet klub anonimowych alkoholików, mówiących po angielsku. Pożyteczne z pożytecznym.

Nie taki jednak z angielszczyzny balsam kapucyński, skoro w powtarzającym się anonsie poszukuje pracy sekretarki: „Ukrainka, 25 lat, wykształcenie wyższe, płynny angielski, wyborna znajomość komputera“. Za posadą rozgląda się również jej równieśnik „z doświadczeniem menedżerskim, znajomością angielskiego, niemieckiego...“Jakkolwiek patrzeć, dostępność teatru w Związku Sowieckim była imponująca. Na spektaklu pół sali pół lub całkiem darmo, za państwowe ruble. A teraz Chmielowa opowiada o przyjaciółce, której zamarzyło się obejrzenie goszczącego w Kijowie Teatru na Tagance. Za bilet od pięćdziesięciu do stu hrywien. Kobięcina zarabia czterdzieści, więc za całomiesięczną pensję mogłaby kupić wejściówkę. Mogłaby albo i nie mogła, ponieważ nie otrzymuje wypłaty w pieniądzech tylko w aptekarskich buteleczkach.

W kinach amerykańszczyzna. Nic ukraińskiego. Przykre, ale prawdziwe: swoje najlepsze filmy robili na sowieckiej Ukrainie. Cienie zapomnianych przodków Paradżanowa (Ormianina zresztą) - wtedy. Kamienny krzyż Osyki - wtedy. Obydwa dzieła o Huculszczyźnie, ale u nas znane tylko Cienie, bardzo piękna półbaśń o miłości. Feeria zachwycającego folkloru. Kamiennego krzyża nie oglądał prawie nikt w Polsce, a to jeden z lepszych filmów, jakie kiedykolwiek widziałam. Akcja również toczy się na dziewiętnastowiecznej Huculszczyźnie i już pierwsze sekwencje - widok z wysoka na górskie poletka i człowieka przy orce - zapowiada wielkie dzieło. W Kamiennym krzyżu rodzina szykuje się do emigracji za ocean. Przed wymarszem ze wsi -zabawa, wymuszona radość, której kulminacją jest szydercza, pożegnalna polka. Hałasuje się, żeby zagłuszyć strach przed jutrem. Tylko tyle. Żadnych tam wyrzutów sumienia za niedawne zabójstwo. Pokarali winnego, a to sprawiedliwe. Oni wiedzą i koniokrad wiedział, że są grzechy od praczasów karane bez pomocy sądów. Zarobił na śmierć, to dostał, co zarobił. Czemu dał się złapać? Żle uciekał. Nie był zgrabnym złodziejem. Uch, głupi! Przyśniło mu się, że do takiego złodziejstwa pasuje pierwszy lepszy obwieś, ale umrze jak trzeba, jak przystało w jego ciemnej sprawie.

Jest zwyczaj, że schwytany koniokrad powinien dobrze zjeść, zanim go zabiją. Nawet takiemu jak on - najgorszemu z najgorszych - należy się trochę pocieszenia.

Wprowadzą go do izby, posadzą za stołem, a na stole talerze, a na talerzach wszystko co najlepsze, chleb, kiełbasa, ogórki, przy dużym święcie lepiej nie ugoszczą, ale też nie o głupstwo rozchodzi się, tylko o zabicie. Może i ten człowiek w życiu tak smacznie nie jadł, kto tam jego wie, durnego koniokrada. Co możemy wiedzieć. Boso żył, boso zginie. Niech się przedtem posili.

Cicho jest. Słyszać tylko stukanie zegara. Grube mosiężne wahadło zamiata minuty. Dwu bez pośpiechu grzebie po talerzach, statecznie zuje kęsy, przepija horyłką. Przed koniokradem także stoi szklanka. Wszystko tak jak trzeba. Dwu zaprasza, więc przemógł się i je, spieszy się, coraz łapczywiej wpycha do ust mięso, placki z owsa. Poznać, że był głodny.

Nie rozmawiają. O czym tutaj mówić. W głębi izby wierci się, pochlipuje kobieta. Przynaglona do decyzji - przeczeka tu czy w polu - zaciska mocniej chustkę na schylonej

głowie i wychodzi zabierając dziecko, przeprowadzana głośnym oddechem koniokrada. Chłopczyk ogląda się na niego z zachłanną ciekawością.

Zostali w trzech. Posilają się, nie żałują wódki. Po twarzy złodzieja sływa gruby pot. Dwóch z pewnym niedowierzaniem przygląda się trzeciemu: małe to, zmizerowane. Znalazł się koniokrada! Częstoują go wódką. Zawahał się, wypił. Po drugim kieliszku już mu raźniej, chyba nabrał nadziei. Dwaj zadowoleni, bo go ugościli, piją z nim, uszanowali człowieka. Nie pójdzie na tamten świat z pustym brzuchem. Ma dobrze. Teraz wie, że zrobią to, co zaraz zrobią, nie z zemsty. Ze sprawiedliwości.

Noc. Okienko szerniało, wahadło powtarza miedziany blask naftówki. Dwu leniwie rozpiera się przy stole. Objedzeni, opici, osowiali od uroczystości, woleliby pospać, niż zabijać. A trzeba. Żli, bo im dobrze było przy wódcie, przy kielbasie, jakby nawet przywykli do swego koniokrada, i teraz kłopot. Muszą coś wymyślić, żeby się rozgniewać. To konieczne. Bez złości nie zabijesz. Zaczyna się próba. Ano wstawaj! Rusz się! Lżą go, szarpia. Ciosy słabe, bo bez przekonania. Chudzina nawet nie bardzo stara się zaslonić i tym ich rozjuszy. Już jest ich. Już sobie poradzą. Wcześniej zgaszą naftówkę, żeby się nie stłukła.

Już w Polsce obejrzę film pod okropnym tytułem Dla dobra ogniska domowego, całkiem zgrabnie zrobiony melodramat podług Iwana Franki. Wszystko jak trzeba w dzisiejszym kinie: golizna, kopulacja. Sądząc po garderobie pań i czapkach oficerów, akcja toczy się jeszcze pod zaborem austriackim, czemu zaprzecza parowóz, dymiący gęsto, ale nie na tyle, by przesłonić emblemat PKP. Co się tyczy stacji, to Lvov nawet przez jedno „v“ (tu mamy dwa) nie występował nawet za austriackich czasów, już nie mówiąc o polskich. Był Lwów, Lemberg, znowu Lwów... Nie było Lvova. Mała rzecz, a śmieszny. Kiedy im wreszcie przejdą te obolałości.

Ukraino, trudna matko

„Fiunikiulorem“, minigórską kolejką, wjeżdżam na wyżyny dzielnicy między parkiem a Żytomierską. Równolegle do kolejki dróżka, po której sprężyste kroczą młodzi i wspina się utrudzona starszyzna. Za bilet trzydzieści kopiejek, a mało kto odpoczywa w pojedynkę. „Fiunikiulor“ już nie jest na rodzinną kieszeń.

Niedzielny Kijów. Nie spieszą się ludziska. Spacerują solennie, patrzą, ziewają, bez pośpiechu dzielą się spostrzeżeniami. Skoro już tu są, skoro się zdecydowali, wykorzystają swoją godzinkędwie na ile się da, na ile pozwolą świąteczne, twarde, do końca swoich dni nie rozchodzone buty. Kijowianki szeleszczą świeżym prasowaniem, partnerzy mężnie prężą karki pod jarzmem krawatów. Mimo upału większość w marynarkach. Gorąco, niewygodnie, ale nie poradzisz. Święto. Trzeba odpoczywać.

Zostawiłam sobie ten park w lepszej pamięci. Nawet z przemyskim go porównywałam, a to u mnie niemało. Może wtedy szłam po dalszych, dzikich ścieżkach, może nie był wybetonowany?

Napór miasta. Nawet tu człowiek nie zapomni, że jest „na asfalcie“.

Jak się już jest z miasta, to się jest. Betonowe klitki, betonowy park. Nikt się nie zabłoci, ani nie zapiaszczy. Smutna wygoda.

Miękko lgną do asfaltu gumowe podeszwy, twardą czeczotkę odbębiają obcasy damskich szpilek. Cisza. Nie to, żeby jej potrzebowali, ale o czym tu mówić z żoną, z dziećmi. Komu znów tak gładko się rozmawia z najbliższymi.

Spacerują cierpliwie. - Aby do wieczora - mówi któryś, i ziewa, przeciąga się w ramionach, z których wreszcie strącił marynarkę. Ulga jaka! Już i on ma święto.

Którędy ja wtedy szłam, że park wydał mi się głębszy, bardziej intensywny? Może jeszcze nie było asfaltu, choć to nie wiek parku decydował o lepszym wrażeniu, już prędzej mój. Grymasy grymasami, fakt faktem: znak szczególnie Kijowa, pomnik ułaskawiony nawet przez Sowietów, dokładniej - przez Rosjan, którzy niezmiennie przypisują się do mańruskich inicjacji w dziejach wschodniej Słowiańszczyzny, jak najgorzej wyszedł na kapitalizmie.

Na piedestale skancerowany patron Rusi. Co oni zrobili ze swoim największym? Mało było reflektora, parzącego oczy kniazia jak przy przesłuchaniu, to jeszcze do krzyża przyczepiono toporne neonówki. Przy tej niechlujnej elektryfikacji odpadło kilka szkiełek, gorzej, bo ułamał się kawałek krzyża, więc trochę krzywo przyświeca Włodzimierz kapitalizmowi.

Z bliska pomnik od zawsze jest nieładny, ciężki, chciałoby się palnąć: pruski. No, ale nie pierwsze to świadectwo, że świętości najlepiej prezentują się z daleka.

Przedobrzyli z tą iluminacją. Robota komiśna, od pobliskich drzew do Włodzimierza poprowadzono, jak sznur do suszenia bielizny przed chałupą, gruby czarny kabel, i władowano księciu w dłoń. Szanujący się gospodarz nie to, że od świętego, ale od stodoły odpędziłby takich specjalistów.

W Polsce też mamy to na każdym kroku, nie trzeba aż na Ukrainę jeździć po dowody, jak zepsuć, naprawiając, i to za ogromne pieniądze.

Wraca mi się przyjemnie, bo z górki, jednak mam mało czasu, więc decyduję się na autobus. Szukam przystanku... jest. Stoję, czekam, mija dziesięć minut, upływa dwadzieścia... Nie ma autobusu. Zagaduję ludzi: uprzejmi, więc przystają, sprawdzają na tabliczce... Przystanek, tutaj? Był, faktycznie, ale już zniesiony. Dawno? Dostyc dawno. No to dlaczego został słup z tabliczką? Na tak trudne pytanie odpowiedzi nie uzyskam. Spiesznie wskazują drogę do nowego przystanku. Kilkadziesiąt metrów stąd, zaraz za zakrętem... Podchodzę - zgadza się, kilka osób już czeka, tylko skąd wiedzą, że akurat tutaj trzeba czekać, skoro brak tabliczki? Cisza. Wymiana zdziwionych spojrzeń. Zaskoczyłam ludzi. „Przecież się wie“. No, tak. Swoi wiedzą.

Pointy do tego zdarzonka nie muszę wymyślać. Rozegrało się na placu... Europejskim, na którym zresztą trwa pomnik „zasłużonego komunisty“.

Smutek metra. Wymęczone puste twarze ludzi po jakimś dniu. W wagonie dwudziestolatek. Piękny. I wiezie bukiet, wspaniałe, ciemne róże, z którymi nie bardzo umie się obchodzić. Przekłada z ręki do ręki, krzywi się, gryzie wargę jak żrebak uzdę. Postawił się, kupił, stać go, a zły. Trzyma róże, jak kij baseballowy. No cóż, po tych ostrych, z tatarską wąskich, ogniście zielonych ślepiach sądząc, jego miła częściej będzie miała do czynienia z kijem niż z różami.

Na końcowej stacji oczekuje Piwińska, działaczka naszej Federacji. Zaprosiła do siebie mimo zaskoczenia, że nie zwiedzę Polskiego Domu, świeżo otwartego. „Pani Mario, ja w Kijowie nie chcę pisać o Polakach w Kijowie“. „No, co też pani. Wszyscy piszą“.

Idziemy przez Obołon, z którego nie widać górzystości nad Dnieprem ani białozłoty blasków soboru świętej Zofii, aniskaleczonego krzyża w kniaziewskiej garści hen nad

„fiunikiulorem“, z którego nic nie widać, poza mizerią ścian stłoczonych po horyzont. Szaro, szaro, szaro. Jedyne, co tu zatraça o kolor też zresztą rozmazany w pralkach, to sznury z suszącą się bielizną. Sądząc po gatunku i rozmiarach majtek, nie na Obołonie szukać agencji towarzyskich. Chociaż?

Bohaterów Dniepru, obrzydliwe osiedle. Monotonne, wielopiętrowe klatki dla pół miliona ludzi. Nudno, brudno, wrzaskliwie, a nocami groźnie. Maria długo pracuje. Wracając po północy, dzwoni do syna, żeby wyglądał z balkonu. W razie czego, czy zdążyłby pomóc? Oczywiście, że nie, ale tak jest różniej.

Spalnyj rejon. Pierwsze wrażenie: już dawno nie zmieniano pościeli w tej sypialni.

Przygnębiająca dzielnica. Ale to tu, w koszarowych blokach, w szarzyźnie nor dla krasnoludków, brudzie i ciasnocie wind, rujnacji schodów, odrapanych korytarzy, jednak właśnie tu, w odpychającym „spalnym rejonie“, gdzie z trudnością rozstawia się połówkę przy wersalce, spełniła się poprawa losu dla pół miliona ludzi, którzy wyszli z piekła wspólnych kuchenek i klozetów, z mieszkań ćwiartowanych na niby własne kąty szafą, tekturą, prześcieradłem. To, co dzisiaj przytłacza, wczoraj było świętem. Podglądam blokowisko. Zmierzcha się. Minęła ósma. O tej porze nasze bazyry śpią, wieczorna Polska drzemie przed telewizorami. A tutaj ruch, jak o ósmej rano. Dopiero zdecydowana noc przepędzi kupców i klientów.

Maria idzie przodem, milcząca, skoncentrowana na pomidorach i ogórkach. Ja za nią, z torebką w uścisku. Mija nas mężczyzna w znoszonej marynarce, czyściutkiej, tyle że wymiętej: poznać, że prana była wielokrotnie, zwiotczała po chimezystkach, choć coś mi się wydaje, że równie lichy wyglądała w sklepie. Właściciel młody nie jest, więc wdowiec lub człowiek oszczędny. Nie dowierza żonie, wołał przyjść sam, żeby nie przepłacić. Na razie nie wydaje. Patrzy. Porównuje ceny. W ręce ceniona tutaj plastikowa reklamówka, zresztą polska - a napiersi, trójrzędem, baretki. Tylko jedno, najważniejsze odznaczenie - Czerwona Gwiazda - kołysze się na wstążce. Maria kpiąco: - Patrzenie go, jak to się wystroił... jeszcze jeden bohater... Tak, tak, wiem, wszystko do kupienia, ale założyłabym się, że nijaki z bazaru nosi własne. I kto go wie, czy niezasłużone. - Pani Mario - powiadam - to była jego rajlejsza pora, kulminacja życia. Z tego się nie rezygnuje.

U Piwińskiej przy kuchennym stole jemy chleb z jajecznicą, ogórki, pomidory, zaklinam, że wystarczy, nic więcej nie trzeba przy czerwcowej spiekocie, zasłaniam Marię przed zbytnią rozrzutnością: koniecznie chce mnie ugościć szynką „Krakus“. Przywiozła puszkę z Polski. Tutaj to rarytas, więc nie ustępuję. Przyda się dla ważniejszych gości.

Przy herbacie opowieść o żytomierskich Polakach.

- Nazwisko domowe mamy Piwińska. Ojciec Siwko. Po obydwu stronach nie było mieszanych. Byli wszyscy Polacy. Dziadek, mamin tato, rozstrzelanym został. Miał pięć hektarów ziemi, zabrano jako wroga. W 36 rozstrzelany. Feliks. Piwiński Feliks. Teraz tak: wujek, Piwiński Ludwik. Dziesięć lat odbył i nie wie za co. Ale odbył. Na Syberii łamał las. Bo jak jego zabrano w nocy, kazano jemu podpisać, że jest wróg narodu. Jak ja mogę podpisać, kiedy ja nic nie zrobił złego tylko dobrego więcej. Piwiński, jeżeli ty na siebie nie napiszesz, to ciebie jutro rozstrzelają. Napisz, a jeszcze nie wiadomo, jak wszystko potoczy się. I napisał. Na samego siebie napisał podanie. Proszę pani, nam nieznane, jak człowiek może wszystko przeżyć, tymczasem przeżyli. I w 46 przyszedł on do domu, zaczął pracować,

do tych pór jakoś jemu zdrowie dopisuje. Osiemdziesiąt siedem lat liczący. Na Żytomierszczyźnie. Tak, proszę pani. Ale my nigdy nie zmieniliśmy swej narodowości. Piwiński, znaczy Ludwik, jasno stawał: po tych terrorach, jakie ja odbył, mogę odbyć jeszcze, ale narodowości nie zmienię nigdy, bo mam swoją godność.

Dopija herbatę. Zadumała się, strąca niewidoczny pyłek z kwiecistej wersalki.

- Co jeszcze... Mama z czternastego roku, no tak, z dziewięćset czternastego, a ich zgarniali w 1936, to już była panią. Pracowała na fabryce w Tokarówce, późniejszy Pierwomajsk, a siostra mamy w Ponince. Też miejscowość. Do Tokarówki było kilometrów cztery, a do Poninki siedem, jeżeli prosto przez las iść. Ze swej rodziny jedna mama w domu przy została się, a resztę poowieźli... Do tego dnia z Kazachstanu nikt nie wrócił. Ich dawno zasiedlali, tak, tak. Dawno bardzo, proszę pani. Nie wróca. Zaczynać wszystko po nowemu? Proszę pani! Już nie ten wiek, nie ten czas. Już zdrowie położone. Ale język pozostał. Nie zbyli się. Każdy mówi po polsku. Siostra cioteczna mamy bardzo poprawnie rozmawia;choć to tyle lat. Kazachstan! Do samej Azji od nas, z wioski Czerniejówka, dlaczego...

W sąsiednim pokoju grzecznie, nie za głośno amerykańska muzyczka, rap, znacznie bardziej interesujący nastolatka, syna gospodyni, niż sprawy z zamierchłości.

- Młodość moja... Co do wiary były naciski. Ale mama w tym była twarda. Głównie tatuś był hardej wiary. Przychodzimy w poniedziałek do szkoły... ano, Siwko, podejdz. I ty chodź, i ty. Pokaż się z szeregu! To tak w czasie raportu, ponieważ przed nauką raport na dziedzińcu był. Stało się klasami. No więc wywołują: Siwko Maria i Aniela chodzili do kościoła? Siwko Anatol, Mikołaj i Walenty też tam byli? W kościele? I zaczynał się terror nad nami... Mnie ciężko o tym drugi raz mówić, proszę pani. Starczy, że przeżyła.

W trzeciej osobie. Rusycyzm.

- Dorośli?... Proszę pani, ja poszła pracować, jak u mnie jeszcze nie było piętnaście lat. Poszła do papierowej fabryki. W pierwszym roku ja pracowała po cztery godzin, a potem już więcej. W każdym razie wszystkie pokończyli studia. Walenty i Anatol - leśnicze. Zawód mechanik. Ja - ekonomiczne, to samo Aniela. Mikołaj po instytucie budowlanym.

Przychodzi spóźniona - mimo niedzieli prosto z pracy, co robić - wiceprezeska Federacji, Niżyńska. Tej popularność niezaskoczy. „Pani zbiera życiorysy?... Nie chce mi się mówić, ile ja już się namówiłam... No to napisałam i spokój. Mam odbitki. Komu potrzeba - bierze“.

Biorę i ja. Przyjemne zaskoczenie, bo to nie autoreklama, nawet nie życiorys wiceprezeski, tylko specyficzna tutejszą polszczyzną zanotowana historia zesłańców.

„Moi przodkowie ze strony mamusi pochodzą z rodziny Dąbrowskich, którzy byli hodowcami rasowych koni... Rudniccy słynęli z największej ilości posiadanych uli, których było dwieście pni. Ze strony ojca mój dziadek Hipolit Niżyński był właścicielem tartaku... Babcia z Chmielnickich miała ziemię i lasy.

Miejscowość Kowalewice, stacja kolejowa Lipno, cztery kilometry od granicy PolskoRadzieckiej, zamieszkiwało trzysta rodzin polskich, dwie ukraińskie, cztery żydowskie, na obrzeżach mieszkali Niemcy w chutorach. Ludzie żyli bogato, dorabiali się

własną uczciwą pracą. W rodzinach pielęgnowano tradycje, przestrzegano wiarę i kształcono swoich dzieci.

Prawdziwa gehenna dla wszystkich tych ludzi zaczęła się na przełomie lat trzydziestych.

Pierwszymi, po których zaginął ślad, wywieziono właścicieli młynów, kuźni, smołami wśród nich znalazł się brat dziadka Feliks Dąbrowski, Teodor Krajewski, Mickiewicz, a tych których nie rozstrzelano po drodze, trafili do dalekiej Syberii (Irkucka, Nowosybirsk, Omska, Tomska, Krasnojarska).

Drugi etap tej drogi krzyżowej prowadził na wschód Republiki Ukraińskiej (Dniepropietrowski, Kirowogradzki, Charkowski obwody), ofiarami tych wywozek stali się średniozamożni z liczego grona naszej rodziny. Wywożono sporadycznie.

Trzeci etap drogi krzyżowej odznaczył się tym, że w 1935 roku tych pozostałych broniących się przed wstąpieniem do kołchozów wyrzucali z własnych domów, a byli to moi dziadkowie z moimi w ten czas przyszłymi rodzicami.

Dziadkowie Dąbrowscy z Lipina dorobili się w wieku trzydziestu ośmiu lat, zbudowali sobie większy dom, lecz nie zdążyli w nim zamieszkać, ponieważ był to pamiętny 1936 rok!

Uszczęśliwiając na siłę, wbrew ich własnej woli, powieźli katorżnym pociągiem... Podróż trwała ponad miesiąc, przystając na przystankach dla załatwienia potrzeb fizjologicznych, a choroby zaczęły zbierać swoje krwawe żniwo. Na końcowym przystanku w gołym stepie czekał na nich „nowy Dom» w postaci dużego wojskowego namiotu, w którym zamieszkała niezliczona ilość rodzin.

Dzieci w wieku do dziesięciu lat zmarły wszystkie, szczęście dopisało wyłącznie mojej matce Leokadii oraz stryjecznemu bratu Bronisławowi - cudem przeżyli.

Po raz trzeci w swoim życiu moi dziadkowie budują kolejny «dom», z podręcznego materiału budowlanego - gliny i samanu, który nie chronił przed deszczem.

Na nowych „lokatorów“ czekano niedługo. Byli to Rodacy z terenów ówczesnej II Rzeczypospolitej przywiezione w bydłych wagonach. Towarzyszy niedoli przygarnęli ich poprzednicy, którzy znajdowali się w nieco lepszej sytuacji. Dzielili się wszystkim, co posiadali - dachem nad głową i wyżywieniem, którego często brakowało samym. Ci kolejni - z Polski przywieźli ze sobą ojczyzną mowę i duch polski.

Dziadek opowiadał, że ten sam los spotkał również Czezeńców i Inguszy - i ich też przyjęli Polacy do swoich chałup.

Mijały dni, miesiące i lata w Kokczetawskim obwodzie, Kelerowskiego rejonu. W miejscowości Podleśne zorganizowano na nowo ten sam kołchoz, do którego gnano pałą, znowu swoi swoich, a nad nimi bolszewik nienasycony. Moja mama mając w 1942 roku dwanaście lat pracuje dla potrzeb frontu, jej ojca zabrano do Syberii rąbać drzewo. Dziadek umierając z głodu ucieka do Kazachstanu, za co schwytany trafia jako uciekinier do więzienia w Kielerówce. Mama dostarcza mu jedzenie przemierzając na piechotę wiele kilometrów. Dziadkowie znowu nie mają zamiaru iść do kołchozu, mimo swojej dwójki dzieci wychowują

i karmią dwanaścioro rodzeństwa, ponieważ ich rodziny zamordowano. Młodzież uczęszczała do szkoły rosyjskiej i to dopóki pozwalała na to pogoda - nie mieli butów i odzienia.

Mieszkając na „ziemi obiecanej“ cały czas wracali myślą i mową do stron ojczystych, do rodzinnego gniazda, w którym po nich wygodnie zadomowili się bolszewicy. W domu moich dziadków ze strony ojca Niżyńskich utworzono sztab komsomolców dwudziestopięcioletników. Rok 1935 - dziadkowie nie idą do kołchozu, za co są wyrzuceni na ulicę - wszystko odebrano, porabowano. Ojciec wtenczas ma dziewięć lat i idzie z ziemianki do swojego sadu i zrywa wiśnie, a nowa „gospodyni“, mówi na to: „Chwatyt’ tobi rwały, jdy wże zwidsy do domu“. I te słowa nigdy nie były zapomniane, były one potwierdzeniem tego, że bolszewik jest stworzony do pozbawiania domów i niweczenia ludzkich losów. Nazywano ich „komizanami“, to oni na siłę tworzyli kołchozy, organizowali próbne siewy zimą do śniegu, po czym pili i bawili się w ówczesnej polskiej szkole. Ich ideologia polegała również na barbarzyństwach, bezczeszczeniach i rabowaniu polskich grobów. Nie oszczędzano martwych. Umarłej starszej siostry ojca Róży głowa leżała na grobie z poobrywanymi złotymi kulczykami. A za tym - 1936 rok, maj miesiąc i wszystkich do Kazachstanu.

Nie mogę nie wspomnąć tu o naszych najbliższych sąsiadach w Kazachstanie - Niemcach, których dotknął ten sam co i moich rodziców los.

1941 rok, zaczęła się II wojna światowa. Młodzież Polska i Niemiecka, chłopcy prosili się na front, ponieważ tam dawano jeść. Niestety, Niemców w ogóle nie brano do wojska. Natomiast Polaków wcielono w roku 1943 do Wojska Polskiego, jako obywateli byłego ZSRR, w tym mojego ojca i stryja.

Tym czasem dorastały dzieci zesłańców w Kazachstanie niemieckie i polskie, rzecz naturalna - miłość nie wybiera narodowości. Synowie Pana Szulca zakochali się w stryjecznych siostrach mojej mamy, wtedy stary Niemiec Szulc powiedział: „Ja nie jestem przeciwko“.

Po zakończeniu wojny, w 1948 roku ojciec - żołnierz WP wraca do rodziców do Kazachstanu, żeni się z moją matką i planuje ucieczkę na Ukrainę, skąd ich wywieziono. Przy pomocy zaprzyjaźnionych Kazachów ten plan udaje się. Na nowo budują dach nad głową dziadkowie Dąbrowscy, po raz piąty w swoim życiu. Będąc na łasce losu często żalowali o swoim powrocie, ponieważ w Kazachstanie zostawili bliskich, a tu u siebie znaleźli się wśród obcych, którzy nigdy nie potrafili nie tylko ich zrozumieć, lecz wymówić prawidłowo imię mojej mamy - Leokadia.

W latach siedemdziesiątych po raz pierwszy zjechali się na zjazd rodzinny, przywożąc ze sobą swoje instrumenty muzyczne, z Syberii, Kazachstanu, Rosji, południa Ukrainy i z Polski. Niewiele rozumiałam w ten czas ja wraz z rodzeństwem, co się dzieje wokół...

Obraz dnia dzisiejszego na naszej ojcowiznie przypomina umierającą pustynię. Słynne niegdyś na tym terenie nazwiska Dąbrowskich, Kadłubowskich, Wojciechowskich, Mądrzyjewskich, Lisowskich, Kraszewskich, Bielińskich, Wyszyńskich, Krajewskich, Malickich i in. pozostały w Syberii i Kazachstanie.

Moi rodzice i dziadkowie mimo tego, że wielokrotnie zwracali się w sprawie potwierdzenia ich «specwysiedlenia» do Kazachstanu, nigdy nie otrzymali potwierdzenia ich przebywania na tamtym terenie. Odpowiedzi w załączeniu“.

Te odpowiedzi, to dwa krótkie zawiadomienia. „Archiw“ koszkietańskiej obłasti w Kazachstanie nie dysponuje żadnymi dowodami pobytu ani Antoniego Hipolitowicza, ani Leokadii Wincentownej Niżyńskiej.

Ludwika, owszem, słyszała o wielkim tancerzu, z którym dzieli nazwisko. Co do niej, to tego wieczoru nie poszłaby na tańce, akurat dzisiaj z pewnością nie byłoby siły, żeby ją przymusić. Albo coś z pogodą dzieje się, albo zdrowie siadło, gdyż odczuwa niedobry ból w sercu. Nawet wzięła lekarstwo.

Przerzucam rozmowę na Czarnobyl. Wprawdzie Ukraińcy -jeśli wierzyć sondażom - są bardziej niezadowoleni ze swego miejsca w społeczeństwie niż ze swego zdrowia, na które uskarża się jedna piąta mieszkańców, uderzając często wiążąc dolegliwości z katastrofą czarnobylską. Mają rację czy nie mają?

Jak to naprawdę wygląda? Nie było żadnych zauważalnych prób ogarnięcia sytuacji, nie przebadano ludzi nawet w nieodległym Kijowie. Sprawa na domysł, na pogłoski. Wie się, że w rejonie Czarnobyla zamieszkiwało - dokładnie - 2 412 800 osób, w tym 1 741 000 w strefie bezpośredniego zagrożenia. Przesiedlono zaledwie 26 500, niespełna 24 000 wyprowadziło się z własnej inicjatywy. Jeszcze w początkach 1995 roku 3200 osób wyrażało chęć wyjazdu. A równolegle, i to zadziwiająco wcześniej, bo już w początkach 1990 zaczynają się powroty: do 1995 naliczono 486, nie zważających na radiację.

Zagęszczam tekst liczbami, procentami, a to nuży czytelnika, jednak zależy mi na uwierzytelnieniu okresu, który prędzej czy później przejdzie do egzotyki wspomnieniowej, odwiarygodnionej zmianami, jakiegokolwiek by były. Późniejsze etykiety potrafią się mocno rozmiąć z realiami minionego czasu, zwłaszcza gdy historycy wyżej sobie cenią poglądy od realiów.

Zdaje się, że recepty dla Ludwiki, jak sprawunki Chmielowej, też są załatwiane „w biegu“, bo w przychodni nie bywa. Jak ja mało rozumiem! Maria z politowaniem: leczyć się? A kiedy? U nas żywy nie choruje. Na chorowanie człowiek ma czas, kiedy umrze, i to wszystko. Posłucham, jak z nią jest? Jak było i jest z kobietą, która w czarnej biedzie, sama, zawsze sama, pracuje, co tam:pracuje, orze, nie pracuje, chce wychować dziecko, i jeszcze musi zaopiekować się kimś przykutym do łóżka, no a federacja, sprawy polskie, przecież nic samo się nie zrobi, żeby ja tak zobaczyła, ile tu jest ludzkiej klęski... strach mówić. Polak nie ma gorzej ani Ukrainiec nie ma lepiej, wszystko jedno psiakrewstwo. Czarnobyl? Nic się nie odczuwało. Nie wiedzieliśmy. I dalej byśmy nie wiedzieli. Nic człowiek nie czuł. Gdyby nie ujawnili...

Czarnobyl! Kto mógł wiedzieć. Dopiero dzisiaj huk i krzyk, a główna panika od rodaków z kraju. Przyjedzie i za pół godziny już cały napromieniowany.

Ludwika potwierdza machinalnym znużonym gestem. Maria rozżalona, obsobacza mnie, siebie, cały świat obsobacza: bo nicnie wiemy, nic! Jak mogły ją rozboleć mięśnie, kiedy stale bolała, dlaczego akurat wtedy miała zauważyć, że z sercem kiepsko, kiedy ono psuło się i bez Czarnobyla... Zrobiliby badania ludziom, można by wnioskować. Ale nie zrobili, czy rozumiem? Nikt nie ;)ył badany w Kijowie. Nikt ze zwykłych ludzi.

Przede wszystkim mogło chodzić o wyciszenie paniki. Pewnie brane były pod uwagę kłopoty organizacyjne, koszta...

Mimo wszystko upominam Piwińską, że zlekceważony ból serca trąci szpitalem. Odrzuca z politowaniem: mamy, mamy szpitale. Przynieś skalpel, to cię zoperują.

W Rosji, we Włodzimierzu nad Kłazmą, oglądałam świetną, bardzo nowoczesną płaskorzeźbę, skomponowany z dwu bloków granitu pomnik bohaterów wojny, na którym nie ma mężczyzn, są kobiety, umęczone twarze kobiet w ruskich chustkach z awitkach. Ani młode, ani stare, zmyte z urody, śmiertelnie umordowane, pokorne, cierpliwe baby wojennych. Żołnierki, ale nie przyuczone do radości.

Jakie znużenie, jaki ciężar życia w pomniku. Tamtym z frontu wóz albo przewóz, tym z zaplecza nieszczęście. Trwożyć się, czekać, cierpieć cicho, nie ustąpić. Stara szkoła ruska. Pomnik o wleczonych w jasyr, bitych za krzyk, bitych za milczenie, zamykanych w płonących cerkwiach czy chałupach, zamykanych w łagrach. Była bieda, która się nazywała: Tatarzy, była bieda, która się nazywała: Niemcy. Stare miasto ten Włodzimierz. Czasu a czasu na nieszczęście kobiet. Przechodziły armie nad Kłazmą, okrwawiło Kłazmę dziewięćset bogatych lat historii. Ciasno przy sobie, powspirane o siebie, apatyczne w bezpieczeństwa, urodzone do krzyżowych dróg, niepokonane kobiety. Tutaj na Ukrainie patrzę na ich siostry takie stare, a stare jeszcze nie są, nawet nie zdążyły posiwieć, na ich szybki zmierzch poskładały się nieustanne aborcje, niedoleżane połogi, niedospane noce i wróg Słowianek znad Wołgi, znad Dniepru, znad Wisły: kuchnia tłustomącznokartoflana.

Tragarki, traktorzystki, przodownice pracy gdzie indziej od dawna przeciwwskazanej, wręcz zabronionej kobietom, prędzejczy później już nieodwołalnie chore trafiały do przychodni. Czy przynajmniej za to przeklinają system? Niezupełnie. Wołają pamiętać, że szpital nie kosztował.

Po raz pierwszy - dawno - jechałam do Kijowa inną drogą, przez Wołyń. Na małej stacji kobiety rozładowały pociąg. Zakutane w chustki, ciężkie, nieforemne w kufakach i walonkach, powłóczące rozchłapanymi kaloszami, przenosiły worki, spokojnie, z całą naturalnością atawizmu pokonywały robotę, do której nie kwapią się mężczyźni. Siekl deszcz, drobny, ale gęsty i tragarki szły po błocie jak po grząskim śniegu. Czemuś staliśmy tam długo, pociąg nie odjeżdżał, więc im się napatrzyłam, zgiętym w kabłąk, milczącym, o wiele za wcześniej niepodobnym do siebie ze ślubnych fotografii, z króciutkiej młodości. Do baraku wszedł mężczyzna, ale wrócił, pokrzyczał i szybko zatrzaskał drzwi przed zimmerem. Żadna nie zareagowała. W rosnącym deszczu, w tańczącym, mętnym świetle staroświeckich lamp widziałam, jak przemoczonymi rękawami ocierają twarze z wody.

Nie wiem, czemu o tym myślę, w końcu dwie z Obołonu, nie mając dobrze, najgorzej nie mają, mieszkanie - jest, telewizor - jest, pociecha z dziecka - jest, nawet praca jest, i można pobyć w Polsce, byle w przyzwyczajenie nie weszło, bo szkodzi na serce. Przydałby się w domu mężczyzna, ale co robić. Urodziłaś się, więc żyj, no to żyją, ciągną wózek ani młode, ani stare. Tutejsze. To wymaga siły.

Kiedyś w Wilnie trafiłam na ich starszą siostrę, na kolanach wspinającą się do Ostrej Bramy. Słyszałam jej oddech, gdy pokonywała schody. Dla innych widok musiał być dość pospolity, bo bez wrażenia usuwano jej się z drogi. Po chwili i ja przywykłam, już nie wydawała mi się wstrząsająca ze swoją twarzą ani ładną, ani brzydką, ani młodą, ani starą, z niepokojącymi

oczami bez wyrazu. Były jakieś długi czy nadzieje między nią a Bogiem, coś miała do załatwienia, do wytargowania po tej niemiłosiernej drodze do kaplicy.

Spocona, zmordowana, przecież szła, zbliżała się do celu. Obserwowałam ją z niechęcią i podziwem. Może nie byliśmy tak całkiem sobie obce, chociaż ja nie zażywam wiary, biore digitalis.

W Mohylańskiej niespodzianka. Aż na dziedzińcu słyhać przebijającą się przez stare mury domu dojmującą wokalizę, rozdzwonioną dzikimi sopranami. Muzyka z pogłosem cerkiewnym, z narastającą, zaraźliwą inwokacją. Ukraino, materi moja...

Zdecydowałam się wejść na próbę chóru. Tu znajomość z Jaszczenką. W auli spora publiczność przysłuchiwała się i przyglądała, jak dyryguje siwy pan z einsteinowską fryzurą, findesieclowy i w manierach ujmująco staroświecki.

Twórca muzyki i nawet słów do „Ukrainy“. Zdolny kompozytor. Rodzice z Czernihowszczyzny, on już z Kijowa. Ukrainiec, niemniej „tak jak wsi buw ruskójazycznym“. Kształcił się w konserwatorium, ale pociągała go ludowa kultura, jeździł po wsiach ze studentami, wreszcie zdecydował się na Instytut Folkloru i Etnografii kierowany przez Maksyma Rylskiego.

Zorganizował chór. Nie było zakazu, zgody też nie było. „Homin“ przetrwał trzy półlegalne lata. „My możem etym hardytsia, szczo my pierwi naczali pięt’,, I znowu ten yolapuk rosyjskougraiński. Po jakimu oni tutaj mówią? „Ne tak i ne tak“.

Prowadził próby przeważnie pod gołym niebem, czasami pod dachem: w remizach, w garażach. Początkowo chór był tolerowany, ale nie do tego stopnia, żeby go popierać. „Władza swoje wiedziała“. Jaszczenko balansował na bardzo umownej granicy pomiędzy ludowością a samopoczuciem narodowym.

„Homin“ wyciszono w czwartym roku istnienia, jako rozsadnik nacjonalizmu, a to był groźny zarzut. Jaszczenko na Solówki nie pojechał, niemniej przez kilkanaście lat wegetował, pozbawiony praw do publikacji i publicznych występów.

Ponieważ nawet ten najsprawniejszy z ospałych sowieckich mechanizmów - policja polityczna - nie mógł działać wzorowo w państwie totalnego bałaganu, praca Jaszczenki o bandurzystach oraz ich kapelach, wydana równoległe do wyroku, jednak pojawiła się w księgarniach.

Jest niepodległość i z powrotem jest „Homin“. W chórze robotnicy, młodzi i emerytowani. Kilku inżynierów, kilku urzędników. Gospodyne domowe, studentki.

Patrzę po twarzach nijakich, pospolitych. Na ulicy ci ludzie nie daliby się dostrzec. Za nijacy. A tutaj ich widać, wyładniałych, ulepszonych radością. Między frazami pieśni wielka nabożna cisza. Przejęta publiczność, skupieni śpiewacy. „Ne budę proszczannia tych ciężkich hrichiw...“ I wzmagające się recitativo: „Do sudu, do sudu, do sudu krowawych czerwonych katiw“. Jak oni to śpiewają! Na twarzach uniesienie. Obok mnie ktoś wyciera oczy. „Ukraino, materi moja...“.

Ciekawostka, ilu z nich, wybierając przyszłość, uznaloby, że miejsce Ukrainy w starym szyku. Przy Rosji.

Ukraino, materi moja... Tak zapamiętam białą, łagodną Akademię. Kasztanowy gąszcz, budynek - jakkolwiek defasonowałyby go komiśne przeróbki i remonty - zwycięsko niedzisiejszy, i przez zamknięte okna, przez grube mury, porywające, potężne wielogłosie ludzi, których nikt nie uczył śpiewu. Nie musiał. Mają muzykę we krwi. Obawiam się, że z całej Słowiańszczyzny tylko o nas nie da się tego powiedzieć.

Jaszczenko niestrudzenie dopinguje swoich. Cóż za skala głosu! Wspaniały bas lekko przechodzi w baryton, soczysty, kozacki. I śpiewak, teraz zwrócony ku żinkom, bez wysiłku poddaje ton sopranem jak od Stuligrosza.

Jak to ujmował Szewczenko? Kobzar hraje, dodaje słowami... Zaakcentowane pierwszeństwo muzyki w kulturze - z rdzenia - chłopskiej.

Do sudu, do sudu, do sudu krowawych czerwonych katiw! Chaj propade czerwona czuma... Z jaką zawziętością tego się domagają, jaka w tym pasja, siła.

Ukraino, my twoi dity... A górą ciągle Lenin.

Kolejny dzień z bajeczną podolską pogodą. Zbliża się powrót, wobec czego idę żegnać się z Kijowem. Na Luterzańkiej Kozak, srogi Zaporozec. Kozacy znowu w modzie, na własne uszy słyszałam w niemieckiej telewizji jak ich tytułowano rycerzami Słowiańszczyzny. Dobrze! Nie wpadłabym na to.

Siczowiec z ponownej Luterńskiej (przedtem, przez dłuższy czas, Engelsa) kroczy z dumnie zadartym podbródkiem. Dwa kosmate, długie sznurki fruują mu po twarzy. Z daleka wygląda to na brodę rozdwojoną wiatrem, dopiero z bliska widzę, że uchybiłam intencjom patrioty.

Żadna tam broda. Wąsy. Jakie! Większych nie widziałam nawet na rycinach upamiętniających blaski siczowej swobody. Dwa płoworude wiechcie sięgają kłępej piersi. Wszystko w tym obliczu przymałe: czółko, oczka, wszystko jakby trzeciego sortu, od marynarki po urodę, ale krok atamański, szarawary na pół chodnika, a podług oseledca buńczucznie komponującego się z wąsami reżyser Hoffman mógłby całe swoje Ogniem i mieczem przyszyć.

Noszenie się na Zaporozca: to mi przypomina naszych młodych ludzi, w stanie wojennym ustylizowanych na powstańców z 1863. Tyle że tamte cholewki i chlebaki wkładało się w zamiarze i z potrzeby ryzyka. Co to ma wspólnego z sytuacją na wolnej Ukrainie? A jednak.

S e luk (od słowa seło, wieś po ukraińsku) to taki zdawałoby się niewinny kollokwalizm. S e l u k znaczy dotkliwiej, niż wieśniak. Znaczą: prostak. „Iz seła pryjichaw“... poważna socjalna dyskwalifikacja. S e l u k a „na asfalcie“ (w mieście) demaskuje przede wszystkim język. Jeszcze jedna bieda ukraińska: półwłasny język. Dla mojej wygody ludzie z kręgu „Dumki“ rozmawiali ze mną jeśli nie po rosyjsku, to po angielsku, więc nie umiem powiedzieć, na ile ich ukraińszczyzna wolna jest od rusycyzmów - bo polonizmom do Kijowa już dzisiaj za daleko. W miarę czystym, przez Rosjan wykpiwanym jako „zapadniacki“ (zachodni) ukraińskim mówi się we Lwowie z okolicami, im bardziej na wschód, tym

wyraźniejsze zachwaszczenie języka, zbitka słów, akcentów. Na asfalcie wypada mówić po sowiecku. Czyli po rosyjsku, a nie tam - po chłopsku.

S u r ż y k, człowiek miastowy, nie uznaje gwary. Chcesz przejść na miejską wiarę, oducz się ukraińskiego. I tę specjalność domu wzięto pod szkiełko w Instytucie Socjologii. Chociaż wśród przebadanej populacji (tysiąc osiemset respondentów ze wszystkich regionów kraju, z miast i wsi) siedemdziesiąt procent stanowili Ukraińcy, a trzydzieści procent Rosjanie, to okazuje się, że mówiących przynajmniej po ukraińsku jest zaledwie o cztery procent więcej niż rosyjskojęzycznych. Druga ilościowo grupa posługuje się również w życiu prywatnym dwoma czy nawet trzema, jeśli nie czterema językami. Ta egzotyczna dla Polaków urodzonych po wojnie, czyli już w kraju - zasadniczo - bez mniejszości, sytuacja dotyczy bardzo licznych (blisko czterdzieści procent!) rodzin, mogła marginalizować ukraiński, a sprzyjać rosyjskiemu. Pisząc w „Politycznej Dumce“ o „bezkrwawej rewolucji 1991“ James Mace zwraca uwagę na rzecz wcale istotną (ale znów uchodzącą uwadze Polaków - to już mój dopisek). Nie powinno się oczekiwać troski o autonomię kulturalną mniejszości w krajach, które, jak Ukraina czy Białoruś, same mają kłopot podobny, tyle że na znacznie większą skalę. Choćby na Białorusi, według spisu z roku 1979, tylko siedemdziesiąt dwa procent ogółu mieszkańców, a osiemdziesiąt trzy i pół procenta etnicznych Białorusinów zadeklarowało białoruski jako język ojczysty.

W sytuacji ludzi przywykłych do uważania siebie za obywateli drugiej kategorii nie może dziwić odczucie niepodległości Ukrainy jako sprawy sztucznej. Podejrzenie, że to nie za prawdziwe zjawisko.

Stara taktyka, antyukraińskość. Zadatki już w XVII stuleciu, ale ostra, jawnie zamierzona rusyfikacja wschodniej i południowej Ukrainy od XIX wieku, w którym przybiera na sile imigracja z Rosji, duża, choć nie aż tak monstrualna, jak później w Związku Sowieckim. Blisko osiemdziesiąt pięć procent dzisiejszych mieszkańców miast ukraińskich - to Rosjanie, przy czym na zachodniej Ukrainie, zaczynając od Lwowa, ich obecność niekiedy przekracza dziewięćdziesiąt procent! Tylko w latach 1959-1970 populacja rosyjska w republice zwiększa się o jedną trzecią.

Grunt pod wynarodowienie przygotowano za caratu. Nauka w szkołach - tylko po rosyjsku. Legalne czasopismo - jedyne!

- to „Osnowa“ w latach 1861-1862, czyli nie za długo, ukazująca się... w Petersburgu. W języku rosyjskim. Rzeczywiście, jak się podliczy te i podobne fakty - trudno dziwić się, że na zapiekłość rosyjską i polskie niezgrabności odpowiedzią było to, co było: zajadły nacjonalizm. W 1863 rosyjski minister spraw wewnętrznych przypominał: „Żadnego odrębnego języka małosyjskiego nie ma i być nie może“. Nieco wcześniej w ówczesnych „Wiadomościach Moskiewskich“ zapewniał Michał Kałków: „Ukraina nigdy nie miała własnej historii, nigdy nie była odrębnym państwem... Nigdy nie było języka małosyjskiego i mimo wysiłków ukrajinofilów nie powstał aż do dnia dzisiejszego“. W 1863 Aleksander II aprobuje zakaz druku po ukraińsku przede wszystkim podręczników szkolnych. Wprowadza cenzurę prewencyjną. W trzynaście lat później, w 1876 zaostrzenie sankcji. Car podpisuje akt emski (od uzdrowiska Em, gdzie akurat bawił) zabraniający importu wydawnictw w języku ukraińskim, publikowania przekładów na ukraiński - nawet z rosyjskiego - i sztuk ukraińskich w teatrach. Ten ostatni zakaz przeirwał do roku 1881. Już wtedy jako „niepewnych pod względem politycznym“ odsuwano i zmuszano do wyjazdów ludzi „naczących, wśród nich pochodzącego z rodziny ziemiańskiej docenta uniwersytetu w Kijowie, historyka Mychajła

Drahomaiowa. który zbierał i wydawał pieśni „ludu małoruskiego“, choć przy treściach politycznych - mówi już o Ukraińcach. Później w Genewie założył Wolną Drukarnię Ukraińską.

James Mace uzasadnia postrzeganie Rosji jako państwa -zawsze - z tendencjami do wynaradawiania mniejszości. „Innorodców“. Wyjaśnia, dlaczego „nawet najbardziej demokratyczni reprezentanci rosyjskiej inteligencji nigdy nie pojmowali ukraińskich aspiracji do narodowego samopotwierdzenia i samookreślenia“. Na przykład Siergiej Bułhakow nazywał Ukraińców „narodem, który dopiero co sam siebie wymyślił“. Według innych - to Niemcy wymyślili Ukrainę (a nie Austriacy? - AS). Wszystkich przebił Dmitrij Wołkogonow, o wymyślenie Ukrainy obwiniając Lenina.

Ukraińscy dysydenci mieli żal do rosyjskiego samizdatu, zwłaszcza do podziemnej kroniki wydarzeń, że za mało zajmuje się ich krajem. Pierwszy sowiecki „poststalinowski proces polityczny“ zauważony w świecie - rzeczywiście był rosyjskim procesem. Siniawskiego i Daniela sądzono w 1966, czyli po sprawie MorozaWaszczenki.

Jeszcze w 1965, po fali aresztowań na całej Ukrainie, powstaje adresowany do Breżniewa oraz Kosygina Apel 139, podpisany przez artystów, naukowców, inżynierów, robotników. Na status dysydenta, nieporównywalny jeśli idzie o ryzyko z naszymi wystąpieniami, grożący przecież dożywociem w łagrze, decydowali się przedstawiciele różnych zawodów, często bardzo młodzi ludzie. W apelu odzwierciedlającym wcale nie taką znowu jednoznaczną czy bez reszty solidarną intencję protestu Wielko- i Małorusinów Ukraińcy oponują przeciwko niedostrzeganiu przez Rosjan (więc nie tylko: przez rosyjską władzę, równoznaczną z sowiecką) położenia innych nacji w państwie, zarzucają sąsiadom nieuwagę na prawa tych „nierosyjskich“ narodów.

Jedno z pytań postawionych w Apelu: czy dzisiejsi ukraińscy komuniści są w stanie wydać wojnę rosyjskiemu szowinizmowi na Ukrainie? Odpowiedź przesadzona, niemniej były lata, kiedy to wydawało się możliwe. Ciekawostka z pierwszej bolszewickiej dekady: Rok 1923 przynosi ukrainizację Ukrainy. Zaczyna się polityka partii zaskakująca, jak na dotychczasowe doświadczenia z Rosją. Bolszewicy faworyzują ukraiński patriotyzm! I to trwa, szczególnie rok 1929 jest niemalże ciepłarnią dla ukraińskiej M a ł o r u s i i dla zamieszkujących ją mniejszości narodowych. Żydzi, Grecy, Niemcy, Polacy mogą się uczyć we własnych językach - i we własnych szkołach, mają swoje domy kultury, biblioteki, teatry. Również dla Ukraińców, osiedlonych poza granicami republiki - na Kubaniu, w Twerze, w Stawropolu - zakłada się placówki oświatowe, prowadzi kursy dla analfabetów, a przede wszystkim r a b f a k i, rodzaj przyfabrycznych szkół dla pracujących. Również na terytorium Rosji, w Kursku, działa nawet seminarium dla nauczycieli ukraińskiego. Oceniając ten przedziwny okres (na obszarze dzisiejszej Transdnestrji stworzono wówczas aż dwadzieścia pięć dystryktów mniejszości narodowych, w tym osiem rosyjskich, siedem niemieckich, po trzy żydowskie, greckie i bułgarskie, jeden polski) autor szkicu w „Politycznej Dumce“, kierownik jednego z kijowskich instytutów, doktor James Mace, stwierdza „bezprecedensowy w historii Ukrainy rozkwit kultury i literatury“.

Sielanka potrwa do roku 1930. I z nagłą - zmiana. Jaka! „Rozstrzelane odrodzenie“. U drzwi wielki głód. W cieniu tej upiornej klęski odbywa się eksterminacja kleru, nauczycieli, ludzi sztuki. Preparowanie Ukrainy zachwianej socjalnie, niemalże pozbawionej inteligencji. Wkracza rosyjskość realizowana z precedensową brutalnością. „W miejsce narodowego wzoru - ścieg rosyjski“ - pisze Mace. Toczy się kolonizacja intensywniejsza niż kiedykolwiek

wcześniej. Zdaniem Mace'a, i dzisiejsza Rosja bynajmniej nie jest zainteresowana w powrotach Rosjan na własne terytoria, co wykazał chociażby przykład Czeczenii: wygnańcy przemieszczali się - poza Kaukazem - na Białoruś i na Ukrainę. Tylko z przyczyn ekonomicznych? Amerykanin sugeruje inny powód. Rosja chce podtrzymać przynajmniej tę formę obecności na przejściowo utraconych ziemiach.

Wspominałam o nieporównywalności ryzyka ponoszonego przez opozycję polską i sowiecką. Temat nie lubiany, ale fakty są faktami. Zakazy publikacji były szykaną tak po polsku i tak - na tle innych - łagodną, że wspomina się o nich en passant. Bo i o czym tu mówić, kiedy w jednym, 1972 roku na długoterminowe więzienie - plus lata wygnania - skazano dziewiętnastu dysydentów, nie licząc aresztowań! Kary były drakońskie. Wśród skazanych „za kontakty“ z Morozem - na dziesięć lat do więzienia, na dalsze trzy na zsyłkę poszedł ksiądz Romaniuk. W Odessie żona dysydenta Karawańskiego, Nina Strokata, została skazana na cztery lata łagru oficjalnie - za posiadanie i kolportaż samwydawu, faktycznie - za lojalność wobec męża. Poeta Anatolij Lupinis w 1956 zasądzony na sześć lat łagru o zaostrzonym reżimie za „antysowiecką agitację i propagandę“ już w obozie otrzymał kolejny wyrok, dodatkowe cztery lata za protesty wysyłane do władz. Jego zwolnieniu w 1971 towarzyszyła demonstracja kijowian pod pomnikiem Szewczenki. Aplauz dla Lupinisa nie wyszedł mu na zdrowie, tym razem poeta trafił na psychuszkę z „rozpoznanem“: schizofrenik (!) i decyzją na nieokreślony, czyli dożywotni termin hospitalizacji. O losach demonstrantów samwydaw nie wspomina.

Moroz wskazuje na ironię faktów: nawet w łagrach nie było się u siebie, tylko w Rosji. Pisał w swoim Raporcie z rezerwatu Berii (dobry tytuł): „Może na Ukrainie, jak w księstwie Monaco, brakuje miejsca na łagry? obozy? Znalazło się jednak dla siedmiu milionów osadników...“ Proces historyka i publicysty Moroz, oskarżonego o „chęć secesji Ukrainy od ZSRR z pomocą imperialistów“ i skazanego na dziewięć lat łagru o zaostrzonym reżimie oraz pięć lat na wygnaniu, odbył się pod koniec 1970. Nikomu z bliskich, nawet żonie, nie pozwolono być przy ogłoszeniu wyroku.

Moroz, życie, jakich wiele jeszcze nawet w latach siedemdziesiątych, na Zachodzie, a nawet u nas, uważanych za diametralnie różniące się od stalinowskich. Tymczasem i wtedy bardzo łatwo trafiało się do łagrów. Moroz w 1969 wrócił z czteroletniej odsiadki i już po roku wlepiono mu następny wyrok: sześć lat więzienia, dalsze trzy w obozie o specreżimie i jeszcze pięć lat wygnania. W maju 1976, w trakcie odbywania kary, został przewieziony do Instytutu Psychiatrycznego w Moskwie, co mogło się skończyć dożywotciem w kaftanie bezpieczeństwa. Na swoje szczęście - był już postacią zauważaną na Zachodzie, nacisk światowej opinii publicznej w tym czasie nie przechodził już bez echa w imperium i psychiatrzy tym razem uznali pacjenta za zdrowego.

Ostrożnie ze stereotypami! Utarło się, że Szelest, I sekretarz partii w republice, był poplecznikiem ukraińskości, cichym nacjonalistą, nieomalże takim rodzimym Konradem Wallenrodem, tymczasem to za jego rządów dysydenci mieli twarde życie; dwóch naukowców, kolegów Reprincewa, zarobiło po pięć lat zsyłki za posiadanie samizdatów. Nie pisywali do nich, nawet nie przyłapano ich na kolportażu. Po prostu - sprawdzono im kieszenie.

W siedemdziesiątych latach - ile by się nie zmieniło na korzyść, a coś jednak się zmieniło - po epoce Stalina, Związek Sowiecki pozostał państwem policyjnym. Wśród sterroryzowanych narodów - obok Bałtów i Estończyków - czołowe miejsce przypadło Ukraińcom.

Prowokatorzy uwijali się nawet przy mało znaczących (jak niżej podpisana) gościach. Moja ówczesna redakcja, „Polityka“, miała złe notowania u sąsiadów, konfiskowano „niesłuszne“ numery, więc nawet i ja zasługiwałam na swojego tajniaka.

Rozpoznawalni. Programowo nijacy. Nie wiem, jak jest z asami od koronkowych robót, ale małych szpicli, przydzielanych, i to na krótko, do niespecjalnie ważnych osób, łatwo rozszyfrować. Coś w oczach, coś w głosie.

Nie zapomnę telefonu, który odbierałam w siedemdziesiątych latach natychmiast po przyjeździe do Wilna, w przydworcowym hoteliku Gintaras, gdzie mnie zakwaterował tamtejszy związek literatów. Zadzwoniono ledwo weszłam do pokoju, a nie znałam nikogo w mieście, ani jednego człowieka. „Eto ja“ -zakomunikowała słuchawka. Specyficzny głos, słodkawy. Zastanawiałam się nad lepszym określeniem i bez rezultatu. Tylko to uważam za właściwe. „Eto ja“ - upierał się tajniak.

Niezbadane były decyzje opiekunów. Z Kiszyniowa do Lwowa bez gadania wsadzono mnie w samolot, z Kijowa do Kiszyniowa mogłam jechać pociągiem. Tkwiłam przy oknie w korytarzu wagonu, kiedy podszedł nijaki.

- Patrzy pani?

- No, patrzę.

- Tak... Więc zauważyła pani?

- A co takiego?

- No jakże... Napisy. Wszędzie napisy po rosyjsku. - I z konfidencjonalnym, w zamiarze, zaś w wykonaniu konfidenckim uśmiechkiem, bardzo, bardzo poufnie: - Niby Ukraina... A piszą po rosyjsku. Dziwne, prawda? O, pani zauważyła...

- Nie jestem spostrzegawcza, proszę pana.

Poszedł sobie. Odchodząc jeszcze się obejrzał - tak jakoś, powiedziałabym, niezobowiązująco, prywatnie - i mrugnął na mnie, a potem się roześmiał. Na znak, że urazy nie chowa. Robota jest robotą, każdy ma dni dobre i ma złe. Trafiłam na gorszy.

Rok 1972: tylko w jednym rejonie, lwowskim, tylko w jednym miesiącu (marcu) skonfiskowano trzy tysiące egzemplarzy samwydawu, ukraińskiego samizdatu. Skazano dziewiętnaście osób. W rok później zapadły wyroki w sprawach siedemnastu dysydentów, z których kilku „skierowano“ na niebezpieczniejszą od zwykłej celi klinikę psychiatryczną. Mnóstwo osób straciło pracę w instytucjach. Z uniwersytetu wyrzucono sześć profesorów, trzynastu docentów, dwudziestu asystentów. Za czytanie Biblii usuniętych zostało kilkunastu studentów historii. W 1973 zakaz publikacji dotyczył pięćdziesięciu literatów. Miał duże szczęście kowal, który wymalował bramę swego domu na żółto i niebiesko. Jakoś wygrzebał się z „burżuazyjnonacjonalistycznych“ intencji, skoro skończyło się na trzech dniach aresztu.

Burżuazyjny nacjonalizm, to był mocny straszak na dopominających się o wykłady w języku ukraińskim. „Przeszkadza wam rosyjski? A tym językiem mówił Lenin...“ W kijowskiej

szkole nr 139 nauczycielka w kontaktach z dziećmi chciała poprzestać na ukraińskim. Koleżanka przywołała ją do porządku: „Tak nie można. Weźmy mnie. Uczę angielskiego, ale poza klasą, w której mam lekcję, nie rozmawiam po angielsku“.

Inny, już trudniejszy do odparowania (nawet gdyby się miało odwagę wykpić tamten) argument: językiem urzędowym w całym Związku Sowieckim, a zatem na jednej szóstej kuli ziemskiej, jest rosyjski, więc w interesie uczniów i studentów... To już było racjonalne, określało życiową perspektywę. W efekcie ponad pięćdziesiąt procent Ukraińców zamieszkujących w innych republikach, w roku 1972 w rubryce „język ojczysty“ napisze „rosyjski“. W tym czasie na przykład w Mołdawii mieszkało więcej Ukraińców (507 tysięcy) niż Rosjan (414 tysięcy), ale nie znalazłoby się tam ani jednej szkoły ukraińskiej. A Kubań, kiedyś przecież nie rosyjski, tylko ukraiński? Najczęstsza - podobno - odpowiedź tamtejszych: „Ojciec i matka byli Ukraińcami, ale ja...“ Według samwydawu jeszcze w 1897 Rosjanie stanowili czterdzieści dwa procent mieszkańców Kubania, co najmniej drugie tyle poczuwało się do narodowości ukraińskiej, prawie pięćdziesiąt procent mówiło po ukraińsku. W latach 1933-1937 wszystkie szkoły ukraińskie (czyli 746 - niemało) przekształcono na rosyjskie.

Tylko jedna piąta szkół na Ukrainie dawała szansę na uczenie się ukraińskiego. W roku 1966 w Kijowie spośród - dokładnie - 160 411 uczniów aż 128 118, czyli 77 procent uczęszczało do szkół rosyjskojęzycznych. Statystyką można manipulować, skądinąd prawdą jest, że w omawianym czasie te ukraińskojęzyczne stanowiły jedną trzecią szkół w śródmieściu Kijowa.

Ała, która uczy ukraińskiego, zapewnia, że na rosyjskim nauczyciele wychodzili lepiej, mieli wyższe pensje.

Lepsze, nowocześniejsze wyposażenie szkół rosyjskich należało do reguły, nieobojętnej przecież dla rodziców, decydujących o wyborze.

„Mój“ Igor znowu nie widzi problemu. „Howorit’ po ruski było prestiżno“ - kwituje temat. Kończy studia i już ma inne kłopoty. Hałas wokół sprawy jakby go irytował. Odpowiada ze zniecierpliwieniem, że w Kijowie dwadzieścia procent szkół było ukraińskich. A ż dwadzieścia! Taka, sądząc z tonu, jest intencja informacji.

Rzecz w tym, że w Donbasie ani na Krymie w ogóle nie istniały szkoły ukraińskie. W Charkowie, Dniepropietrowsku, Zaporozżu, Chersoniu, Odessie - nieliczne.

Ukraina 1970. W miastach zamieszkuje tylko dwadzieścia dziewięć procent ogółu ludności ukraińskiej i ponad dziewięćdziesiąt procent Rosjan! Na wsiach - sytuacja odwrócona, i to drastycznie. Ukraińcy stanowią aż siedemdziesiąt jeden procent tutejszych kołchoźników, Rosjanie - niespełna osiem procent.

W 1972 program telewizji ukraińskiej obejmował zaledwie trzydzieści pięć procent terytorium kraju.

Te dane są miażdżące. Przynosiły spodziewane rezultaty. W latach siedemdziesiątych tylko osiem i pół procent Ukraińców, mieszkańców Ukrainy, przyznawało się do ojczystego języka, natomiast spośród przeszło dziewięciu milionów Rosjan w republice - jakieś dwa i pół procenta biegle władało ukraińskim!

Zdawałoby się, że przynajmniej wieś pozostała ukraińska: sęk w tym, że wieś oświecona jest z gruntu rosyjska. Na jedenaście procent wykształconych Ukraińców - dwadzieściodwa procent wykształconych Rosjan. Administracja pozostawała w ich rękach.

Moskwa prowadziła sprytną, dalekosiężną politykę edukacyjną, niezmiernie przecież ważny element kolonizacji. Kadra pedagogiczna na Ukrainie - od nauczycieli szkół średnich po wykładowców uniwersyteckich - zdobywała dyplomy w Moskwie, w Leningradzie. Rosyjscy prawnicy studiowali w Charkowie, słuchacze ukraińskiej filologii poza własną republiką. Rosjanie przeważali w administracji i dominowali w wojsku. Ukraina i tak nie miała najgorszej sytuacji w porównaniu z pozaeuropejskimi obszarami Związku Sowieckiego. W Armii Czerwonej prawie że nie sposób było znaleźć oficera Kazacha czy Turkmena.

W 1970 spośród zaledwie miliona pięciuset osiemdziesięciu trzech tysięcy mieszkańców republiki legitymujących się wyższym wykształceniem aż sześćset jeden tysięcy stanowili Rosjanie. Można to ukazać jeszcze w innym zestawieniu. Na tysiąc Rosjan pomiędzy dwudziestym a dwudziestym dziewiątym rokiem życia przypadało pięćdziesięciu czterech absolwentów wyższych uczelni, na tysiąc Ukraińców - tylko trzydziestu dziewięciu.

Tak to wyglądało i jeszcze długo przeszłością tego nie nazwiemy. Ilu dysydentów wtrącono by do łagrów za ukraińskość - pozostawał ogół, wyzbyty obronnych odruchów przed językiem szkoły. Miejsca pracy. Ludzi z najbliższej rodziny, a przynajmniej z sąsiedztwa. Przed językiem kilkusetletniej wspólnej codzienności. Co dwudziesty Ukrainiec ma kogoś na Zachodzie; krewnych czy przyjaciół w Rosji ma co trzeci. Ołena, rodowita Ukrainka, mieszka w Zaporozżu. Z jej bliskich wszyscy są Ukraińcami i wszyscy również w domu poprzestają na rosyjskim. Nieomal norma na wschodzie kraju. Matka Reprincewa pochodziła z obwodu donieckiego, zatem z terenów najsilniej zrusyfikowanych, niemniej i tam wśród inteligencji rozmawiało się po ukraińsku. Który to język nie sposób nazwać pełnoprawnym, jeżeli raporty do władz centralnych pisywano po rosyjsku. Za sprawozdanie w ukraińskim wyrzucono z instytutu podległego Akademii Nauk eksperta od elektroniki radiowej. Ucierpiały na tym bardzo istotne prace, ale naukowiec otrzymał w sądzie wyrok skazujący i zakończył karierę.

To również jest wasza historia, mogłabym powiedzieć Igorowi. Tylko co go to tak naprawdę obchodzi? Ledwie skończył dwadzieścia lat i ma inne problemy. A zresztą, zdania są podzielone, zależne od własnych doświadczeń. Zetknęłam się z różnymi opiniami. Przypominano, że w licznych odeskich instytutach językiem wykładowym był jednak ukraiński, że na uniwersytecie kijowskim, kto chciał prowadzić zajęcia w ukraińskim, ten mógł. Bez szyskan? „No, nie przesadzajmy“ - kapituluje Reprincew.

Co do wydawnictw naukowych, swoboda językowa sprowadzała się do humanistyki: ale też bez przesady. Trochę historii, trochę filologii, beletrystyka... Z drugiej strony, pięćdziesięciotomowa edycja dzieł Franki mogła się ukazać na sowieckiej Ukrainie. W wolnym kraju wyszedł już tylko jeden tom, wcześniej wstrzymywany przez cenzurę, a o edycjach klasyki ukraińskiej mowy nie ma. Bo nie ma pieniędzy.

W Związku Sowieckim pod specjalnym nadzorem były nauki ścisłe. Publikacje z zakresu matematyki, fizyki, chemii Akademia Nauk ogłaszała wyłącznie po rosyjsku. Stąd ten dyskryminujący brak własnej terminologii technicznej. Język ukraiński został wyeliminowany ze strefy niebywale ważnej dla każdego kraju. Odchodząc od rosyjskiego, odeszłoby się od współczesności. Od postępu. Z roku na rok nikt tego nie wyrówna.

Kłopoty językowe w byłym Związku Sowieckim nie ograniczają się do kolizji języków narodowych z ekspansyjnym. To również kwestia elegancji słowa, wyzbicia się dotkliwie chamskich - cóż z tego, że nie w intencji, skoro z natury rzeczy chamskich - zwrotów, tego nawoływania do nieznanym per „żenszczyzna“ albo „mężczyzna“ i chropawej życzliwości wszelakich tiot', mamasz i babuszek, którymi z postępowaniem lat niemiłosierdzie, jak się tam komu widziało, ile dawał na oko, traktowano była dziewczynkę. Z kolei malczyk, potem - młodocj czławiek, stawał się diadią, nim został dieduszką. Bardzo plebejska kurtuazja.

W Kijowie wymyka mi się kontakt z ciekawym człowiekiem, Tanią Domaszenko. Nauczycielka spod Połtawy, też przypadkowa słuchaczka „Homina“. Bardzo młoda. Pisująca wiersze. Przyjechała na krótko, ma czas, wakacje, już nawet książek ludziom nie wypożycza, bo zamknęli bibliotekę, jak to się mówi: z braku środków. Teraz, jeśli ktoś chce, bierze sobie książkę od Tatiany z domu. Ona nic za to nie dostaje, ale przynajmniej wieś nie odwyknie od czytania.

Umówiliśmy się na jutro - nie zadzwoniła, nie przyszła. Zdażyłam zanotować, że we wsi Krasnohoriwka, gdzie kołchoźnicy od półtora roku czekają na wypłatę, prowadzi z dziećmi Szkołę Początkujących Poetów i jeszcze drugą, dla dorosłych, którą nazwała Szkołą Duchowego Odrodzenia.

Nauczycielka Ała opowiada o pomocy ze strony Federacji Ukrainek w Stanach i Kanadzie. „Pracujemy nad odrodzeniem mowy ojczystej“. Federacja kontroluje (to właśnie słowo zostaje użyte) naukę ukraińskiego w szkołach. Jak rozumieć kontrolę? „Idzie nie tylko o szkoły, patrzymy, czy w placówkach kulturalnych nie rozmawia się po rosyjsku“. Czyli rewers niedysyjszego? Bo kiedyś było odwrotnie.

„U nas jeszcze nie każdy może hardo potwierdzić: jestem Ukraińcem“ - utyskuje Ała. Tak sobie gawędzimy w kasztanowym cieniu, a na frontonie starej akademii, obrysowany komiśną mozaiką, rozjaśniony mocnym podolskim słońcem - nietknięty cytat z Lenina.

Jednak nie ze wszystkim bez reszty potwierdziła się opinia anonimowego autora w samizdacie, który pocieszał: „Owszem, można zamknąć dom wydawniczy «Dnipro». Ale czy można zatrzymać Dniepr?“ „Forsowna ukrainizacja“, często o tym w gazetach. Czy Ukraina nie powinna aby zdecydować się na dwa języki urzędowe? Czy ludzie rzeczywiście tak bardzo upominają się o ukraiński? Wymowne zjawisko: od 1992 liczba gazet rosyjskojęzycznych na Ukrainie wzrosła o przeszło połowę, podczas gdy ogólna liczba publikacji zmalała również o połowę. A jednocześnie wyraźnie spada zainteresowanie prasą wydawaną po ukraińsku. Słysząc o generalnym zmniejszaniu się nakładów i ubytku tytułów lokalnych, niemniej - liczba wydawanych po ukraińsku zmalała prawie o dziewięć procent, wydawanych po rosyjsku - o niecałe dwa.

Zdaniem współredaktora „Dumki“, doktora Olcha Biłego z Instytutu Filozofii, ukrainizacja, dzisiaj, jest przeprowadzana dyletancko, gruboskórnymi metodami. Bywa próbą galwanizacji czegoś, co wyczerpało swoje historyczne źródła.

Z nauki komunizmu przeszliśmy na naukę nacjonalizmu, usłyszę w Kijowie. Oni wiedzą lepiej, ale po wyrwaniu się z kredowego dla Polaków koła zachodniej Ukrainy już nie jestem przekonana akurat o tym zagrożeniu.

Teraz nawet podróże są patriotyczne, uśmiecha się Reprincew. Z Moskwy do Kijowa kursuje pociąg „Rosja“, z Kijowa do Moskwy - pociąg „Ukraina“. Ogromne, z daleka czytelne litery na wagonach, w których (i pod którymi. Szerokie tory!) wszystko jest ze starych czasów. Sowieckie pociągi - te dalekobieżne, a wiemy, co znaczyło „dalekobieżny“ w jednej szóstej świata - miały nazwy wcale romantyczne, na przykład - „Zielony Malachit“. Nawet w koszmarnym Kraju Rad były to nazwy, a nie transparenty. Jakby nie oponował mój towarzysz - „Ukraina“ na charakterystycznej, zielonoburej, gufrowanej ścianie szerokotorowca jest zaczepnoobronną konstatacją. Takie radosne, niemniej harde przypomnienie, kto tu hetmań na swoim.

Kiedy z kijowskiego dworca na wschód odjeżdża „Ukraina“, z głośników grzmi znajoma melodia. Dla Repincewa - Pożegnanie Słowianki, dla mnie - Rozszumiały się wierzby płaczące. W Polsce szumiały w opozycji do maków spod Monte Cassino, potem im to przeszło i z politycznego zrobił się lirycznyszlagier. W Kijowie orkiestra rżnie „Wierzby“ w rytmie radosnego marsza, z trąb sam wigor, krzepa i nadzieja. Reprincew informuje, że Słowiankę serwowano wyruszającym na front żołnierzom. Śmiejemy się, ale co tu ukrywać: niebezpieczne te porywające melodyjki, zaraz człowieka ciągnie do paradnego kroku.

„Ukraina“ rozpędza się i znika, głośnik milknie. Co to było? Specjalna okazja czy codzienność? „A w Doniecku dwa razy marsza grają - pokpiwa pan Włodzimierz - po przyjeździe pociągu z Kijowa, po przyjeździe pociągu z Moskwy...“ Dobry żart. I gorzki.

Odjeżdżam bez orkiestry, za to z przygodami. Powrotny bilet załatwiłam w Polsce, więc spokojnie rozglądam się za swoim wagonem - a tu nic, same ukraińskie. Śladu po Warszawie. „Waszych niet - objaśnia korpulentna konduktorsza- nie doczepili, woda zatrzymała“. Ponieważ pociąg tym razem nie wyjeżdżał z odciętego powodzią Wrocławia, tylko dopiero z Gliwic, nie pomyślano, żeby te dwa wagony - zaledwie dwa- doczepić po drodze. W Krakowie, w Przemyślu. A w Kijowie nie można? - Nie wiem, co można - ucina konduktorsza. - Ja nie jestem od tego.

Jakie to znajome. Nie jej odpowiedzialność, nie jej kłopot. Na razie polubowna. - Będą miejsca w naszych wagonach to zabiorę, a nie - to nie pojedziecie. Czekać trzeba. Może przyjdzie naczelnik.

Czekać to się tutaj umie. Peron przyczał się w milczeniu. Spięci, wrodzy sobie wypatrujemy naczelnika. Wreszcie idzie -koszula na nim śnieżna, wąs smolisty, oko srogie, bicepsy wykarmione chyba jeszcze na sowieckim chlebie. Podchodzimy, ale nie za blisko, okrążamy, ale nie nachalnie. Zawsze to -naczelnik. Rozejrzał się, ogarnął pole bitwy i zadekował: brać do naszych wagonów, dla ilu tam wystarczy. I już go nie ma. Półgłośnie siekniecie: a co z resztą?! - rozmyło się w gwarze.

Zaczyna się szturm. Z flanki bierze mnie zwalista baba. Nie napiera rękami, nie depcze po nogach. Walczy brzuchem. Niejedną ciężą ten brzuch dźwigał, niejednego chlibojeda przysporzył Ukrainie. Jak ciasto w dzieży: niby miękki, a nie do pokonania. Słabnę, ale jest u mego boku kandydat nauk. Reprincew natychmiast zapał się o drzwi i sprytnie przepycha mnie wzdłuż baby. Dopadam miejsca zagwarantowanego ołówkiem konduktorszy. Na korytarzu łomot, krzyk. Pędzi baba. Rozejrzała się -ma miejsce naprzeciw mojego. Wzdycha z satysfakcją i od razu bierze się do przyjaznej rozmowy.

Jedziemy. Wagon wygodniejszy od naszych, szerszy, w dodatku klimatyzowany. Toaletnoj bumagi ani mydła nie uświadczysz, ale pościel czysta. I spokój. Cisza. Nikt się nie spał, nawet nikt nie chrapie. Lipiec, więc na tyle jasno, żeby patrzeć jak za szybką przetaczają się zniekształcone nocą, ale uchwytnie wysokie, podolskie krajobrazy. Zniżamy się, pociąg najwyraźniej zjeżdża w dół. Zmiana rytmu, charakterystyczny stukot kół po mostku: jakaś wąska rzeka. Smotrycz? Zbrucz? Jakaż ja byłam ciekawa tych stron, jak one zdominowały moją wyobraźnię. I rzeczywiście: zasypie wszystko, zawieje...

Trwa kozaczek kół po szynach.

Zbliżamy się do dnia. Chcę dotrzeć do wschodu słońca nad Podolem (zapamiętane z bardzo dawnej rozmowy, już z nierzeczywistości: „Widziała pani kiedy wschód słońca? Nie? to co pani wie o życiu“). Nie udaje się. Przespałam Tarnopol, przespałam Lwów, żadnych kłopotów, przedziały jak w letargu, dopiero przed granicą budzi nas konduktor: „Podnimajcieś, diwczata i chłopci...“ Rozdaje deklaracje celne. Znów zaświadczam, że nie wiozę złota ani broni palnej czy przynajmniej białej, i starannie (cyframi i słowami) spowiadam się z waluty. Po przedziałach krzątania, szepty, pakowania i przepakowywania monstrualnych stert bagażu. Odprawa paszportowocelna potrwa trzy godziny; nie można by zacząć w drodze, już we Lwowie? Sowiecki przepis, sowiecka konsekwencja. Szkółka sierpa z młotem ciąży na tryzubie.

Wkracza funkcjonariusz. Wzrok jak bat. Do mnie: dlaczego nie macie dokumentu? Jak to nie mam? Przecież mu podaję. Ale źle podaję! Odpycha paszport, warczy: otwarty trzeba dawać, nie dotarło do was?! Otwarty o tu, na stronie ze zdjęciem. Wrywa z ręki, przerzuca, ogląda, jeździ palcem po wizach i powraca do zdjęcia. W przedziale jak makiem zasiał. Przedział wie; podpadłam, może przez zuchwałość, może przez te pieczętki ze świata dalekiego od stacji Mostiska. I zaczyna się polka. Zdjąć okulary! Zdejmuję. W oczy patrzeć! Patrzę. Przecież znam to niepokonane sowieckie w oczy patrzeć. Zaraz spyta, dlaczego się śmieję. Spyta czy nie? Bingo! Oczywiście, że spytał. „Co wam tak wesoło?“ „Bo miałam przyjemny pobyt“. Nieprzewidziana odpowiedź. Pewnie kpiąca, a jeżeli nie? Co wtedy? Zbiłam człowieka z tropu. Zmarszczył się i oddaje paszport. Stracił zainteresowanie.

„Nie trzeba było jechać naszym wagonem - ze zrozumieniem, ze współczuciem mówi współpasażerka. - W polskich jest łagodniej“.

Z korytarza dobiega „w oczy patrzeć...“ Wyglądam. Tak ten sam. Młody, rosły, tęgi, widać w stołówce jeszcze nie brakuje mąki i kartofli. A na deser służba. W oczy patrzeć... Chcąc nie chcąc to wzajemne, funkcjonariusz też nam demonstruje twarde, nalane władzą ślepią, zwierciadelką duszy, która w każdym systemie, pod każdą polityczną szerokością wywiąże się ze swego powołania.

W Mościskach pohranicznicy zabierają nam paszporty i dokądś zanoszą. Przez dobre czterdzieści minut nic się nie dzieje. Co oni tam z nimi robią? Obdzwanniają Interpol? Liczą wizy? Ale to dopiero wstęp. Odzyskujemy paszporty, czekamy na celników. Tak czekamy, jak zostało przykazane: z paszportami w ręce.

Wagon cichnie. Nadchodzą. Powiało grozą, zaraz rozstrzygnie się, czy i po ile dotrą na przemyski bazar majtki i zegarki, ile dolarów, hrywien i złotych ruszy w kurs, zawiruje między kramem, sklepem i kantorem. Zdaje się, że w tym spanikowanym towarzystwie ja jedna nie jadę pohandlować w „szczękach“ z powagą anonsowanych w naszej prasie jako

najruchliwszy biznes polskoukraiński, opoka dobrosąsiedzkich stosunków, gwarancja przyjaźni. A swoją drogą, nasze przedsięwzięcia antybazarowe to głupota, krzywda tak dla Ukraińców, jak i dla Polaków.

Mija godzina, mija druga. Długie te postoje w wolnym świecie. Ale coś drgnęło. Wkraczają żołnierze. W panterkach, w dobrych butach. I o dziwo, rośli. Komandosi? Ci przynajmniej nie wyglądają na niedożywionych.

Kilkudziesięciu. Chciałam akcji, to mam. Kilku z automatami waruje przy wejściach do wagonu, reszta w ostrym tempie rewiduje pociąg. Tym razem nie sprawdzają nas ani naszych waliz, sprawdzają wagony. Zagładanie na górne łóżka, bebeszenie pościeli, ostukiwanie ścian. Zdejmowane są nawet jarzeniówki. Jednak tym razem dzieje się coś niesamowitego, oni nieomal demontują przedział. Szukają narkotyków? Przynajmniej to byłoby świadectwem europeizacji szlabanu w Mostiskach.

Wreszcie ruszamy. Ile nam zeszło do granicy przyjaźni? Przeszło trzy godziny. Ile kilometrów z Mostisk do Medyki? A ze trzy. Niech będzie, że pięć.

Za długie te postoje na drodze do Europy. Niezależnie od tego, ile dni czekałyby na wjazd TIRy, ile godzin traciliby w pociągach podróży - od czterech lat rocznie przekracza granice Ukrainy osiem do dziewięciu milionów ludzi. A tutaj - po dawnemu. Wyczesany pługiem pas ziemi niczyjej. Zasięki z kolczastego drutu. Niedbalstwo czy intencja? Czytam u poety, który nie przeżył upiornego roku 1937, u Jewhena Hrabinki: „O, gdyby tylko ktoś zdołał usunąć zasięki [...] wokół Ukrainy, wówczas [...] moglibyśmy być niepodległymi...“ Czy niepodległość Ukrainy przetrwa? To pytanie tkwiło w podtekście pańciu: „Ukraina, Rosja, Niemcy: nowe realia“, zorganizowanego już jesienią 1993 w Kijowie. Mówiąc o powiązaniach - i uwiązaniach - gospodarczych Ukrainy z Rosją, zwracano uwagę na oczywisty prymat Rosji, jeśli idzie o bogactwa naturalne, zaawansowane technologie i wszelkie „odcienie“ infrastruktury; banki, finanse, handel. Jak konstatawał profesor Jurij Pakomow, dyrektor Instytutu Światowej Ekonomii i Stosunków Międzynarodowych Ukraińskiej Akademii Nauk: „...Będąc tak daleko za Europą i czyniąc, co się da, żeby wejść do jej przedsiionka, Ukraina ma do pokonania mnóstwo fundamentalnych przeszkód.“ Sporo autorów na łamach „Myśli Politycznej“ wypowiada swój pogląd na przyszłość krajów postkomunistycznych. Zdaniem Brzezińskiego nie wcześniej niż za dziesięć lat, a może i jeszcze później, dojdzie do rozstrzygnięć determinujących polityczną i ekonomiczną przyszłość przede wszystkim Rosji oraz - Ukrainy.

„W 1991 Ukraina wzniosła swój narodowy sztandar nie mając jakiegokolwiek realnego programu politycznej oraz ekonomicznej niepodległości lub filozofii politycznej. Do dzisiejszego dnia i państwowa, i społeczna kondycja Ukrainy jest chwiejna“ -konstatują w „Myśli Politycznej“ Ołeksandr Dergaczow i Wołodymyr Połochało. Jak piszą, impuls niepodległości był tak gwałtowny, dążenie do własnego państwa tak intensywne, powszechne, że ominęło najistotniejszą decyzję, a mianowicie -jakim właściwie państwem powinna stać się niepodległa Ukraina.

Brakło programu reformy. Wszyscy dążyli do radykalnych zmian, tylko do jakich? To nie zostało wyartykułowane. Znamy, znamy ten casus z triumfalnych lat „Solidarności“. Jednak Polska była o tyle w lepszym - znacząco lepszym - położeniu, że dysponowała jakimś kapitałem doświadczenia w strukturach państwowych.

Zdaniem autorów szkicu Metamorfozy władzy postkomunistycznej Ukraina w krótkich latach niepodległości zyskała sobie reputację najbardziej stabilnego i bezkonfliktowego państwa spośród byłych republik sowieckich. Ta renoma jest przywoływana na dowód trafnej polityki władz, służy za świadectwo europeizacji kraju. Paradoks w tym, iż „rzeczywistym gwarantem dzisiejszej rzekomej stabilności jest bierność i obojętność ukraińskiego społeczeństwa“. Zdaniem autorów Metamorfoz, obecne władze - wykorzystując pasywność społeczeństwa, rażącą słabość debiutujących demokratycznych instytucji, wreszcie - państwową kontrolę więć i cenzurę mediów, a jednocześnie manewrując obietnicami i apelami do patriotyzmu, co nie przeszkadza w dystansowaniu się od obywateli, zdają się budować państwo na użytek własny, „poza i ponad społeczeństwem“.

Dzisiejszość Ukrainy: intensywny, dramatyczny zamiar państwa. Kiedy w 1991 kraj - jak ktoś powiedział - „zaczął otrzymywać niepodległość“ (dobre sformułowanie. Trafnie oddaje rzeczywisty przebieg zmian, ich niebezpieczną powolność), wierzyło się, że o poprawie sytuacji w kraju przesądzi sam fakt oddzielenia się od Moskwy. Zachłystywano się potencjalnymi możliwościami kraju. Kursowały ulotki zapewniające, że Ukraina nie tylko będzie, ale jest potęgą, ponieważ w przeliczeniu na Europejczyka - dostarcza najwięcej ropy na całym kontynencie! A to bzdura, ponieważ zasoby ropy ukraińskiej są nikłe, republika miała rzeczywiście silnie rozwinięte przetwórstwo, ale ropa szła z Syberii.

W czerwcu 1997 roku Fundacja „Demokratyczne Inicjatywy“ przeprowadziła, i to wśród sporej, blisko dwutysięcznej reprezentacji, sondaż, w którym sytuację ekonomiczną kraju jako „bardzo złą“ oceniło czterdzieści trzy procent ankietowanych, jako „bardzo dobrą“ - dwa promile. Spośród zapytanych, jak się odnoszą do przemian, najliczebniejsza grupa wybrała odpowiedź: „Należy przywrócić stan, w jakim gospodarka była u progu przebudowy“.

Ile to czekał na swoich pięć zaległych pensji w 1996 lwowski fizyk? Siedem miesięcy? W rok później, już w Kijowie, po drodze na czwarte piętro kamienicy, w której mieści się redakcja „Politycznej Myśli“, mijam drzwi z tabliczką „Instytut Filozofii“ i wywieszka „Stypendia dla aspirantów za czerwiec 1996“. W lipcu 1997! doktor Jewhen Bystryćkyj proponuje, że bym sobiezabrała „na pamiątkę złych czasów“ i zrywa karteluszek. Wtedy drzwi uchylają się, staje w nich kobieta, która zamiast nas obsobaczyć powiada przyjaźnie: „A my, pracownicy, już od roku nic nie dostajemy“. Nie skarży się, stwierdza.

Reprincew, historyk, w 1996 otrzymał wynagrodzenie za trzy i pół miesiąca, w 1997 za dwa, a jest lipiec. Podobną sytuację ma Bystryćkyj. W 1996 nie dostał pensji za osiem miesięcy - i zaległość rośnie.

Ukraińskie realia: średnia płaca dwukrotnie niższa niż w Rosji, nieomal pięciokrotnie niższa niż w byłych „demoludach“. Za to, za co dzisiaj płaci się Słoweńcowi - sześćset jedenaście dolarów, Polakowi - trzysta osiem, Czechowi - trzysta trzy, Ukrainiec dostaje siedemdziesiąt osiem.

Najznośniej żyje się na zachodniej Ukrainie, najtrudniej - w środkowej oraz wschodniej. A wschód kraju to kopalnie, metalurgia, chemia. W ostrym przeciwieństwie do regionów „galicyjskich“ tu ludność w większości nie jest chłopska, jest miejska. Stąd dotkliwszy ciężar kryzysu.

Co zdaniem Ukraińców poza sytuacją materialną znacznie pogorszyło się - znowu pogorszyło się, trzeba by uściślić - w ich życiu? Przede wszystkim - szansa zatrudnienia i pewność, że się nie utraci pracy. Opieka społeczna.

Prawie dziewiętnaście procent badanych odpowiedziało, że żyje w skrajnej nędzy, do dobrobytu poczuwała się jedna dziesiąta procenta. Ten fundamentalny niestety temat ukraiński rzutuje na wszystkie sytuacje państwa. Zabezpieczenie materialne? Wystarczające - w opinii dwóch dziesiątych procenta. Całkowity jego brak - w wypadku prawie sześćdziesięciu jeden procent.

Z problemów, utrudniających normalną egzystencję, Ukraińcy wymieniają kolejno brak parasola socjalnego. Przystępczość. Rozchwianie ekonomiczne Ukrainy. Zaniedbania ekologiczne. Bezrobocie.

Aż dziwi - ale i wskazuje na zasięg dzikiego rynku pracy -tak daleka lokata bezrobocia. Wyprzedzającego na liście kłopotów już tylko (bagatela!) brak stabilności politycznej.

Skoncentrowani na polskich eksrubieżach, jeśli już, to ciekawi co tam (i tylko tam) w trawie piszczy, jakbyśmy nie zdawali sobie sprawy, że dostrzegamy małą, w dodatku najślabszą gospodarczą część kraju, obszarem dwukrotnie przerastającego Polskę, że nie mówiąc o kilku innych regionach - jest „jeszcze“ ta wschodnia Ukraina, pięciokrotnie (tak, $t < k$) większa od galicyjskiej. Ukraina przemysłu, skupiająca przewagę uczelni, instytutów i laboratoriów.

Rosja miała z czego czerpać. W latach sześćdziesiątych z dochodu narodowego Ukrainy do jej budżetu wracało jakieś trzynaście procent, w następnej dekadzie „już“ piętnaście procent. Sukces, prawda? A jednocześnie rozbudowywał się wielki przemysł militarny, potężna metalurgia. O hipertrofii industrialnej zaczęto mówić na wolnej Ukrainie, i to nie od razu. Dopiero krach gospodarczy zorientował ludzi, że w warunkach samodzielności gospodarczej - połowa psu na buty, że już nie dzielony z innymi republikami stan samotnego posiadania katastrofalnie przerasta właściciela.

Druga co do wielkości - po rosyjskiej - sowiecka republika żyła w ciasnej obroży. Rosja nigdy nie dowierzała Ukrainie. W latach siedemdziesiątych w Dnietropietrowsku, do „Jużmaszu“, tej samej fabryki rakiet strategicznych, którą później zarządzał dzisiejszy prezydent, nie wpuszczono I sekretarza komitetu obwodowego partii, Walczenki. Taka produkcja - to już nie był próg do pokonania nawet dla prominenta, ale - Ukraińca. Pani Anna, niecierpliwi się Reprincew, o czym my mówimy? Energetyka jądrowa - tylko w gestii Moskwy. Od zawsze. Jak i cały przemysł obronny. A chemiczny? Tak, tak, mieliśmy na Ukrainie i chemiczny. Fabryki u nas, ministerstwo - w Moskwie. Większa część każdej produkcji, rzeczywiście znaczącej w skali państwa, pozostawała w jednoznacznej dyspozycji Moskwy.

Ekonomiczna (więc i polityczna) realność Ukrainy po sześciu niepodległych latach: wysokie, precedensowe wysokie, zadłużenie państwa. Niezmienna, nieomal całkowita zależność energetyczna od Rosji. Wątki przyływ kapitału. Podczas gdy zagraniczne inwestycje chociażby na Węgrzech wynoszą sześćsetsześćset pięćdziesiąt dolarów na głowę, to na Ukrainie dwanaściepiętnaście dolarów. Drobną różnicą!

Nie deaktualizuje się stwierdzenie Jewhena Bystryckiego: „Żyjemy w kraju, którego system społeczny jest mieszanką trzech elementów: republiki parlamentarnej, rządów prezydenckich i władzy sowieckiej“.

Najniższym, rażąco niskim zaufaniem (trzy procent głosów!) Ukraińcy obdarzają parlament, nieco większym - rząd, pięciokrotnie większym - prezydenta. A przecież wiadomo, że Leonid Kuczma cieszy się bardzo umiarkowaną popularnością w społeczeństwie, jest lepiej postrzegany za granicami kraju, niż we własnym. Zdaniem wielu w innej sytuacji - czyli przy innej realności możliwości wyboru - Donbas, Zaporozże nie głosowałyby na Kucznię. „To nie on wygrał wybory, to Krawczuk przegrał“ - jak mówią w Kijowie.

Bez zastrzeżeń popiera Kucznię niespełna cztery procent ludności! Miażdżąca - dziewięćdziesięcioprocentowa! - większość nie widzi ani jednego polityka, który wyprowadziłby kraj na prostą.

„Za wcześnie na socjologię...“ Coś się tam jednak klaruje pod jej szkiełkiem. Ukraińcy 1997 nadal nie widzą sensu w wielopartyjności, a to niebezpieczne. Nie znajdują między istniejącymi ani jednej partii, która zasługiwałaby na przejęcie władzy. Byliby za rządami silnej ręki. Tylko kto miałby zostać egzekutorem dyktatury?

Ukraińcy są rozgoryczeni, podział na zwolenników przeczekania ekonomicznych trudności - i na opowiadających się za protestem, za wyjściem na ulice, jest już bardzo wyrównany. Obydwie opcje - w granicach trzydziestu trzech procent, pozostali - czyli też ponad trzydzieści procent mieszkańców republiki - zasłonią się tradycyjnym: „trudno odpowiedzieć“.

W ukraińskim programie telewizyjnym w Toronto ekspremier Jewhen Marczuk zapewniał, że „socjalnoho wybuchu nebudę...“ I zwracał uwagę, że „przez trzy lata, niechby przez pięć, nie można poprawić sytuacji“. No, ale to się łatwo mówi. W jego sytuacji.

Poleje się krew, jak wróżono we Lwowie? Z badań to jeszcze na szczęście nie wynika. Wprawdzie już po dwu niepodległych latach socjologowie wskazywali na rosnące zniecierpliwienie społeczeństwa, i w raportach figurują wzmianki o nastrojach apokaliptycznych, niemniej wśród respondentów początkowo dominował pogląd, że lepiej ścierpieć dolegliwości „okresu przejściowego“ niż urządzać publiczne demonstracje. Ukraińcy czuli się przygotowani na wysoki rachunek za nieprzeszkadzanie rządowi. Dzisiaj ta gotowość słabnie, w pewnym stopniu wypierana przez agresję, w dużym - przez apatię, dobitnie zaświadcza o społecznej dezintegracji Ukrainy.

Czy materialny status społeczeństwa poprawi się - za rok? Większość zakłada, że będzie gorszy, a w najlepszym razie - taki sam. A za pięć lat? Największy odsetek zapytanych nie ma zdania, jedna trzecia wierzy w poprawę, tyle samo - w pogorszenie.

Groźne poczucie niemożności. Przytłaczająca większość ogłasza swój brak wpływu na cokolwiek, co się dzieje w kraju. To nie dlatego, że wschodnia, a i południowa Ukraina jest zrusyfikowana w stopniu skłaniającym do myślenia nie tyle o rosyjskiej, ile o ukraińskiej mniejszości narodowej. Prościutka babina w Zbarażu, intelektualista w arcyeuropejskim Monachium - mówią to samo, i co zabawniejsze, nieomal tymi samymi słowami: ludzie nie byli głodni. Mieli zatrudnienie...

Zalety demokracji straciły sens, jak wskazuje Zinowjew. A co tam Piechowej po zaletach demokracji...

Po nas nikt nie płacze

Ukraińcy nie spieszą się do NATO. Ponad jedna czwarta badanych nie chce, by kraj stał się „strefą buforową“ między Zachodem a Unią Taszkencką. Oponuje przeciw pogorszeniu stosunków z Rosją. Dystans do „agresywnego bloku nuklearnego“ (znajoma terminologia) najbardziej odczuwalny jest na wschodniej Ukrainie, najmniej - w stolicy i na zachodzie republiki. Zaledwie piętnaście procent Ukraińców widzi swoje państwo w bloku zachodnim! Zatem - jakiej Ukrainy chcieliby w przyszłości? Nie za duża różnica rysuje się między zwolennikami „neutralnego niepodległego państwa“ a popierającymi status „Ukrainy w bloku z Rosją i Białorusią“. W trzeciej kolejności - przynależność do nowego ZSRR (a jakże! Bynajmniej się nie przejęczyłam). W czwartej - obecność we Wspólnocie Niepodległych Państw. Są również głosy - nie za liczne, ale są - że Ukraina powinna uznać się po prostu za część Rosji.

Może i naprawdę, jak zauważa w swojej książce Zukunft Europa Austriak, Wolfgang Kraus, „za wcześnie na rozstrzygnięcie, kto wygrał zimną wojnę, a kto przegrał. Z tym należy poczekać“.

Z wypowiedzi Brzezińskiego w Kijowie: „Tylko z podległą sobie i podporządkowaną Ukrainą Rosja automatycznie staje się mocarstwem“. Przy innej okazji, w artykule dla „Politycznej Dumki“ Brzeziński pisze o pomocy finansowej Zachodu dla Rosji - i o ryzyku inwestowania w kraj, w którym zachodnie fundusze przejmowane są głównie przez nowych kapitalistów, reprezentantów chorobliwego bogactwa, ładowanego głównie w konsumpcję, nie w produkcję. Jak zauważa Brzeziński, komplikacjom ekonomicznym sprzyja również „ewidentne odnowienie się imperialnych aspiracji, które wzmacnia prawdopodobieństwo wzrastających napięć w stosunkach z Ukrainą“. Cytuje również symptomatyczną opinię nie wymienionego z nazwiska rosyjskiego polityka, który w 1993 w prywatnej rozmowie mówił o tymczasowości Ukrainy.

Czy utrata Ukrainy w 1991 oznacza dla Rosji wyłączenie z głównego nurtu europejskiego, jak chce Wołodmyr Zwygłanycz w biuletynie „Ukraina i NATO“? Czy Wspólnota to „przywództwo w miejsce bezpośredniej kontroli“? Tak uważa Rusłan Kaszbułaton, natomiast opinia o białowieskim traktacie jako o zatrzymaniu przez trzy republiki procesu „spontanicznej i anarchistycznej dezintegracji wspólnej przestrzeni zamieszkiwanej przez nasz lud“ pochodzi od samego Jelcyna.

„Ukraina jest kruchym, sztucznym tworem [...], formacją bez jakiegokolwiek realniejszej szansy na uformowanie własnej państwowości“ - tę wypowiedź rosyjskiego polityka o ormiańskim nazwisku - Andrianik Migrancjan - zamieściła „Niezawisimaja Gazieta“ z 18 stycznia 1994.

Politycy rosyjscy wciąż są skłonni widzieć w Ukrainie - jak to któryś wyartykułował w parlamencie -bardzo przejściowe zjawisko. Dokłada się do tego stary ukraiński kompleks „cienia Rosji“.

Dzisiaj Ukraina jeszcze jest za biedna, wszystko tu zbyt świeże, zbyt zdeformowane jarzmem niedostatku, by procesy zachodzące w społecznej świadomości, uzależnione od pustej kieszeni talerza, dawały jakąkolwiek gwarancję, że sprawy nie potoczą się w kierunku najmniej pożądanym dla Polski. Czy Ukrainie rzeczywiście nie zagraża wariant białoruski? Na II Światowym Kongresie Ukraińców latem 1997 prezydent Kuczma zapewnił, że ich ojczyzna pozostanie już na zawsze niepodległa...

Za przesadna jestem na takie deklaracje.

Trudno nie zauważyć, że nie tyle sama Ukraina, ile jej zagraniczni „piloci“, potencjalni partnerzy w polityce, domagali się niepodległości kraju. „We wszystkich, niekiedy paradoksalnych, działaniach Ukrainy dało się dostrzec możliwość powrotu do zwyczajowego partnerstwa z Rosją i oparcia się o nią w wypadku niepowodzenia“ - wnioskuje Brzeziński.

Jeśli zachodnia i centralna Ukraina stawia na Europę (co nie znaczy, że i na nas. Czekalam, czy wymieniona zostanie Polska. Nie została) to doszczętnie zrusyfikowany wschód kraju wiąże rachuby z Rosją. Rzec nie tylko w tym, że jedenaście milionów obywateli Ukrainy, więc aż dwadzieścia procent, to Rosjanie. Znacznie więcej jest rodowitych Ukraińców mówiących tylko po rosyjsku.

Specyficzne i na nasz gust, znowu, aż niewiarygodne są tutejsze powikłania. Z jednej strony - kompleks s a m o s t i j - n e j. Potrzeba własnego państwa, niepokój o jego trwałość. Z drugiej - nieuważa na sprawy tak zdawałoby się upokarzające, drażniące i w konsekwencjach niebezpieczne dla niepodległości, jak zależność językowa. Przypominam: blisko połowa ludności uważa, że na Ukrainie język rosyjski winien mieć status oficjalnego, nieco mniejsza część jest przeciwnego zdania, jedna piąta - nie umie zająć stanowiska.

Ukraina jeszcze nie wybrała i jeszcze można ją widzieć jako kraj w poszukiwaniu strategicznego partnerstwa. Jak pisze Siergiej Własow z Kijowskiego Instytutu Światowej Ekonomii i Stosunków Międzynarodowych - już raz zaistniał moment, gdy Ukraina znowu skłaniała się ku Rosji, ale ta oferta, wtedy, nie została przyjęta, Moskwa zaproponowała Kijowowi handel poświatowych cenach - i podług przyjętej na świecie rynkowej jakości... To spowodowało, że Ukraina z powrotem obróciła się ku Zachodowi.

W myśli politycznej dzisiejszej Ukrainy sporo miejsca zajmuje pozycja kraju w Europie - teraz, i w Euroazji - już wkrótce. Nie był u nas publikowany artykuł Brzezińskiego dla „Politycznej Dumki“, którego autor widzi Ukrainę jako państwo na pograniczu Azji i Europy, państwo „pomiędzy Rosją a Niemcami“. Bez wzmianki o Polsce. Ukraina według Huntingtona „jest usytuowana na linii granicznej pomiędzy dwiema opozycyjnymi cywilizacjami [...], po prostu oddziela kraje, które są pierwszymi kandydatami do NATO, od Rosji, która nigdy w NATO nie będzie“. Również Henry Kissinger podkreśla, że Ukraina, to wschodni kraniec „tej geopolitycznej przestrzeni, która dzieli [...] Europę i Rosję...“Wspomniany profesor Samuel Huntington z Han/ardu opiniuje, iż główne konflikty w naszych czasach - a także i w jutrzejszych- występować będą między cywilizacjami. Wojny narodów - tak, ale przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie wtedy, gdy roziskrzy się spór pomiędzy nosicielami różnych cywilizacji.

„Aksamitna kurtyna kultury zastąpiła żelazną kurtynę ideologii“. Tak określa profesor najbardziej według niego zauważalną linię podziału w Europie, prowadzącą od Rosji, Finlandii i państw bałtyckich. Przecinając Białoruś oraz Ukrainę, oddzielając grekokatolicką,

zachodnią część kraju od prawosławnej, wschodniej, linia ta w znacznym stopniu pozostaje zbieżna ze strefami wpływów dwu niegdysiejszych imperiów: habsburskiego i otomańskiego. Dopiero na zachód i północ od tak wyznaczonej granicy- funkcjonują społeczeństwa ze szkoły renesansu, oświecenia, rewolucji francuskiej i przemysłowej rewolucji.

Jak w interesującym szkicu Fatum Ukrainy. Czy niewolnictwo nie jest do obalenia? - pisze Wadim Skuratywskyj, „Ukraina utrwaliła się na obrzeżu tej gigantycznej stepowości, na progu -czy jednak już za progiem - rozpełzłej na tysiące kilometrów równiny euroazjatyckiej, którą powstrzymał Pacyfik“. Skuratywskyj porównuje swój kraj z ruchliwym traktem w czasach wędrowki ludów z Azji do Europy. Akcentem finalnym - „i ostatnim usiłowaniem azjatyckiego stepu, by ulokować się w paneuropejskim lesie“, był upadek Kijowa, symbolu niezmiennie istotnego w rosyjskim (nie pomyliłam się - w rosyjskim!) autoportrecie państwowości.

Z kolei Wołodmyr Sydenko, polemizując z rozpowszechnioną wiarą, iż Ukraina przeznaczona jest do jednej z głównych ról na scenie światowej geopolityki, doradza jak najszybsze odrzucenie złudzeń. Ich brak nie kolidowałby z rozważeniem, co czeka jutrzejszą Ukrainę: niezależność państwa, umiającego wykorzystać swoje geopolityczne usytuowanie, czy rola biernego obiektu w politycznych rozgrywkach innych państw?

Zdaniem Sydenki o odpowiedzi przesądzi ekonomia. Jak na razie - Ukraina jest poza rynkami świata, pozostaje uwiązana do rosyjskiej gospodarki. Rosja, to nieomal połowa ukraińskiego eksportu. Ważniejszy jest import, w którym przeważają najbardziej potrzebne minerały i surowce, zaczynając od ropy naftowej. „Czy w tej sytuacji można się spodziewać po kraju dynamicznej, niezależnej polityki zagranicznej? Oczywiście, że nie“ - konkluduje Sydenko.

Kraje biedne zawsze są na bocznym torze. Izolacja Ukrainy potrwa, dopóki kraj nie wygrzebie się z rujnacji. Dzieje się za mało i za wolno. Przez dwa lata nic nie drgnęło - konstatowali autorzy raportu o postkomunistycznej Ukrainie w pierwszym numerze „Politycznej Dumki“ z 1993 roku. Ciekawe studium trudności czy wręcz niemożności przekształcenia się społeczeństwa totalitarnego - w normalne.

Przy pytaniu: „Czy uważasz za celowe wprowadzenie reżimu żorstkiej ręki celem wyjścia z ekonomicznego kryzysu i zainicjowana reform gospodarczych?“ - tym razem minimalny procent ociągał się z zajęciem stanowiska. Większość zgadzała się na reżim, co prawda dość osobliwie rozumiany, skoro miałyby się realizować „bez pomniejszania swobód politycznych“. My, Słowianie, lubimy sielanki, stąd błoga wiara, że można zjeść ciastko - i mieć ciastko.

Zdawałoby się, że przynajmniej amatorzy brania za twarz „przy zachowaniu swobód“ okażą się zwolennikami jakiejś partii, tymczasem na pytanie, czy któraś z istniejących h zasługuje na władzę, twierdząco odpowiada nikły procent. Im głębiej w las... Tylko jedna trzecia - niespełna jedna trzecia - społeczeństwa optuje za wielopartyjnością. Nie dorównują przeciwnikom i niezdecydowanym.

Za wcześnie na socjologię, jak chce doktorantka z Kijowa? Oby. Bo sygnały są niepokojące. Kolejny sondaż wskazywałby na zaostrenie się poglądów. Już prawie czterdzieści pięć procent Ukraińców jest za polityką siły, oponuje niespełna szesnaście procent. Te wyniki opublikował biuletyn Fundacji „Demokratyczna Inicjatywa“ w cyklu Polityczny portret Ukrainy. Na pytanie zadane w roku 1996: „Czy sądzisz, że kilku silnych przywódców może zrobić dla naszego kraju więcej niż wszystkie prawa i dyskusje?“ - zdecydowana większość

odpowiedziała: tak, drudzy - nie mam zdania. Oczywiście mogą je zacząć mieć, już jutro. Z tego „ważko widpowisty“ może pójść ogienek w każdą stronę.

Nie zastanawiam się, nie mam zdania, jeszcze nie zdecydowałem, nie wiem. Wypada przyjąć, że te postawy rzeczywiście dominują, ale warto pamiętać, a na Ukrainie to nietrudne, że nawet bardzo zdawałoby się bierne, półfeudalne społeczeństwa potrafią się zniecka budzić. W krajach tak gwałtownie wyrwanych z kieratu, w zbiorowości zbitych z tropu, bo nie pogłaskanych zmianą, nastroje są nietrwałe. Na Ukrainie jeszcze nie dokonało się nic nieodwołalnego. Na razie Ukraina widzi swoje słabości, nie zna swojej siły. Ten wielki kraj - od Karpat po Morze Czarne, od Wołynia po Azowskie - balansuje na skrzyżowaniu gwarancji z iluzjami. Skłania się ku Zachodowi, cofa się na Wschód... Pozostaje wielką europejską niewiadomą.

To trwa trochę za długo. Piszę przed wyborami, ale myślę, że nawet ich wynik trzeba traktować powściągliwie. Decyzje elektoratu w sytuacji ukraińskiego bywają bardzo przypadkowe. O jutrze prawem inercji zadecyduje być może właśnie ta „milcząca większość“, ci nieobecni w życiu publicznym, nie wykrzykujący swoich skarg w teatrach polityki.

Chociaż? Już się zaczęły demonstracje. Kończę książkę w lutym 1998, w pierwszych dniach głośnych protestów. Tracą cierpliwość górnicy, a to groźna solidarna siła.

Do Polaków zupełnie nie dociera, że Ukraina - prędzej czy później - może znużyć się niepodległością kupowaną za tak wysoką cenę, albo też - i głównie ten wariant jest prawdopodobny - że zachowując niepodległość, powoli wyrzeknie się niezależności.

W publikacjach, w debatach intelektualistów z całą naturalnością przewija się kwestia ewentualnej ponownie przyrosyjskiej przyszłości Ukrainy. Czy kraj rzeczywiście straciłby na ścisłym gospodarczym, więc i politycznym związku z Rosją? Czy Ukraina będzie mogła, a przede wszystkim, czy powinna oddalić się od Rosji?

Notuję opinię, która, sądząc po reakcji (ściślej: po braku reakcji) ze strony rozmówców, nie wydaje się światoburczą i odosobnioną. Otóż Kijów nie wyklucza unii rosyjskookraińskiej. Jeszcze dokładniej mówiąc - rosyjskookraińskobiałoruskiej. I nie obawialiby się tego? Ależ nie.

Jak widzą przyszłość Ukraińcy? W pierwszej kolejności stawka na blok wschodniej Słowiańszczyzny (Ukraina, Rosja, Białoruś). W drugiej - przynależność do Wspólnoty Niepodległych Państw. Te dwie opcje reprezentowane są najliczniej, w granicach dwudziestu czterech procent głosów każda. Zdumiewająco niskie notowania zyskała całkowita państwowa niezależność.

Zachłysłeni się wolnością. To zrozumiałe. Rusyfikacja rusyfikacją, a jeszcze w 1992 za niepodległą Ukrainą opowiadało siedziwiećdziesiąt jeden procent mieszkańców republiki. Z czego wynika, że nawet tutejsi Rosjanie w przewadze byli stronnikami separacji. Upłynęło pięć lat - i już niemal co trzeci obywatel oznajmia: „Chciałbym, żeby Ukraina weszła do odnowionego Związku Sowieckiego“.

Pamiętam, z jakim niedowierzaniem, więcej, z osłupieniem zareagowałam na tę informację nie z magła przecież, tylko z Instytutu Socjologii w Kijowie. Znowu wspólnota z Rosją? Z

powrotem do jarzma? Z ich doświadczeniami? „No, teraz to by zupełnie inaczej wyglądało“ - słyszę w odpowiedzi. I jeszcze: „To już nie jest pora na niewolę“. Chciałoby się zaoponować tekstem ze starego żydowskiego dowcipu: „A może się założymy?“ Trzeba sobie zdawać sprawę - sporo Ukraińców to rozumie - że pozycja niepodległego państwa, niepodległego przy wszystkich kontrowersjach, biedach, anachronizmach i słabościach, przy wszystkich oporach społeczeństwa, nierozsądkach władzy - otóż że ta pozycja osiągnięta, nie oszukujmy się, dopiero po raz pierwszy w wielowiekowej historii narodu, może być chwiejna jeszcze przez długie lata, ale zaniechana - okaże się niepowtarzalna. Nie jest odosobnione mniemanie Własowa, że ukraińska polityka opuszczenia Rosji zatacza krąg, który może doprowadzić Ukrainę z powrotem do Rosji. W tym kontekście dość dramatycznie zabrzmiała opinia Amerykanina, doktora Mace'a, piszącego o niepodległości Ukrainy, dzisiaj, jako może i ostatniej szansie na zrealizowanie snu o demokracji, niepodległości i sprawiedliwości.

Rozmówcy utyskują na ocenianie Ukrainy „via wczorajszość“. Ich zdaniem to typowe nie tylko dla Polaków. Ośrodek Ukraiński przy uniwersytecie w Harvardzie nie uchronił się od takiego podejścia.

Wydostali się spod sowieckiego buta, i to nam wystarczy. Skoro SA antyrosyjscy, MUSZA być propolscy. Koniec, kropka. I już śpimy spokojnie.

W swoim skądinąd bardzo zajmującym szkicu o amerykańskich koncepcjach odnośnie Ukrainy - autor, Hruszczenko, z zastanawiającą konsekwencją nie dostrzega Polski. Jako łącznika między wschodem a zachodem już nie tylko Europy, ale świata, Hruszczenko widzi tylko Ukrainę. Można odnieść wrażenie, że nas nie ma na tej mapie jutra.

Inny przedstawiciel Instytutu, szef działu zajmującego się Azją i basenem Pacyfiku, Władysław Sedniew, wskazuje na konieczność intensywnych analiz i systematyzowania zjawisk zachodzących w związkach ekonomicznych pomiędzy Ukrainą, Chinami, Niemcami i Rosją. Zabrakło w wyliczeniu Polski. Można się zastanowić, czy mądrze zrobiliby akurat w tym wypadku zostawiając Rosję na ostatnim miejscu - ale to ich zmartwienie. Nas nie widzą wcale.

Przyczółek, ostatnia stacja przed Euroazją... Może. Zdaniem Hruszczenki „w samym tylko XX wieku Ukraina zapłaciła milionami ludzkich istnień jako most, kraj niczyj, czy jako arena cudzych interesów. [...] Teraz nadszedł historyczny moment, by uświadomić sobie i przekonać Zachód i rosyjskich partnerów, że tylko poprzez wejście Ukrainy do zachodnich struktur bezpieczeństwa Pakt Atlantycki będzie rzeczywiście kompletny...“ Hruszczenko przestrzega, że przy swoim położeniu, które jest „hazardowo ryzykowne [...] Ukraina może znaleźć się między młotem a kowadłem w razie rosnącego nacisku w geopolitycznym otoczeniu... po przyjęciu Polski, Czech i Węgier do NATO, jak również ostrej, irracjonalnej reakcji Rosji na rozszerzenie sojuszu obronnego“. Przynajmniej tu zauważona Polska.

Nawet ktoś tak zdawałoby się zorientowany jak Bohdan Osadczyk łudzi się, że „Polska... może, a nawet powinna, stać się przywódcą najpierw nieformalnego - ale z biegiem czasu i doświadczeń - nawet bardziej zwartej - zespołu państw w tym regionie. Idea kompleksu bałtyckoczarnomorskiego mogłaby się stać trwałą koncepcją“.

Na mój nos - nie mogłaby, bo Ukraina już nie na etapie rachub i spodziewań z petlurowskich czasów.

„Ukraina jest także mostem między wschodnią częścią Związku Sowieckiego, Azją i zachodnią Europą. Ukraina jest projekcją na Zachód, we wrocie środowiska zachodniej Europy“ -konstatawał jeszcze w 1927 A. Syniawskij. Natomiast monarchista Wiaczesław Lipyński w latach dwudziestych ogłaszał: „Nikt w Europie nie chce mocnego i dużego państwa ukraińskiego. Wręcz przeciwnie, jest wiele sił zainteresowanych w nieistnieniu Ukrainy - a jeśli już, to jak najsłabszej [...]. Nasze historyczne doświadczenie wykazuje, że jeśli nawet Ukraina znajduje jakichś sojuszników [...], to w krótkim czasie zaczynają oni rujnować to, w czego budowie sami dopomogli. Tak było za czasów Chmielnickiego [...]. Podczas narodowej walki wyzwolenczej 1917/1920 znowu zapłaciliśmy zbyt wysoką cenę za poparcie ze strony Niemców, Austriaków i Polski Piłsudskiego“. To - jak dalej konkluduje Syniawskij - utwierdziło Lipyńskiego w przekonaniu, że pomoc z zewnątrz może co najwyżej pomóc Ukrainie w roli państwa buforowego między Europą i Rosją.

Już wtedy, we wczesnych latach dwudziestych, Rudnycki uważał, że i Rosja, i Polska będą spychać Ukrainę ku Morzu Czarnemu w tym sensie, że stanie się ono jakimś wyznacznikiem kierunków polityki ukraińskiej, skierowanej ku „Azji Mniejszej“ (Asia Minor). Hruszewskij, Rudnycki i Jurij Lypa widzą przyszłą Ukrainę jako najsilniejsze państwo w basenie Morza Czarnego. Syniawskij ma świadomość, że podczas gdy Zachód na długo pozostanie jako partner handlowy tylko odbiorcą surowców oraz półproduktów, to z Azją sprawy mogą wyglądać inaczej, tam zdoła dotrzeć produkcja finalna.

Opinia Rudnyckiego: kto ma Krym, ten ma w rękę Ukrainę. „Nie będzie niepodległej Ukrainy bez Krymu“ -jeszcze w 1917 zamieszkiwanego przez ukraińską większość, co do dziś dnia uległo skutecznej dla Rosji zmianie.

Geopolityka nie tylko w XIX wieku inspirowała tutejszych intelektualistów. Ukraińcy nadal zdają sobie sprawę z politycznej atrakcyjności (przy wszystkich niewygodach) swego usytuowania na pograniczu z Azją. Temat wracał - i wraca - w różnym świetle. Geopolitycy ukraińscy zakładają możliwość różnych federacji związanych z Morzem Czarnym i z bliższym nam Bałtykiem. Finlandia, Estonia, Łotwa, Litwa, Białoruś to kraje postrzegane jako partnerzy Ukrainy. Píše Sałtowskij: „W przeciwieństwie do dzisiejszych zwolenników idei sojuszy bałtyckoczarnomorskich, Rudnycki wykluczał Polskę z grona potencjalnych uczestników, argumentując, że jest ona krajem środkowoeuropejskim i z racji swoich naturalnych powiązań zwróconym ku tamtejszym państwom“. W pracy o wymownym tytule *Mis/a Ukrainy* (Nowy Jork 1953) Lypa stwierdzał, że polityczne znaczenie Ukrainy dla świata leży w fakcie, iż będąc tak wielkim obszarem, może blokować ekspansję Rosji w kierunku Adriatyku i Morza Egejskiego, Azji Mniejszej i Egiptu oraz uniemożliwić rosyjski „Drang nach India“. Cytuję: „Ziemie ukraińskie w żadnym wypadku nie są zapomnianymi od Boga peryferiami... Obdarzona swoją geopolityczną lokatą i możliwościami handlowymi Ukraina jest jedną z najważniejszych części świata“. Nawet jeśli to przesada, to już za realne uznajmy stwierdzenie, iż „z tych powodów znaczenie Ukrainy będzie wzrastać“.

Inny zajmujący tekst, to Geopolityczne tematy w myśli ukraińskiej pierwszej połowy XX wieku Ołeksandra Sałtowskiego (Uniwersytet im. T. Szewczenki). Autor stwierdza: „Ukraińcy należą do zachodu, do Europy... decydują o tym nie tylko historyczne więzy, które przez stulecia łączyły życie Ukrainy ze światem zachodnim, ale i narodowy charakter Ukraińców [...]. Dlatego musimy w pierwszym rzędzie odnowić tradycyjne powiązania z narodami europejskimi, ponad wszystko z Niemcami“.

Jego zdaniem Ukraina, odwrotnie niż Rosja, w całej swej historii była zorientowana prozachodnio, „dążyła do swobód ekonomicznych, broniła własności prywatnej“. W opinii Pakomowa Ukraińcy są podatniejsi na reguły gry w kapitalizm, bardziej zdyscyplinowani, kulturalni, pracowici. Z kolei Siergiej Szergyn, politolog, w szkicu pod znamienym tytułem Euroazjatycka droga dla Ukrainy? przestrzega, że niedorzecznością i jakby prolongatą „eurocentryzmu“ zaszczerpionego w Związku Sowieckim jest „w tak krytycznym dla Ukrainy okresie pukanie do jednych tylko, europejskich drzwi i bierne wyczekiwanie na nową porcję wsparcia ekonomicznego“. Jak twierdzi Szergyn, zmiana nastawienia będzie trudna z uwagi na bardzo silny „antyorientalny“ kompleks Ukraińców, w których historia wykształciła lęk przed „azjatyckością“, jako zagrożeniem narodowej tożsamości społeczeństwa, niemniej - mimo tęsknoty Ukraińców do zachodnich wzorców, realia ich dzisiejszego życia, dominacja państwa nad społeczeństwem, natrętna wszechobecność państwa, wielka rola ideologii kolektywistycznej, brak rzeczywistych gwarancji praw człowieka, zależność obywatela od biurokratycznych struktur, niski poziom, niedorozwój usług i samorządności - to przecież są klasyczne formy azjatyckości, przynajmniej tej tradycyjnie rozumianej.

Azja Azja, a co sądzą o Polsce? Dogonimy was za pięćdziesiąt lat, odpowiada socjolożka Irina. - No tak - mówię - ale wtedy i my będziemy o pięćdziesiąt lat do przodu, nie sądzi pani? - A nie - ripostuje Irina - za pięćdziesiąt lat to już będziemy szli łeb w łeb.

Pytam, w którą też stronę - jej zdaniem - pójdzie kiedyś wreszcie ustabilizowana, zeuropeizowana Ukraina. Bardziej ku Rosji czy jednak - ku Polsce? „Ani tu, ani tam“ - odpowiada Irina. Dobra odpowiedź, tylko czy realna.

Prowadzą wcale ofensywną politykę zagraniczną. Nie uładzone jeszcze pogranicze z Rosją (ładne mi „jeszcze“) i z Rumunią, choć pretensje cichną. Z Gruzją, Azerbejdżanem i z krajami Azji Środkowej, mianowicie z Kazachstanem, Uzbekistanem, Turkmenistanem Ukraina zaczęła się dogadywać w związku z kaukaskim korytarzem (ropa drogą morską do Odessy, stamtąd rurociągami w naszą stronę).

Na łamach „Dumki“ zdumiewająco pomijana Polska. Jakby nas nie było. Mnóstwo (i bardzo ciekawie. Wnikliwiej niż u nas) o Rosji, sporo o Rumunii (spory graniczne jeszcze nie ostygły), a na przestrzeni roku jeden, prawie nie wychodzący poza okres międzywojenny i peerelowski tekst o Polsce. Co to jest? Przecież głupotą byłoby odpowiedzieć: przecucie?

W numerze 2 - 3 (6) z 1995 Włodzimierz Reprincew spisał kalendarium zbliżenia z Polską, „pierwszym państwem, które uznało niepodległość Ukrainy w grudniu 1991, lecz nawet wcześniej, z końcem 1989, grupa polskich posłów przybyła na Pierwszy Kongres Ludowego Ruchu Ukrainy, i poparła niepodległościowe dążenia narodowych demokratów. To wtedy położony został kamień węgielny pod nowy etap stosunków polskoukraińskich. Ważną kontynuacją polskoukraińskiego dialogu było spotkanie parlamentarzystów w maju 1990 roku w Jabłonnie pod Warszawą. Jego wpływ na polską politykę ukraińską odczuwalny jest do dzisiaj. Deklaracja zasad i priorytetów w stosunkach ukraińskopolskich, podpisana 13 września 1990, oraz Traktat o Dobrym Sąsiedztwie, Przyjacielskich Stosunkach i Współpracy z 18 maja 1992 położyły fundament pod równorzędne strategiczne partnerstwo dwóch państw“.

Słuszne, tylko że zbyt deklaratywne, jak na pismo wyróżniające się tendencją do proponowania - i kwestionowania.

Nie zetknęłam się z jakimś wyraźniejszym politycznym zainteresowaniem Polską. Przyjazne stosunki teraz i w przyszłości, tak, owszem, powinniśmy być ze sobą dobrze, ale nic ponadto. Żadnych sprzeżeń, żadnych koalicji. Jeśli Ukraina zacznie się rozglądać za wspólnotą, znajdzie ją przy Rosji.

Rozmówcy nie upierają się, że to jedyne wyjście, oni tylko chcieliby przypomnieć, że należy liczyć się z faktami. W sondażu poglądów na przyszłość republiki znalazło się pytanie: „Jak zapatrujesz się na koncepcję przyłączenia Ukrainy do związku Rosji z Białorusią“. Zdecydowany sprzeciw zgłosiło siedem procent!

Ja swoje: że po tylu stuleciach... tak twardych rachunkach... Oni z politowaniem: „Pani Anna, o czym my mówimy? Radość z państwa, w którym poborów nie dostaje nawet górnik?!“ I znów leitmotiv ukraiński, dylemat wracający jak bumerang: „Proszę sobie przedstawić armię, której nie płacą, proszę tylko pomyśleć o rozmiarach konfliktu socjalnego, który przecież nie słabnie, jest niestety wręcz przeciwnie“.

Zdaniem rozmówców, w tej sytuacji ekonomicznej parlament może być tylko lewicowy. „Tylko czy nam starczy siły na parlament? Jeśli wystarczająco możne lobby bankierów, osób związanych z kapitałem, zechce go rozgonić, Ukraina nie zaprotestuje. Widziała pani sondaże? No więc“.

W 1997 wystąpienie Landsbergisa, który oznajmił, że niepokoją go wypowiedzi rosyjskich parlamentarzystów o eksPribałtyce jako o „terytorium utraconym“, w domyśle - wartym odzyskania. Informację złowrogą, jak mi się zdaje, nie tylko dla Litwy, u nas zamieszczono na dalszych stronach gazet. Rosjanie chyba nie zadowolą się jednym portem nad Bałtykiem, Litwa chyba nie odda dobrowolnie Kłajpedy... Wiadomość przeszła niezauważona, chyba.

Przecież to wszystko - cały układ niepodległościowy w granicach dawnego Związku Sowieckiego, to jest nadal duża beczka prochu. Rosjanie w tym momencie mają może i ważniejsze kłopoty, zresztą nie są to czasy na siłowe rozwiązania. „Nu poka“ - jak się u nich mówi. Do Ukraińców dociera, że rosyjski kryzys jest sprawą przejściową, że imperium - już nie sowieckie, już znowu rosyjskie - przetrwa.

Wprawdzie Puszkina napisał - przypomina Skuradywskij - że jednym z defektów panowania Katarzyny II było zniewolenie Małorusi, ale nie przeceniajmy poetów.

Eurazja czy Ukrazja? Tak, stawiają sobie to pytanie. Jak również - czy dojdzie do trzeciego etapu niewolnictwa? Czy możliwy jest powrót Związku Sowieckiego? Otwarta kwestia. Nie u nas. U nich. Z bliska lepiej widać. Za zasadnością wahań przemawia umacniająca się opinia, że stabilność Zachodu słabnie. Słabną i Stany Zjednoczone, bo napiera, i z jakim impetem ekonomicznym, Azja, bo tylko ZSRR rozwiąże problem Krymu, Transdniestrii, wschodniej Ukrainy, floty czarnomorskiej i Kaliningradu.

Racjonalisci przewidują Ukrainę albo „przyrosyjską“, albo zaakceptowaną (co jeszcze nie nastąpiło) i zasymilowaną przez Zachód. Właśnie: przez Zachód, zaczynając od Niemiec. Nie od Polski! Jak pisze *expressis verbis* Własow: „Tylko i wyłącznie chęć przeciwstawienia się Rosji, determinująca jak dotąd zagraniczną politykę Ukrainy, wywołała dążność Polski do strategicznego partnerstwa z Ukrainą“ (If s not orientation towards Ukraine's own interests but a desire to oppose Russia“... -potwierdza anglojęzyczna edycja „Dumki“). To zresztą jest ogólne przekonanie.

Coś zazgrzytało. Zupełnie nieoficjalnie, całkiem z lekka, a jednak.

Popelniliśmy jakiś błąd już w pierwszej, cieplarnianej fazie stosunków z nimi. Błąd czy niezgrabność. Do tego każda kolejna Rzeczpospolita ma lekką rękę. Coś zazgrzytało i przy całej autentycznej chęci podtrzymania przyjaźni, nawet współdziałania, stają się mniej uważni na nas. Szczere zobowiązanie za fakt, że pierwsi uznaliśmy ich państwo, nie wystarcza na pierwszeństwo w partnerstwie.

Pora dostrzec, że Polska przestaje się liczyć jako tradycyjny wzorzec kultury europejskiej, znaczący pośrednik między zachodem a wschodem kontynentu, i że ktoś nas zastąpi, a nie każda nowa sytuacja jest do cofnięcia. I do odzłałowania.

Transfer nowych technologii, a nie: starych dominacji, to jest to, o co dzisiaj idzie. Jak zauważył prezydent Kuczma, wspólny interes może nas połączyć znacznie silniej niż podzieliła historia.

Pierwsi uznaliśmy niepodległość Ukrainy: mądry ruch na szachownicy, tylko gdzie ten następny? Pięć lat ukraińskiej państwowości minęło bez jakichkolwiek dalszych zauważalnych posunięć po obydwu stronach. Bez jakichkolwiek zmian o istotnym znaczeniu. Ukraińcy podkreślają niedopowiedzianą, wręcz nieokreśloną lokatę Polski i na Zachodzie, i w strefie byłych wpływów sowieckich. Bardzo się mylą?

Zarzucają nam „moskwocentryczność“, patrzenie na wschód (jeśli w ogóle tam patrzymy) z kompletną nieuwagą na taki drobiazg, jak to, że od Rosji oddziela nas kraj większy od naszego. Jedyne poselstwo ukraińskie w Polsce (u nich Polacy w ogóle nie mają reprezentanta w parlamencie) zauważa u naszych polityków niepewność, czy Ukraina nie jest aby państwem sezonowym. Podczas dyskusji telewizyjnej (wizyta prezydenta Kuczmy wreszcie zainteresowała media aktualną tematyką ukraińską: na krótko) Iwówianin Edward Lozowyj skonstatował, *expressis verbis*, że w wypadku niebezpieczeństwa ze strony Rosji poparcie ze strony Polski nie jest brane pod uwagę. Cóż, wyrażona w 1995 opinia Zbigniewa Brzezińskiego, iż gdyby Polska musiała wybierać między wejściem do NATO a niepodległością Ukrainy - w naszym interesie leżałoby to drugie, też daje do myślenia. U nas jakby nie dała.

Jak oceniał w „Myśli Politycznej“ Włodzimierz Reprincew: „Istnieją dwie znaczące siły polityczne w dzisiejszej Polsce, jedna «proeuropejska», liberalna i druga «antyeuropejska», konserwatywna. Obydwie dobrze odnoszą się do Ukrainy. Marginalne są publikacje, szerzące prorewanżową nostalgię, jak to czyni jedno z tzw. ugrupowań kresowych, Towarzystwo Miłośników Lwowa, [...] zdarza się zgłaszanie nawet terytorialnych pretensji. Jednak te artykuły i publikacje nie odzwierciedlają oficjalnych postaw, nie stoi za nimi jakakolwiek wpływowa siła polityczna“. Pisząc dalej, iż „współczesna Polska jest zainteresowana głównie uplasowaniem się w Unii Europejskiej i w NATO, uważanym przez nią za jedyną strukturę zdolną zagwarantować bezpieczeństwo całej Europy“ - Reprincew zauważa równoległą tendencję Warszawy do rozwoju stosunków ze Wschodem, „w przełamaniu nowych barier w Europie“.

Autor szkicu bez komentarza relacjonuje ideę „Międzymorza“, swego czasu głoszoną przez lidera KPN. Reprincew²⁵⁷ przypomina, że projekt, w którym chodziło o maksymalną integrację państw wschodnioeuropejskich między Bałtykiem, Adriatykiem i Morzem

Czarnym, służącą zabezpieczeniu w równej mierze przed postindustrialnym Zachodem, co przed szowinistyczną Rosją, wzbudził entuzjazm w niektórych kołach politycznych Ukrainy, że poparł go głównie RUCH, który przed kilku laty wystąpił z bardzo zbliżoną koncepcją, dobrze korespondującą z „Europąbis“ eksprezydenta Wałęsy.

Nie za wiele wynikło z tego entuzjazmu. Bardzo jednoznacznie ocenia sprawę Siergiej Własow z Instytutu Światowej Ekonomii i Stosunków Międzynarodowych, sceptycznie zapatrujący się na nasze zaangażowanie w „strategiczne partnerstwo Ukrainy i Polski, o którym tak głośno“. Zdaniem tego autora wczesna, bo z 1992, koncepcja unii bałtyckoczarnomorskiej upadła, bo głównej roli dla siebie oczekiwali zarówno Ukraińcy, jak Polacy. Cytuję Własowa: „Ukraina chciała być numerem jeden w strategicznym partnerstwie z Polską. Lecz to było sprzeczne z interesami Polski, która [...] planowała odegranie swej własnej roli w regionie“.

Teraz, jeśli idzie o jakąkolwiek unijną koncepcję, nie nas bierze pod uwagę Kijów. Wśród projektów „Dokument 2005“, w którym mówi się o nowej federacji: miałyby powstać do roku 2000, czyli już łąda chwila, obejmując Rosję, Białoruś, Kazachstan, prawdopodobnie - Armenię, Ukrainę (całą lub w jakiejś części), potem Gruzję, Kirgizję... i tak dalej, przy czym „dalej“ oznacza jeszcze dziewięć innych republik. No comment.

„W każdym razie - pisze Własow - orientacja na tego typu partnerstwo bynajmniej nie jest dla Polski zagadnieniem priorytetowym, czego dowiodła polska inicjatywa dostania się do NATO. Oznacza to kolejną stratę dla Ukrainy, tym bardziej że polska inicjatywa nie była wcześniej aprobowana przez prezydenta Rosji. Lecz nawet po tym jak rosyjska dyplomacja odwołała swoje poparcie dla polskich starań [...], to nie względem na interes Ukrainy, ale chęć przeciwstawienia się Rosji determinuje polską politykę zagraniczną...“ „Dla Ukrainy głównym partnerem i zasadniczym problemem pozostaje Rosja, i to się zbyt nie zmienia. Polska jakby w tle. Na dalszym planie. Przestaliśmy zagrażać, nie zgłaszamy roszczeń, można z nami robić interesy, jednym słowem zrealizowało się sąsiedztwo i partnerstwo wolne od złych niespodzianek: niby dużo, jednak z tych nowych niepodległościowych swoich pozycji Ukraina znowu patrzy ponad Polską. Tego nie przykryją ani poselskie frazesy, ani zadufkowanie ministrów. Poza Giedroyciem zdaje się jeden Brzeziński wyczuwa sytuację, ale ani jego kijowskie wystąpienie, o którym wspominałam, ani dosyć znamienity tekst z „Politycznej Dumki“ nie są znane w Polsce.

Ukraińcy chętniej mówią o sobie: Słowianie niż Europejczycy. W pierwszej kolejności za Słowian uważa się aż siedemdziesiąt procent! Tylko co dziesiąty respondent poczuwał się do obydwu „opcji“. Może i to nie jest bez wpływu na zdumiewającą (ale Polaków!) ospałość w dystansowaniu się od Rosji.

Według doktora Gerharda Wettinga z Federalnego Instytutu Studiów Wschodnioeuropejskich w Kolonii: „Ukraina może jak najbardziej zdecydowanie sprzeciwić się integracji z Rosją. Jednak to wcale nie musi oznaczać, że identyczne jest stanowisko narodu“.

Inny przedstawiciel Instytutu, doktor Gerhard Simon, wskazuje na równoległe zagrożenie dla niepodległości republiki: „Przewaga sił politycznych w Rosji bynajmniej nie uważa niepodległości Ukrainy za nieodwołalną“.

Tak, na Ukrainie mówi się (i co gorzej, myśli) o ewentualności powrotu. O ponownym ślubie z Rosją. Niby zawsze można będzie się wycofać. Nie spodoba nam się we Wspólno259cie, to z niej zrezygnujemy. Siłą nas nie zatrzymają. Nie te czasy, nie ta Rosja...

Ależ nie, Rosja nie zatrzyma Ukrainy siłą, tylko Ukraina już nie będzie miała siły odejść. Żadnej siły. Gospodarczej, politycznej, kulturowej. Żadnej.

Przypuszczam, że proces rusyfikacji, od stuleci toczący Ukrainę, i generalnie biorąc - nie taki znów dla ukraińskiego ogółu bolesny proces, jakby się zdawało, w nowej konfiguracji osłabieniu by nie uległ, natomiast zaczęłyby słabnąć mechanizmy, które go powstrzymywały.

Nie takie to proste z antyrosyjskością Ukrainy. Małżeństwo było złe, niemniej - było. Ukraińców z Rosją łączy oczywistość nie do wyminięcia, przekreślenia, więc współzależność kultur, więc bliskość językowa. Ponad jedenaście milionów Rosjan zamieszkuje republikę, nie licząc innych narodowości. I co my - Polacy - wiemy dzisiaj o mniejszościach? Mamy ich jakieś cztery procent. Ukraina ma czterdzieści. Można nad tym łamać ręce, ale zmienić - nie można.

Postrzegana tak lub inaczej Rosja pozostaje głównym odniesieniem ukraińskich zapalczywości, kompleksów, sceptycyzmów. Do Rosji odnoszą się zastarzałe lęki i świeże nadzieje.

Państwo ukraińskie: nowy obraz regionu, nowy układ sił we wschodniej Europie. (Nie ma jeszcze państwa, jest prototyp - wtrąciłby Bystryckij).

Są również fakty, które stwierdził w przemówieniu Brzeziński, zaproszony na otwarcie Fundacji Antonowicza w Kijowie: "Niepodległa Ukraina zmienia geopolityczną mapę Europy. Jej zaistnienie jako państwa jest jednym z trzech najważniejszych geopolitycznych wydarzeń w XX wieku. Pierwszym - był upadek AustroWęgier w 1918. Drugim - podział Europy na dwa bloki w 1945".

Dla Ukrainy istotniejsze byłoby, gdyby to powiedział Kissinger, ale perspektywy stosunków z Niemcami i tak przedstawiają się obiecująco.

Jak to sformułował Siergiej Własow - niepodległość Ukrainy stała się poniekąd siłą przetargową w dyplomacji. Niemcy już dzisiaj zaczynają widzieć Polaków przede wszystkim jako pośredników w kontaktach z Ukrainą. W przyszłości ta tendencja może się rozrosnąć grubo ponad potrzeby i korzyści Polski.

Zaistniało państwo, które odegra znaczną rolę w przyszłości. Nie założylabym się, że korzystną dla Polski. Jeszcze się o to nie założę.

Lipiec - grudzień 1997